J. KORCZAK

K KOCHAĆ
DZIECI

für Geschichte
d. soz. Erziehung
d. Kindes
wichtig

Jak kochać dzieci

Janusz Korczak

Jak kochać dzieci

*

Dziecko w rodzinie

* *

Internat. Kolonje letnie

* * *

Dom sierot

WARSZAWA 1920 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

Anhelli.

1. Jak, kiedy, ile—dlaczego?

Przeczuwam wiele pytań, oczekujących odpowiedzi, wątpliwości, poszukujących wyjaśnienia.

I odpowiadam:

— Nie wiem.

Ilekroć, odłożywszy książkę, snuć zaczniesz nić własnych myśli, tylekroć książka cel zamierzony osiąga. — Jeśli szybko przerzucając karty—odszukiwać będziesz przepisy i recepty, dąsając się, że ich mało, — wiedz, że jeśli są w niej rady i wskazówki, stało się tak nie pomimo, a wbrew woli autora.

Nie wiem i wiedzieć nie mogę, jak nieznani mi rodzice mogą w nieznanych warunkach wychowywać nieznane mi dziecko,—podkreślam—mogą, a nie—pragną, a nie—powinni.

„Nie wiem“ — w nauce jest mgławicą stawania się, wyłaniania nowych myśli, coraz bliższych prawdy. Nie wiem, dla umysłu, niewdrożonego w naukowe myślenie, jest dręczącą pustką.

Chcę nauczyć rozumieć i kochać, cudowne, pełne życia i olśniewających niespodzianek — twórcze „nie wiem“, współczesnej wiedzy w stosunku do dziecka.

Chcę, by zrozumiano, że żadna książka, żaden lekarz, nie zastąpią własnej czujnej myśli, własnego uważnego spostrzegania.

Często spotkać się można ze zdaniem, że macierzyństwo uszlachetnia kobietę, że dopiero jako matka dojrzewa duchowo. Tak, macierzyństwo nasuwa płomiennemi zgłoskami zagadnienia, obejmujące wszystkie dziedziny życia zewnętrznego i duchowego; ale ich można nie dostrzec, tchórzliwie odsunąć na odległą przyszłość, lub obruszać się, że ich rozwiązania kupić nie można.

Kazać komuś dać gotowe myśli, to polecić obcej kobiecie, by urodziła własne twe dziecko. Są myśli, które w bólu samemu rodzić trzeba, i te są najcenniejsze. One decydują, czy podasz, matko, pierś czy wymię, czy wychowywać je będziesz jak człowiek czy jak samica, czy kierować niem będziesz, czy wlec na rzemieniu przymusu, czy tylko, póki małe, bawić się niem będziesz, znajdując w pieszczocie z niem dopełnienie skąpych lub niemiłych pieszczot małżonka; a później, gdy nieco podrośnie, puścisz je samopas, lub zwalczać zapragniesz.

2. Powiadasz:

„Moje dziecko".

Kiedy jeśli nie w okresie ciąży, masz do tego największe prawo? Bicie małego jak pestka brzoskwini serca jest echem twego tętna. Twój oddech daje i jemu tlen powietrza. Wspólna krew przebiega w niem i w tobie, a żadna czerwona krwi kropla nie wie jeszcze, czy pozostanie twoją lub jego, czy wylana będzie i umrze, jako danina, którą pobiera tajemnica poczęcia i porodu. Kęs chleba, który żujesz, to dla niego materjał do budowy nóg, na których biegać będzie, skóry, która je będzie okrywać, oczu, któremi patrzeć będzie, mózgu, w którym myśl zapłonie, rąk, które do ciebie wyciągnie, uśmiechu, z którym zawoła: „mamo".

Razem macie przeżyć stanowczą chwilę: wspólnie wspólnym bólem cierpieć będziecie. Uderzy dzwon—hasło:

— Gotowe.

I jednocześnie ono powie: chcę żyć własnem życiem, ty powiesz: żyj teraz własnem życiem.

Silnemi skurczami trzewi wyrzucać je będziesz, nie dbając

o jego ból, mocno i stanowczo przedzierać się ono będzie, nie dbając o twój ból.

Brutalny akt.

Nie—i ty i ono—wykonacie sto tysięcy drgnień niedostrzegalnych, subtelnych, cudownie zręcznych, by zabierając swój dział życia, nie zabrać więcej, niż wam się z prawa należy, powszechnego, odwiecznego.

— Moje dziecko.

Nie, nawet w ciągu miesięcy ciąży, ani w godzinach porodu, dziecko nie jest twoje.

3. Dziecko, które urodziłaś, waży 10 funtów.

Jest w niem ośm funtów wody i garść węgla, wapnia, azotu, siarki, fosforu, potasu, żelaza. Urodziłaś ośm funtów wody i dwa popiołu. A każda kropla tego *twojego* dziecka była parą chmury, kryształem śniegu, mgłą, rosą, zdrojem, mętem kanału miejskiego. Każdy atom węgla czy azotu wiązał się i rozwiązywał w miljony różnych połączeń.

Tyś tylko zebrała to wszystko, co było.

Ziemia zawieszona w nieskończoności.

Bliski towarzysz—słońce—50 miljonów mil.

Średnica drobnej ziemi naszej, to tylko 3000 mil ognia z cienką na 10 mil skorupą ostygłą.

Na cienkiej skorupie, wypełnionej ogniem, wśród oceanów—rozrzucona garść lądu.

Na lądzie, wśród drzew i krzewów, owadów, ptactwa, zwierząt – mrowią się ludzie.

Wśród miljonów ludzi urodziłaś jeszcze jedno—co?—źdźbło, pyłek,—nic.

Takie to kruche, że je zabić może bakterja, która 1000 razy powiększona, jest dopiero punktem w polu widzenia...

Ale to *nic* jest bratem z krwi i kości fali morskiej, wichru, błyskawicy, słońca, drogi mlecznej. Ten pyłek jest bratem kłosu, trawy, dębu, palmy, — pisklęcia, lwiątka, źrebaka, szczenięcia.

Jest w niem, co czuje, bada, — cierpi, pragnie, raduje się, kocha, ufa, nienawidzi,—wierzy, wątpi, przygarnia i odtrąca.

Ten pyłek ogarnie myślą wszystko: gwiazdy i oceany, góry i przepaście. A czem jest treść duszy, jeśli nie wszechświatem, jeno bez wymiarów?

Oto sprzeczność w istocie człowieczej, powstałej z prochu, w której Bóg zamieszkał.

4.—Powiadasz:—„moje dziecko“.

Nie, to dziecko wspólne, matki i ojca, dziadów i prapradziadów.

Czyjeś odległe ja, które spało w szeregu przodków, głos spróchniałej, dawno zapomnianej trumny, nagle przemawia w twem dziecku.

Trzysta lat temu, wśród wojny czy pokoju, ktoś kimś zawładnął, w kalejdoskopie krzyżujących się ras, narodów, klas,—za zgodą czy przemocą, w momencie przerażenia czy miłosnego upojenia—zdradził czy uwiódł, nikt nie wie, kto, kiedy, ale Bóg zapisał w księdze przeznaczeń, antropolog odgadnąć pragnie z kształtu czaszki czy barwy włosów.

Niekiedy dziecko wrażliwe fantazjuje, że jest podrzutkiem w domu rodziców. Tak bywa: jego rodzic umarł przed wiekiem.

Dziecko jest pargaminem, szczelnie zapisanym drobnemi hieroglifami, których część tylko zdołasz odczytać, a niektóre potrafisz wytrzeć lub tylko zakreślić, i własną zapełnisz treścią.

Straszne prawo.—Nie, piękne. Ono w każdem twem dziecku daje pierwsze ogniwo w nieśmiertelnym łańcuchu pokoleń. Poszukuj tej uśpionej w twem cudzem dziecku własnej cząstki. Może dostrzeżesz, może nawet rozwiniesz.

Dziecko i bezmiar.

Dziecko i wieczność.

Dziecko—pyłek w przestrzeni.

Dziecko—moment w czasie.

5.—Mówisz:

— Ono powinno... Chcę, by ono...

I szukasz wzoru, jakiem być ma, szukasz życia, jakiego dlań pragniesz.

Nic to, że wokół miernota i przeciętność. Nic, że wokoło szarzyzna.

Ludzie drepcą, krzątają się, zabiegają,—drobne troski, nikłe dążenia, poziome cele...

Niespełnione nadzieje, gryzący żal, wieczysta tęsknota...

Krzywda panuje.

Oschła obojętność lodem ścina, obłuda dech tłoczy.

Co ma kły i pazury, napastuje, co ciche, wtula się w siebie.

I nietylko cierpią, ale się szargają...

Kim ma być?

Bojownikiem, czy tylko pracownikiem, wodzem, czy szeregowcem? Czy tylko szczęśliwe?

Gdzie szczęście, czem — szczęście? Czy znasz drogę? Czy są, którzyby znali?

Czy podołasz?...

Jak przewidzieć, jak osłonić?

Motyl nad spienionym potokiem życia. Jak dać trwałość, a nie obciążyć lotu, hartować, a nie nużyć skrzydeł?

Więc przykładem własnym, pomocą, radą, słowem?

A jeśli odrzuci?

Za lat 15—ono wpatrzone w przyszłość, ty—w przeszłość. W tobie wspomnienia i przyzwyczajenia, w niem zmienność i harda nadzieja. Ty wątpisz, ono oczekuje i ufa, ty się lękasz, ono bez trwogi.

Młodość, jeśli nie drwi, nie wyklina, nie pogardza, zawsze pragnie zmienić wadliwą przeszłość.

Tak być winno. A jednak...

Niech poszukuje, byle nie błądziło, niech się wspina, byle nie upadło, niech karczuje, byle rąk nie pokrwawiło, niech się zmaga, byle ostrożnie—ostrożnie.

Ono powie:

— Ja mam inne zdanie. Dość opieki.

Więc nie ufasz?

Więc niepotrzebna ci jestem?

Cięży ci moja miłość?

Dziecko nieopatrzne, które nie znasz życia, dziecko biedne, dziecko niewdzięczne.

6. Niewdzięczne.

Czy ziemia wdzięczna słońcu, że świeci? Czy drzewo wdzięczne ziarnu, że z niego wyrosło? Czy słowik matce śpiewa, że go piersią grzała?

Czy oddajesz dziecku, co od rodziców wziąłeś, czy tylko pożyczasz, by odebrać, zapisując skrzętnie i obliczając procenty?

Czy miłość jest zasługą, za którą żądasz zapłaty.

„Matka-wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach chłopca, czepia się dziobem jego kija, zwisa tuż nad nim i bije głową jak młotem w pień, odgryza małe gałązki i kracze zachrypłym, wysilonym, suchym głosem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącemi się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać—głosu niema, bije więc skrzydłami i skacze oszalała, śmieszna, do nóg chłopaka. „Gdy zabiją wszystkie jej dzieci, wylatuje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i kręcąc się na niem wkoło, myśli nad czemś." Żeromski.

Miłość macierzyńska, to żywioł. Ludzie ją po swojemu zmienili. Cały świat cywilizowany, wyłączając nietknięte knlturą jego masy, uprawia dzieciobójstwo. Małżeństwo, które ma dwoje dzieci, gdy mogło mieć dwanaścioro, to zabójcy dziesięciorga, które się nie urodziły, między któremi było jedno, właśnie to — „ich dziecko". Między nieurodzonemi zabili może najcenniejsze.

Więc co czynić?

Należy wychowywać nie te dzieci, które się nie urodziły, a te, które się rodzą i żyć będą.

7. Czy zdrowe?

Jeszcze dziwno, że ono nie jest już nią samą. Jeszcze niedawno w zdwojonem życiu obawa o dziecko było częścią obawy o siebie.

Tak bardzo pragnęła, aby się już to skończyło, tak bardzo chciała mieć już tę chwilę poza sobą. Sądziła, że się uwolni od trosk i obaw.

A teraz?

Rzecz dziwna: dawniej dziecko było jej bliższe, bardziej własne, którego bezpieczeństwa była pewniejsza, które lepiej rozumiała. Sądziła, że wie, że będzie umiała. Z chwilą, gdy obce ręce—doświadczone, płatne, pewne siebie wzięły je w opiekę, sama odsunięta na drugi plan, czuje niepokój.

Świat je już zabiera.

I w długie godziny przymusowej bezczynnośoi zjawia się szereg pytań: co mu dałam, jak je wyposażyłam, jak zabezpieczyłam?

Zdrowe? Więc czemu płacze?

Czemu chude, źle ssie, nie śpi, śpi tak wiele, dlaczego główkę ma dużą, nóżki pokurczone, piąstki zaciśnięte, skórę czerwoną, białe pryszczyki na nosie, dlaczego zezuje, czka, kichnęło, krztusi się, ochrypło?

Tak być powinno? A może kłamią?

Patrzy na to małe, nieradne, niepodobne do żadnego z równie małych i bezzębnych, które widywała na ulicy, w ogrodzie. Czy być może, aby i ono też za trzy, cztery miesiące?

A może się mylą?

Może lekceważą?

Matka nieufnie słucha głosu lekarza, śledzi go wzrokiem: pragnie wyczytać z oczu, wzruszenia ramion, wzniesienie brwi, zmarszczki na czole: czy mówi prawdę, czy się nie waha, czy dostatecznie skupiony.

8. Ładne? Nie zależy mi na tem. Tak mówią nieszczerze matki, które chcą podkreślić swój poważny pogląd na zadania wychowawcze.

Uroda, wdzięk, postawa, mile brzmiący głos, to kapitał, który dałaś dziecku, jak zdrowie, jak rozum, ułatwia drogę życia. Nie należy przeceniać wartości urody, nie wsparta innemi, może przynieść szkodę. Tem bardziej wymaga czujnej myśli.

Inaczej wychowywać należy dziecko ładne, inaczej brzydkie. A że niema wychowania bez udziału dziecka, więc nie należy ukrywać wstydliwie zagadnienia urody przed niem, gdyż to właśnie je psuje.

Ta niby pogarda dla urody jest przeżytkiem średniowiecza. Człowiek, wrażliwy na piękno kwiatu, motyla, pejzażu, miałby być obojętny na piękno człowieka?

Chcesz ukryć przed dzieckiem, że ładne? Jeśli mu tego nie powie żadna z licznych osób, które je otaczają w domu, powiedzą mu to obcy ludzie na ulicy, w sklepie, w ogrodzie, wszędzie—okrzykiem, uśmiechem, spojrzeniem, dorośli czy rówieśnicy. Powie mu to upośledzenie dzieci brzydkich i szpetnych. Ono zrozumie, że uroda daje przywileje, jak rozumie, że ręka jest jego ręką, którą się może posługiwać.

Jak słabe dziecko może się rozwijać pomyślnie, a zdrowe ulec katastrofie, tak ładne może być nieszczęśliwe, a uzbrojone w pancerz brzydoty — niewyróżniane niedostrzegane, może żyć szczęśliwie. Bo musisz, musisz, pamiętać, że życie każdą wartość dodatnią, dostrzegłszy, że cenna, zapragnie kupić, wyłudzić lub ukraść. Na tej równowadze tysiącznych drgnień wyłaniają się niespodzianki, które wychowawcę zdumiewają w bolesnem częstokroć: dlaczego?

— Nie zależy mi na urodzie!

Rozpoczynasz od błędu i fałszu.

9. Czy mądre?

Jeśli matka zrazu zapytuje trwożnie, niezadługo będzie żądała.

Jedz, choć syt jesteś, choćby z obrzydzeniem: idź spać bodaj ze łzami, choć godzinę czekać będziesz na sen. Bo musisz, bo żądam, abyś było zdrowe.

Nie baw się piaskiem, noś obcisłe spodeńki, nie targaj włosków, bo żądam, byś było ładne.

— Ono jeszcze nie mówi.... Ono jest starsze od... a pomimo to jeszcze... Ono się źle uczy...

Zamiast patrzeć, by poznać i wiedzieć, bierze się pierw-

szy z brzegu przykład „udanego dziecka" — i stawia żądanie własnemu: oto wzór, do którego masz być podobne.

Nie wolno, by zamożnych rodziców dziecko zostało rzemieślnikiem. Niech raczej będzie nieszczęśliwym i zdemoralizowanym człowiekiem. Nie miłość dziecka, a egoizm rodziców, nie dobro jednostki: a ambicja gromady, nie szukanie dróg, a pęta szablonu.

Są umysłowości czynne i bierne, żywe i apatyczne, wytrwałe i kapryśne, uległe i przekorne, twórcze i naśladowcze błyskotliwe i gruntowne, konkretne i abstrakcyjne, realne i literackie; pamięć wybitna i mierna; spryt w posługiwaniu się zdobytą wiadomością i uczciwość wahań, wrodzony despotyzm i refleksyjność i krytycyzm; jest rozwój przedwczesny i opóźniony, jedno lub różnostronność zainteresowań.

Ale co to kogo obchodzi?

— Niech skończy przynajmniej cztery klasy—mówi rodzicielska rezygnacja.

Przeczuwając świetny renesans pracy fizycznej widzę do niej kandydatów ze wszystkich klas społecznych. Tymczasem walka rodziców i szkoły z każdą wyjątkową, nietypową, słabą czy niezrównoważoną inteligencją.

Nie—czy mądre, raczej—jak mądre.

10. Dobre dziecko.

Strzec się należy, by nie mieszać dobre z—wygodne.

Mało płacze, w nocy nas nie budzi, ufne, pogodne—dobre.

Złe, kapryśne, krzykliwe, bez widomego powodu, daje matce więcej przykrych wzruszeń, niż miłych.

Niezależnie od samopoczucia, są noworodki dziedzicznie mniej i więcej cierpliwie. Tu wystarcza jednostka dolegliwości, by dać reakcję dziesięciu jednostek krzyku, tam inne na dziesięć jednostek niedomagania reaguje jednostką płaczu.

Jedno ospałe, ruchy leniwe, ssanie powolne, krzyk bez żywego napięcia, wyraźnego afektu.

Drugie pobudliwe, ruchy żywe, sen czujny, ssanie zapalczywe, krzyk aż do sinicy.

Zaniesie się, oddech traci, cucić je trzeba, niekiedy z trudem powraca do życia. Wiem: choroba, leczymy ją tranem, fosforem, bezmleczną dietą. Ale ta choroba pozwalała niemowlęciu wyrosnąć na dojrzałego człowieka o potężnej woli, żywiołowem parciu i genjalnym umyśle. Napoleon zanosił się w niemowlęctwie.

Całe wychowanie współczesne pragnie, by dziecko było wygodne, konsekwentnie krok za krokiem dąży, by uśpić, stłumić, zniszczyć wszystko, co jest wolą i wolnością dziecka, hartem jego ducha, siłą jego żądań i zamierzeń.

— Grzeczne, posłuszne, dobre, wygodne, a bez myśli o tem, że będzie bezwolne wewnętrznie i niedołężne życiowo.

11. Bolesną niespodzianką, z którą spotyka się młoda matka, jest krzyk dziecka.

Wiedziała, że dzieci płaczą, ale myśląc o własnem, przeoczyła; oczekiwała tylko czarownych uśmiechów.

Będzie przestrzegała jego potrzeb, wychowywać będzie rozumnie, współcześnie, pod kierunkiem doświadczonego lekarza. Jej dziecko nie powinno płakać.

Ale przychodzi noc, gdy oszołomiona, z żywem echem przeżytych ciężkich godzin, które wieki trwały. Ledwie poczuła słodycz znużenia bez troski, rozleniwienia bez wyrzutu, spoczynku po dokonanej pracy, rozpaczliwym wysiłku, pierwszym w wydelikaconem życiu. Ledwo uległa złudzeniu, że się skończyło, bo ono—to drugie—samo już oddycha. Pogrążona w ciche wzruszenia, zdolna zadawać tylko pełne tajemniczych szeptów pytania naturze, nie żądając nawet odpowiedzi.

Gdy nagle...

Krzyk despotyczny dziecka, które czegoś żąda, na coś się skarży, pomocy się domaga, a ona nie rozumie.

Czuwaj!

— Kiedy nie mogę, nie chcę, nie wiem.

Ten pierwszy krzyk przy świetle nocnej lampki jest zapowiedzią walki zdwojonego życia: jedno życie dojrzałe, zmuszane

do ustępstw, zrzeczeń, ofiar, broni się; drugie nowe, młode, które wywalcza — własne — dla siebie prawa.

Dziś nie oskarżasz go; ono nie rozumie, cierpi. Ale jest na tarczy czasu godzina, gdy powiesz w przyszłości: i ja czuję, i ja cierpię.

12. Są noworodki i niemowlęta, które mało płaczą, tem lepiej. Ale są i takie, którym w krzyku na czole nabrzmiewają żyły, wypina się ciemiączko, szkarłatny kolor zalewa twarz i głowę, sinieją wargi, drży bezzębna szczęka, brzuch się wzdyma, pięści kurczowo ściskają, nogi biją powietrze. Nagle milknie bezsilnie, z wyrazem zupełnego poddania, „z wyrzutem" spogląda na matkę, mruży oczy z błaganiem o sen, i po paru szybkich oddechach, znów podobny, a może jeszcze silniejszy atak krzyku.

Czy być może, aby to wytrzymały drobne płuca, małe serce, młody mózg?

Ratunku, lekarza!

Wieki mijają nim przyszedł, wysłuchał z pobłażliwym uśmiechem jej obaw, taki obcy, nieprzystępny, zawodowiec, dla którego to dziecko jest jednem z tysiąca. Przyszedł, by za chwilę odejść do innych cierpień, słuchać innych skarg, przyszedł teraz, kiedy jest dzień, wszystko zdaje się być weselsze: bo słońce, bo ludzie chodzą po ulicy, przyszedł, gdy dziecko akurat śpi, zapewnie wyczerpane po bezsennych godzinach, kiedy ledwo znać ślady nikłe upiornej nocy.

Matka słucha, niekiedy nieuważnie słucha. Jej marzenie o lekarzu przyjacielu, kierowniku pracy, przewodniku mozolnej podróży, bezpowrotnie pierzcha.

Wręcza honorarjum i pozostaje znów sama z gorzkiem przeświadczeniem, że lekarz jest obojętny obcy człowiek, który nie zrozumie. A zresztą sam się waha, nic stanowczego nie orzekł.

13. Gdyby młoda matka wiedziała, jak decydujące są te

pierwsze dni i tygodnie, nie tyle dla zdrowia dziecka dziś, ile dla przyszłości obojga.

A jak je łatwo zmarnować!

Zamiast stwierdziwszy, pogodzić się z myślą, że jak dla lekarza jej dziecko o tyle jest przedmiotem zainteresowania, o ile przynosi dochód lub zadawalnia ambicje, tak samo dla świata ono jest niczem, tylko dla niej cenne...

Zamiast pogodzić się ze współczesnym stanem nauki, która domyśla się, usiłuje wiedzieć, bada i kroczy naprzód — wie, ale nie ma pewności, przynosi pomoc, ale nie daje gwarancji...

Zamiast mężnie stwierdzić: wychowanie dziecka, to nie miła zabawa, a zadanie, w które trzeba włożyć wysiłek bezsennych nocy, kapitał ciężkich przeżyć i wiele myśli...

Zamiast przetopić to w ogniu uczucia na rzetelną świadomość, bez złudzeń, bez dziecinnego zadąsania i samolubnej goryczy, ona może dziecko wraz z piastunką przenieść do odległego pokoju, bo „niezdolna patrzeć“ na cierpienie maleństwa, „niezdolna słuchać“ bolesnego wzywania, może znów i znów zwoływać lekarza i lekarzy, nie zdobywszy żadnego z doświadczeń, tylko zmaltretowana, oszołomiona, ogłupiała.

Jak naiwna jest radość matki, że rozumie pierwszą niewyraźną mowę dziecka, zgaduje przekręcone i niedomówione wyrazy.

Dopiero teraz?... Tylko tyle?... Nie więcej?

A mowa płaczu i śmiechu, mowa spojrzenia i skrzywienia ust, mowa ruchów i ssania?...

Nie zrzekaj się tych nocy. One dają to, czego nie da książka, niczyja rada. Bo tu wartość nietylko w wiedzy, ale w głębokim przewrocie duchowym, który nie pozwala powracać do jałowych rozmyślań: co byćby mogło, co być powinno, co byłoby dobre, gdyby... ale uczy działać w warunkach, które są.

Podczas tych nocy urodzić się może cudowny sprzymierzeniec anioł-stróż dziecka, — intuicja macierzyńskiego serca, jasnowidzenie, na które się składają: badawcza wola, czujna myśl, niezaćmione uczucie.

14. Bywało tak niekiedy: wzywa mnie matka.

— Właściwie dziecko jest zdrowe, nic mu nie jest. Tylko chciałabym, żeby je pan zobaczył.

Oglądam, daję kilka wskazówek, odpowiadam na pytania. Ależ zdrowe, miłe, wesołe.

— Do zobaczenia.

I tego wieczora lub nazajutrz:

— Panie doktorze, dziecko ma gorączkę.

Matka dostrzegła to, czego ja lekarz nie umiałem wyczytać w powierzchownem badaniu w ciągu krótkiej wizyty.

Godzinami pochylona nad małem, nie mając metody obserwacji, nie wie, co dostrzegła, nie ufając sobie, nie odważa się przyznać do poczynionych subtelnych spostrzeżeń.

A zauważyła, że dziecko, które nie ma chrypki, ma jednak głos cokolwiek matowy. Gaworzy cokolwiek mniej, lub ciszej. Raz drgnęło we śnie trochę silniej, niż zwykle. Roześmiało się po obudzeniu, ale słabiej. Ssało cokolwiek wolniej, może z dłuższemi pauzami, jakby roztargnione. Czy podczas śmiechu się skrzywiło, a może się tylko zdawało? Ulubioną zabawkę rzuciło z gniewem — dlaczego?

Stu objawami, które dostrzegło jej oko, ucho, brodawka piersi, stu mikroskargami powiedziało:

— Jestem niedysponowane. Nietęgo się dziś czuję.

Matka nie wierzyła, że widzi to, co widziała, bo o żadnym z podobnych objawów nie czytała w książce.

15. Na bezpłatny ambulans szpitalny przynosi matka-wyrobnica kilkotygodniowe niemowlę:

— Nie chce ssać. Ledwo chwyci brodawkę, puszcza z krzykiem. Z łyżeczki pije chciwie. Czasem przez sen, albo w ciągu czuwania, krzyknie nagle.

Oglądam usta, gardło — nie widzę nic.

— Proszę mu dać pierś.

Dziecko liże brodawkę wargami, nie chce ssać.

— Ono się zrobiło takie nieufne.

Wreszcie chwyta pierś, szybko, jakby z rozpaczą pociąga kilkakrotnie, puszcza ją z krzykiem.

— Niech pan zobaczy: ono ma coś na dziąsełku.

Patrzę po raz drugi, zaczerwienienie, ale dziwne: tylko na jednem dziąśle.

— O, tu, coś czarnego, ząb czy co?

Widzę: Twarde, żółte owalne, z czarną kreską na obwodzie. Podważam, porusza się, unoszę, pod niem małe wgłębienie czerwone z krwawemi brzegami.

Wreszcie mam owo „coś“ w ręce: jest to łuska siemienia.

Nad kołyską dziecka wisi klatka z kanarkiem. Kanarek rzucił łuskę, spadła na wargę, prześlizgnęła do ust, wpiła w dziąsło.

Bieg mojej myśli: stomatitis catarrhalis, soor, stom, aphtosa, gingivitis, angina i t. d.

Ona: ból, coś w ustach.

Ja dwa razy czyniłem poszukiwania... A ona?

16. Jeśli niekiedy zdumiewa lekarza ścisłość i drobiazgowość obserwacji, to z drugiej strony stwierdza z równem zdumieniem, że matka częstokroć nie umie już nie zrozumieć, ale dojrzeć najprostszego objawu.

Dziecko od urodzenia płacze, nic więcej nie widziała. Ciągle płacze!

Czy płacz wybucha nagle i odrazu dosięga szczyty, czy zawodzenie żałosne stopniowo przechodzi w krzyk? Czy szybko się uspokaja, natychmiast po oddaniu stolca lub uryny, lub wymiotach (czy splunięciu pokarmu), czy krzyknie nagle i gwałtownie przy kąpieli, ubieraniu, podnoszeniu? Czy żali się, płacząc przeciągle, bez wybuchów nagłych? Jakie przytem wykonywa ruchy? Czy trze głową o poduszkę, czy wargami wykonywa ruchy ssania? Czy uspokaja się, gdy je nosić, gdy się je rozwinie, położy na brzuchu, często zmienia pozycję? Czy po płaczu zasypia głęboko i na długo, czy budzi się za lada szmerem? Płacze przed czy po ssaniu, więcej zrana, wieczorem i w nocy.

Czy uspokaja się podczas ssania? na jak długo? Czy ssać nie chce? Jak nie chce? Czy wypuszcza brodawkę, ledwie do

ust wzięło, czy przy połykaniu, nagle, czy po pewnym czasie? Czy nie chce stanowczo, czy je można nakłonić do ssania? Jak ssie? dlaczego nie ssie?

Jeśli zakatarzone, jak ssać będzie? Chciwie i mocno, bo spragnione, potem szybko i powierzchownie, nierówno z pauzami, bo tchu brak. Dalej bolesność przy łykaniu, co będzie?

Płacz bywa nietylko z głodu i bólu „brzuszka“, ale bólu warg, dziąseł, języka, gardła, nosa, palca, ucha, kości, bólu zadrapanego przez lewatywę otworu stolcowego, bolesnego urynowania, mdłości, pragnienia, przegrzania, swędzenia skóry, na której jeszcze niema wysypki, ale będzie za parę miesięcy, płacz z powodu szorstkiej tasiemki, fałdy pieluchy, źdźbła waty, która utkwiła w gardle, łuski siemienia z klatki kanarka.

Wezwij lekarza na dziesięć minut, ale i sama patrz dwadzieścia godzin.

17. Książka z jej gotowemi formułami przytępiła wzrok i rozleniwiła myśl. Żyjąc cudzem doświadczeniem, badaniem, poglądem, tak dalece zatracono ufność w siebie, że nie chcą sami patrzeć. Jakgdyby to, co zawiera zadrukowana bibuła, było objawieniem, a nie produktem badania—tylko czyjegoś, nie mojego, czynionego gdzieś nad kimś, a nie dziś, nad mojem dzieckiem.

A szkoła wyrobiła tchórzostwo, obawę, by nie zdradzić się, że nie wiem.

Ile razy matka, spisawszy na kartce pytania, które chce zadać lekarzowi, nie zdobywa się, by je wypowiedzieć. A jak wyjątkowo rzadko da mu kartkę,—bo tam—„popisała głupstwa“.

Sama ukrywając, że nie wie, ile razy zmusza lekarza, by skrył wątpliwości, wahania, — by orzekł stanowczo. — Jak niechętnie przyjmuje szeroki ogół odpowiedzi warunkowe, jak nie lubi, gdy lekarz głośno myśli nad kołyską, jak często lekarz zmuszony, by był prorokiem,—staje się szarlatanem.

Niekiedy rodzice nie chcą wiedzieć tego, co wiedzą—i widzieć tego, co widzą.

Poród w sferze, gdzie panuje fanatyzm wygody, jest czemś

tak jedynem i złośliwie wyjątkowem, że matka kategorycznie żąda od natury sowitej nagrody. Jeśli zgodziła się na zrzeczenia, przykrości, dolegliwości ciąży i cierpienia porodu—dziecko powinno być takie, jakiego pragnęła.

Gorzej: przywykłszy, że za pieniądze wszystko kupić można, nie chce pogodzić się z faktem, że istnieje coś, co może otrzymać nędzarz, czego nie wyżebrze magnat.

Ileż razy, w poszukiwaniu tego, co opatrzono na rynku handlowym wspólną etykietą „zdrowie“, rodzice kupują falsyfikaty, które bądź nie pomogą, bądź przyniosą szkodę.

18. Dla niemowlęcia pierś matki, bez względu na to, czy urodziło się, bo Bóg błogosławił małżeństwo, czy—że dziewczyna straciła wstyd; czy matka szepce: „mój skarbie“, czy wzdycha „co ja pocznę nieboga“, czy jaśnie oświeconej pokornie winszują, czy rzucą wiejskiej dziewusze: „tfuj, ścierka“.

Prostytucja, która służy na użytek mężczyzny, znajduje swe dopełnienie społeczne w mamczarstwie na użytek kobiety.

Należy mieć pełną świadomość uświęconej krwawej zbrodni na biednem dziecku—nawet nie dla dobra bogatego.—Bo mamka może karmić dwoje dzieci: własne i cudze. Gruczoł mleczny daje tyle mleka, ile od niego żądają. A mamka właśnie wówczas traci pokarm, gdy dziecko mniej wypija, niż go pierś daje:

Formuła: obfita pierś, drobne dziecko, utrata pokarmu.

Rzecz dziwna: w mniej ważnych przypadkach skłonni jesteśmy zasięgać rad wielu lekarzy, w tak ważnem, czy matka może karmić, poprzestajemy na jednej, niekiedy nieszczerej, podszepniętej przez kogoś z otoczenia radzie.

Każda matka może karmić, każda ma dostateczną ilość pokarmu; tylko nieznajomość techniki karmienia pozbawia ją przyrodzonej zdolności.

Bóle w piersiach, nadżarcia brodawek, stanowią pewną przeszkodę; ale tu cierpienie okupuje się przez świadomość, że matka całą ciążę przetrwała, nie zrzucając żadnego z ciężarów na barki kupionej niewolnicy. Bo karmienie jest dalszym ciągiem ciąży „jeno dziecko z wewnątrz przeniosło się na zewnątrz,

odcięte od łożyska, pochwyciło pierś, nie czerwoną, a białą krew pije".

Pije krew?—Tak, matki, bo to prawo natury, nie zgładzonego brata mlecznego, co jest prawem ludzi.

19. Możebym i ja napisał sennik egipski hygjeny dla użytku matek.

„Trzy i pół kilo wagi przy urodzeniu, znaczy: zdrowie, pomyślność.“

„Stołeczki zielone, flegmiste: niepokój, przykra wiadomość“.

Możebym i ja ułożył skarbczyk miłosny rad i wskazówek.

Ale przekonałem się, że niema przepisu, któregoby nie doprowadziła do absurdu bezkrytyczna krańcowość.

Stary system.

Pierś trzydzieści razy na dobę, naprzemian z „rycynką". Niemowlę przechodzi z rąk do rąk, kołysane i bujane przez wszystkie zakatarzone ciotki. Niosą do okna, do lustra, klaszczą, grzechocą, śpiewają,—jarmark.

Nowy system:

Co trzy godziny pierś. Dziecko, widząc przygotowania do uczty, niecierpliwi się, gniewa, płacze. Matka patrzy na zegar: jeszcze cztery minuty. Dziecko śpi, matka budzi, bo godzina wybiła; głodne odrywa od piersi, bo upłynęły minuty. Leży — nie wolno poruszyć. Nie przyzwyczajać do noszenia! Wykąpane, suche, syte, powinno spać. Nie śpi. Trzeba chodzić na palcach, okna zasłonić. Sala szpitalna, morga.

Nie—myśl pracuje, a przepis nakazuje.

20. Nie: „jak często karmić“, a: „ile razy na dobę“.

Tak postawione pytanie daje matce swobodę: niech sama rozłoży godziny, jak lepiej dla niej i dla dziecka.

Ile więc razy dziecko ssać powinno na dobę?

Od czterech do pietnastu razy.

Jak długo leżeć przy piersi?

Od czterech minut do trzech kwadransy i dłużej.

Spotykamy: łatwo i trudno idące piersi, z ubogim i obfi-

tym pokarmem, z brodawką dobrą i złą, wytrwałą i urażliwą. Spotykamy dzieci mocno, kapryśnie i leniwie ssące. Więc niema ogólnego przepisu.

Przykłady:

Brodawka źle rozwinięta, ale wytrzymała; noworodek ochoczy. Niech często i długo ssie, by „wyrobić" pierś.

Pierś bogata, niemowlę słabe. Może lepiej przed ssaniem odstrzyknąć część pokarmu, by zmusić dziecko do wysiłku. Nie może podołać? Więc dać pierś, a pozostałość odstrzyknąć.

Pierś nieco trudna, dziecko ospałe. Po dziesięciu minutach dopiero pić zaczyna.

Jeden ruch łykania może przypadać na jeden, dwa, pięć ruchów ssania. Ilość mleka w łyku może być mniejsza i większa.

Liże pierś, pociąga, ale nie łyka, rzadko, często łyka.

„Po brodzie mu leci". Może dlatego, że wiele pokarmu, może dlatego, że pokarmu mało, że wygłodzone mocno pociąga, i zachłyśnie się, ale tylko pierwszemi paru łykami.

Jak można bez matki i dziecka dawać przepisy?

„Pięć racyj na dobę po dziesięć minut każda" to schemat.

21. Bez wagi niema techniki karmienia piersią. Wszystko co uczynimy, będzie grą w ślepą babkę.

Prócz wagi, niema sposobu, by dowiedzieć się, czy dziecko wyssało trzy czy dziesięć łyżek stołowych mleka.

A od tego zależy, jak często, jak długo, z obu czy jednej piersi ssać powinno.

Waga może być nieomylnym doradcą, gdy mówi, co jest, może stać się tyranem, gdy zechcemy otrzymać schemat „normalnego" wzrostu dziecka. Obyśmy z przesądu o „zielonych stołeczkach" nie wpadli w przesądy o „idealnych krzywych".

Jak ważyć?

Rzecz godna zaznaczenia, są matki, które wiele setek godzin strawiły na gamy i etiudy, a trud poznania się z wagą uważają za zbyt uciążliwy. Ważyć przed i po ssaniu? Aż tyle zachodu! Są inne, które nie troskliwością, ale czułością otaczają wagę, tego ukochanego domowego lekarza.

Tanie wagi dla niemowląt, takie ich rozpowszechnienie, by zabłądziły pod strzechy, to zagadnienie społeczne. Kto je podejmie?

22. Czem się dzieje, że jedno pokolenie dzieci wyrosło pod hasłem: mleko, jaja, mięso; drugie otrzymuje kasze, jarzyny i owoce?

Mógłbym odpowiedzieć: postępy chemji, badania nad przemianą materji.

Nie, istota zmiany sięga głębiej.

Nowa dieta jest wyrazem zaufania nauki do żywego ustroju, tolerancji dla jego woli.

Gdy podawano białka i tłuszcze, chciano zmusić ustrój do rozwoju specjalnie dobraną dietą, dziś dajemy wszystko: niech żywy organizm sam wybiera, co mu potrzebne, co przyniesie pożytek, niech sam zarządza w zakresie posiadanych sił, aktywów otrzymanego zdrowia, potencjalnej energji rozwoju.

Nie co dajemy dziecku, a co ono przyswaja. Bo każdy gwałt i nadmiar, to balast, każda jednostronność, to możliwy błąd.

Nawet bliscy prawdy, możemy popełnić jednostkę błędu, a powtarzając ją konsekwentnie w ciągu szeregu miesięcy, szkodzimy, bądź utrudniamy pracę.

Kiedy, jak, czem dokarmiać?

Wówczas gdy dziecku nie wystarcza wyssany litr mleka, stopniowo, czekając zawsze na reakcję ustroju, dokarmiać wszystkiem, zależnie od dziecka, od jego odpowiedzi.

23. A mączki?

Należy odróżniać naukę o zdrowiu od handlu zdrowiem.

Płyn na porost włosów, eliksir do zębów, puder odmładzający cerę, mączki ułatwiające ząbkowanie, to częstokroć hańba nauki, a nigdy jej duma, porywy i dążenia.

Fabrykant zapewni mączką i normalne stolce i efektowną wagę, da to, co matkę cieszy, a dziecku smakuje. Ale nie da tkankom sprawności w przyswajaniu, może je rozleniwi, nie da

żywotności, może otłuszczając, obniży nawet; nie da odporności przeciw zarazie.

A zawsze dyskredytuje pierś, wprawdzie oględnie, budząc wątpliwości, ubocznie, podkopując się zwolna, kusząc i dogadzając słabostkom tłumu.

Powie ktoś: nazwiska o wszechświatowej sławie wyrażają uznanie. Ależ uczeni są ludźmi: są między nimi mniej i więcej przenikliwi, ostrożni i lekkomyślni, uczciwi i fałszerze. Iluż jest generałów nauki nie genjuszem, a sprytem lub przywilejem majątku i urodzenia! Nauka wymaga kosztownych warsztatów, które nietylko daje istotna wartość, ale i układność, i uległość, i intryga.

Byłem obecny na posiedzeniu, gdzie bezczelny tupet rabował pracę dwunastoletniego sumiennego badania. Znam odkrycie, które spreparowano na głośny zjazd międzynarodowy. Odżywczy preparat, którego wartość potwierdziło kilkadziesiąt „gwiazd" okazał się falsyfikatem; był proces: szybko zatuszowano skandal.

Nie: kto pochwalił mączkę, a kto nie chciał jej chwalić mimo zabiegi, starania i prośby agentów i fabrykanta. A oni umieją usilnie zabiegać, uporczywie prosić, bardzo nalegać. Miljonowe przedsiębiorstwa mają wpływy; to siła, której nie każdy się oprze.

24. Dziecko gorączkuje. Katar.

Czy mu nic nie grozi? Kiedy będzie zdrowe?

Nasza odpowiedź jest wypadkową szeregu rozumowań, opartych na tem, co wiemy i co zdołaliśmy dostrzec.

A więc: silne dziecko zwalczy słabą zarazę w dzień lub dwa. Jeśli zaraza silniejsza lub dziecko słabsze, niedomaganie potrwa tydzień. Zobaczymy.

Albo: cierpienie drobne, ale dziecko młode. Zakatarzenie u niemowląt często przechodzi ze śluzówki nosa na gardło, tchawicę, oskrzela. Przekonamy się.

Wreszcie na sto podobnych przypadków, dziewięćdziesiąt kończy się rychłym powrotem do zdrowia, w siedmiu przeciąga

się niedomaganie, w trzech rozwija się choroba, może nastąpić śmierć.

Zastrzeżenie: a może lekkie zakatarzenie maskuje inne cierpienie?...

Ale matka chce mieć pewność, a nie przypuszczenia.

Można rozpoznanie dopełnić przez badanie wydzieliny nosa, uryny, krwi, płynu mózgordzeniowego, można prześwietlić, przywołać specjalistów. Wzrośnie odsetka prawdopodobieństwa w rozpoznaniu i rokowaniu, nawet w leczeniu. Ale czy ten plus nie zrównoważy się szkodą wielokrotnych badań, obecnością wielu lekarzy, z których każdy może przynieść groźniejszą zarazę we włosach, fałdach odzieży, w oddechu.

Gdzie ono mogło się zakatarzyć?

Można było uniknąć.

A czy ta drobna zaraza nie uodpornia dziecka przeciw silniejszej, z którą się spotka za tydzień, za miesiąc, czy nie doskonali mechanizmu obrony: w ośrodku termicznym mózgu, gruczołach, częściach składowych krwi? Czy możemy izolować dziecko od powietrza, którem oddycha, a które w jednym centymetrze sześciennym zawiera tysiące bakteryj...

Czy to nowe starcie między tem, czegośmy pragnęli, a czemu ulegać musimy, nie będzie jeszcze jedną próbą uzbrojenia matki nie w wykształcenie, ale rozum, bez którego dobrze dziecka nie wychowa.

25. Dopóki śmierć kosiła położnice, niewiele myślano o noworodku. Dostrzeżono go, gdy aseptyka i technika pomocy zabezpieczyły życie matki. Dopóki śmierć kosiła niemowlęta, cała uwaga nauki skierowana być musiała na flaszkę i pieluchę. Teraz może niezadługo już obok wegetacyjnego, dostrzeżemy wyraźnie oblicze, życie i rozwój psychiczny dziecka do roku. Co do tej pory zrobiono, nie jest jeszcze początkiem pracy.

Nieskończony szereg zagadnień psychologicznych i stojących na pograniczu między soma i psyche niemowlęcia.

Napoleon miał tężyczkę, Bismark był rachitykiem, a już bezspornie każdy z proroków i zbrodniarzy, bohaterów i zdraj-

ców, wielkich i małych, atletów i mizeraków, był niemowlęciem, zanim stał się dojrzałym człowiekiem. Jeśli chcemy badać ameby myśli, uczuć i dążeń, zanim rozwinęły się, zróżniczkowały i zdefinjowały, do niego musimy się zwrócić.

Tylko bezgraniczna ignorancja i powierzchowność patrzenia mogą przeoczyć, że niemowlę uosabia pewną ściśle określoną indywidualność, złożoną z wrodzonego temperamentu, siły intellektu, samopoczucia i doświadczeń życiowych.

26. Sto niemowląt. Nachylam się nad łóżkiem każdego z nich. Są, które liczą życie na tygodnie i miesiące, o różnej wadze i różnej przeszłości swej „krzywej", chore, ozdrowieńcy, zdrowe, i ledwo utrzymujące się jeszcze na powierzchni życia.

Spotykam różne spojrzenia, od przygasłych, mgłą zasnutych, bez wyrazu, poprzez uparte i boleśnie skupione, do żywych, serdecznych, zaczepnych. I uśmiech powitalny, nagły, przyjazny, lub uśmiech po chwili bacznej obserwacji, dopiero jako odpowiedź na uśmiech i pieszczotliwe słowo—pobudkę.

Co mi się zrazu zdaje przypadkiem, powtarza się w ciągu wielu dni. Notuję, wyodrębniam ufne i nieufne, równe i kapryśne, pogodne i chmurne, niepewne, zalęknione i wrogie.

Stale pogodne: uśmiecha się przed i po ssaniu, zbudzone ze snu i snem morzone, uniesie powieki, uśmiechnie się i zaśnie. Stale chmurne: z niepokojem wita, bliskie płaczu, w ciągu trzech tygodni uśmiechnęło się przelotnie tylko raz...

Oglądam gardła. Protest żywy, burzliwy, namiętny. Albo tylko niechętne skrzywienie, niecierpliwy ruch głowy, i już uśmiech życzliwy.. Albo podejrzliwa czujność na każdy ruch obcej ręki, wybuch gniewu, zanim jeszcze doznało...

Szczepienie ospy masowe; po pięćdziesiąt w ciągu godziny. To już eksperyment. Znów u jednych reakcja natychmiastowa i stanowcza, u drugich stopniowa i niepewna, u trzecich — obojętność. Jedno poprzestaje na zdziwieniu, drugie dochodzi do niepokoju, trzecie uderza na alarm; jedno szybko powraca do równowagi, drugie długo pamięta, nie przebacza...

Powie ktoś: wiek niemowlęcia. Tak, ale do pewnego stopnia tylko. Szybkość orjentowania się, wspomnienia ubiegłych przeżyć. O, znamy dzieci, które nabrały bolesnego doświadczenia ze znajomości z chirurgiem, wiemy że są, które nie chcą pić mleka, bo im dawano białą emulsję z kamforą.

Ale cóż innego składa się na wyraz psychiczny dojrzałego człowieka?

27. Jedno niemowlę.

Urodziło się, już pogodzone z chłodem powietrza, szorstką pieluchą, niepokojem dźwięków, pracą ssania. Ssanie pracowite, wyrachowane i śmiałe. Już się uśmiecha, już gaworzy, już włada rękami. Rośnie, bada, doskonali się, czołga, chodzi, paple, mówi. Jak i kiedy się to dokonało?

Pogodny bez chmury rozwój...

Niemowlę drugie.

Upłynął tydzień, zanim nauczyło się ssać. Parę niespokojnych nocy. Tydzień bez troski, jednodniowa burza. Rozwój cokolwiek ospały, ząbkowanie uciążliwe. Naogół, różnie bywało, teraz już wszystko w porządku: spokojne, miłe, ucieszne.

Może urodzony flegmatyk, niedość rozważana opieka, pierś niedość sprawna, rozwój szczęśliwy...

Niemowlę trzecie.

Gwałtowne. Wesołe, łatwo się podnieca, zaczepione przez niemiłe wrażenie z zewnątrz lub z wewnątrz, walczy rozpaczliwie, nie szczędzi energji. Ruchy żywe, zmiany nagłe, dziś niepodobne do wczoraj. Uczy się i zapomina naprzemian. Rozwój o linji łamanej, o silnych wzniesieniach i spadkach. Niespodzianki od najmilszych do pozornie groźnych. Niepodobna powiedzieć: nareszcie.

Eretyk, drażliwiec, kapryśna siła, może znaczna wartość...

Czwarte niemowlę.

Jeśli obliczyć dni słoneczne i dżdżyste, pierwszych będzie niewiele. Niezadowolenie, jako tło zasadnicze. Niema bólu, są niemiłe sensacje; niema wrzasku, jest niepokój. Byłoby dobrze, gdyby... Nigdy bez zastrzeżenia.

To dziecko ze skazą, nierozumnie chowane...

Temperatura pokoju, nadmiar stu gramów mleka, brak stu gramów wody do picia, to wpływy nietylko hygjeniczne, ale i wychowawcze. Niemowlę, które ma tyle zbadać, domyśleć się, poznać, przyswoić, pokochać i nienawidzieć, rozumnie bronić i domagać, musi mieć dobre samopoczucie, niezależnie od wrodzonego temperamentu, wrodzonej lotnej lub ospałej inteligencji.

28. Wzrok. Światło i ciemność, noc i dzień. Sen, dzieje się coś bardzo słabego, czuwanie, dzieje się silniej; coś dobrego (pierś) lub złego (ból). Noworodek patrzy na lampę. Nie patrzy: gałki oczne rozchodzą się i schodzą. Później, wodząc wzrokiem za przedmiotem, poruszanym powoli, fiksuje go i gubi co moment.

Kontury cieni, zarys pierwszych linij, a wszystko bez perspektywy. Matka w odległości metra jest już innym cieniem, niż pochylona blisko. Profil twarzy, jak sierp księżyca, tylko podbródek i usta, gdy patrzy z dołu, leżąc na kolanach, taż sama twarz z oczami, jeszcze inaczej, z włosami, gdy bardziej się pochyli. A słuch i węch, mówią, że to to samo.

Pierś, jasna chmura, smak, zapach, ciepło, dobro. Niemowlę puszcza pierś i patrzy, bada wzrokiem to dziwne coś, które ukazuje się stale nad piersią, skąd płyną dźwięki i powiewa ciepły strumień oddechu. Niemowlę nie wie, że pierś, twarz, ręce, stanowią jedną całość,—matkę.

Ktoś obcy wyciąga ręce. Zwiedzione znajomym ruchem, obrazem, chętnie w nie przechodzi. Teraz dopiero spostrzegło błąd. Tym razem ręce oddalają je od znajomego cienia, zbliżają do czegoś obcego, wzbudzającego obawę. Ruchem nagłym zwraca się ku matce, i znów bezpieczne, patrzy i dziwi się lub chowa za ramię matczyne, by uniknąć niebezpieczeństwa.

Wreszcie twarz matki przestaje być cieniem, zbadana rękami. Niemowlę wielekroć chwytało za nos, dotykało oka dziwnego, które naprzemian błyska, to znów matowe pod przykryciem powieki, badało włosy. A kto nie widział, jak odchyla wargi, ogląda zęby, zagląda do ust, skupione, poważne, z mar-

sem na czole. Tylko że mu przeszkadza czcza gadanina, pocałunki, żarty, — to co nazywamy „bawieniem“ dziecka. My się bawimy, ono studjuje. Ono już ma pewniki, przypuszczenia i zagadnienia w toku badań.

29. Słuch. Od szmeru ulicy poza szybami okien, odgłosów odległych, tykania zegara, rozmów i stuków, aż do bezpośrednio do dziecka zwróconych szeptów i słów, wszystko to tworzy chaos podrażnień, które musi rozklasyfikować i zrozumieć.

Tu dodać należy dźwięki, które niemowlę samo wydaje, więc krzyk, gaworzenie, pomruki. Zanim pozna, że ono samo, a nie ktoś niewidzialny gaworzy i krzyczy, — upływa wiele czasu. Gdy leży i mówi swoje: abb, aba, ada, ono słucha i bada uczucia, których doznaje przez poruszanie warg, języka, krtani. Nie znając siebie, stwierdza tylko dowolność tworzenia tych dźwięków.

Gdy do niemowlęcia przemawiam jego własnym językiem: aba, abb, adda — zdumione przygląda mi się, — tajemniczej istocie, wydającej dobrze mu znane odgłosy.

Gdybyśmy głębiej wmyśleli się w istotę świadomości niemowlęcia, znaleźlibyśmy w niej znacznie więcej, niż sądzimy, tylko nie to i nie tak, jak sądzimy. Biedne dzidzi, biedne maleństwo głodne, chce papu, chce mlimli. Niemowlę doskonale rozumie, czeka na rozpięcie stanika przez karmicielkę, założenie chusteczki pod brodę, niecierpliwi się, gdy opóźnią ostatecznie oczekiwane wrażenie. A jednak tę całą długą tyradę matka wygłosiła do siebie, nie do dziecka. Ono prędzej utrwaliłoby te głosy, któremi gospodyni przywołuje ptactwo domowe: cip-cip-taś-taś.

Niemowlę myśli oczekiwaniem miłych wrażeń i obawą przykrych, że myśli nie tylko obrazami, ale i dźwiękami, sądzić można choćby z zaraźliwości krzyku: krzyk zwiastuje nieszczęście, lub: krzyk automatycznie wprowadza w ruch aparat, wyrażający niezadowolenie. Uważnie przyjrzyjcie się niemowlęciu, gdy słucha płaczu drugiego.

30. Niemowlę dąży mozolnie do opanowania zewnętrznego świata: pragnie zwalczyć otaczające je złe wrogie moce, zmusić do służenia swej pomyślności dobre opiekuńcze duchy. Niemowlę ma dwa zaklęcia, któremi się posługuje, zanim zdobędzie trzecie cudowne narzędzie woli: własne ręce. Te dwa zaklęcia są: krzyk i ssanie.

Jeśli zrazu niemowlę krzyczy, że mu coś dolega, szybko uczy się krzyczeć, żeby mu nie dolegało. Pozostąwione samo, płacze, ale uspokaja się, słysząc kroki matki, chce ssać, płacze, ale płakać przestaje, gdy widzi przygotowania do karmienia.

Ono zarządza w zakresie posiadanych wiadomości (mało ich ma) i rozporządzanych środków (słabe są). Popełnia błędy, generalizując poszczególne zjawiska i wiążąc dwa następujące po sobie fakty, jako przyczynę i skutek (post hoc, propter hoc). Czy zajęcie i sympatja, jaką darzy swe trzewiki, nie w tem ma źródło, że trzewikom przypisuje swą zdolność chodzenia? Tak samo płaszczyk jest tym czarodziejskim dywanem z bajki, który przenosi je w świat dziwów—na spacer.

Podobne przypuszczenia mam prawo czynić. Jeśli historyk ma prawo domyślać się, czego chciał Szekspir, tworząc Hamleta, ma prawo pedagog czynić nawet błędne przypuszczenia, które w braku innych dają mu jednak praktyczne wyniki.

A więc:

W pokoju duszno. Niemowlę ma suche wargi, mało i gęstą, ciągnącą się ślinę, kaprysi. Mleko jest pożywieniem, a jemu chce się pić, więc dać mu wody. Ale ono „nie chce pić“: kręci głową, wytrąca z rąk łyżkę. Ono chce pić, tylko nie umie jeszcze. Czując na wargach pożądany płyn, rzuca głową, szuka brodawki. Unieruchomiam mu głowę lewą ręką, łyżkę przykładam do górnej wargi. Ono nie pije, a ssie wodę, chciwie ssie, wypiło pięć łyżek i spokojnie zasypia. Jeśli raz i drugi niezręcznie podam mu płyn z łyżki, ono zakrztusi się i dozna przykrości, wówczas naprawdę z łyżki pić nie chce.

Przykład drugi:

Niemowlę stale kapryśne, niezadowolone, uspokaja się przy piersi, podczas przewijania, kąpieli, przy częstej zmianie pozy-

cji. To niemowlę ma swędzącą wysypkę. Odpowiadają, że niema wysypki. Zapewne będzie. I po dwóch miesiącach wysypka się zjawia.

Trzeci przykład:

Niemowlę ssie swe ręce, gdy mu coś dolega, wszelkie przykre wrażenia, więc i niepokój niecierpliwego oczekiwania, pragnie ukoić dobroczynnem, dobrze mu znanem ssaniem. Ssie pięści, gdy głodne, spragnione, gdy przekarmiane ma niesmak w ustach, gdy ma ból, gdy przegrzane, gdy swędzi je skóra lub dziąsła. Skąd pochodzi, że lekarz zapowiada zęby, że niemowlę doznaje wyraźnie przykrych uczuć w szczęce czy dziąsłach, a zęby się nie pokazują w ciągu wielu tygodni? Czy przerzynający się ząb nie drażni drobnych gałązek nerwu już w samej kości? Tu dodam, że cielę, zanim mu rogi wyrosną, cierpi podobnie.

I tu taka jest droga: instynkt ssania, ssanie, żeby nie było cierpienia, ssanie, jako przyjemność czy nałóg.

31. Powtarzam: zasadniczym tonem, treścią psychicznego życia niemowlęcia jest dążenie do opanowania nieznanych żywiołów, tajemnicy otaczającego je świata, skąd płynie dobro i zło. Chcąc opanować, pragnie wiedzieć.

Powtarzam: dobre samopoczucie ułatwia mu objektywne badanie, wszelkie przykre uczucia, płynące z wewnątrz jego ustroju, więc w pierwszym rzędzie ból, zaćmiewają chwiejną świadomość. Ażeby się o tem przekonać, trzeba mu się przyglądać w zdrowiu, cierpieniu i chorobie.

Odczuwając ból, niemowlę nietylko krzyczy, ale i słyszy krzyk, odczuwa ten krzyk w gardle, widzi go poprzez przymrużone powieki w zamazanych obrazach. Wszystko to jest silne, wrogie, groźne, niepojęte. Ono musi dobrze pamiętać te chwile, bać się ich; a nie znając jeszcze siebie, wiąże je z przypadkowemi obrazami. I tu zapewne mamy źródło wielu niezrozumiałych w niemowlęciu sympatyj, antypatyj, obaw i dziwactw.

Badanie nad rozwojem intellektu niemowlęcia są niezmiernie trudne, bo ono po wielekroć uczy się i zapomina: jest to roz-

wój z szeregiem okresów posunięć, zacisza i cofań. Może chwiejność samopoczucia jego gra w tem ważną, może najważniejszą rolę.

Niemowlę bada swe ręce. Prostuje, wodzi w prawo i w lewo, oddala, zbliża, rozstawia palce, zaciska w pięść, mówi do nich i czeka na odpowiedź, prawą chwyta lewą rękę i ciągnie, bierze grzechotkę i patrzy na dziwnie zmieniony obraz ręki, przekłada ją z jednej do drugiej, bada ustami, natychmiast wyjmuje, i znów patrzy powoli, uważnie. Rzuca grzechotkę, pociąga za guzik kołdry, bada powód doznanego oporu. Ono nie bawi się, miejcież do licha oczy i dostrzeżcie w niem wysiłek woli, by zrozumieć. To uczony w laboratorjum, wmyślony w zagadnienie najwyższej wagi, a które wyślizguje się jego rozumieniu.

Niemowlę narzuca swą wolę przez krzyk. Później przez mimikę twarzy i rąk, wreszcie już—przez mowę.

32. Wczesny ranek, powiedzmy, godzina piąta.

Obudziło się, uśmiecha, gaworzy, wodzi rękami, siada, wstaje. Matka chce spać jeszcze.

Konflikt dwóch chceń, dwóch potrzeb, dwóch ścierających się egoizmów; trzeci moment jednego procesu: matka cierpi, a dziecko rodzi się do życia; matka chce spocząć po porodzie, dziecko żąda pokarmu; matka chce śnić, dziecko pragnie czuwać; będzie ich długi szereg. To nie drobiazg, a zagadnienie; miej odwagę własnych uczuć, i oddając je płatnej piastunce, powiedz wyraźnie: „nie chcę“, choćby ci lekarz powiedział, że nie możesz, bo on to zawsze powie na pierwszem piętrze od frontu, a nigdy na facjacie.

Może być i tak: matka oddaje dziecku swój sen, ale żąda wzamian zapłaty; więc całuje, pieści, tuli ciepłą, różową, jedwabną istotkę. Czuwaj: to wątpliwy akt egzaltowanej zmysłowości, ukryty a przyczajony w miłości macierzyńskiego nie serca, a ciała. Wiedz, że jeśli dziecko chętnie tulić się będzie, zarumienione od stu pocałunków, z błyszczącemi radością oczami, to znaczy, że twój erotyzm znajduje w niem oddźwięk.

Więc wyrzec się pocałunku? Tego nie mogę żądać, uzna-

jąc pocałunek, rozumnie dozowany, za cenny czynnik wychowawczy; pocałunek koi ból, łagodzi ostre słowa napomnienia, budzi skruchę, nagradza za wysiłek, jest symbolem miłości, jak krzyż symbolem wiary, i działa jako taki, mówię, że jest, a nie że być powinien. A zresztą, jeśli ta dziwna chęć tulenia, głaskania, wąchania, wchłaniania dziecka w siebie nie budzi wątpliwości, czyń jak chcesz. Ja nic nie zabraniam, ani nakazuję.

33. Gdy patrzę na niemowlę, jak otwiera i zamyka pudełko, wkłada w nie i wyjmuje kamyk, potrząsa i słucha; roczniak ciągnie stołek, ugina się pod ciężarem na niepewnych nogach; dwulatek, gdy mu mówią, że krowa, to „muu“, dodaje: „ada — muu“, a „ada“ jest imieniem psa domowego; popełnia przelogiczne błędy językowe, które należy notować i ogłaszać.

Gdy wśród rupieci niedoroślęcia widzę gwoździe, sznurki, szmatki, szkiełka, bo to „się przyda“ do wykonania stu zamierzeń; gdy się próbuje, kto dalej „skoknie“, pracuje, krząta, organizuje wspólną zabawę; zapytuje: „czy jak ja myślę o drzewie, to mam w głowie maluśkie drzewko“; daje dziadkowi nie dwojaka, żeby dostać dobrą notę, ale dwadzieścia sześć groszy, cały majątek, bo on taki stary i biedny i niedługo umrze.

Gdy wyrostek ślini czuprynę, żeby była gładka, bo ma przyjść koleżanka siostry; gdy mi pisze w liście dziewczynka, że świat podły, a ludzie zwierzęta, a zamilcza dlaczego; gdy młodziak rzuca dumnie buntowniczą, tak już oklepaną, zjełczałą myśl, wyzwanie...

O ja całuję te dzieci, wzrokiem, myślą, pytaniem: czem jesteście, cudowna tajemnico, co niesiecie? całuję wysiłkiem woli: czem mogę wam pomóc? Całuję je tak, jak astronom całuje gwiazdę, która była, jest, będzie. Ten pocałunek winien zajmować równe miejsce między ekstazą uczonego i korną modlitwą; ale nie dozna jego czaru, kto poszukując wolności, zagubił w tłoku Boga.

34. Dziecko jeszcze nie mówi. Kiedy zacznie mówić?

Mowa jest wprawdzie wskaźnikiem rozwoju dziecka, ale

ani jedynym, ani najważniejszym. Niecierpliwe oczekiwanie pierwszego wyrazu jest błędem, dowodem wychowawczej niedojrzałości rodziców.

Jeśli noworodek w kąpieli drgnie i rzuci rękami, utraciwszy równowagę: mówi „boję się" i niezmiernie ciekawy jest ten odruch lęku u istoty, tak dalekiej od rozumienia niebezpieczeństwa. Dajesz mu pierś, nie bierze, mówi: „nie chcę". Wyciąga ręce po pożądany przedmiot: „daj". Ustami krzywionemi do płaczu i ruchem obronnym mówi obcemu: „nie ufam ci", niekiedy zapytuje matkę: „czy można mu zaufać"?

Czem jest badawcze spojrzenie dziecka, jeśli nie pytaniem: „co to"? Sięga po coś, z mozołem zdobywa, wzdycha głęboko, i tem westchnieniem ulgi mówi: „nareszcie". Spróbuj odebrać, dziesiątkiem odcieni powie ci: „nie oddam". Unosi głowę, siada, wstaje: „działam", czem jest uśmiech ust i oczów, jeśli nie: „o, jak mi dobrze na świecie".

Mową mimiczną mówi, mową obrazów i uczuciowych wspomnień myśli.

Kładzie mu matka płaszczyk, cieszy się, korpusem zwraca w stronę drzwi, niecierpliwi się, przynagla do pośpiechu. Myśli obrazami przechadzki i wspomnieniem doznanych na niej uczuć. Niemowlę przyjaźnią darzy lekarza, ale widząc łyżkę w jego ręce, odrazu poznaje wroga.

Ono rozumie mowę, nie słów, ale mimiki i modulacji głosu

— Gdzie masz nosek?

Nie rozumiejąc żadnego z trzech wyrazów, wie z głosu ruchu warg, wyrazu twarzy, że żądają od niego danej odpowiedzi.

Niemowlę umie przeprowadzić bardzo złożoną rozmowę, nie umiejąc mówić.

— Nie rusz, powiada matka.

Ono mimo to sięga po zakazany przedmiot, wdzięcznie przechyla głowę, uśmiecha się, bada, czy matka surowiej wznowi zakaz, czy rozbrojona wyrafinowaną kokieterją, ustąpi, pozwoli.

Nie powiedziawszy ani jednego jeszcze wyrazu, ono kłamie, bezwstydnie kłamie. Chcąc się uwolnić od niemiłej osoby,

daje znak umówiony, groźny sygnał, i siedząc na wiadomem naczyniu, tryumfująco a drwiąco spogląda na otoczenie.

Spróbuj zażartować z niego, dając i cofając przedmiot, którego żąda, ono się niezawsze rozgniewa, niekiedy tylko, obrazi.

Niemowlę umie bez słów być despotą, napierać się natrętnie, tyranizować.

35. Bardzo często, gdy lekarz zadaje pytanie, kiedy dziecko mówić i chodzić zaczęło, matka zażenowana daje nieśmiało przybliżoną odpowiedź:

— Wcześnie, późno, normalnie.

Sądzi, że data tak ważnego faktu powinna być ścisła, że każda wątpliwość rzuci na nią złe światło w oczach lekarza; wspominam o tem, by dowieść, jak niepopularna jest wśród ogółu świadomość, że nawet ścisła naukowa obserwacja z trudem tylko potrafi nakreślić przybliżoną linję rozwoju dziecka, jak pospolita jest sztubacka chęć ukrycia swej niewiedzy.

Jak odróżnić, kiedy niemowlę zamiast: am an i ama, powiedziało po raz pierwszy: mama, zamiast: abba — baba. Jak określić, kiedy wyraz: mama, związany jest już ściśle w jego umyśle z obrazem matki i żadnym innym?

Niemowlę podskakuje na kolanach, stoi podtrzymywane lub samo się opierając o krawędź łóżka, stoi chwilę bez pomocy, zrobiło parę kroków po podłodze i wiele kroków w powietrzu, suwa się, pełza, czołga, suwa przed sobą krzesło, nie tracąc równowagi, ćwierć, pół i trzy ćwierci chodzenia, zanim chodzi wreszcie. I tu, wczoraj, tydzień cały chodziło, i znów nie umie. Cokolwiek znużone, straciło natchnienie. Przewróciło się i przelękło, boi się, pauza dwutygodniowa.

Główka, bezwładnie opadająca na ramię matki, to nie dowód ciężkiej niemocy, a każdego niedomagania.

Dziecko w każdym nowym ruchu podobne jest do pianisty, któremu potrzebne dobre samopoczucie, zupełna równowaga, by z powodzeniem trudną kompozycję odegrać; nawet wyjątki od tego prawidła podobne są do siebie. Niekiedy dziecko „już było

słabe, ale się nie dawało i jeszcze więcej może chodziło, bawiło się, mówiło"; tu następuje samooskarżenie: „więc myślałam, że mi się tylko zdaje, że słabe, i wyszłam z niem na spacer"; usprawiedliwienie: „taka była ładna pogoda", i pytanie: „czy to mu mogło zaszkodzić?"

36. Kiedy dziecko powinno już chodzić i mówić? Wtedy, kiedy chodzi i mówi. Kiedy powinny się wyrzynać ząbki? Akurat wtedy, kiedy się wyrzynają. I ciemiączko wtedy powinno zarosnąć, kiedy właśnie zarasta. I niemowlę tyle godzin spać powinno, ile mu potrzeba, aby było wyspane.

Ależ wiemy, kiedy się to naogół odbywa. W każdej popularnej broszurce przepisane są z podręczników te drobne prawdy dla ogółu dzieci, a kłamstwa, dla twego jednego.

Bo są niemowlęta, które wymagają więcej i mniej snu, są wczesne, zgniłe już w okresie wyrzynania się zęby i późne, zdrowe zęby zdrowych dzieci, ciemię zarasta w dziewiątym i czternastym miesiącu życia u zdrowych dzieci, głuptasy wcześnie zaczynają paplać, mądre niekiedy długo nie mówią.

Numery dorożek, rzędy krzeseł w teatrze, termin płacenia komornego, wszystko to, co dla porządku wymyślili ludzie, może być przestrzegane; ale kto umysłem, wychowany na policyjnych przepisach, zechce sięgnąć po żywą księgę natury, temu się na łeb zwali cały olbrzymi ciężar niepokojów, rozczarowań i niespodzianek.

Poczytuję sobie za zasługę, że na powyższe pytania odpowiedziałem nie szeregiem liczb, które nazwałem drobnemi prawdami. Boć nie to ważne, czy się naprzód dolne czy górne, siekacze czy kły wyrzynają, to może dostrzec każdy, kto ma kalendarz i oczy, ale czem jest żywy ustrój i czego mu potrzeba, to jest wielka, ale dopiero w toku badań prawda.

Nawet uczciwi lekarze mieć muszą dwie miary postępowania: u rozumnych rodziców są przyrodnikami, mają wątpliwości, przypuszczenia, trudne zagadnienia i ciekawe pytania; u nierozumnych są oschłymi guwernerami: stąd dotąd, i znak paznokciem na elementarzu.

Co dwie godziny łyżeczka.

— Jajeczko, pół szklanki mleka i dwa biszkopciki.

37. Baczność. Albo poryzumiemy się teraz, albo rozejdziemy na zawsze. Każda myśl, która pragnie się wymknąć i ukryć, każde wałęsające się samopas uczucie, winny być przywołane do porządku i ustawione w karnym szeregu przez wysiłek woli.

Wzywam o magna charta libertatis, o prawa dziecka. Może jest ich więcej, ja odszukałem trzy zasadnicze:

1. Prawo dziecka do śmierci.
2. Prawo dziecka do dnia dzisiejszego.
3. Prawo dziecka, by było tem, czem jest.

Trzeba je poznać, by przy udzieleniu tych praw popełnić możliwie najmniej pomyłek. Pomyłki być muszą. Nie trwóżmy się ich: korrygować je będzie samo ze zdumiewającą czujnością, byleśmy nie osłabili cennej zdolności, potężnej siły obronnej.

Daliśmy zbyt wiele jedzenia lub niewłaściwe, zawiele mleka, nieświeże jajko,—zwymiotowało. Daliśmy niestrawną wiadomość—nie zrozumiało, bezwartościową radę, nie strawiło, nie posłuchało. To nie czczy frazes, gdy mówię: szczęście dla ludzkości, że nie możemy zmusić dzieci, by ulegały wpływom wychowawczym i dydaktycznym zamachom na ich zdrowy rozum i zdrową ludzką wolę.

38. Gorąca, rozumna, zrównoważona miłość matki do dziecka musi dać mu prawo do przedwczesnej śmierci, do zakończenia cyklu życia nie w sześćdziesięciu obrotach ziemi dokoła słońca, a w jednej czy trzech tylko wiosnach. Okrutne żądanie dla tych, którzy nie chcą ponosić trudów i kosztów połogu więcej, niż raz, dwa razy.

— Bóg dał, Bóg wziął, mówi lud—przyrodnik, który wie, że nie każde ziarno daje kłos, nie każde pisklę rodzi się zdolne do życia, nie każda krzewina wybuja w drzewo.

Kołace się zdanie, że im większa śmiertelność wśród dzieci proletarjatu, tem silniejsze pokolenie pozostaje przy życiu

i wzrasta. Nie: złe warunki, które zabijają słabe, osłabiają silne i zdrowe. Natomiast prawdą mi się zdaje, że im bardziej przeraża matkę sfer zamożnych myśl o możliwej śmierci jej dziecka, tem mniej znajdzie ono warunków, by stać się bodaj tylko pomyślnie rozwiniętym fizycznie i jako tako samodzielnym duchowo człowiekiem. Ilekroć w olejno malowanym na biało pokoju, wśród biało lakierowanych sprzętów, w białej sukience z białemi zabawkami widzę białe dziecko, doznaję przykrego uczucia: w tym niedziecinnym pokoju, a sali chirurgicznej, musi się wychować bezkrwista dusza w anemicznem ciele.

„W tym białym salonie z elektryczną gruszką w każdym kącie, można dostać epilepsji"—mówi Klaudyna. Może ściślejsze badania dowiodą, że przekarmianie nerwów, tkanek światłem jest równie szkodliwe, jak brak światła w mrocznej suterynie.

Mamy dwa wyrazy: swoboda i wolność. Swoboda, zda mi się, oznacza posiadanie: rozporządzam swoją osobą. W wolności mamy pierwiastek woli, więc czynu, zrodzonego z dążenia. Nasz pokój dziecinny z symetrycznie ustawionemi meblami, nasze wylizane ogrody miejskie, nie są terenem, gdzie może się przejawiać swoboda, ani warsztatem, gdzie znalazłaby narzędzia czynna wola dziecka.

Pokój małego dziecka wyłonił się z kliniki akuszeryjnej, a tej dyktowała przepisy bakterjologja. Baczmy, by strzegąc od bakterji dyfterytu, nie przenieść dziecka w atmosferę przesyconą stęchlizną nudy i bezwoli. Niema dziś zaduchu suszonych pieluch, ale jest duch jodoformu.

39. Ku-ku, biedne dzidzi, gdzie masz boli.

Dziecko z trudem odszukuje nikłe ślady onegdajszych zadrapań, wskazuje na miejsce, gdzie byłby siniak, gdyby się mocniej było uderzyło, dochodzi do mistrzowstwa w odnajdywaniu krostek, plamek i znaczków.

Jeśli każdemu „boli" towarzyszą ton, gest i mimika bezcilnej pokory, beznadziejnej rezygnacji, to „febe, brzydkie" łączą się z przejawami obrzydzenia i nienawiści. Trzeba widzieć, jak niemowlę trzyma ręce, zawalane czekoladką, cały jego wstręt

i bezradność, zanim mama wytrze batystową chustką, — by zadać pytanie:

— Czy nie lepiej było, gdy dzieciak uderzywszy łbem o krzesło, wymierzał krzesłu policzek; a przy myciu, z pełnemi mydła oczami, pluł i kopał niańkę?...

Drzwi — przyciśnie palec, okno — wychyli się i wypadnie, pestka—udławi się, krzesło, przewróci na siebie, nóż—skaleczy, patyk, oko wybije, podniosło z ziemi pudełko, zarazi się, zapałka, pożar, spali się.

— Złamiesz rękę, przejadą cię, pies ukąsi. Nie jedz śliwek, nie pij wody, nie chodź boso, nie biegaj po słońcu, zapnij palto, zawiąż szalik. Widzisz: nie słuchałeś. Patrz: kulawy, patrz: ślepy. „Ratunku“ krew, kto ci dał nożyczki?

Uderzenie nie jest sińcem, a obawą zapalenia mózgu, wymioty nie dyspepsją a obawą szkarlatyny. Wszędzie pełno pułapek i niebezpieczeństw, wszystko groźne i złowieszcze.

I jeśli dziecko uwierzy, nie zje potajemnie funta niedojrzałych śliwek, i zmyliwszy czujność gdzieś w kącie z biciem serca nie zapali zapałki, jeśli posłusznie, biernie, ufnie podda się żądaniu unikania wszelkich doświadczeń, zrzeczenia prób, odrzucenia wysiłków każdego odruchu woli, co pocznie, gdy w sobie, we wnętrzu swej duchowej istoty odczuje coś, co rani, parzy, kąsa?

Czy macie plan, jak wznosić dziecko od niemowlęctwa poprzez dzieciństwo w okres dojrzewania, gdy jak piorun spadnie na nią niespodzianka krwi, a na niego erekcji i nocnego zmazania?

Tak, jeszcze pierś ssie, a ja już zapytuję, jak ono rodzić będzie. Bo to zagadnienie, nad którem nie zawiele myśleć dwa dziesiątki lat.

40. W obawie, by śmierć nie wydarła dziecka, wydzieramy dziecko życiu; nie chcąc, by umarło, nie pozwalamy mu żyć. Wychowani sami w deprawującem bezwładnem oczekiwaniu tego, co będzie, ciągle śpieszymy się w czarów pełną przyszłość. Leniwi nie chcemy szukać piękna w dniu dzisiejszym, aby przy-

gotować się na dostojne przyjęcie jutrzejszego poranku: jutro samo ma przynieść natchnienie. Czem jest owo: „gdyby już chodziło, mówiło“—czem, jeśli nie histerją oczekiwania?

Będzie chodziło, będzie obijało boki o twarde kanty dębowych krzeseł. Będzie mówiło, będzie mełło językiem sieczkę codziennej szarzyzny. Czem to dziś dziecka gorsze, bezcenniejsze od jutra? Jeśli o trud chodzi, ono będzie trudniejsze.

Gdy wreszcie jest już jutro, czekamy na nowe. Bo zasadniczy pogląd: dziecko nie jest, a będzie, nie wie, a będzie wiedziało, nie może, a dopiero będzie mogło, zmusza do ciągłego oczekiwania.

Połowa ludzkości nie istnieje; jej życie — to żart, dążenia naiwne, uczucia przelotne, poglądy śmieszne. Dzieci różnią się od dorosłych, w ich życiu czegoś brak, a czegoś jest więcej, niż w naszem, ale to odmienne od naszego życie jest rzeczywistością, nie przywidzeniem. Co uczyniliśmy, by je poznać i stworzyć warunki, w których mogłoby istnieć i dojrzewać?

Obawa o życie dziecka zazębia obawę kalectwa, obawa kalectwa zahacza o konieczną dla zdrowia czystość, tu pas zakazów przerzucony na nowe koło: czystość i bezpieczeństwo sukni, pończochy, krawata, rękawiczki, trzewika; już nie dziura na czole, a na kolanie spodni. Nie zdrowie i dobro dziecka, a nasza ambicja i kieszeń. Nowy pas zakazów i nakazów porusza koło własnej naszej wygody.

— Nie biegaj, bo wpadniesz pod konie. Nie biegaj, bo się spocisz. Nie biegaj, bo się zabłocisz. Nie biegaj, bo mnie głowa boli.

(A przecież biegać zasadniczo pozwalamy dzieciom: to jedyny czyn, którym pozwalamy im żyć).

I cała ta potworna maszyna pracuje długie lata, by kruszyć wolę, miąć energję, spalać siłę dziecka na swąd.

Dla jutra lekceważy się to, co je dziś cieszy, smuci, dziwi, gniewa, zajmuje. Dla jutra, którego ani rozumie, ani ma potrzebę rozumieć, kradnie się lata życia, wiele lat.

— Dzieci i ryby nie mają głosu.

— Masz czas. Poczekaj, aż urośniesz.

— Oho, masz długie spodnie, — ho! ho! masz już zegarek. Pokaż: wąsy ci rosną.

I dziecko myśli:

— Jestem niczem. Czemś są dopiero dorośli. Już jestem trochę starsze nic. Ile to jeszcze lat mam czekać? Ale niech tylko dorosnę...

Czeka i leniwie bytuje, czeka i dusi się, czeka i czai się, czeka i łyka ślinkę. Piękne dziecięctwo, nie, tylko nudne; a jeśli są w niem piękne chwile, to wywalczone, częściej wykradzione.

41. Więc na wszystko pozwalać? Przenigdy: z nudzącego się niewolnika zrobimy znudzonego tyrana. Zabraniając, hartujemy bądź co bądź wolę, bodaj w kierunku hamowania się i zrzekania tylko, rozwijamy wynalazczość w działaniu na ciasnym terenie, umiejętność wyślizgiwania się z pod kontroli, budzimy krytycyzm. I to coś warte, jako jednostronne przygotowanie do życia. Pozwalając „na wszystko“ baczmy, by dogadzając zachciankom, tem usilniej nie dławić chceń. Tam osłabiamy wolę, tu ją zatruwamy.

To nie: rób co chcesz, a: ja zrobię, ja kupię, ja ci dam wszystko co chcesz, ale żądaj tylko tego, co ci ja dać, kupić, zrobić mogę. Płacę ci, byś samo nic nie robiło, płacę, byś było posłuszne.

— Jak zjesz kotlecik, mama ci kupi książeczkę. Nie chodź na spacer, za to masz czekoladkę.

Dziecięce: „daj“, nawet tylko wyciągnięta bezsłownie ręka, musi się spotkać z naszem: nie, a od tych pierwszych: nie dam. nie można, nie wolno, zależny jest cały olbrzymi odłam wychowania.

Matka nie chce widzieć jeszcze zagadnienia; woli leniwie, tchórzliwie odroczyć, odłożyć na później, na potem. Nie chce wiedzieć, że z wychowania nie da się usunąć tragiczna kolizja niesłusznego, niewykonalnego, niedoświadczonego chcenia z doświadczonym zakazem, nie da się wykluczyć jeszcze tragiczniejsze starcie dwóch chceń, dwóch praw na wspólnym terenie.

Ono chce wziąć do ust płonącą świecę, ja mu mu pozwolić nie mogę, ono żąda noża, ja się obawiam, ono wyciąga ręce po wazon, którego mi szkoda, chce by rzucać do niego piłkę, ja chcę czytać książkę. Musimy ustalić granice jego i mego prawa.

Niemowlę sięga po szklankę, matka całuje tę rękę, nie pomaga, daje grzechotkę, nie pomaga, każe usunąć z oczu pokusę. Jeśli niemowlę wyrywa rękę, rzuca o ziemię grzechotkę, szuka wzrokiem ukrytego przedmiotu, gniewnie patrzy na matkę, pytam się, kto ma słuszność: matka-oszustka, czy niemowlę, które nią gardzi.

Kto gruntownie nie przemyśli zagadnienia zakazów i nakazów, gdy ich jest mało, nie ogarnie, zgubi się, gdy ich będzie wiele.

42. Jędrek wiejski. Już chodzi. Trzyma się o futrynę drzwi i ostrożnie przełazi z izby przez próg do sieni. Z sieni, po dwóch stopniach z kamieni, pełznie na czworakach. Przed chałupą spotkał kota: spojrzeli na siebie i rozeszli się. Potknął się o grudkę, przystanął, patrzy. Znalazł patyk, siada, grzebie w piasku. Leży łupina kartofla, bierze do ust, piasek w ustach, skrzywił się, pluje, rzuca. Znów na nogach, biegnie naprzeciw psa; pies brutal przewrócił go. Skrzywił się do płaczu, nie; coś sobie przypomniał, ciągnie miotłę. Matka idzie po wodę; chwycił za kieckę i już pewniej biegnie. Grupa starszych dzieci, mają wózek, patrzy: odpędzili go, stanął na stronie, patrzy. Dwa koguty się biją, patrzy. Posadzili go na wózek, wiozą, wywrócili. Matka woła. To pierwsze pół z szesnastu godzin dnia.

Nikt mu nie mówi, że jest dzieckiem, sam czuje, co ponad siły. Nikt mu nie mówi, że kot drapie, że ze schodków nie umie schodzić. Nikt nie zakreśla stosunku do starszych dzieci. „W miarę, jak Jędrek podrastał, wydłużały się coraz dalej od chałupy drogi jego zagonów. (Witkiewicz).

Myli się, błądzi często; więc guz, więc duży guz, więc blizna.

Ależ nie: nie chcę nadmiaru opieki zmienić na jej brak.

Wskazuję tylko, że roczniak wiejski już żyje, gdy u nas dojrzały młodzieniec dopiero żyć będzie. Na miły Bóg—kiedy?

43. Bronek chce drzwi otworzyć. Sunie krzesło. Przystaje i odpoczywa, ale nie prosi o pomoc. Krzesło ciężkie, zmęczył się. Teraz ciągnie naprzemian za jedną, to za drugą nogę. Robota wolniej idzie, ale lżej. Już krzesło blisko drzwi, zdaje mu się, że dosięgnie, wdrapuje się, stoi. Trzymam go lekko za suknię. Zachwiał się, przestraszył, schodzi. Przysuwa do samych drzwi, ale z boku od klamki. Druga nieudana próba. Ani śladu zniecierpliwienia. Pracuje znów, jeno odpoczynki nieco dłuższe. Po raz trzeci wspina się; noga w górę, chwyt ręką i oparcie zgiętym kolanem, zwisa, chwyta równowagę, nowy wysiłek, ręka zahacza o brzeg, leży na brzuchu; pauza, rzut ciałem naprzód, klęka, wyplątuje nogi z sukni, stoi. Jak biedne są te liliputy w kraju olbrzymów. Głowa wiecznie w górę, aby coś zobaczyć. Okno gdzieś wysoko, jak w więzieniu. Aby usiąść na krześle, trzeba być akrobatą. Wysiłek wszystkich mięśni i całej inteligencji, by sięgnąć wreszcie do klamki.

Drzwi otwarte,—westchnął głęboko. To głębokie westchnienie ulgi widzimy już u niemowląt po każdym wysiłku woli, długotrwałem napięciu uwagi. Gdy kończysz ciekawą bajkę, dziecko tak samo wzdycha. Chcę, by to rozumiano.

Takie głębokie pojedyncze westchnienie dowodzi, że uprzednio oddychanie było zwolnione, powierzchowne, niedostateczne, dziecko z zapartym tchem patrzy, czeka, śledzi, usiłuje, aż do wyczerpania tlenu, aż do zatrucia tkanek. Ustrój natychmiast alarmuje centr oddechowy; następuje głębokie westchnienie, które przywraca równowagę.

Jeśli umiecie diagnozować radość dziecka i jej natężenie, musicie dostrzec, że najwyższą jest radość pokonanej trudności, osiągniętego celu, odkrytej tajemnicy, radość tryumfu i szczęście samodzielności, opanowania. władania.

— Gdzie mama? niema mamy. Szukaj. Znalazło. Dlaczego się tak śmieje?

— Uciekaj, mama będzie cię gonić! Oj, nie może złapać. Ach, szczęśliwe.

Dlaczego chce czołgać się, chodzić, wyrywa z rąk? Taka pospolita scena: ono drepce, oddala się od niańki, widzi, że niańka biegnie za niem, więc ucieka, traci poczucie niebezpieczeństwa, pędzi naoślep w ekstazie swobody,—i albo wyciągnie się jak długi na ziemi, albo pochwycone wydziera się, kopie nogami, wrzeszczy.

Powiecie: nadmiar energji; to strona fizjologiczna, ja poszukuję psychofizjologicznej.

Zapytuję: dlaczego chce samo trzymać szklankę, gdy pije, i żeby matka zupełnie jej nie dotykała ręką, dlaczego jeść już nie chce, ale je, bo mu pozwolono czerpać samemu łyżką. Dlaczego radośnie gasi zapałkę, wlecze pantofle ojca, niesie podnóżek dla babci? Naśladownictwo? Nie, coś znacznie większego i cenniejszego.

— Ja sam — krzyczy tysiąc razy gestem, wzrokiem, śmiechem, błaganiem, gniewem, łzami.

44. A czy ty umiesz sam drzwi otwierać? — zapytałem pacjenta, którego matka uprzedziła mnie, że boi się lekarzy.

— Nawet w klozecie—odpowiedział śpiesznie.

Roześmiałem się. Chłopiec się zawstydził, ale więcej zawstydziłem się ja. Wydarłem wyznanie skrytego tryumfu i wyśmiałem.

Nietrudno się domyślić, że był czas, kiedy już wszystkie drzwi stały przed nim otworem, a klozetowe opierały się jego usiłowaniom, były celem jego ambicji; podobny był w tem do młodego chirurga, który marzy o wykonaniu trudnej operacji.

Nie zwierzał się nikomu, bo wie, że w tem, co stanowi jego świat wewnętrzny, nie znajduje oddźwięku wśród otoczenia.

Może go nieraz zburczano, lub odepchnięto podejrzliwem pytaniem.

— Czego ty się tam kręcisz, co ty tam ciągle majstrujesz? Nie ruszaj, bo zepsujesz. Idź w tej chwili do pokoju.

Więc ukradkiem, w tajemnicy pracował, wreszcie otworzył.

Czy zwróciliście uwagę, jak często, gdy rozlega się dzwonek, słyszycie prośbę:

— Ja otworzę!

Po pierwsze, zatrzask drzwi wejściowych jest trudny, po drugie: poczucie, że tam za drzwiami stoi dorosły, który sam rady sobie dać nie może i czeka, aż on—mały—mu pomoże.

Takie maleńkie tryumfy święci dziecko, które już śni o dalekich podróżach, które w marzeniu jest Robinsonem na bezludnej wyspie, a w rzeczywistości szczęśliwe, gdy mu pozwolą, wyglądać przez okno.

— Czy umiesz sam wejść na krzesło?

Czy umiesz skakać na jednej nodze?

Czy możesz lewą ręką łapać piłkę?

I dziecko zapomina, że mnie nie zna, że będę gardło oglądał, że mu zapiszę lekarstwo. Poruszam to, co góruje nad uczuciami zażenowania, strachu, niechęci, więc odpowiada radośnie:

— Umiem.

Czy widzieliście, jak niemowlę długo, cierpliwie, z znieruchomiałą twarzą, uchylonemi ustami i skupieniem w oczach, wkłada i zdejmuje pończochę albo pantofel? To ani zabawa, ani naśladownictwo, ani bezmyślne zbijanie bąków, a praca.

Jakie pożywienie dacie jego woli, gdy będzie miało lat trzy, pięć, dziesięć?

45. Ja!

Gdy noworodek drapie się własnym paznokciem; gdy niemowlę siedząc ciągnie do ust nogę, przewraca się nawznak i gniewne szuka winowajcy wokoło; gdy ciągnie się za włosy, krzywi z bólu, ale próbę ponawia, gdy uderza się łyżką po głowie, patrzy w górę, co tam jest takiego, czego nie widzi a czuje, ono nie zna siebie.

Gdy bada ruchy rąk; gdy ssąc pięść, ogląda ją uważnie; gdy przy piersi nagle przestaje ssać i porównywa swą nogę z piersią matki; gdy drepcąc, zatrzymuje się i patrzy w dół

i szuka tego czegoś, co je unosi zupełnie inaczej, niż ręce matczyne; gdy porównywa swą prawą nogę w pończosze z lewą nogą; ono pragnie poznać i wiedzieć.

Gdy w kąpieli bada wodę, odnajdując w wielu nieświadomych kroplach, siebie, kroplę świadomą, wówczas przeczuwa wielką prawdę, którą zawiera krótki wyraz: ja.

Tylko obraz futurysty może dać nam to, czem jest dziecko dla siebie: palce, piąstka, mniej wyraźnie nogi, może brzuch, może nawet i głowa, ale tylko w słabych konturach, jak mapa podbiegunowych okolic.

Jeszcze nieskończona praca, jeszcze odwraca się i przegina, aby zobaczyć, co się tam z tyłu kryje, przed lustrem studjuje się i na fotografji przygląda, odnajduje to zagłębienie pępka, to wyniosłość własnych brodawek, a już nowa praca: odszukać siebie wśród otoczenia. Mama, ojciec, pan, pani, jedni często się ukazują, drudzy rzadko, pełno tajemniczych postaci, których przeznaczenie jest ciemne, a czyny wątpliwe.

Zaledwie ustaliło, że mama służy do spełniania lub staje wpoprzek jego żądaniom, tata przynosi pieniądze, a ciocie, czekoladki, — gdy w własnych myślach, gdzieś w sobie, odkrywa nowy, jeszcze dziwniejszy świat niewidzialny.

Dalej, trzeba odszukać siebie w społeczeństwie, siebie w ludzkości, siebie we wszechświecie.

Ot, włosy siwe, praca nieskończona.

46. Moje.

Gdzie kryje się ów pierwotniak myśl-uczucie? Może zrasta się z pojęciem ja? Może wówczas, gdy niemowlę protestuje przeciw krępowaniu rąk, walczy o nie, jako o „moje“, a nie o „ja“. Jeżeli odbierasz łyżkę, którą uderza po stole, pozbawiasz nie własności, a właściwości, którą ręka wyładowuje energję, wypowiada się w odmienny sposób, przez dźwięk.

Ręka ta, niezupełnie jego ręka, raczej posłuszny duch Alladyna, trzyma biszkopt, zyskując nową cenną własność, i dziecko tej broni.

W jakim stopniu pojęcie własności wiąże się w niem z po-

jęciem o wzmożonej sile? Łuk dla dzikiego był nietylko własnością, ale ulepszoną ręką, która razi na odległość.

Dziecko nie chce oddać dartej gazety, bo bada, bo ćwiczy się, bo to materjał, jak ręka jest narzędziem, która nie wydaje dźwięków, nie ma smaku, ale łącznie z dzwonkiem przemawia, łącznie z bułką daje do ssania dodatkowe miłe wrażenie.

Dopiero później przychodzi naśladownictwo, emulacja, chęć wyniesienia się. Bo własność wzbudza szacunek, podnosi wartość, daje władzę. Bez piłki stałby w cieniu niedostrzeżony, mając piłkę, może niezależnie od zasług, zająć wybitne miejsce w zabawie; mając szabelkę, zostaje oficerem, posiadając lejce, jest woźnicą; a szeregowcem, koniem jest ten, który nie posiada.

— Daj mi, pozwól, ustąp,—prośba, która łechce ambicję.

— Dam, lub nie dam,—zależnie od kaprysu,—bo to—moje.

47. Chcę mieć, mam, chcę wiedzieć, wiem, chcę móc, mogę; trzy rozgałęzienia wspólnego pnia woli, której korzeniami dwa uczucia: zadowolenia i niezadowolenia.

Niemowlę sili się, by poznać siebie, otaczający je świat żywy i martwy, bo z tem związana jest jego pomyślność. Zapytując: „co to?“—wyrazem czy wzrokiem, ono nie nazwy żąda, a oceny.

— Co to?

— Fe rzuć, to be, tego nie można brać do rąk.

— Co to?

— To kwiatek,—i uśmiech, i łagodny wyraz tworzy i przyzwolenie.

Gdy dziecko zapytuje o przedmiot obojętny i otrzymuje nazwę bez uczuciowej kwalifikacji mimicznej, bywa że patrząc na matkę źdźiwione, jakby rozczarowane, powtarza nazwę, przeciągając wyraz, w niepewności, co z odpowiedzią ma czynić. Ono musi nabrać doświadczenia, by zrozumieć, że obok pożądanego i niepożądanego istnieje także świat obojętny.

— Co to?

— Wata.

— Waaata? — i wpatruje się w twarz matki, czeka na wskazówkę, co ma sądzić o tem.

Gdybym odbywał podróż w towarzystwie tubylca po lesie podzwrotnikowym, zauważywszy roślinę z nieznanym owocem, zapytałbym podobnie, co to,—a on odgadując pytanie, odpowiedziałby okrzykiem, skrzywieniem czy uśmiechem, że to trucizna, smaczne pożywienie lub bezwartościowy twór, którego niewarto brać do podróżnej torby.

Dziecięce: co to? oznacza: „jakie to? do czego służy? co mogę mieć z tego za korzyść?

48. Pospolity a ciekawy obrazek.

Spotyka się dwoje dzieci, jeszcze chwiejnych na drepcących nogach; jedno ma piłkę albo piernik; a drugie chce mu odebrać.

Matce przykro, gdy jej dziecko coś drugiemu wydziera, nie chce dać, podzielić się, „pożyczyć". To kompromituje, że jej dziecko wybiega po za przyjętą normę ustalony konwenans.

W scenie, o której mowa, możemy mieć przebieg trojaki:

Jedno dziecko wydziera, drugie patrzy ździwione, potem przenosi wzrok na matkę, oczekując oceny niezrozumiałej sytuacji.

Albo: jedno usiłuje wydrzeć, ale trafiła kosa na kamień,— napadnięte chowa poza siebie przedmiot pożądań, odpycha napastnika, przewraca go. Matki biegną na pomoc.

Albo: patrzą, lękliwie się zbliżają, jedno niepewnym ruchem sięga, drugie bezbarwnie się broni. Dopiero po długiem przygotowaniu wytwarza się konflikt.

Odgrywa tu rolę wiek obojga, zasób życiowego doświadczenia. Dziecko, mając starsze rodzeństwo, wielokrotnie już występowało w obronie swych praw lub własności, samo atakując niekiedy. Ale po odrzuceniu tego, co przypadkowe, dostrzegamy dwie odmienne organizacje, dwa głęboko ludzkie typy: czynny i bierny, aktywny i passywny.

— On dobry; wszystko odda.

Albo:

— Głuptas: wszystko sobie zabrać pozwoli.

To nie dobroć i nie głupota.

49. Łagodność, słabszy pęd życiowy, niższy wzlot woli, lękliwość czynu. Unikanie nagłych ruchów, żywych doświadczeń, trudnych przedsięwzięć.

Mniej czyniąc, mniej zdobywa prawd faktycznych, więc zmuszone bardziej ufać, dłużej ulegać.

Czy intellekt mniej cenny? Nie, tylko inny. Bierne, mniej ma sińców i przykrych pomyłek, więc mu brak ich bolesnego doświadczenia; ale zdobyte może lepiej pamięta. Czynne, więcej ma guzów i zawodów, może szybciej je zapomina. Pierwsze mniej i wolniej, ale gruntowniej może przeżywa.

Bierne są wygodniejsze. Zostawione samo, nie wypadnie z wózka, nie alarmuje domu z byle powodu, zapłakane łatwo się utuli, nie żąda zbyt natarczywie, mniej łamie, drze, niszczy.

— Daj, nie protestuje. Włóż, weź, zdejm, zjedz,—ulega.

Dwie sceny:

Niegłodne, ale na spodku zostaje łyżka kaszy, więc musi zjeść, bo ilość ustalona przez lekarza. Niechętnie otwiera usta, długo i leniwie żuje, powoli i z wysiłkiem łyka. Drugie, niegłodne, więc zaciska zęby, energicznie rzuca głową, odpycha, wypluwa, broni się.

A wychowanie?

Sądzić o dziecku z dwóch biegunowo różnych typów dzieci, to na zasadzie właściwości wrzątku i lodu mówić o wodzie. Skala ma sto stopni, gdzie umieścimy swe dziecko? Ale matka może wiedzieć, co wrodzone, co wypracowane z mozołem, — i winna pamiętać, że wszystko, co osiągnięte tresurą, naciskiem, przemocą, jest nietrwałe, niepewne, zawodne. A gdy uległe, „dobre“ dziecko staje się nagle oporne i krnąbrne, nie należy się gniewać, że dziecko jest tem, czem jest.

50. Wieśniak, wpatrzony w niebo i ziemię, płód i twór ziemi, zna zakres władzy człowieka. Koń bystry, leniwy, boja-

źliwy, narowny; kura nośna, krowa mleczna, gleba żyzna i jałowa, lato dżdżyste, zima bez śniegu,—wszędzie spotyka coś, co można trochę zmienić lub sporo poprawić doglądem, mozołem, batem, ale bywa, że niczem nie podoła.

Mieszczuch ma zbyt wielkie pojęcie o potędze człowieka. Kartofle nie obrodziły, ale są, trzeba tylko drożej zapłacić. Zima, kładzie się futro; deszcz, kalosze; susza, polewają ulice, aby nie było kurzu. Wszystko można kupić, wszystkiemu zaradzić. Dziecko mizerne, lekarz, źle się uczy, guwerner. A książka, mówiąc co czynić należy, daje złudzenie, że wszystko da się osiągnąć.

Jakże uwierzyć, że dziecko musi być tem, czem jest, że, jak mówią francuzi, ekcematyka można wybielić, ale nie można wyleczyć.

Pragnę odżywić dziecko chude, czynię to zwolna, ostrożnie, i udało się: zdobyłem kilogram wagi. Ale wystarcza drobne niedomaganie, katar, gruszka dana nie w porę, i pacjent traci wypracowane mierne dwa funty.

Kolonje letnie dla ubogich dzieci. Słońce, las, rzeka, chłoną wesele, ogładę, dobroć. Wczoraj mały dzikus, dziś miły uczestnik zabawy. Zahukany, bojaźliwy i tępy, po tygodniu śmiały, żywy, pełen inicjatywy i śpiewu. Tu zmiana z godziny na godzinę, tam z tygodnia na tydzień, owdzie żadnej zmiany. To nie cud i brak cudu, tylko jest to, co było i czekało, a niema, czego nie było.

Uczę dziecko niedorozwinięte: dwa palce, dwa guziki, dwie zapałki, dwie monety,—dwa. Już liczy do pięciu. Ale zmień porządek pytania, intonację, gest—znów nie wie, nie umie.

Dziecko z wadą serca. Łagodne, powolne w ruchach, mowie, uśmiechu. Tchu mu brak, każde żywsze poruszenie, to kaszel, cierpienie, ból. Ono musi być takie.

Kobietę uszlachetnia macierzyństwo, gdy ofiarowuje, zrzeka się, rezygnuje; demoralizuje, gdy osłaniając się rzekomem dobrem dziecka, oddaje je na żer swych ambicyj, upodobań, nałogów.

Moje dziecko, to moja własność, mój niewolnik, mój psiak

pokojowy. Łechcę je między uszami, głaszczę po grzbiecie, przybrane we wstążeczki prowadzę na spacer, tresują, by było zmyślne i układne; a gdy mi dokuczy:

— Idź się bawić. Idź się uczyć. Już czas spać!

Podobno na tem polega leczenie histerji:

— Twierdzisz pan, że jesteś kogutem. Zostań pan kogutem, tylko niech pan nie pieje.

— Jesteś porywczy — mówię chłopcu. Dobrze, — bij, byle niezbyt mocno, złość się, ale raz na dzień tylko.

Jeśli chcecie, w tem jednem zdaniu streściłem całą metodę wychowawczą, którą się posługuje.

51. Widzisz tego malca, jak biega, krzyczy, tarza się w piasku? On będzie kiedyś znakomitym chemikiem, poczyni odkrycia, które dadzą mu poważanie, wybitne stanowisko, majątek. Tak, pomiędzy pohulanką a balem—nagle zamyśli się, zamknie utrapieniec w pracowni, i wyjdzie uczonym. Ktoby się mógł spodziewać?

Widzisz tego drugiego, jak sennym wzrokiem przygląda się obojętnie zabawie rówieśników? Ziewnął, wstał może się zbliży do rozbawionej gromadki? Nie, znów usiadł. I on będzie znakomitym chemikiem, poczyni odkrycia. Dziw: kto mógł przypuszczać?

Nie, mały roztrzepaniec ani ospalec, nie będą uczeni. Jeden będzie nauczycielem gimnastyki, drugi urzędnikiem pocztowym.

To moda przelotna, błąd, nierozum, że wszystko, co nie wybitne, zdaje się nam chybionem, bezwartościowem. Chorujemy na nieśmiertelność. Kto nie dorósł do pomnika na rynku, pragnie mieć bodaj uliczkę swego imienia, zapis wieczysty. Jeśli nie cztery szpalty po śmierci, to bodaj wzmiankę w tekście: „brał czynny udział, pozostawił żal w szerokich kołach".

Ulice, szpitale, przytułki, nosiły imiona świętych patronów, i to miało sens, potem — panujących, to było znamieniem czasu, dziś, uczonych i artystów, i to nie ma sensu. Już wzno-

szą się pomniki idei, bezimiennych bohaterów, tych, którzy pomnika nie mają.

Dziecko nie jest biletem loteryjnym, na który ma paść wygrana portretu w sali posiedzeń magistratu czy biustu w przedsionku teatru. W każdem jest iskra własna, która może rozpalać ogniska szczęścia i prawdy, może w dziesiątem pokoleniu wybuchnie pożarem genjuszu i spali własny ród, dając ludzkości światło nowego słońca.

Dziecko nie jest gruntem zoranym przez dziedziczność pod zasiew życia; my tylko współdziałać możemy wzrostowi tego, co silnemi pędami wzrastać poczyna jeszcze przed pierwszym jego oddechem.

Rozgłos potrzebny jest nowym gatunkom tytoniu i świeżym markom wina, ale nie ludziom.

52. Więc fatum dziedziczności, predestynacja bezwzględna, bankructwo medycyny, pedagogiki? Piorunami miota frazes.

Nazwałem dziecko pergaminem szczelnie zapisanym, ziemią już obsianą, zarzućmy lepiej porównania, które w błęd wprowadzają.

Są przypadki, wobec których jesteśmy bezsilni w dzisiejszym stanie wiedzy. Jest ich dziś mniej, niż wczoraj, ale są.

Są przypadki, wobec których jesteśmy bezradni w dzisiejszych warunkach życia. I tych jest nieco mniej.

Oto dziecko, któremu najlepsza wola i najwyższy wysiłek przyniosą mało. Oto inne, któremu przyniosłyby wiele, ale warunki stoją na przeszkodzie. Jednemu wieś, góry, morze przyniosą niewiele, drugiemu pomogłyby, ale ich dać nie możemy.

Gdy spotkamy dziecko, które marnieje z braku opieki, powietrza, odzieży, nie winimy rodziców. Gdy widzimy dziecko, kaleczone nadmiarem zabiegów, przekarmiane, przegrzewane, chronione przed urojonem niebezpieczeństwem, skłonni jesteśmy oskarżać matkę, zdaje nam się, że tu łatwo złemu zaradzić, byleby była chęć rozumienia. Nie, trzeba bardzo wiele męstwa, by nie jałową krytyką, ale czynem oprzeć się przepisom, obowiązującym daną klasę, warstwę. Jeśli tam matka nie może

umyć dziecka i utrzeć mu nosa, tu nie może pozwolić mu biegać w podartych trzewikach z zamorusaną twarzą. Jeśli tam ze łzami odbiera je ze szkoły, oddaje do terminu, tu z równie bolesnem uczuciem do szkoły musi posyłać.

— Zmarnuje mi się dzieciak bez szkoły, — mówi jedna, odbierając książkę.

— Zmarnuje mi się dziecko w szkole — mówi druga, kupując nowych pół puda podręczników.

53. Dla szerokiego ogółu dziedziczność jest faktem, który zasłania sobą wszystkie spotykane wyjątki, dla nauki jest zagadnieniem, będącem w toku badań. Istnieje obszerna literatura, dążąca do rozwiązania jednego tylko pytania: czy dziecko gruźlicznych rodziców rodzi się chore, czy tylko predysponowane, czy zaraża się po urodzeniu? Czy myśląc o dziedziczności, braliście pod uwagę takie proste fakty, że prócz dziedziczności chorobowej istnieje dziedziczenie zdrowia, że rodzeństwo nie jest rodzeństwem w otrzymanych plusach i minusach, zasobach i skazach, — ma i winien. Zdrowi rodzice rodzą pierwsze dziecko, drugie będzie dzieckiem syfilityków, jeśli rodzice zapadli na tę chorobę; trzecie będzie dzieckiem syfilityków-tuberkulików, jeśli rodzice zarazili się jeszcze i gruźlicą. Tych troje dzieci, to obcy ludzie: bez tary, z tarą, z podwójnem obarczeniem. Odwrotnie, chory się wyleczył, z dwojga rodzeństwa pierwsze jest dzieckiem chorego, drugie zdrowego rodzica.

Czy dziecko nerwowe jest takie, bo urodzone przez nerwowych rodziców, czy że przez nich wychowywane? Gdzie granica między nerwowością a subtelnością nerwowej struktury, progeneracją duchową?

Czy ojciec hulaka rodzi utracjusza syna, czy zaraża go swym przykładem?

— Powiedz mi kto cię rodził. Powiem ci, kim jesteś, ale niezawsze.

— Powiedz, kto cię wychowywał, a powiem ci kim jesteś, —i to nie.

Dlaczego zdrowi rodzice miewają słabe potomstwo? Dla-

czego w cnotliwej rodzinie wyrasta łotr niekiedy. Czemu pospolita rodzina daje wybitnego potomka?

Należy obok badań nad terenem dziedzicznym prowadzić równoległe badania nad terenami wychowawczemi, wówczas może niejedna zagadka znajdzie swe rozwiązanie.

Terenem wychowawczym nazywam duszę rodziny, która panuje; poszczególni jej członkowie nie mogą zajmować względem niej stanowiska dowolnego. Ta dusza kierująca zmusza, nie znosi oporu.

54. Teren dogmatyczny.

Tradycja, autorytet, obrządek, nakaz, jako prawo bezwględne, mus, jako imperatyw życiowy. Karność, ład i rzetelność. Powaga, równowaga duchowa, pogoda płynąca z hartu, poczucia trwałości, odporności, pewności siebie, słuszności zadań. Samoograniczenia, samoprzezwyciężenia, praca jako prawo, moralność, jako nałóg. Rozwaga aż do bierności, jednostronnego przeoczania praw i prawd, których nie przekazała tradycja, nie uświęcił autorytet, nie utrwalił zmechanizowany szablon czynu.

Jeśli pewność siebie nie przejdzie w samowolę, prostota w prostactwo, to płodny teren wychowawcy złamie dziecko, cudze mu duchem, albo wyciosa pięknego zaiste człowieka, który szanować będzie surowych kierowników, bo nie bawili się niem, a wiedli znojną drogą do jasno określonego celu.

Warunki niepomyślne, ucisk potrzeb fizycznych nie zmienią duchowej istoty terenu. Skrzętna praca przechodzi w mozół, spokój w rezygnację, abnegacja aż do zacięcia się w woli przetrwania, niekiedy nieśmiałość i pokora, zawsze poczucie słuszności i ufność. Apatja i energja nie jest jego słabością, a siłą, którą napróżno miota obca zła wola.

Dogmatem może być ziemia, kościół, ojczyzna, cnota i grzech; może być nauka, praca społeczna i polityczna, majątek, walka, zarówno Bóg, jak bohater, jak bożek, jak kukła. Nie w co, a jak wierzysz.

55. Teren ideowy.

Jego dzielność nie w harcie duchowego trwania, a w pędzie, parciu, rzucie. Tu się nie pracuje, a radośnie działa. Tworzy się, nie wyczekuje. Niema musu, jest ochoczość. Niema dogmatów, są zagadnienia. Niema rozwagi, jest zapał, entujazm. Jego hamulec, to obrzydzenie dla brudu, moralny estetyzm. Bywa, że nienawidzi na chwilę, nigdy nie pogardza. Jego tolerancja, to nie połowiczność własnych przekonań, ale szacunek dla myśli ludzkiej, zadość, że wolna szybuje na różnych wysokościach w różne strony, krzyżując się, zniżając i wzlatujac, że napełnia sobą przestwór. Odważny we własnym czynie, chciwie chwyta odgłosy cudzych młotów, ciekawie wyczekuje jutra nowych podziwów i zdumień, poznań, błądzeń, walk, wątpień, twierdzeń i przeczeń.

Jeśli teren dogmatyczny sprzyja wychowaniu dziecka biernego, teren idejowy nadaje się pod zasiew dzieci czynnych. Sądzę, że wiele bolesnych niespodzianek tu ma swe źródło: jednemu dają dziesięcioro przykazań, wyrytych na kamieniu, gdy ono chce je wypalić własnym ogniem we własnej piersi, drugie niewolą do poszukiwania prawd, które musi gotowe otrzymać. Nie widzieć tego można, gdy się zbliża do dziecka z „ja z ciebie zrobię człowieka“, a nie z badawczem: „czem być możesz, człowiecze“.

56. Teren pogodnego używania.

Mam, ile mi potrzeba, więc mało, jako rzemieślnik czy urzędnik, więc wiele, jako posiadacz obszernych włości. Chcę być, czem jestem, więc majstrem, zawiadowcą stacji, adwokatem, powieściopisarzem. Praca nie jest służbą, placówką, celem, a środkiem dla zdobycia wygód, pożądanych warunków.

Pogoda, beztroska, łagodne wzruszenie, życzliwość, dobroć, tyle trzeźwości, ile potrzeba, tyle samowiedzy, ile się zdobywa bez trudu.

Niema uporu w przechowywaniu i trwaniu, ani uporu w poszukiwaniu i dążeniu.

Dziecko oddycha pomyślnością wewnętrzną, leniwem przyzwyczajeniem, zachowującem przeszłość, pobłażliwością dla dzi-

siejszych prądów, wdziękiem otaczającej je prostoty. Tu może być wszystkiem: samo, z książek, rozmów, spotkań, doświadczeń życiowych, snuje tkaninę własnego światopoglądu, własną wybiera drogę.

Dodam miłość wzajemną rodziców: rzadko dziecko odczuwa jej brak, gdy niema, ale ją chłonie, gdy jest.

— Tatuś na mamę się gniewa, mama nie rozmawia z ojcem, mama płakała, a tatuś trzasnął drzwiami, to chmura, która przysłania błękit i ścina mroźną ciszą ochoczy gwar dziecinnego pokoju.

Powiedziałem we wstępie:

— Kazać komuś dać gotowe myśli, to polecić obcej kobiecie, by zrodziła własne twoje dziecko.

Może niejednemu przyszło na myśl:

— A mężczyzna. Czy nie obca kobieta rodzi jego dziecko? Nie: nie obca, a ukochana.

57. Teren pozoru i karjery.

Znów występuje upór, ale wypływa on nie z zewnętrznej potrzeby, a chłodnego wyrachowania. Niema tu miejsca na treść i pełnię, jest tylko przebiegła forma, zręczne wyzyskiwanie obcych wartości, sztuczne przybranie istotnej pustki. Hasła, na których można zarobić, konwenans, przed którym trzeba się korzyć. Nie wartość a sprytna reklama. Życie nie jako praca czy spoczynek, a węszenie i zabieganie. Nienasycona próżność, drapieżność, ferment, wyniosłość i uniżoność, zawiść, złość i złośliwość.

Tu się dzieci ani kocha ani wychowuje, tu się tylko taksuje, traci lub zarabia, kupuje i sprzedaje. Pokłon, uśmiech, uściśnienie ręki, wszystko obliczone, rzecz jasna, małżeństwo i płodność. Zarabia się pieniędzmi, awansem, orderem, stosunkami w „sferach“.

Jeśli na podobnym terenie wyrasta dodatnia wartość, bywa, że to pozór tylko, że tylko gra bardziej umiejętna, maska szczelniej dopasowana. Bywa jednak, że i na terenie rozkładu i gangreny w męce i duchowem rozdarciu, wyrasta przysłowio-

wa „róża na gnojówce". Takie przypadki wskazują, że obok uznanego prawa o wychowawczych sugestjach istnieje inne jeszcze, prawo antytezy. Widzimy je w przykładach, gdy sknera wychowuje rozrzutnika, bezbożnik bogobojnego, tchórz bohatera, czego jednostronnie li tylko „dziedzicznością" nie można tłumaczyć.

58. Prawo antytezy opiera się na sile, która się przeciwstawia sugestjom, płynących z różnych źródeł, posługującym różnemi środkami, Jest to mechanizm obronny oporu, przeciwdziałania, samoobrony, niejako instynkt samozachowawczy ustroju duchowego, czujny, funkcjonujący automatycznie.

Jeśli moralizowanie jest już dostatecznie zdyskredytowane, to sugestja przykładu, środowiska, cieszą się bezwzględnem zaufaniem w wychowaniu. Czemu więc sugestja tak często zawodzi?

Zapytuję dlaczego dziecko, usłyszawszy przekleństwo, pragnie je powtarzać naprzekór zakazom, a uległszy groźbie, zachowuje w pamięci?

Gdzie źródło tej pozornie złej woli, gdy dziecko upiera się, mogąc łatwo ustąpić?

— Włóż palto.

Nie, chce iść bez palta.

— Włóż różową sukienkę.

Właśnie ma ochotę na niebieską.

Jeśli nie nalegasz, posłucha, jeśli nalegać będziesz, prośbą czy groźbą, zatnie się i tylko pod przymusem ustąpi.

Dlaczego najczęściej w okresie dojrzewania nasze banalne tak, spotyka się z jego: nie. Czy nie jest to jednym z objawów tego głębokiego oporu przeciw pokusom, idącym z wewnątrz, a mogącym przyjść z zewnątrz?

„Smutna ironja, która każe cnocie pożądać grzechu, a zbrodni śnić niepokalane sny". Mirbeau.

Prześladowana wiara zdobywa tem gorętszy posłuch. Chęć uśpienia narodowej samowiedzy budzi ją tem skuteczniej. Być może, pomieszałem tu fakty różnych dziedzin, dość, że mnie

osobiście hypoteza o prawie antytezy tłumaczy wiele paradoksalnych reakcyj na bodźce wychowawcze, i powstrzymuje od zbyt licznych, częstych i silnych sugestyj w najbardziej nawet pożądanym kierunku.

59. Czem jest dziecko? Czem jest bodaj tylko fizycznie? Jest ustrojem rosnącym. Słusznie. Ale przyrost wagi i miary jest tylko jednem zjawiskiem obok wielu. Już nauka zna parę epizodów tego wzrostu: jest on nierównomierny, są okresy żywego i ospałego tempa. Prócz tego wiemy, że dziecko nietylko rośnie, ale zmienia proporcje.

Szeroki ogół nawet tego nie wie. Ileż razy matka wzywa lekarza, skarżąc się, że dziecko zmizerniało, schudło, ciało zrobiło się wiotkie, twarzyczka i główka zmalała. Nie wie ona, że niemowlę, wchodząc w okres pierwszego dziecięctwa, traci fałdy tłuszczu, że z rozwojem klatki piersiowej głowa skrywa się w rozszerzających się barkach, że zarówno członki, jak narządy, mają rozwój odmienny, że inaczej wzrastają mózg, serce, żołądek, czaszka, oko, kości kończyn, że gdyby tak nie było, dorosły człowiek byłby potworem o olbrzymiej głowie na krótkim opasłym kadłubie, że nie mógłby się poruszać na dwóch tłuszczowych wałkach nóg, że zmiana proporcji towarzyszy wzrostowi.

Mamy parę dziesiątków tysięcy pomiarów, parę niezupełnie zgodnych z sobą krzywych przeciętnego wzrostu, nie wiemy nic jaką wartość mają napotykane przyśpieszenia, opóźnienia i dewiacje rozwoju. Bo znając piąte przez dziesiąte anatomję wzrostu, nie znamy jego fizjologji, bo badaliśmy sumiennie chore dziecko, a od niedawna zaczęliśmy się zdala przyglądać zdrowemu. Bo od lat stu kliniką naszą jest spital, a nie zaczął być nią jeszcze zakład wychowawczy.

60. Dziecko się zmieniło. Coś z dzieckiem się stało. Niezawsze matka umie wskazać, na czem polega zmiana, natomiast ma gotową odpowiedź na pytanie, czemu ją przypisać należy.

— Dziecko się zmieniło po ząbkach, po szczepieniu ospy, po odstawieniu od piersi, potem jak wypadło z łóżka.

Chodziło już, nagle chodzić przestało; mruczało, by je wysadzić, znów się moczy; „nic“ nie je, śpi niospokojnie, mało lub zbyt wiele, stało się kapryśne, nadmiernie ruchliwe lub ospałe, — schudło.

Inny okres:

Po wstąpieniu do szkoły po powrocie ze wsi, po odrze, po zaleconych kąpielach, po przestrachu z powodu pożaru. Zmiana w śnie i łaknieniu, zmiana charakteru: dawniej posłuszne, teraz samowolne, dawniej pilne, teraz roztargnione i leniwe. Blade, pochyło się trzyma, jakieś brzydkie narowy. Może źle wychowani koledzy, może nauka, może chore?

Dwuletni pobyt w domu sierot, przyglądanie się raczej dziecku, niż studja nad niem, pozwoliły mi ustalić, że to wszystko, co znane jest, jako niezrównoważenie okresu dojrzewania, przeżywa dziecko parokrotnie w postaci mniej jaskrawej, jako małe przełomy, lata równie „krytycznie“, tylko mniej bijące w oczy, a więc niedostrzeżone jeszcze przez naukę.

Dążąc do jedności w poglądzie na dziecko, pragną je niektórzy rozpatrywać, jako ustrój znużony. Stąd większa potrzeba snu, słaba odporność przeciw chorobom, uraźliwość narządów, słaba psychiczna wytrzymałość. Pogląd słuszny, ale nie dla wszystkich etapów rozwojowych. Dziecko bywa naprzemian silne, rześkie, pogodne, to słabe, zmęczone i chmurne. Jeśli w okresie krytycznym zachoruje, skłonni jesteśmy mniemać, że choroba już w niem nurtowała, ja sądzę, że choroba rozwinęła się na terenie, osłabionym przelotnie, że bądź przyczajona czekała, kiedy będą najpomyślniejsze warunki dla napadu, bądź przypadkowo z zewnątrz zawleczona ,rozgościła się, nie znalazłszy oporu.

Jeśli w przyszłości nie będziemy dzielili cyklu życia na sztuczne: niemowlę, dziecko, młodzieniec, człowiek dojrzały i starzec, wytyczną dla jego podziału będzie nie wzrost i rozwój zewnętrzny, a te nieznane nam jeszcze głębokie przeobrażenie ustroju, jako całości, które rozwinął Charcot w wykładzie o ewolucji artretyzmu, od kołyski po grobu, po przez dwa pokolenia.

61. Pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia dziecka, najczęściej zmienia się domowego lekarza. Zyskiwałem w tym czasie pacjentów matek, rozżalonych na poprzednika, który się jakoby nieumiejętnie wywiązał z opieki nad dzieckiem, i odwrotnie, porzucały matki mnie, oskarżając, że ten czy ów niepożądany objaw wynikł z mego zaniedbania. Jedne i drugie mają o tyle słuszność, że lekarz uznawał niemowlę za zupełnie zdrowe, gdy nagle wypłynęła niespodzianie nieprzewidziana, niedostrzegalna uprzednio skaza. Dość jednak przeczekać cierpliwie okres krytyczny, a dziecko z nieznaczną tarą dziedziczną rychło dochodzi do zachwianej przelotnie równowagi, a w stanie cięższej obarczonego następuje poprawa, i znów płynie pogodnie dalszy rozwój młodego życia.

Jeśli w tym pierwszym, jak drugim, szkolnym okresie zakłóconych funkcyj, stosować pewne zabiegi, poprawę im właśnie się przypisuje. I jeśli dziś już wiadomo, że poprawa przy zapaleniu płuc czy tyfusie następuje po ukończeniu cyklu choroby, tu zamieszanie trwać musi, dopóki nie ustalimy porządku etapów rozwojowych dziecka, nie nakreślimy odrębnych profilów rozwoju dla dzieci różnego typu.

Krzywa rozwoju dziecka ma swe wiosny i jesienie, okresy wytężonej pracy i spoczynku w celu dopełnienia, zakończenia w pośpiechu wykonanej roboty i przygotowawczego zbierania zapasów dla dalszej budowy. Płód siedmiomiesięczny już jest zdolny do życia, a przecież długie dwa miesiące jeszcze (czwarta część ciąży prawie) w łonie matki dojrzewa.

Niemowlę, które potraja swą początkową wagę w ciągu roku, ma prawo do odpoczynku. Błyskawiczna droga, jaką odbywa się jego rozwój psychiczny, daje mu również prawo — coś niecoś zapomnieć z tego, co już umiało, a co przedwcześnie markowaliśmy, jako trwały nabytek.

62. Dziecko nie chce jeść.

Małe arytmetyczne zadanie.

Dziecko urodziło się o wadze ośmiu funtów z ułamkiem, po upływie roku, potroiwszy wagę, liczy 25 funtów. Gdyby

w tem samem tempie miało nadal wzrastać, w końcu drugiego roku ważyłoby 25 funtów × 3 = 75 funtów.

W końcu trzeciego roku 75 f. × 3 = 225 f.
„ czwartego „ 225 f. × 3 = 675 f.
„ piątego „ 675 f. × 3 = 2025 f.

Ten pięcioletni potwór, ważąc 2000 funtów, spożywając dziennie $^1/_6$ — $^1/_7$ swej wagi, jak to ma miejsce u niemowląt, wymagałby dziennie 300 funtów produktów spożywczych.

Dziecko je mało, bardzo mało, wiele, bardzo wiele, zależnie od mechanizmu wzrostu. Krzywa wagi daje wzniesienia powolne lub nagłe, niekiedy w ciągu miesięcy się nie zmienia. Jest nieubłagana w swej konsekwencji: podczas niedyspozycji dziecko w ciągu paru dni traci, w ciągu następnych dni tyleż zyskuje, zgodnie z wewnętrznym nakazem, który głosi: „tyle, a nie więcej“. Gdy dziecko niedokarmiane, w nędzy, przechodzi na normalną dietę, w ciągu tygodnia uzupełnia minus, i staje na swoim poziomie. Jeśli ważyć dziecko co tydzień, po pewnym czasie zaczyna zgadywać, czy mu ubyło, czy przybyło na wadze:

— W zeszłym tygodniu ubyło mi trzysta gramów, pewnie przybędzie mi dziś pięćset, Dziś mi ubędzie, bo nie jadłem kolacji. Eee, piewnie mi sto gramików przybędzie. Znów pięćset przybyło, dziękuję...

Dziecko chce rodzicom dogodzić, bo przykro mu martwić mamę, bo zadośćuczynienie woli rodziców przynosi mu nieobliczalne korzyści. Więc jeśli nie zje kotleta, nie wypije mleka, to dlatego, że nie może. Jeśli zmuszać będą, to powtarzające się co pewien czas niedyspozycje żołądkowe i dieta, będą regulowały normalny przyrost wagi.

Zasada: dziecko powinno jeść tyle, ile chce, ani mniej, ani więcej. Nawet przy forsownem odżywianiu dziecka chorego, relewę układać można tylko przy jego udziale i kurację prowadzić pod jego kontrolą.

63. Zmuszanie dzieci, by spały, gdy im się spać nie chce, jest przestępstwem. Tablica, która głosi, kiedy ile godzin snu dziecku potrzeba, jest absurdem. Ustalić ilość godzin potrzebną

dla danego dziecka łatwo, gdy kto ma zegar: ile godzin śpi bez przebudzenia, by zbudzić się wyspane. Powiadam: wyspane, a nie rzeźkie. Są okresy, gdy dziecko wymaga więcej snu, są takie, gdy dziecko nie śpiąc, pragnie leżeć w łóżku, bo zmęczone, nie śpiące.

Okres znużenia: wieczorem niechętnie idzie do łóżka, bo mu się spać nie chce, rano niechętnie porzuca łóżko, bo mu się wstać nie chce. Wieczorem udaje, że nie śpiące, bo mu nie pozwolą leżąc wycinać obrazków, bawić się cegiełkami lub lalką, zgaszą światło i zabronią rozmawiać. Rano udaje, że śpi, bo mu każą natychmiast wyjść z łóżka i myć się zimną wodą. Jak radośnie witają jakiś kaszel, gorączkę, która pozwala nie śpiąc, pozostawać w łóżku.

Okres pogodnej równowagi: zaśnie szybko, ale obudzi się przed świtem pełen energji, potrzeby ruchu i swawolnej inicjatywy. Ani pochmurne niebo, ani chłód pokoju nie zrażą go: boso, w koszuli, rozgrzeje się, skacząc po stole i krzesłach. Co robić? Kłaść późno spać, nawet, o zgrozo, o jedenastej. Pozwolić w łóżku się bawić. Zapytuję, dlaczego rozmowa przed snem ma „wybijać ze snu", a zdenerwowanie, że mimo woli musi być nieposłuszne, nie „wybija ze snu".

Zasadę, mniejsza oto czy słuszną: wcześnie kłaść się wcześnie wstawać, rodzice dla swej wygody swiadomie sfałszowali na inną: im więcej snu, tem zdrowiej. Do gnuśnej nudy dnia dodają drażniącą nudę wieczornego oczekiwania na sen. Trudno wyobrazić sobie bardziej despotyczny, graniczący z torturą nakaz, jak:

— Śpij!

Ludzie, którzy późno spać chodzą, bywają dlatego chorzy że noce spędzają na pijaństwie i rozpuście, a zmuszeni pracą zawodową do wszesnego wstawania, śpią mało.

Neurastenik, który wstał raz o świcie, czuje się doskonale, ulegając suggestji.

Że dziecko, wcześnie się kładąc, mniej przebywa przy sztucznem oświetleniu, to plus nie tak znów wielki w mieście, gdzie przy rannem świetle dni nie może wybiec w pole, a leży

przy spuszczonych roletach, już rozleniwione, już chmurne, już kapryśne, zła przepowiednia dla rozpoczynającego się dnia...

W kilkudziesięciu wierszach tu, jak we szystkich poruszonych w tej książce zagadnieniach, nie mogę rozwinąć tematu, który wymaga osobnego dzieła. Zadaniem mojem budzić czujność...

64. Czem jest dziecko, jako odmienna od naszej organizacja duchowa? Jakie są jej cechy, potrzeby, jakie kryje możliwości niedostrzeżone? Czem jest ta połowa ludzkości, żyjąca razem i obok nas w tragicznem rozdwojeniu? Nakładamy na nią brzemię obowiązków jutrzejszego człowieka, nie dając żadnego z praw człowieka dzisiejszego.

Jeśli podzielić ludzkość na dorosłych i dzieci, a życie, na dziecięctwo i dojrzałość, to tego dziecka na świecie i w życiu jest bardzo, bardzo dużo. Tylko że zapatrzeni we własną walkę, własną troskę, nie dostrzegamy go, jak dawniej nie dostrzegaliśmy kobiety, chłopa, ujarzmionych warstw i narodów. Urządziliśmy się tak, by nam dzieci najmniej przeszkadzały, najmniej domyślały się, czem istotnie jesteśmy i co istotnie robimy.

W jednym z paryskich domów dziecięcych widziałem dwie poręcze schodów: wysoką dla dorosłych, niską dla małych. Pozatem genjusz wynalazczy wyczerpał się w jednej ławce szkolnej. To mało, bardzo mało. Spójrzcie na żebracze placyki dla dzieci, z wyszczerbionym kubkiem na zardzewiałym łańcuchu przy studni, w ogrodach magnackich stolic Europy.

Gdzie domy i ogrody, warsztaty i pola doświadczalne, narzędzia pracy i poznania dla dzieci, ludzi jutra? Jeszcze jedno okno, jeszcze sionka, dzieląca klasę od prewetu, tyle tylko dała architektura, jeszcze koń ceratowy i szabelka blaszana, tyle dał przemysł; malowanki na ścianach i sloid, niewiele; bajka, nie my ją wymyślili.

W naszych oczach z nałożnicy wyłoniła się kobieta-człowiek. Przez wieki ulegała przemocą narzuconej roli, tworzyła typ, urobiony przez samowolę i egoizm mężczyzny, który nie chciał widzieć wśród ludu kobiety-pracownicy, jak nie widzi jeszcze dziecka-pracownika.

Dziecko nie przemówiło, ono wciąż jeszcze słucha.

Dziecko, sto masek, sto ról zdolnego aktora. Inne wobec matki, inne wobec ojca, babki, dziadka, inne wobec surowego i łagodnego nauczyciela, inne w kuchni, wśród rówieśników, inne wobec bogatych i biednych, inne w codziennej i świątecznej odzieży. Naiwne i przebiegłe, pokorne i wyniosłe, łagodne i mściwe, dobrze ułożone i samowolne, umie tak się ukryć do czasu, tak zamurować w sobie, że nas zwodzi i wyzyskuje.

W dziedzinie instynktów brak mu tylko iednego, raczej jest, ale rozproszony, jako mgławica erotycznych przeczuć.

W dziedzinie uczuć przewyższa nas siłą przez nieurobienie hamulców.

W dziedzinie intellektu conajmniej nam dorównywa, tylko mu brak doświadczenia.

Dlatego tak często dojrzały bywa dzieckiem, a ono, dojrzałym człowiekiem.

Cała reszta różnicy, to że nie zarobkuje, że będąc na utrzymaniu, zmuszony wzamian ulegać.

65. Niedoświadczone.

Przykład i próba wytłumaczenia.

— Ja mamie powiem do ucha.

I obejmując matkę za szyję, mówi tajemniczo:

— Niech mamusia spyta się doktora, czy mogę jeść bułeczkę (czekoladkę, kompot).

Patrzy przytem często na lekarza, kokietując go uśmiechem, by podkupić, wymóc przyzwolenie.

Starsze dzieci mówią do ucha szeptem, młodsze zwykłym głosem...

Był moment kiedy otoczenie uznało dziecko za dostatecznie dojrzałe do morału:

— Są życzenia, których nie wolno wypowiadać. Są one dwojakie: jedno, bo ich mieć nie należy wcale, a mając, trzeba się ich wstydzić, drugie, bo są dopuszczalne, ale tylko wśród swoich.

Brzydko jest napierać się, brzydko zjadłszy cukierek, prosić

o drugi. Niekiedy brzydko jest wogóle prosić o cukierek: trzeba czekać, aż dadzą.

Brzydko jest zrobić w majtki, ale brzydko mówić: „chcę siusiu“, będą się śmieli. Żeby się nie śmieli, trzeba powiedzieć do ucha.

Czasem brzydko pytać się głośno.

— Dlaczego ten pan nie ma włosów?

Pan się śmiał, wszyscy się śmieli. Można się zapytać, ale do ucha

Dziecko nie odrazu rozumie, że mówienie do ucha ma na celu, by tylko jedna zaufana osoba usłyszała; więc mówi do ucha, ale głośno:

— Chcę siusiu, chcę ciastko.

Jeśli mówi cicho, ono też nie rozumie. Bo poco ukrywać to, o czem się obecni i tak od mamy dowiedzą.

Obcych o nic nie należy prosić, więc dlaczego doktora wolno głośno prosić?

— Dlaczego ten piesek ma takie długie uszy? — pyta się dziecko najcichszym szeptem.

Znów śmiech. Można zapytać się głośno, bo piesek się nie obrazi. A przecie brzydko pytać się: dlaczego ta dziewczynka ma brzydką sukienkę? Przecież sukienka się nie obrazi.

Jakże wyjaśnić dziecku, ile w tem wszystkiem łajdackiego dojrzałego fałszu?

Jak mu później wytłumaczyć, dlaczego mówić do ucha jest, wogóle brzydko?

66. Niedoświadczone.

Patrzy ciekawie, chciwie słucha i wierzy.

— Jabłuszko, ciocia, kwiatek, krówka.

Wierzy.

— Ładne, smaczne, dobre, wierzy.

— Brzydkie, nie rusz, nie można, nie wolno, wierzy.

— Daj buzi, ukłoń się, podziękuj, wierzy.

— Dziecko się uderzyło; daj, mama pocałuje; już nie boli.

Uśmiecha się przez łzy; mama pocałowała; już nie boli. Uderzyło się, więc biegnie po lekarstwo, pocałunek.

Wierzy.

— Kochasz?

— Kocham...

— Mama śpi, mamę główka boli, nie można mamy budzić.

Więc cichutko, na palcach dochodzi do matki, ostrożnie pociąga ją za rękaw i szeptem zadaje pytanie. Ono nie budzi mamy, ono tylko się zapyta, a potem „śpij sobie mamusiu, ciebie główka boli".

— Tam w górze jest Bozia. Bozia gniewa się na niegrzeczne dzieci, a grzecznym daje bułeczki, ciasteczka. Gdzie Bozia?

— Tam, wysoko, w górze.

A po ulicy idzie dziwny pan, cały biały. Kto to?

Piekarz, piecze bułeczki i ciasteczka.

— Tak? Więc ten pan jest Bozia?

Dziadzio umarł, i zakopali go w ziemi.

— W ziemi zakopali? dziwię się. A jak mu dają jedzenie?

— Wykopują go, — mówi dziecko — siekierą go wykopują.

Krówka daje mleko.

— Krówka? — zapytuję z niedowierzaniem. — A skąd krówka bierze mleko?

— Ze studni — odpowiada dziecko.

Dziecko wierzy, bo ilekroć samo coś chce wymyślić, błądzi, ono musi wierzyć.

67. Niedoświadczone.

Opuściło szlankę na ziemię. Stało się coś bardzo dziwnego. Szklanka znikła, natomiast ukazały się zupełnie inne przedmioty. Nachyla się, bierze do rąk szkło, kaleczy się, ból, z palca płynie krew. Wszystko pełne tajemnic i niespodzianek.

Sunie przed sobą krzesło. Nagle mu coś przed oczami mignęło, szarpnęło, huknęło. Krzesło zrobiło się inne, leżąc na ziemi, a dziecko samo siedzi na podłodze. Znów ból i przestrach. Świat jest pełen dziwów i niebezpieczeństw.

Ciągnie kołdrę, by z pod niej wydobyć siebie. Tracąc równowagę, chwyta za suknię matkę. Wspinając się, ujmuje krawędź łóżka. Bogate w to doświadczenie, pociąga obrus czy serwetę ze stołu. Znów katastrofa.

Poszukuje pomocy, bo samo poradzić niezdolne. W samodzielnych próbach doznaje porażki. Zależne, niecierpliwi się.

Jeśli nawet nie ufa, lub niezupełnie ufa, bo je oszukują wielokrotnie, musi iść za wskazówkami dorosłych, tak samo jak niedoświadczony pracodawca zmuszony jest tolerować nieuczciwego pracownika, bez krórego obejść się nie może, jak paralityk musi przyjmować pomoc i znosić kaprysy szorstkiego pielęgniarza.

Podkreślam, że każda bezradność, każde zdumienie niewiedzy, błąd w stosowaniu doświadczenia, niefortunna próba naśladownictwa, każda zależność, — przypominają nam dziecko bez względu na wiek osobnika. Bez trudu odnajdziemy cechy dziecięce w chorym, starcu, żołnierzu, więźniu. Wieśniak w mieście, mieszczuch na wsi, ma ździwienia dziecka. Profan dziecinne pytania, perwenjusz popełnia nietakty dziecięcę.

68. Dziecko naśladuje dorosłych.

Tylko naśladując, uczy się ono mówić, czynić zadość większości form światowych, stwarza pozór zżycia się ze środowiskiem dorosłych których nie może rozumieć, którzy mu są obcy duchem i niepojęci.

Najbardziej zasadnicze błędy popełniamy w sądzie o dziecku właśnie dlatego, że istotne myśli i uczucia jego zagubione są w wyrazach, które przejęły, formach, któremi się posługują, wkładając w nie zgoła odmienną własną treść.

Przyszłość, miłość, ojczyzna, Bóg, szacunek, obowiązek pojęcia, skamieniałe w wyrazach, żyją, rodzą się, wzrastają, zmieniają, krzepną, słabną, są czem innem w każdym okresie życia. Trzeba użyć wiele wysiłku, by nie pomieszać kupy piasku, którą dziecko nazywa górą, ze śnieżnym szczytem Alp. Kto wmyśli się w duszę używanych przez ludzi wyrazów, temu zatrze się różnica między dzieckiem, młodzieńcem, dojrzałym, prostakiem i myślicielem, temu wyłoni się człowiek intellektualny, nie-

zależny od wieku, warstwy, stopnia wykształcenia, pokostu kultury, jako istota, rozumująca w zakresie małego lub dużego doświadczenia. Ludzie odmiennych przekonań (mówię nie o politycznych hasłach, niekiedy nieszczerych wtłoczonych przemocą), to ludzie o odmiennym szkielecie doświadczeń.

Dziecko nie rozumie przyszłości, nie kocha rodziców, nie przeczuwa ojczyzny, nie pojmuje Boga, nie szanuje nikogo, nie zna obowiązku. Ono mówi: „jak urosnę“, ale w to nie wierzy, nazywa matkę „najukochańszą“, ale tego nie czuje, ojczyzną jego jest ogród czy podwórko, Bóg jest poczciwym wujkiem lub dokuczliwym zrzędą, udaje ono szacunek, poddaje się obowiązkom, wcielonym w tego, kto kazał i pilnuje, pamiętać tylko należy, że kazać można nie tylko batem, ale prośbą, łagodnem spojrzeniem. Dziecko niekiedy przeczuwa, ale są to momenty tylko, cudne jasnowidzenia.

Dziecko naśladuje? A co robi podróżny, zaproszony przez mandaryna, by brał udział w miejscowym obrzędzie czy ceremonji? Patrzy, stara się nie wyróżniać, nie wprowadzać zamieszania, chwyta istotę i związek epizodów, dumny, że się wywiązał w swej roli. Co robi nieokrzesany prostak, dopuszczony do wspólnej biesiady z panami? Dostraja się. A oficjalista, urzędnik biura, oficer, czy w mowie, ruchach, uśmiechu, ubraniu, zaroście, nie naśladują patrona?

Jest jeszcze jedna forma naśladownictwa: jeśli dziewczynka, idąc przez błoto unosi krótką sukienkę, to znaczy, że jest dorosła. Jeśli chłopak naśladuje podpis nauczyciela, to sprawdza poniekąd własne kwalifikacje na wysoki urząd. I tę formę znajdziemy łatwo u dorosłych.

69. Egocentryzm dziecięcego świato-poglądu, to też brak doświadczenia.

Od egocentryzmu osobistego, gdy jego świadomość jest ośrodkiem wszechrzeczy i wszechzjawisk, dziecko przechodzi do egocentryzmu rodzinnego, który trwa dłużej lub krócej, zależnie od warunków, w których się wychowuje; sami utrwalamy je w błędzie, przesadzając wartość domu rodzinnego, ukazując uro-

jone i rzeczywiste niebezpieczeństwa, grożące poza dosięgalnością naszej pomocy i opieki.

— Zostań u mnie—mówi ciocia.

Dziecko tuli się do matki, łzy ma w oczach, za nic nie zostanie.

— Ono do mnie tak przywiązane.

Dziecko ze zdumieniem i lękiem przygląda się tym cudzym mamom, które nie są nawet jego ciociami.

Ale nadchodzi chwila, gdy spokojnie zaczyna porównywać to, co widzi w innych domach z tem, co samo posiada. Zrazu pragnie tylko, też mieć taką lalkę, ogród, kanarka, ale u siebie. Później dostrzega, że są inne mamy i ojcowie, też dobrzy, może lepsi?

— Gdyby ona była moją mamą...

Dziecko podwórza i chaty wiejskiej nabywa odnośne doświadczenie wcześniej, poznaje smutki, których nikt nie dzieli, radości, które tylko najbliższych cieszą, rozumie, że dzień imienin jest tylko jego świętem.

— Mój tatuś, u nas, moja mamusia, tak często spotykane w sporach dzieci wynoszenie własnych rodziców, to raczej formuła polemiczna, niekiedy tragiczna obrona złudzenia, w które się chce wierzyć, wątpić zaczyna.

— Poczekaj, powiem ojcu...

— Dużo się twego ojca boję.

Prawda: mój ojciec jest tylko dla mnie groźny...

Nazwałbym egocentrycznym poglądem dziecka na chwilę bieżącą to, że w braku doświadczenia żyje tylko teraźniejszością. Zabawa odłożona na tydzień przestaje być rzeczywistością. Zima w lecie staje się legendą. Zostawiając ciastko „na jutro“, zrzeka go się, ulegając przymusowi. Trudno mu zrozumieć, że niszczenie przedmiotów może je czynić nie odrazu niezdatnemi do użytku, ale mniej trwałemi, szybciej ulegającemi zyżyciu. Ciekawą bajką są opowiadania, że mama była dziewcynką. Ze zdumieniem, blizkie obawy, patrzy na obcego przybysza, który ojcu mówi po imieniu, towarzysza lat dziecinnych.

— Mnie jeszcze nie było na świecie...

A egocentryzm młodzieńczy: od nas się świat zaczyna?

A egocentryzm partyjny, klasowy, narodowy, czy wielu dorasta do świadomości stanowiska człowieka w ludzkości i wszechświecie? Z jakim trudem pogodzono się z myślą, że ziemia krąży, jest tylko planetą? A głębokie przekonanie mas, wbrew rzeczywistości, że okropności wojny niemożliwe są w dwudziestem stuleciu?

Nasz stosunek do dzieci czy nie jest wyrazem egocentryzmu dorosłych?

70. Spostrzegawczość dziecka.

Na ekranie kinematografu wstrząsający dramat.

Nagle rozlega się donośny okrzyk dziecka:

— Ooo, piesek...

Nikt nie zauważył, ono dostrzegło.

Podobne okrzyki słyszy się niekiedy w teatrze, na wystawie obrazów, w kościele, podczas wielu uroczystości; płoszą one najbliższych, wywołują łagodny uśmiech ogółu.

Nie obejmując całości, nie wmyślone w niezrozumiałą treść, dziecko wita szczęśliwe znajomy, blizki szczegół. Ale tak samo i my witamy radośnie znajomą twarz spotkaną przypadkowo w licznem, obojętnem, krępującem nas towarzystwie...

Dziecko nie mogąc żyć bezczynnie, wejdzie w każdy kąt, zajrzy do każdej szparki, odszuka, spyta się, ciekawy dla niego ruchomy punkcik mrówki, błyszczący paciorek, zasłyszany wyraz czy zdanie. Jakże podobni jesteśmy do dzieci w obcem mieście, w wyjątkowem środowisku...

Dziecko zna otoczenie, jego humory, nałogi, słabostki, zna i dodać można, umiejętnie je wyzyskuje. Przeczuwa życzliwość, odgaduje obłudę, chwyta w lot śmieszność. Ono tak czyta w twarzy, jak wieśniak wyczytuje z nieba, jaką wróży pogodę. Bo i ono całemi latami wpatruje się i bada; w szkołach, internatach, ta praca przenikania nas, prowadzi się wspólnemi siłami, zbiorowym wysiłkiem. Tylko my jej widzieć nie chcemy; dopóki nam nie zakłóca miłego spokoju, wolimy łudzić się, że ono naiwne, nie wie, nie rozumie, łatwo się da zwieść pozorom. Inne stano-

wisko postawiłoby nas wobec dylematu: albo otwarcie zrzecz się przywileju rzekomej doskonałości, albo wyplenić z siebie to, co nas w ich oczach poniża, ośmiesza, zuboża.

71. Podobno dziecko w poszukiwaniu coraz nowych wzruszeń i wrażeń niczem nie może zająć się na długo, nawet zabawa szybko się przykrzy; a przyjaciel z przed godziny jest mu już wrogiem, by po chwili znów być serdecznym druhem.

Spostrzeżenie naogół prawdziwe: dziecko w wagonie kolei bywa kapryśne, niecierpliwi się, posadzone na ławce w ogrodzie; dokuczliwe na wizycie; ulubiona zabawa już w kąt rzucona; na lekcji się wierci; nawet w teatrze nie usiedzi spokojnie.

Zważmy jednak, że podczas podróży jest podniecone i zmęczone, że na ławce je posadzono, że na wizycie jest skrępowane, że zabawkę i towarzysza mu wybrano, do lekcji zmuszono, a rwało się do teatru, bo wierzyło, że przyjemnie czas spędzi.

Jak często podobni jesteśmy do dziecka, które przystroiło kota we wstążkę, częstuje go gruszką, daje mu do oglądania malowanki, i dziwi się, że niecnota pragnie się wymknąć taktownie lub zrozpaczony zadrapie.

Dziecko na wizycie chciałoby zobaczyć, jak się otwiera pudełko, stojące na konsoli, co się tam błyszczy w kącie, czy w dużej książce są obrazki; chciałoby złapać złotą rybkę w akwarjum i zjeść dużo czekoladek. Ale niczem nie zdradzi swych chęci, bo brzydko.

— Chodźmy do domu,—mówi źle wychowane...

Zapowiadano mu zabawę: będą chorągiewki, ognie sztuczne, przedstawienie, czekało, zawiodło się.

— No cóż, dobrze się bawisz?

— Doskonale, — odpowiada ziewając lub tłumiąc ziewanie, żeby nie urazić...

Kolonie letnie. Opowiadam w lesie bajkę. W ciągu opowiadania jeden z chłopców odchodzi, potem drugi i trzeci. Dziwi mnie to, więc zapytuję nazajutrz: jeden położył kijek pod krzakiem, przypomniał sobie podczas bajki, bał się, by mu nie zabrano; drugiego bolał skaleczony palec, a trzeci nie lubi zmy-

ślonych bajek. Czy dorosły nie opuści przedstawienia, gdy go nie zajmuje, gdy mu ból dokucza, gdy w kieszeni palta zapomniał pugilares?

Mam liczne dowody, że dziecko wiele tygodni i miesięcy może się zajmować tem samem i nie pragnie zmiany. Ulubiona, jedna z zabawek nigdy nie traci dlań uroku. Tę samą bajkę wiele razy z równą ciekawością wysłucha. I odwrotnie, mam dowody, że matkę niecierpliwi jednostajność zainteresowań dziecka. Wieleż razy zwracaią się do lekarza matki, by „urozmaicił dyjetę, bo kaszki i kompoty dziecku się już sprzykrzyły“.

— One się pani naprzykrzyły, nie dziecku, zmuszony byłem tłomaczyć.

72. Nuda, temat gruntownych studjów.

Nuda, samotność, brak wrażeń; nuda, ich nadmiar, wrzawa, rozgardjasz. Nuda: nie wolno, poczekaj, ostrożnie, nieładnie. Nuda nowej sukienki, skrępowania, zażenowania, nakazów, zakazów, obowiązków.

Pół-nuda balkonu i wyglądania przez okno, przechadzki, wizyty, zabawy z przypadkowymi, niedobranymi towarzyszami.

Nuda ostra, jak gorączkowa choroba, i przewlekła, jątrząca, z obostrzeniami.

Nuda, złe samopoczucie dziecka; więc upał, nadmierny, chłód, głód, pragnienie, nadmiar spożytych pokarmów, senność i nadmiar snu, ból i znużenie.

Nuda-apatja, obojętność na bodźce, słaba ruchliwość, małomówność, osłabienie życiowego tętna. Dziecko leniwie wstaje, chodzi pochylone powłócząc nogami, przeciąga się, odpowiada mimiką, monosylabami, cichym głosem, skrzywieniem niechęci. Nie żąda, ale wrogo spotyka każde ku niemu zwrócone żądanie. Pojedyńcze nagłe wybuchy, niezrozumiałe, słabo motywowane.

Nuda, wzmożona ruchliwość. Nie usiedzi chwili na miejscu, nie zajmie się niczem dłużej, kapryśne, niekarne, złośliwe, zaczepia, naprzykrza się, obraża, płacze, gniewa. Niekiedy rozmyślnie wywoła awanturę, by w spodziewanej karze otrzymać pożądane silne wrażenie.

Często widzimy tam upór świadomie złej woli, gdzie istnieje bankructwo woli, tam nadmiar energji, gdzie jest rozpacz znużenia.

Nuda nabiera niekiedy cech zbiorowej psychozy. Nie mogąc zorganizować zabawy, czy zażenowane, czy niedobrane wiekiem i usposobieniem, czy w niezwykłych warunkach, wpadają w szał bezmyślnego hałasu.

Krzyczą, potrącają się, ciągną za nogi, przewracają, kręcą w kółko aż do utraty przytomności i padają na ziemię; podniecają się wzajemnie, śmieją przymuszonym śmiechem. Najczęściej katastrofa przerywa „zabawę“, zanim dojrzeje reakcja: bójka, podarte ubranie, złamane krzesło, silniejsze uderzenie uczestnika, więc zmieszanie i oskarżanie wzajemne. Niekiedy nastrój hałasu dogasa, czyjeś: „Przestańcie warjować, lub wstydźcie się, co wyrabiacie“, inicjatywa przechodzi w energiczne ręce, i bajka, śpiew chóralny, rozmowa.

Obawiam się, że te niezbyt częste patologiczne stany zbiorowej drażliwej nudy, niektórzy z wychowawców skłonni są uważać za normalną zabawę dzieci „samopas puszczonych“.

73. Nawet zabawy dzieci, traktowane feljetonowo, nie doczekały się jeszcze gruntownych studjów klinicznych.

Należy pamiętać, że bawią się nietylko dzieci, ale i dorośli, że dzieci niezawsze bawią się chętnie, że nie wszystko, co zwiemy zabawą, jest nią istotnie, że wiele zabaw dzieci jest naśladownictwem poważnych czynności ludzi dojrzałych, że inne są zabawy na wolnym terenie, inne w murach miasta i ścianach pokoju, że zabawy dziecka wolno nam rozpatrywać li tylko pod kątem widzenia zajmowanego przez nie w współczesnem społeczeństwie stanowiska.

Piłka.

Zobacz wysiłki najmłodszego, by ją ująć z ziemi, by w zamierzonym kierunku kulać po podłodze.

Zobacz mozolne ćwiczenia starszego, by chwytać ją prawą i lewą ręką, odbić kilkakrotnie o ziemię, o ścianę, podbić palantem, trafić do celu. Kto najdalej, kto najwyżej, kto najcel-

niej, kto największą ilość razy? Emulacja, poznawanie swej wartości przez porównanie, tryumfy i porażki, doskonalenie się.

Niespodzianki, częstokroć o charakterze komicznym. Już trzymał, a wyślizgnęła się; odbiła się o jednego i wpadła drugiemu prosto w ręce; chwytając, stuknęli się głowami; wpadła pod szafę i sama pokornie wychodzi.

Wzruszenia. Upadła na trawę, ryzyko podjęcia. Zginęła, poszukiwania. Omal szyby nie wybiła. Wleciała na szafę, jak ją zdjąć, narada. Uderzył czy nie? kto winien: ten, co krzywo rzucił czy ten, który nie złapał? Ożywiony spór.

Indywidualne urozmaicenia. Zwodzi: udaje, że rzuci; celuje w jednego, a w drugiego bije; schował zręcznie, niby że niema. Dmucha w rzuconą piłkę, żeby prędzej leciała; niby się przewrócił przy chwytaniu; próbuje łapać ustami; udaje, że się boi, gdy do niego rzucają; udaje, że go mocno uderzyła. Bije piłkę: „ty piłka, ja ci dam". „Tam coś stuka w piłce", potrząsają, słuchają.

Są dzieci, które same nie grając, lubią się przyglądać, jak dorośli, grającym w bilarad czy w szachy. I tu są ruchy ciekawe, błędne i genialne.

Celowość ruchu, to tylko jedna z wielu cech, czyniących ten sport miłym.

74. Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie. W zabawie dziecko czuje się do pewnego stopnia niezależnem. Wszystko inne jest przelotną łaską, chwilową koncesją, do zabawy dziecko ma prawo.

Bawiąc się w konie, wojsko, zbójów, straż ogniową, ono wyładowuje energję w pozornie celowych ruchach, chwilowo ulega złudzeniu lub świadomie ucieka od szarzyzny istotnego życia. Dzieci dlatego tak cenią udział rówieśników o żywej wyobraźni, wielostronnej inicjatywie, zapasie poczerpniętych z książek motywów, tak pokornie ulegają ich częstokroć despotycznej władzy, że dzięki nim mgliste urojenie przybiera się snadniej w pozory rzeczywistości. Dzieci krępują się obecnością doro-

słych i obcych, wstydzą się swych zabaw, zdając sobie sprawę z ich nicości.

Ile w zabawach dzieci jest gorzkiej świadomości o brakach rzeczywistego życia, ile bolesnej doń tęsknoty.

Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi się pogodzić z drewnianym. Jeśli na przewróconem krześle płyną po pokoju, to nie jest przejażdżka łódką po stawie.

Gdy dziecko ma w planie dnia kąpiel bez ograniczeń, las z jagodami, wędkę, gniazda ptaków na wysokich drzewach, gołębnik, kury, króliki, śliwki w cudzym sadzie, kwietnik przed domem, zabawa staje się zbędną lub zmienia gruntownie charakter.

Które zamieni żywego psa na wypchanego, na kółkach? które odda kuca za konia na biegunach.

Ono zwraca się do zabawy pod przymusem, ucieka do niej przed złą nudą, tuli się przed groźną pustką, kryje przed zimnym obowiązkiem. Tak, dziecko woli się nawet bawić, niż wkuwać w pamięć formuły gramatyczne lub tabliczkę mnożenia.

Dziecko przywiązuje się do lalki, szczygła, kwiatka w doniczce, bo nie ma jeszcze nic więcej, więzień lub starzec tak samo się przywiązują, bo już nic nie mają. Dziecko bawi się byle czem, by czas zabić, bo nie wie co robić, bo nie ma nic innego

Słyszymy, jak dziewczynka wykłada lalce prawidła dobrego tonu, jak ją poucza i strofuje; ale nie słyszymy, jak w łóżku skarży się przed nią na otoczenie, zwierza się jej szeptem ze swych trosk, niepowodzeń i marzeń.

— Ja ci powiem, lalusiu, tylko nie powtarzaj nikomu.

— Ty dobry, piesku, ja się na ciebie nie gniewam, ty mi nic złego nie zrobiłeś.

Samotność dziecka daje lalce duszę.

— To nie raj dziecięcy, a tragedja.

75. Pastuch woli grę w karty, niż piłkę: dość się nabiega, goniąc za krowami. Mały sprzedawca gazet lub „uczeń na posyłki“ tylko w początkach karjery biegają forsownie; rychło uczą się dozować wysiłek, rozkładając go na dzień cały. Nie

bawi się lalką dziecko, które musi piastować niemowlę; przeciwnie, ucieka od przykrego obowiązku.

Więc dziecku niemiła jest praca? Praca dziecka ubogiego jest utylitarna, nie wychowawcza, nie liczy się z jego siłami ani cechami indywidualnemi. Byłoby śmieszne podawanie za wzór życia biednych dzieci; tu też jest nuda, zimowa nuda ciasnej izby i letnia podwórka czy przydrożnego rowu; ona tylko ma inną formę. Ani oni, ani my nie możemy wypełnić dziecku dnia, by ich szereg, logicznie powiązany, rozwijał barwną treść życia, od wczoraj przez dziś do jutra.

Liczne zabawy dzieci są pracą.

Jeśli we czworo budują szałas, kopią skrawkiem blachy, szkłem, gwoździem, wbijają kołki, wiążą, pokrywają dachem z gałęzi, mchem wyściełając, pracując naprzemian z wysiłkiem i milcząco, to ospale, ale projektując ulepszenia, rozwijając dalsze plany, dzieląc się wynikami zdobytych spostrzeżeń, to nie zabawa a nieumiejętna praca niedoskonałemi narzędziami, niedostatecznym materjałem, więc mało owocna, ale zato zorganizowana tak, że każde zależnie od wieku, sił, kompetencji, wkłada tyle wysiłku, na ile je stać.

Jeśli pokój dziecinny, wbrem naszym zakazom, tak często bywa warsztatem i składem rupieci, więc materjału do wykonania zamierzonych robót, czy nie w tym kierunku należy zwrócić poszukiwania? Może do pokoju małego dziecka potrzebne nie linoleum, a fura zdrowego żółtego piasku, spora wiązka patyków i taczka kamieni? Może deska, tektura, funt gwoździ, piła, młotek, tokarnia byłyby milszym podarkiem, niż „zabawa“, a nauczyciel rzemiosł pożyteczniejszy, niż mistrz gimnastyki czy pianina. Ale trzebaby z dziecinnego pokoju przepędzić szpitalną ciszę, szpitalną czystość i obawę o zadrapanie palca.

Rozumni rodzice z uczuciem przykrości rozkazują: „baw się“, i z bólem słyszą odpowiedź: „ciągle się tylko bawić i bawić“. Cóż poczną, gdy nic innego nie mają?

76. Wbrew temu, co powiedziano powyżej, są dzieci, którym ani samotność zbytnio nie dokucza, ani odczuwają potrzebę

czynnego życia. Tych cichych, stawianych za przykład przez cudze matki „nie słychać“ w domu. Nie nudzą się, same wynajdą zabawę, którą na żądanie rozpoczną, na żądanie przerwą posłusznie. To dzieci bierne, niewiele i słabo chcą, więc łatwo ulegają, urojenie zastąpi im rzeczywistość, tembardziej, że tego sobie życzą dorośli.

W gromadzie one się gubią, urażają boleśnie o jej szorstką obojętność, nie podążają za jej rwącym nurtem. Zamiast poznać, i tu matki pragną przerobić, narzucić przemocą to, co tylko zwolna i ostrożnie da się wypracować w nużącym wysiłku drogą, usianą doświadczeniem wielu niepowodzeń, nieudanych prób i bolesnych upokorzeń. Każdy nieoględny nakaz pogarsza stan rzeczy. „Idź się bawić z dziećmi“, tak samo je krzywdzi, jak inne: „dość będzie tej zabawy“.

Jakże je łatwo poznać można w tłumie, o ile się umie dostrzedz.

Przykład: zabawa w ogrodzie, w koło. Parę dziesiątków śpiewa, trzymając się za ręce, a dwoje w środku gra główną rolę.

— No, idźże się bawić z niemi.

Ona nie chce, bo nie zna zabawy tej, nie zna dzieci, bo gdy próbowała kiedyś tam, powiedziano jej: „nie trzeba, już mamy dość“, albo: „niezdara jesteś“. Może jutro, za tydzień, znów spróbuje. Ale matka nie chce czekać, robi jej miejsce, przemocą pcha. Nieśmiała, niechętnie bierze za ręce sąsiadów, pragnie, by jej nie zauważono, będzie sobie stać, może się zainteresuje powoli, może uczyni pierwszy krok pogodzenia się z nowem zbiorowem życiem. Ale matka popełnia nowy nietakt: pragnie ją zachęcić ponętą żywszego udziału:

— Dziewczynki, dlaczego ciągle te same są w kole? O, ta jeszcze nie była: wybierzcie ją.

Jedna z wodzirejów odmawia, dwie inne przystają ale niechętnie.

Biedna debiutantka w nieżyczliwym zespole.

Scena ta zakończyła się łzami dziecka, gniewem matki, zamieszaniem wśród uczestników koła.

77. Koło, obserwowane w ogrodzie, jako ćwiczenie praktyczne dla wychowawców: ilość dostrzeżonych momentów. Obserwacja generalna (trudna, wszystkich dzieci, biorących w grze udział), indywidualna (jednego, dowolnie wybranego dziecka).

Inicjatywa, zawiązek, rozkwit i upadek koła. Kto daje hasło, organizuje, prowadzi, którego ustąpienie rozwiązuje zebranie? Które dzieci wybierają sąsiadów, które biorą za ręce dwoje przypadkowych? Które rozłączają się chętnie, by dać miejsce nowemu uczestnikowi, które protestują? Które często zmieniają miejsce, które przez cały czas zajmują to samo? Które w przerwach cierpliwie czekają, które się niecierpliwią: „no prędzej, no zaczynajmy". Które stoją nieruchomo, które przestępują z nogi na nogę, bujają rękami, śmieją się głośno? Które ziewają, ale nie odchodzą, które opuszczają zabawę, czy bo ich nie zajmuje, czy obrażone; które natarczywie się napierają, aż otrzymają jedną z głównych ról w zabawie? Matka chce doczepić małe dziecko; jedno: „nie, on za mały", drugie: „co ci to szkodzi, niech sobie stoi".

Gdyby dorosły kierował zabawą, wprowadziłby kolej, powierzchownie sprawiedliwy podział ról, i sądząc, że pomaga wniósłby przymus. Dwoje, niemal ciągle ci sami, biegają (kotek i myszka), grają (bąk), wybierają (koszyczek), pozostałe zapewne się nudzą? Jedno patrzy, drugie słucha, trzecie śpiewa szeptem, półgłosem, głośno, czwarte ma niewyraźną ochotę, ale się waha, serce mocno mu bije. A dziesięcioletni wodzirej-psycholog, ocenia szybko, ogarnia, panuje.

W każdym zbiorowym czynie, więc i w zabawie, robiąc to samo, różnią się bodaj w jednym najdrobniejszym szczególe.

I poznajemy, czem ono jest w życiu, wśród ludzi, w działaniu, jaka jego wartość nie ukryta, a rynkowa, co wchłania, co zdolne dać z siebie, jak to tłum ceni, jaka jest jego samodzielność, odporność przeciw zbiorowej sugestji. Z intymnej rozmowy wiemy, czego pragnie, z obserwacji w gromadzie, co zdolne urzeczywistnić, tu, jaki jest jego stosunek do ludzi, tam, tego stosunku ukryte motywy. Jeśli widujemy dziecko tylko samo, poznamy je tylko jednostronnie.

Jeśli ma posłuch, czem go uzyskało, jak z niego korzysta; jeśli nie, czy go pożąda, czy cierpi, czy się gniewa, czy dąży czy biernie zazdrości, nalega, czy ustępuje? Czy oponuje często czy rzadko, ma słuszność czy nie, kieruje się ambicją czy kaprysem, taktownie czy brutalnie narzuca swą wolę? Czy unika tych, którzy nim przewodzą, czy lgnie do nich?

— Słuchajcie, zróbmy tak. Poczekajcie, tak będzie lepiej. Ja się nie bawię. No dobrze, więc powiedz, jak ty chcesz.

78. Czem są spokojne zabawy dzieci, jeśli nie rozmową, wymianą myśli, snuciem marzenia na obrany temat, udramatyzowanym snem o potędze. Bawiąc się wygłaszają istotne swe poglądy, jak autor w akcji powieści czy sztuki rozwija myśl zasadniczą. Dlatego dojrzysz tu częstokroć nieświadomą satyrę na dorosłych, gdy się bawią w szkołę, składają wizyty, przyjmują gości, częstują lalki, kupują i sprzedają, godzą i odprawiają służbę. Zabawę w szkołę bierne traktują poważnie, pragną uzyskać pochwałę, czynne obierają rolę psotników, których wybryki często wywołują zbiorowe protesty; czy nie zdradzają się bezwiednie, że taki jest ich istotny stosunek do szkoły?

Nie mogąc iść bodaj do ogrodu, dziecko tem chętniej odbywa podróże po oceanach i bezludnych wyspach; nie mając nawet psa, któryby go słuchał, butnie dowodzi pułkiem, nie będąc niczem, pragnie być wszystkiem. Ale czy tylko dziecko? Czy partje polityczne w miarę jak zyskują wpływ na bieg spraw publicznych nie zamieniają zamków na lodzie na razowiec realnych zdobyczy?

Niechętnie widziane bywają przez nas niektóre zabawy, dociekania i próby. Dziecko chodzi na czworakach i szczeka, by się przekonać, jak radzą sobie zwierzęta, udaje kulawego, starca zgarbionego, zezuje, jąka się, zatacza jak pijany, naśladuje widzianego na ulicy wajrata, chodzi z zamkniętemi oczami (niewidomy), zatyka uszy (głuchy), kładzie się nieruchomo i wstrzymuje oddech (umarły), patrzy przez okulary, pociąga papierosa, w tajemnicy nakręca zegarek; obrywa musze skrzydła: jak ona będzie latała; magnesem chwyta stalówkę; ogląda uszy (co tam

za bębenki), gardło (co tam za migdały); proponuje dziewczynce zabawę w doktora w nadziei, że zobaczy, jak tam jest w niej; biegnie ze szkłem palącem na słońce, słucha, co w muszli szumi, uderza krzemieniem o krzemień.

Wszystko o czem się może przekonać, chce widzieć, sprawdzić, doświadczyć; i tak pozostaje tyle, czemu trzeba wierzyć na słowo.

Powiadają, że jest jeden księżyc, a wszędzie go widać.

— Słuchaj, ja stanę za płotem, a ty stań w ogródku.

Zamknęli furtkę.

— No co, w ogrodzie jest księżyc?

— Jest.

— I tu jest.

Zmienili się miejscami, sprawdzili powtórnie: teraz mają pewność, księżyców jest dwa.

79. Osobne miejsce zajmują zabawy, których celem wypróbowanie sił, poznanie swej wartości; a to da się tylko osiągnąć przez porównanie z innymi.

Więc kto stawia większe kroki, ile kroków przejdzie z zamkniętemi oczami; kto dłużej stać będzie na jednej nodze, nie mrugnie oczami, nie roześmieje się, patrząc w oczy; kto może dłużej nie oddychać? Kto głośniej krzyknie, dalej plunie, wyżej puści strumień uryny lub rzuci kamień? Kto skoczy z większej liczby schodków, wyżej i dalej skoczy, dłużej wytrzyma ból ściskanego palca? Kto prędzej dobiegnie do mety, kto kogo podniesie, przeciągnie, przewróci?

— Ja mogę. Ja umiem. Ja wiem. Ja mam.

— Ja mogę lepiej. Wiem wiecej. Moje lepsze.

A potem:

— Moja mama i ojciec, mogą, mają.

W ten sposób zyskuje się poważanie, zajmuje odpowiednie stanowisko we własnem środowisku. A pamiętać należy, że pomyślność dziecka nie zależy wyłącznie od tego, jak je cenią dorośli, ale w równym a może większym stopniu zależna jest od opinji rówieśników, którzy mają inne, tem niemniej trwałe za-

sady w ocenie wartości i udzielaniu praw członkom swego społeczeńswa.

Pięcioletnie może być dopuszczone do towarzystwa ośmioletnich, a te mogą być tolerowane przez dziesięcioletnie, które już same chodzą po ulicy, mają piórnik na kluczyk i notes. Taki starszy o dwie klasy wiele wyjaśni wątpliwości, za pół ciastka lub za darmo, wtajemniczy, wykształci.

— Magnes przyciąga żelazo, bo jest namagnesowany. Najlepsze konie są arabskie, bo mają cienkie nogi. Królowie nie mają czerwonej krwi, tylko niebieską. Lew i orzeł zapewne też mają niebieską krew (trzeba się o to jeszcze kogoś zapytać). Jeżeli trup weźmie kogoś za rękę, to już nie można wyrwać. W lesie są takie kobiety, które zamiast włosów mają na głowie żmije; sam widział na obrazku, nawet w lesie widział, ale zdaleka, bo zblizka jak spojrzy, to człowiek zamienia się w kamień (pewnie kłamie?) On widział topielca, wie jak się rodzą dzieci i umie z papieru zrobić portmonetkę.

I nie tylko mówi, że umie, ale zrobił portmonetkę z papieru: mama tego nie umie.

80. Gdybyśmy nie lekceważyli dziecka, jego uczuć, dążeń, życzeń, więc i zabaw, rozumielibyśmy, że słusznie z jednem chętnie przestaje, drugiego unika, z musu się spotyka i niechętnie bawi. Można się pobić z najlepszym przyjacielem, ale rychło następuje zgoda, z niemiłym bez wyraźnej sprzeczki nie chce przestawać.

— Nie można się bawić, bo byle czego płacze, zaraz się obraża, skarży się, krzyczy i warjuje, chwali się, bije, chce przewodzić, plotkuje, oszukuje,—fałszywe, niezgrabne, małe, głupie, brudne, brzydkie.

Takie jedno małe piskliwe i dokuczliwe, psuje całą zabawę. Przyjrzyj się wysiłkom dzieci, by je unieszkodliwić! Starsze chętnie dopuszczą do zabawy i małe, bo i ono może się przydać, ale niech mu wystarcza drugorzędna rola, niech nie przeszkadza.

— Daj mu, ustąp, pozwól: ono małe.

Nieprawda: dorośli nie ustępują wcale dzieciom...

Dlaczego nie lubi chodzić tam z wizytą? Tam są dzieci, toż chętnie się z niemi bawi.

Chętnie, ale u siebie albo w ogrodzie. A tam jest pan, który krzyczy, tam całują natrętnie, służąca go obraziła, starsza siostra ich drażni się, tam jest pies, którego się boi. Ambicja nie pozwala mu podać istotnych motywów, a matka sądzi, że kaprys.

Nie chce iść do ogrodu. Dlaczego? Bo mu starszy chłopiec zagroził, że zbije, bo bona jednej dziewczynki zapowiedziała, że się poskarży, bo mu ogrodnik kijem groził, gdy szedł na trawnik po piłkę; bo obiecał przynieść chłopcu markę, a gdzieś mu się podziała.

Są dzieci kapryśne, widziałem ich parę dziesiątków podczas godzin przyjęć lekarskich. Te dzieci wiedzą czego chcą, ale tego im nie dadzą: im tchu brak, one się duszą pod ciężarem troskliwej opieki. Jeśli naogół stosunek dzieci do dorosłych jest chłodny, te patologicznie kaprysne dzieci pogardzają i nienawidzą swego otoczenia. Nierozumną miłością można katować dzieci; prawo winno je wziąć pod opiekę.

81. Przystroiliśmy dzieci w uniform dziecięctwa i wierzymy, że nas kochają, szanują, ufają, że są niewinne, łatwowierne, wdzięczne. Gramy bez zarzutu rolę bezinteresownych opiekunów, rozrzewniamy się myślą o ponoszonych ofiarach i, rzec można, dobrze nam jest z niemi do czasu. One zrazu wierzą, potem wątpią, usiłują usunąć zakradające się podstępnie podejrzenia, niekiedy próbują z niemi walczyć, a widząc bezowocność walki, zaczynają nas zwodzić, podkupywać, wyzyskiwać.

Wyłudzają prośbą, wdzięcznym uśmiechem, pocałunkiem, żartem, posłuszeństwem, kupują za czynione nam ustępstwa, zrzadka i taktownie dają do zrozumienia, że mają pewne prawa, niekiedy dokuczliwością wymuszą, niekiedy otwarcie się pytają: a co wzamian dostanę?

Sto odmian uległych i zbuntowanych niewolników.

— Niełądnie, niezdrowo, grzech. Pani mówiła w szkole. Oj, żeby to mamusia wiedziała.

— Jak nie chcesz, to możesz sobie iść. Twoja pani taka mądra, jak i ty. Niech sobie mama wie: i cóż mi zrobi?

Nie lubimy, gdy strofowane dziecko „mruczy coś pod nosem“, bo w gniewie cisną się na usta szczere słowa, których nie jesteśmy ciekawi.

Dziecko ma sumienie, ale jego głos milczy w drobnych codziennych utarczkach, natomiast wypływa tajona niechęć do despotycznej więc niesprawiedliwej władzy silnych, więc nieodpowiedzialnych.

Jeśli dziecko lubi wesołego wujka, to że dzięki niemu ma chwilę swobody, że wnosi życie, że mu dał podarek. A podarek tem cenny, że zaspokoił dawno pieszczone marzenie. Dziecko o wiele mniej ceni prezenty, niż sądzimy, niechętnie przyjmuje je od ludzi niemiłych: „myśli, że mi łaskę robi“, burzy się upokorzone.

82. Dorośli nie są mądrzy; nie umieją korzystać ze swobody, którą mają. Oni tacy szczęśliwi, wszystko mogą kupić, co chcą, wszystko im wolno, a zawsze się o coś złoszczą, o byle co krzyczą.

Dorośli nie wiedzą wszystkiego: często odpowiadają, aby zbyć, albo żartem, albo tak, że nie można zrozumieć; jeden mówi tak, drugi inaczej, i niewiadomo, kto mówi prawdę. Ile jest gwiazd? Jak będzie po murzyńsku: kajet? Jak człowiek zasypia? Czy woda żyje i skąd ona wie, że jest zero ciepła, że ma się z niej zrobić lód? Gdzie jest piekło? Jak ten pan zrobił, że w kapeluszu z zegarków ugotowała się jajecznica, i zegarki są całe, i kapelusz się nie zepsuł: czy to jest cud?

Oni nie są dobrzy. Rodzice dają dzieciom jeść, ale muszą dawać, bobyśmy umarli. Na nic dzieciom nie pozwalają, śmieją się, jak coś powiedzieć, zamiast wytłomaczyć, umyślnie nie drażnią, żartują sobie. Są niesprawiedliwi, a jak ich kto oszuka, to mu wierzą. Lubią, żeby im się lizać. Jak są w dobrym humorze, to wszystko wolno, ale jak źli, wszystko im przeszkadza.

Dorośli kłamią. To kłamstwo, że od cukierków robią się robaki, a jak nie jeść, to się cyganie śnią, a jak się ogniem bawić, to się ryby łowi, a jak się nogami buja to się djabła kołysze. Oni nie dotrzymują słowa: obiecują, a potem zapominają, albo się wykręcają, albo niby za karę nie pozwalają: i tak by nie pozwolili przecież.

Każą mówić prawdę, a jak powiedzieć, to się obrażają. Oni są fałszywi: w oczy mówią co innego, a za oczy też co innego. Jak kogoś nie lubią, to udają, że lubią. Ciągle tylko: „proszę, dziękuję, przepraszam, kłaniam się“, myślałby kto, że naprawdę.

Usilnie proszę zwrócić uwagę na wyraz twarzy dziecka, gdy wesoło biegnie, w zapale powie lub zrobi coś zdrożnego, i nagle zostaje ofuknięte brutalnie.

Ojciec pisze; dziecko przybiega z nowiną i chwyta go za rękaw. Ono ani przeczuwa, że zrobi się kleks na ważnym dokumencie. Zgromione patrzy pełnym zdumienia wzrokiem: co się nagle stało?

Doświadczenie paru niestosownych pytań, nieudanych żartów, zdradzonych tajemnic, niebacznych zwierzeń, uczy dziecko odnosić się do dorosłych, jak do oswojonych ale dzikich zwierząt, których nigdy nie można być dość pewnym.

83. Prócz lekceważenia i niechęci, w stosunku dzieci do dorosłych można się dopatrzeć i pewnego wstrętu.

Koląca broda, szorstka twarz, zapach cygara, urażają dziecko. Po każdym pocałunku sumiennie twarz wyciera, dopóki nie zabronią. Większość dzieci nie znosi, gdy brać je na kolana; gdy je weźmiesz za rękę, łagodnie powoli ją usuwają. Tołstoj zauważył tę cechę wiejskich dzieci, jest ona właściwa wszystkim, nie zdeprawowanych, nie zahukanym w uległości.

O odorze potu, silnym zapachu perfum dziecko z obrzydzeniem mówi: „śmierdzi“, dopóki nie pouczą, że to brzydki wyraz, że perfumy pachną, tylko ono się nie zna...

Ci różni panowie i panie, którzy mają odbijania, łamania, parcia, którym gorzko w ustach, szkodzi im przeciąg, wilgoć,

boją się jeść na noc, kaszel ich dusi, zębów brak, po schodach trudno im chodzić, czerwoni, otyli, sapiący, paskudne to jakieś wszystko.

Te ich pieszczotliwe zwroty, głaskania, tulenia, klepania, ta poufałość, lekceważenie, pobłażliwość, bezsensowne pytania, śmiech nie wiadomo z czego.

— Do kogo podobna? Ho, ho, jaki duży. Patrzcie, jak to rośnie.

Dziecko zażenowane czeka, kiedy się to skończy...

Dla nich powiedzieć przy wszystkich: „ej, bo zgubisz majtki“, albo: „ryby łowić będziesz w nocy“, to nic. Oni są nieprzyzwoici...

Dziecko czuje się czyściejsze, lepiej wychowane, bardziej godne szacunku. Zresztą sami to mówią czasem.

— Boi się jeść, boi się wilgoci. Tchórze: ja się wcale nie boję. Jak się boją, niech siedzą za piecem, dlaczego nam zabraniają?

Deszcz: wybiegnie z ukrycia, postoi na ulewie, ze śmiechem ucieka, przyklepuje włosy. Mróz: zegnie ręce w łokciach, zgarbi się, wzniesie ramiona, wstrzymuje oddech, napina mięśnie, palce grabieją, wargi sine, patrzy na pogrzeb, na bójkę uliczną, biegnie się rozgrzać: brr, zmarzłem, wesoło.

Biedni ci starzy, którym wszystko przeszkadza.

I bodaj czy nie jedyne dobre uczucie, które dziecko stale do nas żywi, jest — litość.

— Widać im coś przeszkadza, kiedy nie są szczęśliwi.

Tatuś biedny pracuje, mama słaba, oni niedługo umrą, biedni, nie należy ich martwić.

84. Zastrzeżenie.

Obok powyższych uczuć, których dziecko niewątpliwie doznaje, obok nasuwających się własnych refleksyi, dziecko rozumie obowiązek; nie wyzwala się całkowicie z narzuconych poglądów i uczuciowych sugestyi. Czynne wyraziściej i szybciej, bierne później i mglisciej, przeżywają konflikty rozdwojonej jaźni. Czynne samodzielnie snuje, biernemu „otwiera oczy“ towa-

rzysz niedoli, niewoli, żadne nie systematyzuje, jak to ja uczyniłem. Dusza dziecka jest równie złożona, jak nasza, pełna podobnych sprzeczności, tragicznie zmagająca się w odwiecznem: pragnę, ale nie mogę, wiem że należy, ale nie podołam.

Wychowawca, który nie wtłacza a wyzwala, nie ciągnie a wznosi, nie ugniata a kształtuje, nie dyktuje a uczy, nie żąda a zapytuje, przeżyje wraz z dzieckiem wiele natchnionych chwil, łzawym wzrokiem nieraz patrzeć będzie na walkę anioła z szatanem, gdzie biały anioł tryumf odnosi.

Skłamał. Wziął pokryjomu konfiturę z tortu. Podniósł dziewczynce sukienkę. Rzucał kamienie w żaby. Śmiał się z garbusa. Złamał figurkę i złożył, żeby nie było znać. Palił papierosa. Zły był i przeklął ojca w myśli.

Postąpił źle i czuje, że nie ostatni raz, że go znów coś skusi, że znów go namówią.

Bywa, że dziecko staje się nagle ciche, pokorne i czułe. Znają to dorośli: „widocznie ma coś na sumieniu“. Często tę dziwną zmianę poprzedza burza uczuć, łzy duszone w poduszkę, postanowienia, uroczysta przysięga. Bywa, że gotowiśmy przebaczyć, byleśmy otrzymali zapewnienie, ach nie gwarancje, ale złudzenie, że psota się nie powtórzy.

Ja nie będę inny. Ja nie mogę obiecać.

Nie upór a uczciwość dyktuje te słowa.

— Ja rozumiem, co pan mówi, ale ja nie czuję — powiedział mi dwunastoletni chłopiec.

Tę szacunku godną uczciwość spotykamy i u dzieci ze złemi skłonnościami:

— Ja wiem, że nie należy kraść, że to wstyd i grzech. Ja nie chcę kraść. Ja nie wiem, czy znów nie ukradnę. Ja niewinien!

Bolesne chwile przeżywa wychowawca, widząc, własną bezsiłę w bezradności dziecka.

85. Ulegamy złudzeniu, że dziecko długo zadowolnić się może anielskim światopoglądem, gdzie wszystko jest proste i dobrotliwie rozumne, że zdołamy ukryć przed niem niewiedzę, sła-

łość, sprzeczności, nasze porażki i upadki—i brak formuły szczęścia. Naiwny jest przepis samouczków pedagogicznych, by wychowywać dzieci konsekwentnie, by ojciec nie krytykował czynów matki, by dorośli nie rozmawiali przy dzieciach, by służąca nie kłamała, że „państwa niema w domu“, gdy dzwoni niepożądany gość.

A dlaczego nie wolno męczyć zwierząt, a muchy setkami giną w mękach na lepkim papierze? Dlaczego mama kupuje ładną sukienkę, a brzydko jest mówić, że sukienka ładna? Czy kot musi być fałszywy? Piorun; niania się przeżegnała i mówi: Bóg, a pani mówi, że elektryczność? Za co dorosłych trzeba szanować, czy i złodzieja też? Wujcio powiedział: „aż mnie bebechy zabolały“, a brzydko tak mówić. Dlaczego „psia krew“, to przekleństwo? Kucharka wierzy w sny, a mama nie. Dlaczego się mówi: zdrów, jak ryba, kiedy ryby chorują? Czy pies w studni używa? Dlaczego brzydko jest się pytać, ile kosztuje prezent?

Jak ukryć, jak wyjaśnić, aby nie pogłębić niezrozumienia?

O, te nasze odpowiedzi...

Przypadek zdarzył, że dwa razy byłem świadkiem, jak tłomaczono dziecku przed wystawą księgarni, co to jest globus.

— Co to za piłeczka? – pyta się dziecko.

— Taka sobie piłeczka — odpowiada niania.

Innym razem:

— Mamo, co to za kula?

— To nie kula a ziemia. Tam są domy, koniki, mamusia.

— Mamusiaaa? — dziecko spojrzało na matkę ze współczuciem i obawą, nie ponawiało pytania.

86. Widzimy dzieci w burzliwych przejawach radości i smutku, gdy się różnią od nas, nie dostrzegamy pogodnych nastrojów, cichych zadumań, głębokich wzruszeń, bolesnych zdziwień, jątrzących podejrzeń i upokorzających wątpliwości, w których są do nas podobne. „Prawdziwem” jest nie tylko dziecko, skaczące na jednej nodze, ale i roztrząsające tajemnice przedziwnej bajki życia. Należy tylko wyłączyć naprawdę „sztuczne” dzieci, które bezmyślnie powtarzają frazesy, wyuczone lub po-

chwycone od dorosłych. Dziecko nie może myśleć „jak dorosły", ale może dziecięco zastanawiać się nad poważnemi zagadnieniami dorosłych; brak wiedzy i doświadczenia zmusza je, by inaczej myślało.

Opowiadam bajkę: czarodzieje, smoki, wróżki, zaklęte królewny, nagle zjawia się pozornie naiwne pytanie:

— Czy to prawda?

I słyszę, jak któreś tonem wyższości tłomaczy:

— Przecież pan mówił, że to bajka.

Ani osoby ani akcja, nie są nieprawdopodobne; to mogłoby być, a nie jest dlatego, żeśmy zapowiedzieli: bajki nie są prawdą.

M o w a, która miała rozwikłać grozy i dziwy otaczającego świata, przeciwnie pogłębiła i rozszerzyła niewiedzę. Dawniej małe bieżące życie osobistych potrzeb wymagało pewnej liczby stanowczych odpowiedzi, nowe wielkie życie słowa zatopiło je we wszystkie naraz zagadnienia, wczorajsze i jutrzejsze, dalekie i najdalsze. Niema czasu ani rozważyć, ani nawet rozpatrzeć wszystkiego. Wiedza teoretyczna odrywa się od życia codziennego i wzlatuje ponad sprawdzalność.

Tu, temperamenty czynny i bierny przeobrażają się w typy umysłowe: realny i refleksyjny.

Realny wierzy i nie wierzy, zależnie od woli autorytetu: wygodniej, korzystniej wierzyć; refleksyjny rozpytuje, wnioskuje, przeczy, buntuje się w myślach i czynach. Nieświadomy fałsz pierwszego przeciwstawiamy woli poznania u drugiego, to błąd, który utrudnia djagnozę i nieudolną czyni terapję wychowawczą.

W klinikach psychiatrycznych stenograf zapisuje monologi i rozmowy pacjentów, to samo będzie w przyszłych klinikach pedologicznych. Dziś mamy tylko materjał pytań dziecięcych.

87. Życie-bajka. Bajka o świecie zwierzęcym.

W morzu są ryby, które połykają ludzi. Czy te ryby są większe od okrętu? Czy jak połknie człowieka, to on się udusi; a jeżeli połknie świętego? Co one jedzą, jak się żaden okręt nie rozbije? Czy taką rybę można złapać? Jak mogą żyć w morzu zwyczajne ryby? Dlaczego nie wyłowią tych ryb? Czy ich

jest dużo, czy miljon? Czy z takiej ryby można zrobić łódkę? Czy to są przedpotopowe ryby?

Pszczoły mają królowę, a dlaczego króla nie mają, czy on umarł? Jeżeli ptaki wiedzą, którędy lecieć do Afryki, to one są mądrzejsze od ludzi, bo się nie uczyły. Dlaczego ona się nazywa stonoga, jeżeli nie ma stu nóg, a ile ma naprawdę? Czy wszystkie lisy są chytre, czy one się nie mogą poprawić, dlaczego są takie? Jeżeli ktoś męczy i bije psa, to on także jest wierny? A dlaczego nie można patrzeć, jak pies wskakuje na psa? Czy wypchane zwierzęta żyły, czy człowieka można wypchać? Czy ślimakowi jest bardzo niewygodnie; czy jak go wyjąć, to umrze; dlaczego on taki mokry, czy on jest ryba; czy on rozumie, jak mówić: „ślimak wystaw rogi“? Dlaczego ryby mają zimną krew? Dlaczego żmiję nie boli, jak ona zmienia skórę? O czem mrówki rozmawiają ze sobą? Dlaczego człowiek umiera a zwierzęta zdychają? Jeżeli pająkowi zepsuć pajęczynę, czy on zdechnie, zkąd weźmie nitkę, żeby zrobić drugą pajęczynę. Jak z jajka może się zrodzić kura, czy trzeba jajko zakopać w ziemię? Jak struś je kamienie i żelazo, to czem on robi ę-ę? Skąd wielbłąd wie, na ile dni ma zrobić zapas wody? Czy papuga ani troszkę nie rozumie, co mówi, czy ona jest mądrzejsza od psa, dlaczego psu nie można podciąć języka, żeby mówił, czy pierwszy Robinson nauczył papugę mówić, czy trudno nauczyć, jak to się robi?

Barwna bajka o roślinach.

Drzewo żyje, oddycha, umiera. Z małego żołędzia wyrasta dąb. Z kwiatka robi się gruszka, czy to można widzieć? Czy koszule rosną na drzewach? Pani mówiła w szkole (przysięgał się na Boga) czy to prawda? Ojciec odpowiedział: „nie pleć głupstw“, mama, że nie na drzewach, tylko len rośnie w polu, a w szkole powiedziała pani, że na arytmetyce o tem nie można mówić, że wytłomaczy kiedyindziej. Więc to nie jest kłamstwo: żeby choć jedno takie drzewko zobaczyć.

Czem wobec tych dziwów jest smok? Niema go, ale mógłby być. Jak Krakus mógł zabić smoka, jeżeli go niema? Jeżeli niema syren, to dlaczego rysują?

88. Bajka—narody.

Murzyn jest czarny, żeby się nie wiedzieć jak mył. Język nie jest czarny, zęby też nie. To nie jest djabeł: niema ani rogów ani ogona. Ich dzieci też są czarne. Oni są okropnie dzicy: jedzą ludzi. Oni nie wierzą w Boga, tylko w żaby. Przedtem wszyscy wierzyli w drzewo, byli głupi; Grecy wierzyli także w głupstwa, ale byli mądrzy, to dlaczego wierzyli? Murzyni chodzą rozebrani po ulicy i wcale się nie wstydzą. Oni kładą w nos muszle i myślą, że to ładnie; dlaczego im nie powiedzą, żeby tego nie robili? Szczęśliwi są: jedzą figi, daktyle i banany, mają małpy, nie uczą się wcale, mały chłopak zaraz idzie na polowanie.

Chińczycy mają warkocze, są bardzo śmieszni. Francuzi są najmądrzejsi, ale jedzą żaby i mówią: bążur. Niby mądrzy, a tak śmiesznie mówią: „bą-pą-fą-bzdą". Znów niemcy, derdidas, kapusta i kwas. Żydzi boją się wszystkiego, wołają: aj-waj, mir i oszukują. Żyd żeby nie wiem co, musi oszukać; bo oni zabili Pana Jezusa. W Ameryce też są Polacy, co oni tam robią, poco oni wyjechali, czy tam jest ładnie? Cygani kradną dzieci, łamią im nogi i każą żebrać, albo oddają do cyrku. Musi być przyjemnie przedstawiać w cyrku, chociaż oni wykręcają ręce. Czy jak raz ręce wykręcić, to już zawsze można robić sztuki? Czy są krasnoludki, dlaczego ich niema, a jeżeli niema, to zkąd wiadomo, jak oni wyglądają? A po ulicy szedł mały pan, wszyscy się oglądali, czy lilipuci nigdy nie urosną, czy oni za karę są tacy mali? Czy fenicjanie byli czarodzieje: jak oni z piasku mogli zrobić szkło? czy to trudno? Czy górale chodzą i po takich górach, z których bucha ogień? Czy marynarze, to naród, czy oni mogą żyć w wodzie, czy trudniej być nurkiem czy marynarzem: kto ważniejszy?

Niekiedy pytanie budzi niepokój:

— Czy jak jabym się cały wysmarował atramentem, to murzyni by mnie poznali?

Dziecko z trudem godzi się z wiadomością, która nie może mieć praktycznego zastosowania. Ono chciało by zrobić też, spróbować, a przynajmniej widzieć zblizka.

89. Bajka—człowiek.

Czy są ludzie, którzy mają oczy ze szkła, czy mogą te oczy wyjmować, czy można temi oczami widzieć? Poco są peruki i dlaczego się śmieją, jak kto jest łysy? Czy są ludzie, którzy mówią brzuchem, czy oni pępkiem mówią, poco jest pępek? Czy w uchu są prawdziwe bębenki? Dlaczego łzy są słone i dlaczego morze jest słone. Dlaczego dziewczynka ma długie włosy i tam też ma inaczej? Czy na sercu rosną grzyby, dlaczego na Prima Aprilis są malowanki z grzybami na sercu? Czy musi się umrzeć? Gdzie ja byłem, jak mnie nie było na świecie? Służąca mówi, że można tak spojrzeć, że się będzie chorym, a jak trzy razy splunąć, to się nie zachoruje. Co się robi w nosie, jak się kicha? Czy warjat jest chory, czy pijany jest chory, co gorsze: pijany czy warjat? Dlaczego teraz nie mogę się dowiedzieć, jak się rodzą dzieci? Czy wiatr jest dlatego, że się ktoś powiesił? Lepiej być ślepym czy głuchym? Dlaczego dzieci umierają a starzy żyją? Czy trzeba więc płakać, jak babcia umrze czy jak braciszek? Dlaczego kanarek nie może iść do nieba. Czy macocha musi bić dzieci? Czy mleko z piersi to jest także od krowy? Czy jak się coś śni, to tak jest naprawdę, czy się tylko zdaje? Od czego włosy są rude? Dlaczego bez męża nie można mieć dziecka? Czy lepiej zjeść trujący grzyb, czy żeby żmija ukąsiła? Czy prawda, że jak stać na deszczu, to się prędzej rośnie? Co to jest echo, dlaczego ono jest w lesie? Dlaczego jak zwinąć rękę w rurkę i patrzeć, to można widzieć cały dom: jak on się może zmieścić? Co to jest cień, dlaczego nie można od niego uciec? Czy prawda, że jak wąsami pocałować dziewczynkę, to urosną wąsy? Czy prawda, że na zębach są robaki, tylko ich nie można widzieć?

90. Bajka—autorytety.

Dziecko ma licznych bogów, półbogów i bohaterów:

Autorytety dzielą się na: widzialne i niewidzialne, żywe i martwe. Ich hierarchja jest niezmiernie zawiła. Mama, ojciec, babcia, dziadzio, ciocie, wuje, służba domowa, policjant, żołnierz, król, doktór, starsi wogóle, ksiądz, nauczysiel, doświadczeńsi koledzy.

Autorytety widzialne martwe: krzyż, zwój Tory, książka do nabożeństwa, obrazy święte, portrety przodków, pomniki wielkich ludzi, fotografję nieznanych osób.

Autorytety niewidzialne: Bóg, zdrowie, dusza, sumienie, zmarli, czarodzieje, djabły, anioły, duchy, wilki, odlegli krewni, o których się często wspomina.

Autorytety żądają posłuszeństwa, to dziecko rozumie, boleśnie rozumie. Żądają miłości, z tem wiele trudniej sobie radzić.

— Kocham więcej tatusia i mamusię.

Małe kokietują niezrozumiałą odpowiedzią na niezrozumiane pytanie. Starsze dziecko nie znosi tego pytania: upokarza je ono i żenuje. Ona raz bardzo kocha, raz mniej, raz tak sobie, tyle ile koniecznie potrzeba, niekiedy nienawidzi, tak, to okropne, ale cóż zrobić, kiedy nienawidzi.

Szacunek, to uczucie tak złożone, że dziecko zrzeka się własnej decyzji, zdaje się na doświadczenie starszych.

Mama każe służącej, służąca się mamy boi. Mama gniewała się na bonę. Mama musi się zapytać, czy doktór pozwoli. Policjant może mamę ukarać. Kolega się mamy nie potrzebuje słuchać. Na tatusia gniewał się zwierzchnik w biurze, dlatego tatuś jest smutny.

Żołnierz boi się oficera, oficer generała, a generał króla. Tu wszystko jest zrozumiałe, może dlatego chłopców zajmują tak rangi wojskowe; może dlatego dzieci tak dokładnie dozują szacunek dla klas szkolnych, że tu też łatwo zrozumieć.

Bardzo godni szacunku są pośrednicy między widzialnemi i niewidzialnemi autorytetami. Ksiądz rozmawiał z Bogiem, doktór ma jakieś konszachty ze zdrowiem, żołnierz ma stosunki z królem, a służąca wiele wie o czarach, strachach i duchach.

Bywają jednak chwile, gdy najgodniejszym szacunku jest pastuch, który kozikiem wycina figurkę: tego ani mama, ani generał, ani doktór nie potrafi.

91. Dlaczego od niedojrzałych owoców brzuch boli? Czy zdrowie jest w brzuchu czy w głowie? Czy zdrowie to jest dusza? Dlaczego pies może żyć bez duszy, a człowiek zaraz

umiera? Czy doktór choruje, czy umiera, dlaczego? Dlaczego wszyscy wielcy ludzie umarli? Czy prawda, że są panowie, co piszą książki i żyją? Królowie wszyscy umierają: oni się nie chowają. Czy królowa ma skrzydła? Czy Mickiewicz był święty? Czy ksiądz widział Boga? Czy orzeł może dofrunąć do nieba? Czy Bóg się modli? Co robią anioły, czy śpią, czy jedzą, czy grają w piłkę, kto im szyje sukienki? Czy djabłów bardzo boli? Czy djabły zatruły trujące grzyby? Jeżeli Bóg gniewa się na zbójców, to dlaczego każe się za nich modlić? Czy jak Mojżesz zobaczył Boga, to się bardzo zląkł? Dlaczego tatuś się nie modli, czy Bóg mu pozwolił? Czy grzmot, to cud? Czy powietrze, to Bóg? Dlaczego nie można widzieć powietrza? Czy powietrze zaraz wchodzi do pustej butelki, czy potroszku, skąd ono wie, że tam już niema wody? Dlaczego biedni przeklinają, żeby nie przeklinali, toby im było lepiej. Jeżeli to nie jest cud, to dlaczego nikt nie może zrobić deszczu? Z czego są chmury zrobione? Czy ta ciocia, która daleko mieszka, czy ona mieszka w trumnie?

Jak dziecinna jest nadzieja rodziców (tylko nie nazywajcie ich postępowymi), że powiedziawszy dzieciom: niema Boga, ułatwią im rozumienie otaczającego świata: Jeżeli niema Boga, to co jest, to kto to wszystko zrobił, to co będzie, jak umrę, zkąd się wziął pierwszy człowiek? Czy to prawda, że jak się nie modlić, to się żyje, jak bydlę? Tatuś mówi, że niema aniołów, a ja go widziałam własnemi oczami. Jak nie jest grzech, to dlaczego nie wolno zabijać? Przecież i kurę boli?

Też same wątpliwości i niepokojące pytania.

92. Ponura bajka, tajemnicza nędza.

Dlaczego głodny, dlaczego biedny, dlaczego mu zimno, dlaczego nie kupi, dlaczego niema pieniędzy, dlaczego mu „tak“ nie dadzą?

Powiadasz:

Biedne dzieci są brudne, mówią brzydkie wyrazy, na głowie mają robaki. Biedne dzieci chorują, i od nich się można zarazić. One się biją, kamienie rzucają, oczy wybijają. Na po-

dwórko nie wolno chodzić, do kuchni nie wolno: tam niema nic ciekawego.

A życie głosi:

— Wcale nie chorują, cały dzień biegają sobie, wodę ze studni piją, kupują smaczne farbowane cukierki. Chłopak wywija miotłą, zamiata podwórko, śnieg zgarnia, to bardzo przyjemne. Żadnych robaków nie mają, to nieprawda, kamieni nie rzucają, mają oczy, nie biją się a mocują. Brzydkie wyrazy są śmieszne, a w kuchni sto razy przyjemniej niż w pokoju.

Mówisz dziecku:

— Biednych należy kochać i szanować, oni są dobrzy, ciężko pracują. Trzeba być wdzięcznym kucharce, bo obiad gotuje, stróżowi, bo porządku pilnuje. Baw się z dziećmi stróża

A życie głosi:

— Kucharka zabiła kurę, jutro będziemy jedli, mama też będzie jadła, bo kura ugotowana, to ją nie boli; a kucharka zabiła żywą, mama nawet patrzeć nie może. Stróż utopił szczenięta, takie były śliczne. Kucharka ma takie twarde ręce, ona babrze się w brudnej wodzie. Chłop śmierdzi, żyd śmierdzi. Nie mówi się: pani, tylko: przekupka; nie: pan, tylko: stróż. Biedne dzieci są brudne; jak im coś pokazać, to zaraz mówią: „daj mi to“, a jak nie dać, to kapelusz zrzucają, śmieją się, a jeden plunął, w twarz plunął...

Jeszcze dziecko nie słyszało o złych czarownikach, a mimo to z obawą się zbliża, by dać grosz dziadkowi.

Dziecko wie, że i tu mu wszystkiego nie mówią, że i w tem kryje się coś brzydkiego, czego mu nie chcą czy nie mogą wyjaśnić.

93. Dziwactwa życia towarzyskiego i dobrego ułożenia.

Niеładnie jest kłaść palec w usta, dłubać w nosie, pociągać nosem. Niеładnie prosić, mówić: „ja nie chcę“, usuwać się, jak kto całuje, mówić: „nieprawda“. Niеładnie ziewać głośno, mówić: „mnie się nudzi“. Niеładnie się podpierać, pierwszemu podawać rękę dorosłym. Brzydko jest bujać nogami, trzymać ręce

w kieszeni, oglądać się na ulicy. Nieładnie robić głośno uwagi i palcem pokazywać.

Dlaczego?

Te zakazy i nakazy płyną z rozmaitych źródeł, dzieci nie mogą pochwycić ich istoty i związku.

Niełądnie jest biegać w koszuli i niełądnie pluć na podłogę.

Dlaczego niełądnie jest siedząc odpowiadać na pytania dorosłych? Czy ojcu na ulicy też należy się kłaniać? Co robić, jeśli ktoś mówi to, co nie jest prawdą; naprz. wuj mówi: „ty jesteś dziewczyna“, a on chłopak; albo: „ty jesteś moja narzeczona“, albo: „ja ciebie od mamy kupiłem“, przecież to kłamstwo.

— Dlaczego dla dziewczynek trzeba być grzecznym? — zapytał się mnie uczeń podczas dyktanda.

— To ma znaczenie historyczne — odpowiedziałem.

— Dlaczego napisałeś „wrucił“ przez u? — zapytałem się w parę chwil później.

— To ma znaczenie historyczne — odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.

Na to samo pytanie jedna z matek odpowiedziała:

— Widzisz: dziewczynka będzie rodzić dzieci, będzie chorowała i t. d.

Niezadługo znów wynikła sprzeczka między bratem i siostrą.

— Moja mamusiu, co mnie to może obchodzić, jak ona rodzić będzie dzieci. Dla mnie ważne jest, żeby ona nie była beksa.

Najmniej szczęśliwe wydaje mi się tłomaczenie, spotykane najczęściej:

— Będą się z ciebie śmieli.

Jest wygodne i skuteczne, dziecko boi się śmieszności.

Ale z niego będą się też śmieli, że słucha mamy, że się jej zwierza, że nie zechce w przyszłości grać w karty, pić wódki, iść do domu publicznego.

I rodzice w obawie śmieszności popełniają niedorzeczne błędy. Najszkodliwszy błąd ukrywania wad dziecka i niedopatrzeń w jego wychowaniu, dziecko do czasu udaje wobec gości dobrze wychowane za sowitą zapłatę; a potem się mści.

94. Mowa ojczysta; to nie wybrane i dobrane dla dziecka przepisy i morały, a powietrze, którem dusza jego oddycha narówni ze zbiorową duszą całego narodu. Prawda i wątpliwość, wiara i obyczaj, miłość, niechęć, swawola i powaga, cała dostojność i poziomość, bogactwo i ubóstwo, wszystko co stworzył w natchnieniu wieszcz i wyżygał w pijanem bredzeniu zbir, stulecia pracy zbożnej i mroczne lata niewoli.

Kto nad tem myślał, kto o tem pisał, kto badał, jak tępić bakterje i przesycać ten żywioł ozonem? Możeby się okazało, że nie zdrowe ludowe: „srać“, a salonowe: „warta grzechu“ zawiera zarodki rozkładu?

— Niech będzie pochwalony. Bóg go skarał. Licho skusiło. Jak w raju. W ósmem niebie. Piekło w domu. Krzyżyk na drogę. Jak u Boga za piecem. Niech Pan Bóg opatrzy. Klepać pacierze. Świętoszek. Bohomaz. Bez grosza przy duszy. Dusza na ramieniu. Djabłuby duszę sprzedał. On ma grzeszki. W starym piecu djabeł pali. Zrobię sobie święto.

— Na zdrowie. Zdrowie twoje. Piątek dzień feralny. Czkawka, ktoś wspomina. Zakochana zupę przesoliła. Nóż upadł. głodny się spieszy. Księdzu skwarki zjadł. Jedną nogą w grobie.

— Chińskie ceremonje. Cygańskie wesele. Żydowskie słowo. Łaska pańska. Chamski łeb. Sieroca dola.

— Stary nudziarz, stary idjota, szczerbata baba. Smarkacz, gęś, szczeniak, żółtodziób, mleko ma pod nosem.

— Ślepy? Nie, niewidomy. Stary? Nie, wiekowy. Kaleka? Nie, ułomny.

— Pogoda pod psem. Na psy zeszedł. Psiamać, psiajucha. Wścieka się ze złości. Jak kot z pęcherzem. Wilczy apetyt. Zbił na kwaśnie jabłko.

— Niema oleju w głowie, ma zielono w głowie. Mydli oczy. Brak mu klepki. Pęka ze śmiechu. Wykręca się sianem. Zna jak swoją kieszeń. To będzie kiedyś sztuczka. Życie mi zatruwa.

Co to jest? Skąd się wzięło? Dlaczego to wszystko?

— Stół, to rzeczownik, stół, to podmiot.

— Ale dlaczego: głupi, jak stołowe nogi? Czy mądry był ten pan, który gramatykę wymyślił?

95. Dzieci nie lubią tych niezrozumiałych wyrażeń, niekiedy probują olśnić niemi otoczenie. One nie bez wyboru przyswajają mowę dorosłych, niektórym częstym naszym zwrotom opierając się wyraźnie.

— Daj, widzisz. Pożycz, słuchaj. Pokaż, widzisz.

„Widzisz“ — „słuchaj“ — odpowiadają naszemu: „proszę”. Prosić, to żebrać (dziad prosi). Dziecko nie lubi upokarzającego wyrazu.

— Myślisz, że się będę prosił? Nie proś go. Prosić go tam będę. Poczekaj, będziesz ty mnie prosił.

Znam jeden tylko, wyjątkowo uroczysty zwrot.

— Widzisz, jaki ty jesteś: ja ciebie tak proszę?

Nawet zwracając się do dorosłych, dziecko woli formę: „niech mama, niech pan“ i tylko ulegając żądaniu, „prosi“.

Wyrazem: „widzisz“ dziecko zastępuje niemniej przykry: „przepraszam“.

— Widzisz, ja nienaumyślnie. Widzisz, ja nie chciałem. Widzisz, ja nie wiedziałem.

A bogactwo zwrotów perswazji i ostrzeżenia, by uniknąć scen gwałtownych.

— Przestań, zostaw, nie zaczynaj, odejdź sobie, idź sobie. Zostaw że. Ja ci mówię: przestań. Proszę cię przestań (tu prośba jest bardzo stanowczym rozkazem). Nie odejdziesz ty? Słuchaj: nie przestaniesz nareszcie?

Groźba:

— Chcesz dostać? Chcesz oberwać? Zobaczysz, że pożałujesz. Ej, bo będziesz płakał.

Lekceważące zdwojenie wyrazu:

— Dobrze, dobrze... Wiem, wiem... Poczekaj, poczekaj.

Zmuszamy dziecko, by się bało.

— Dużo się boję. Myślisz, że się boję. Bać go się tam będę.

Każda własność dziecka jest sporna: nie wolno mu oddać bez pytania, nie wolno mu niszczyć, ma tylko prawo używania (tembardziej ceni niepodzielne posiadanie).

— Twoja ławka, twój stół?

— A mój (albo: a może twój?)

— Ja tu byłem pierwszy.

„Pierwszy“ zajął miejsce, zaczął tu się bawić, zaczął kopać. Dorośli, dbając o własny spokój, bardzo powierzchownie sądzą spory dzieci.

— On zaczął ze mną. On pierwszy zaczął. Ja stoje sobie a on...

Ciekawa jest forma przecząca:

— Jak go nie trzasnę. Jak nie zacznę uciekać. Jak nie zaczniemy się śmiać.

Treść opowiadania — swawola; może „nie“ jest echem zakazów.

Obiecałeś, pamiętaj. Dałeś słowo. Złamałeś słowo.

Kto obietnicy nie dotrzymuje jest świnią. Dorośli winni o tem pamiętać.

Bogaty materjał do studjów.

96. Dziecko, nie do cna poróżnione z biednymi, lubi kuchnię, a lubi nie dlatego, że tam są suszone śliwki i rodzynki, ale że w kuchni dzieje się coś, gdy w pokojach nie dzieje się nic, lubi bo bajka tam ciekawsza, bo obok bajki tam usłyszy i opowieść z prawdziwego życia, bo samo coś opowie, i słuchają je z zajęciem, bo w kuchni jest człowiekiem, a nie pinczerkiem na atłasowej poduszce.

— Więc bajka? A no dobrze. Więc co to ja miałem powiedzieć? Acha, więc to tak było. Zaraz, niech sobie przypomnę.

Zanim się bajka zacznie, dziecko ma czas obrać wygodną pozycję, poprawić ubranie, chrząknąć, przygotować się do dłuższego słuchania.

— Więc idzie, idzie przez las. A tu ciemno, nic nie widać: ani drzewa ani zwierza ani kamienia. Ciemno i ciemno. Więc ona tak się boi, tak się boi. Ano, przeżegnała się raz, trochę strach odszedł, przeżegnała się drugi raz i idzie dalej.

Próbowałem tak opowiadać, niełatwo. My nie mamy cierpliwości, my się śpieszymy, my nie szanujemy ani bajki ani słuchacza. Dziecko nie nadąża za tempem naszego opowiadania.

Może, gdybyśmy umieli tak mówić o płótnie, które się

z lnu robi, dziecko nie myślałoby, że koszule rosną na drzewach, a ziemię zasiewa się popiołem...

Zdarzenie prawdziwe:

— Rano wstaję, a tu mi się wszystko w oczach dwoi, patrzę na jedno, a widzę dwa. Patrzę na komin, dwa kominy, patrzę na stół, dwa stoły. Wiem, że jeden, a widzę dwa. Przecieram oczy, nie pomaga. A w głowie stuka, stuka.

Dziecko czeka na rozwiązanie zagadki, a gdy wreszcie przychodzi obca nazwa: tyfus, ono przygotowane jest na przyjęcie obcego wyrazu.

— Doktór powiada: tyfus...

Pauza. Narrator odpoczywa, odpoczywa i słuchacz.

— Więc jak zachorowałem na ten tyfus...

I dalej płynie opowiadanie.

Prosta opowieść o tem, że we wsi był gospodarz, który się żadnego psa nie bał, że się założył i psa złego jak wilk wziął na ręce i przyniósł, jak cielaka, zamienia się w epos. A jak na weselu jaden się przebrał za babę i nikt nie poznał. A jak gospodarz szukał skradzionego konia.

Trochę czujności, a możeby na estradzie ukazał się bajarz w sukmanie, nauczyłby nas, jak przemawiać do dzieci, aby być słuchanym. Czuwać trzeba, tak, my wolimy zabraniać.

97. Czy to prawda?

Należy rozumieć istotę tego pytania, którego my tylko nie lubimy, uważając za zbędne.

— Jeżeli mama, jeżeli nauczycielka mówiła, więc znaczy, że prawda.

Ba, dziecko przekonało się, że każdy z ludzi część tylko wiedzy posiada, że naprz. stangret więcej wie o koniach, niż nawet ojciec. Dalej, nie każdy wiedząc, mówi. Niekiedy nie chce im się, niekiedy naginają prawdę do poziomu dzieci, często ukrywają lub świadomie fałszują.

Prócz wiedzy, istnieje jeszcze wiara; jeden wierzy, drugi nie: babcia wierzy w sny, mama nie wierzy. Kto ma słuszność?

Wreszcie kłamstwo, jako żart i kłamstwo, żeby się pochwalić.

— Czy prawda, że ziemia, to kula?

Wszyscy mówią, że prawda. Jeśli ktoś jeden powie, że nieprawda, pozostanie cień wątpliwości.

— Pani była we Włoszech; czy to prawda, że Włochy są jak but?

Dziecko chce wiedzieć, czyś sam widział, czy wiesz od innych, skąd wiesz; chce, żeby odpowiedzi były krótkie i stanowcze, zrozumiałe, jednobrzmiące, poważne, uczciwe.

— Jak termometr mierzy gorączkę?

Jeden mówi: rtęć, drugi mówi: żywe srebro (dlaczego żywe?), trzeci, że ciała się rozszerzają (czy termometr, to ciało?), a czwarty, że się dowie później.

Bajka o bocianie obraża i gniewa dzieci, jak każda żartobliwa odpowiedź na poważne pytanie, czy niem będzie: skąd się biorą dzieci? czy, dlaczego pies szczeka na kota?

— Nie chcecie, to nie ułatwiajcie mi pracy, ale dlaczego utrudniacie, dlaczego drwicie, że chcę wiedzieć?

Dziecko, mszcząc się na towarzyszu mawia:

— Ja coś wiem, ale kiedyś taki, to ci nie powiem.

Tak, za karę nie powie, ale za co dorośli je karzą.

Notuję jeszcze parę pytań dziecięcych:

— Czy nikt na świecie nie wie? Czy nie można wiedzieć?

Kto to powiedział? Czy wszyscy, czy tylko jeden? Czy tak jest zawsze? Czy tak być musi?

98. Czy można?

Nie pozwalają, bo grzech, bo niezdrowo, bo nieładnie, bo jest za małe, bo nie pozwalają, i koniec.

I tu są sprawy wątpliwe i zawiłe. Czasem coś jest niezdrowo, gdy mama zła, czasem i małemu pozwolą, gdy ojciec w dobrym humorze lub przy gościach.

— Dlaczego zabraniają, coby im to szkodziło?

Szczęście, że zalecana przez teorję konsekwencja w praktyce jest niewykonalna. Bo jakże, chcecie dziecko wprowadzić

w życie w przeświadczeniu, że wszystko jest słuszne, sprawiedliwe, rozumnie umotywowane i niezmienne? W teorji wychowania zapominamy, że winniśmy uczyć dziecko nietylko cenić prawdę, ale i rozpoznawać kłamstwo, nietylko kochać ale i nienawidzieć, nietylko szanować ale i pogardzać, nietylko godzić się ale i oburzać, nietylko ulegać, ale i buntować się.

Często spotykamy ludzi dojrzałych, którzy się oburzają, gdy wystarcza zlekceważyć, pogardzają, gdzie należy współczuć. Bo w dziedzinie negatywnych uczuć jesteśmy samoukami, bo ucząc abecadła życia, uczą nas tylko paru liter, a pozostałe ukrywają. Czy dziw, że błędnie czytamy życie?

Dziecko czuje niewolę, cierpi z powodu więzów, tęskni do wolności, ale jej nie znajdzie, bo penta zmieniają formę, zachowują treść zakazu i przymusu. Nie możemy zmienić naszego życia dorosłych, bośmy wychowani w niewoli, nie możemy dać dziecku swobody, dopóki samiśmy w kajdanach.

Gdybym odrzucił z wychowania to wszystko, co obarcza moje dziecko przedwcześnie, spotkałoby się ono z surową oceną zarówno rówieśników, jak i dorosłych. Czy mus torowania nowych dróg, trud drogi przeciw prądowi, nie byłby cięższem jeszcze jarzmem? Jak boleśnie pokutuje w internatach szkół wolne ptactwo dworków wiejskich, za tych parę lat względnej swobody w polu, stajni i izbie czeladnej...

99. Dlaczego dziewczynka w wieku neutralnym już tak bardzo różni się od chłopca?

Bo prócz upośledzenia dziecięctwa ulega dodatkowym ograniczeniom jako kobieta. Chłopiec pozbawiony praw, bo dziecko, oburącz pochwycił przywilej płci, i nie puszcza, nie chcę się dzielić z rówieśną.

— Mnie wolno, ja mogę, ja chłopak.

Dziewczyna jest intruzem w ich gronie. Na dziesięciu zawsze jeden się zapyta:

— Poco ona z nami?

Niech tylko wyniknie spór, który chłopcy między sobą za-

łatwią, nie urażając ambicji, nie grożąc banicją, dla dziewczynki mają zawsze szorstkie zdanie:

— Nie podoba ci się, to idź do swoich.

Przestając chętniej z chłopcami, dziewczynka staje się osobnikiem podejrzanym w własnem gronie:

— Nie chcesz, to idź sobie do swoich chłopaków.

Upośledzenie odpowiada na pogardę pogardą: to odruch samoobrony atakowanej dumy.

Wyjątkowa się nie zniechęci, drwi z opinji, wyższa po nad tłum.

W czem wyraziła się wrogość ogółu dzieci do dziewcząt, które trwają w zabawach z chłopcami? Może się nie mylę twierdząc, że ta wrogość stworzyła bezwględne, okrutne prawo:

— Dziewczynka jest shańbiona, jeśli chłopiec zobaczy jej majtki.

Tego prawa w formie, jaką przyjęło wśród dzieci, nie wymyślili dorośli.

Dziewczynka nie może swobodnie biegać, bo jeśli się przewróci, zanim doprowadzi do porządku sukienkę usłyszy złośliwy okrzyk:

— Oo, majtki!

— Nieprawda, albo wyzywająco: no, więc co takiego? — mówi spłoniona, zmieszana, poniżona.

Niech tylko sprobuje się pobić, natychmiast okrzyk powstrzyma ją, obezwładni.

Dlatego dziewczynki są mniej zręczne, więc mniej godne szacunku, nie biją się, zato się obrażają, kłócą, skarżą i płaczą. A tu jeszcze starsi żądają dla nich respektu. Z jaką radością dzieci mówią o dorosłym:

— Ja się jego nie potrzebuje słuchać.

A oto dziewczynie ma ustępować, dlaczego?

Dopóki nie zwolnimy dziewcząt z : nie wypada, które ma źródło w ich stroju, próżne wysiłki, by stały się towarzyszami chłopca. Myśmy inaczej rozwiązali zadanie: przystroiliśmy chłopców w długie włosy i omotali równą liczbą przepisów przyzwoitości, i bawią się razem; zamiast mężnych córek podwoiliśmy liczbę zniewieściałych synów.

100. Dziecko, które zrazu dorośnie żagluje po powierzchni życia, nieświadome jego ponurej głębi, zdradzieckich nurtów, utajonych poczwar, przyczajonych wrogich mocy, ufne oczarowane, uśmiechnięte do barwnych niespodzianek, budzi się nagle z błękitnego półsnu i nieruchomym wzrokiem, powstrzymanym oddechem, drgającemi wargami, szepce trwożnie:

— Co to, dlaczego, poco?

Pijany się zatacza, niewidomy laską drogę maca, epileptyk pada na chodnik, złodzieja prowadzą, koń zdycha, kogutka zarzynają.

— Dlaczego? Poco to wszystko?

Ojciec mówi gniewnym głosem, a mama płacze, płacze. Wujcio pocałował służące, ona mu pogroziła, śmieją się, patrzą sobie w oczy. Mówią wzburzeni o kimś, że się pod ciemną gwiazdą urodził, więc mu trzeba kości połamać.

— Co to, dlaczego?

Nie śmie pytać się. Czuje się maleńkie, samotne i bezradne w obliczu zmagania się tajemniczych potęg.

Ono, które dawniej panowało, którego życzenie było rozkazem, uzbrojone w oręż łzy i uśmiechu, bogate posiadaniem mamy, taty, niani, dostrzaga, że to oni mają je dla rozrywki, że ono dla nich, nie oni dla niego. Czujne jak mądry pies, jak królewicz-niewolnik, patrzy wokoło i patrzy w siebie.

Oni coś wiedzą, oni coś ukrywają. Nie są tem, czem się mianują, i żądają, by ono nie było tem, czem jest istotnie. Chwalą prawdę, sami kłamią, każą kłamać. Oni zupełnie inaczej mówią do dzieci, inaczej między sobą. Oni śmieją się z dzieci. Mają jakieś swoje życie i gniewają się, gdy je dziecko pragnie przeniknąć; chcą by było łatwowierne, cieszą się, gdy naiwnem pytaniem, zdradzi się, że nie rozumie.

Smierć, zwierzę, pieniądze, prawda, Bóg, kobieta, rozum, we wszystkiem coś jakby fałsz, jakby brzydka zagadka, zła tajemnica. Dlaczego nie chcą powiedzieć, jak jest naprawdę?

I dziecko z żalem wspomina swe lata dziecięce.

101. Drugi okres niezrównoważenia, o którym nic więcej nie mogę powiedzieć stanowczo, jak tylko to, że istnieje, nazwałem szkolnym. Jest to nazwa wykrętu, nazwa niewiedzy, nazwa odczepna, jedna z tych wielu etykiet, które nauka puszcza w obieg, stwarzając pozór, łudząc profanów, że wie, gdy się zaledwie domyślać zaczyna.

Niezrównoważenie szkolne nie jest przełomem na granicy niemowlęctwa i pierwszego dziecięctwa i nie jest okresem dojrzewania.

Fizycznie: zmiana na niekorzyść w wyglądzie, śnie, łaknieniu, upośledzona odporność przeciw chorobom, ujawnianie się ukrytych skaz dziedzicznych, złe samopoczucie.

Psychicznie: osamotnienie, nieład duchowy, wrogość w stosunku do otoczenia, łatwe uleganie zarazie moralnej, bunt wrodzonych skłonności przeciw narzuconym wychowawczym wpływom.

— Co się z nim stało? Ja go nie poznaję, oto charakterystyka, podawana przez matkę.

Niekiedy:

— Myślałam, że to kaprysy, gniewałam się, karciłam, a ono widocznie już dawno było chore.

Dla matki niespodzianką jest ścisły związek dostrzeżonych zmian fizycznych i psychicznych.

— Przypisywałam to złemu wpływowi kolegów.

Tak, ale dlaczego wśród licznych wybrał złych, dlaczego tak łatwo znaleźli posłuch, zdobyli wpływ?

Dziecko, odrywając się boleśnie od najbliższych, słabo jeszcze zrośniete ze społeczeństwem dziecięcem, czuje tem większy żal, że się na nie gniewają, że mu pomódz nie chcą, że niema do kogo zwrócić się o radę, niema do kogo przytulić.

Gdy się spotyka te małe zmiany w internacie ze znaczną liczbą dzieci, gdy z pomiędzy stu dziś jedno, jutro drugie „psuje się“, staje się nagle leniwe, niezgrabne, senne, kapryśne, drażliwe, niekarne, kłamliwe, by po roku znów się zrównoważyć „poprawić“, trudno wątpić, że zmiany te zależne są od procesu wzrostu, którego praw niejakie poznanie dają objektywne, bezstronne narzędzia: waga i miara.

Przeczuwam chwilę, gdy waga, miara, może inne jeszcze przez genjusz ludzki zdobyte narzędzia, będa seismografem ukrytych sił ustroju, pozwolą nie tylko rozpoznawać, ale przewidywać.

102. Nieprawdą jest, że dziecko pragnie szybki z okna i gwiazdki z nieba, że je przekupić można pobłażaniem i uległością, że jest wrodzonym anarchistą. Nie, dziecko ma poczucie obowiązku, nie narzuconego przemocą, lubi plan i ład, nie wyrzeka się prawideł i obowiązków. Żąda tylko, by brzemię nie było zbyt ciężkie, by mu grzbietu nie raniło, by znalazło wyrozumienie, gdy się zawaha, pośliźgnie, gdy znużone przystanie, by tchu zaczerpnąć.

Spróbuj, przekonamy się, czy udźwigniesz, ile kroków przejdziesz z ciężarem, czy codziennie tyle podołasz, to naczelna zasada ortofrenji.

Dziecko, chce, by je traktowano poważnie, żąda zaufania, wskazówki i rady. My odnosimy się do niego żartobliwie, podejrzewamy bezustannie, odpychamy nierozumieniem, odmawiamy pomocy.

Lekarzowi, do którego przyszła po poradę, nie chce matka przytoczyć faktu, woli ogólne:

— Nerwowe, kapryśne, nieposłuszne.

— Fakty, szanowna pani, objawy nie djagnoza.

— Ugryzła przyjaciółkę. Aż wstyd powiedzieć. Lubi ją zawsze się z nią bawi.

— Pięć minut rozmowy z dzieckiem: nienawidzi „przyjaciółki“, która się śmieje z niej, z jej sukienek, a mamę nazwała śmieciarką.

Inny przykład: dziecko boi się spać samo w pokoju, rozpacza na myśl o zbliżającej się nocy.

— Dlaczego mi nie mówiłeś?

— Właśnie, że mówiłem.

Matka zlekceważyła: wstyd, żeby taki duży chłopiec się bał.

Trzeci przykład: plunął na bonę, wczepił jej się we włosy, z trudem go oderwano.

Bona brała go w nocy do łóżka i kazała się przyciskać; zagroziła, że włoży go do kufra, wywiezie i wrzuci do rzeki.

Przeraźliwie samotne może być dziecko w swem cierpieniu.

103. Okres realny, pogody, zacisza. Nawet dzieci „nerwowe“ stają się znów spokojne. Powraca żywość, jędrność dziecięca, harmonja funkcji życiowych. Jest i szacunek dla starszych, i posłuszeństwo i dobre ułożenie; niema niepokojących pytań, kaprysów i wybryków. Rodzice znów są z niego zadowoleni. Dziecko asymiluje się zewnętrznie z światopoglądem rodziny i środowiska, korzystając z względnej swobody, nie żąda więcej nad to, co mu dają, strzeże się wyjawiać poglądy, wiedząc z góry, które wrogo będą przyjęte.

Szkoła z jej mocną tradycją, rojnem i barwnem życiem, planem, żądaniem, troską, porażką i tryumfem; książka-towarzyszka, stanowią treść życia. Fakty nie dają czasu na jałowe dociekanie.

Dziecko już teraz wie. Wie, że nie wszystko jest w porządku na świecie, że jest dobro i zło, wiedza i nie wiedza, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, swoboda i zależność. Nie rozumie, to nie, co je to wreszcie obchodzi. Ono się godzi, płynie z prądem.

— Bóg? Trzeba się modlić, w razach wątpliwych dorzucić do modlitwy jałmużnę, tak jak robią wszyscy. Grzech? Przyjdzie skrucha i Bóg przebaczy.

Śmierć? Ano trzeba płakać, nosi się żałobę, wspomina z westchnieniem, tak wszyscy robią.

Żądają, by było przykładne, wesołe, naiwne, wdzięczne rodzicom, ale owszem, do usług.

— Proszę, dziękuję, przepraszam, mamusia się kłania, życzę z całego serca (nie z jednej połowy), takie to proste, łatwe, a zyskuje pochwałę, okupuje spokój.

Wie kiedy do kogo i jak i z jaką udać się prośbą, jak się zręcznie wywinąć z niemiłej sytuacji, jak komu czem dogodzić, i tylko oblicza „czy warto“.

Dobre duchowe samopoczucie, fizyczna pomyślność, czynią

je wyrozumiałem, skłonnem do ustępst: rodzice w gruncie rzeczy są dobrzy, świat naogół biorąc miły, życie pominąwszy drobiazgi, piękne.

Ten etap, który może być wyzyskany przez rodziców, by siebie i dziecko przygotować do oczekujących nowych zadań, jest okresem naiwnego spokoju i odpoczynku bez troski.

— Pomogły arszennik czy żelażo, dobra nauczycielka, ślizgawka, pobyt na letniem mieszkaniu, spowiedź, kazanie matki.

Rodzice i dziecko łudzą się, że się już porozumieli, że pokonali trudności, gdy równie jak wzrost ważna a najmniej przez współczesnego człowieka opanowana funkcja rozmnażania niezadługo pocznie tragicznie wikłać wciąż jeszcze trwającą funkcję osobniczego rozwoju, zamąci duch i zaatakuje ciało.

104. Znów tylko usiłowanie obejścia prawdy, drobne ułatwienie w jej rozumieniu, i niebezpieczeństwo omyłki, że się ją posiadło, wówczas gdy mamy tylko cień, parę kresek ogólnego konturu.

Ani okres zakłócenia, ani zrównoważenie nie jest wytłomaczeniem zjawiska, tylko jego popularnym nagłówkiem. Opanowane tajemnice kreślimy, jako objektywne formuły matematyczne, inne, wobec których stoimy bezradnie, płoszą nas i gniewają. Pożar, powódź, grad są katastrofą, ale tylko w ocenie szkód, które przynoszą; więc organizujemy straż ogniową, budujemy tamy, asekurujemy, bronimy. Do wiosen i jesieni przystosowaliśmy się. Z człowiekiem walczymy bezskutecznie, bo nie znając go, nie umiemy sharmonizować z nim życia.

Sto dni prowadzi do wiosny. Jeszcze niema ani jednego źdźbła trawy, ani jednego pąka, ale w ziemi i korzeniach jest już rozkaz wiosny, która w ukryciu trwa, drga, tai się, czai, wzbiera—pod śniegiem, w nagich konarach, w mroźnym wichrze, by nagle wybuchnąć rozkwitem. Tylko powierzchowne badanie widzi nieład w ziemnej pogodzie marcowego dnia, tam w głębi jest, co logicznie z godziny na godzinę dojrzewa, gromadzi się i szereguje, my tylko nie wyodrębniamy żelaznego prawa astro-

nomicznego roku od jego przypadkowych, przelotnych skrzyżowań z prawem mniej znanem lub nieznanem wcale.

Niema słupów granicznych między okresami życia, my je stawiamy tak, jak pomalowaliśmy mapę świata na różne kolory, ustawiwszy sztuczne granice państw, zmieniając je co lat kilka.

— Ono z tego wyrośnie, to wiek przejściowy, to się zmieni, i wychowawca z pobłażliwym uśmiechem czeka, aż szczęśliwy przypadek pomoże.

Każdy badacz kocha swą pracę za mękę poszukiwań i rozkosz walki, ale sumienny nienawidzi ją — obawą błędów, które niesie, pozorów, które stwarza.

Każde dziecko przeżywa okresy starczego znużenia, i pijanej pełni czynności życiowych, ale to nie znaczy, że należy ulegać i ochraniać, nie znaczy, że należy walczyć i hartować. Serce nie nadąża za wzrostem, więc dać mu spoczynek, a może pobudzać do żywszego działania, by wzmocniło się, wzrosło. To zagadnie nie można rozwiązać tylko w każdym przypadku i w danym momencie, trzeba jednak, byśmy zdobyli zaufanie dziecka, a ono zasługiwało na wiarę.

A przedewszystkiem trzeba, żeby nauka wiedziała.

105. Trzeba poddać gruntownej rewizji to wszystko, co przypisujemy dziś okresowi dojrzewania, z którym liczymy się poważnie, i to jest słusznie, ale czy nie przesadnie, jednostronnie, a głównie bez podziału wchodzących w jego skład czynników? Czy poznanie uprzednich etapów rozwojowych nie pozwoliłoby objektywniej przyjrzeć się temu nowemu ale jednemu z wielu okresów niezrównoważenia, o cechach podobnych do uprzednich, odbierając mu niezdrową tajemniczą wyjątkowość? Czy nie przystroiliśmy nieco sztucznie dojrzewającej młodzieży w taki sam uniform niezrównoważenia i niepokoju, jak dzieci— pogody i beztroski, czy nie udziela się jej ta suggestja? Czy nasza bezradność nie wpływa na burzliwość przebiegu? Czy nie zbyt wiele o budzącem się życiu, jutrzni, wiośnie i porywach, a nie zbyt mało faktycznych danych nauki?

Co przeważa: czy zjawisko ogólnego bujnego wzrostu, czy

tylko rozwoju poszczególnych narządów? Co zależne jest od zmian w systemie krwionośnym, sercu i naczyniach, od upośledzonej czy jakościowo zmienionej oksydacji tkanek mózgu i ich odżywienia, a co od rozwoju gruczołów, strun głosowych i uwłosienia skóry.

Jeśli zjawiska pewne wywołują panikę wśród młodzieży, rażąc boleśnie, zbierając bogate żniwo ofiar, łamiąc szeregi i niosąc zniszczenie, to nie, że tak być musi, ale że tak się dzieje w dzisiejszych warunkach socjalnych, że wszystko sprzyja takiemu przebiegowi i tego ułamka życiowej orbity.

Łatwo poddaje się panice żołnierz znużony; łatwiej gdy nieufnie patrzy na tych, którzy go prowadzą, podejrzewając zdradę lub widząc niezdecydowanie kierowników; jeszcze łatwiej, gdy dręczy go niepokój, niewiedza, gdzie jest, co przed nim, co z boków i za nim; najłatwiej, gdy atak spada niespodzianie. Samotność sprzyja panice, zwarta kolumna, ramię przy ramieniu, wzmaga spokojną odwagę.

Młodzież znużona wzrostem i samotna, bez rozumnego kierownictwa, zabłąkana w labiryncie życiowych zagadnień, spotyka się nagle z wrogiem, mając przesadne pojęcie o jego kruszącej potędze, nie wiedząc, skąd się wziął, jak się ukryć i bronić.

Jeszcze jedno pytanie.

Czy nie mieszamy patalogji okresu dojrzewania z fizjologją, czy poglądu naszego nie zbudowali lekarze, widząc tylko maturitas difficilis, dojrzewanie trudne, nie normalne? Czy nie powtarzamy błędu z przed stu lat, gdy wszystkie nieporządane objawy u dziecka do trzech lat przyisywano ząbkowaniu? Co dziś pozostało z legendy o „ząbkach“, to może za sto lat pozostanie z legendy o „dojrzewaniu płciowem“.

106. Badania Freuda nad życiem seksualnym dzieci splamiły dziecięctwo, ale czy nie oczyściły tem samem młodzieży? Rozwianie się ukochanego złudzenia o niepokalanej bieli dziecka rozwiało inne dręczące złudzenie: że nagle „obudzi się w niem zwierzę i rzuci w bagno“. Pomieściłem ten obiegowy frazes, by

tem silniej podkreślić, jak fatalistyczny jest nasz pogląd na ewolucję popędu, tak związanego z życiem, jak wzrost.

Nie jest plamą mgławica rozproszonych uczuć, którym tylko świadoma lub bezwiedna depprawacja nadaje kształt przedwcześnie; nie jest plamą i nikłe zrazu „coś“, które powoli i wciągu szeregu lat coraz wyraziściej zabarwia uczucia dwu płci aż do chwili, gdy w momencie dojrzałości popędu i zupełnej dojrzałości narządów, nastąpi poczęcie nowej żywej istoty, następcy w szeregu pokoleń.

Dojrzałość płciowa: ustrój gotów jest, by bez szkody dla własnej pomyślności dać zdrowego potomka.

Dojrzałość popędu płciowego: wyraźnie skrystalizowane pożądanie normalnego połączenia z osobnikiem odmiennej płci.

U młodzieży męskiej życie płciowe rozpoczyna się niekiedy wcześniej nawet, niż dojrzeje popęd; u dziewcząt wikła się, zależnie od przypadku małżeństwa lub gwałtu.

Zagadnienie trudne, ale tem nierozumniejsza jest beztroska, gdy dziecko nic nie wie, i zadąsanie, gdy się czegoś domyśla.

Czy nie dlatego odpychamy je brutalnie, ilekroć pytanie jego wkracza w zakazaną dziedzinę, by onieśmielone — w przyszłości nie odważyło się do nas zwracać, gdy nietylko przeczuwać, ale i odczuwać zacznie?

107. Miłość. Wzięła ją w arendę sztuka, przypięła skrzydła, a na nie zarzuciła kaftan warjata, naprzemian klękała przed nią i prała po pysku, sadzała na tronie i kazała na rogu ulicy kiwać na przechodniów, popełniła sto nonsensów adoracji i pohańbień. A łysa nauka, włożywszy na nos okulary, wtedy uznawała ją za godną uwagi, gdy mogła badać jej ropnie. Fizjologja miłości ma tylko jednostronne: „służy do zachowania gatunku“. Tego trochę za mało, za ubogo. Astronomja wie więcej, niż to, że słońce świeci i grzeje.

I stało się, że miłość jest na ogół brudna i narwana, a zawsze podejrzana i śmieszna. Godne szacunku jest tylko przywiązanie, które zawsze przychodzi po wspólnem urodzeniu prawego dziecka.

Więc śmiejemy się, gdy sześciolatek oddaje dziewczynce własnego pół ciastka; śmiejemy się, gdy dziewczynka piecze raka w odpowiedzi na ukłon uczniaka. Śmiejemy się, zdybawszy sztubaka, gdy wpatruje się w jej fotografję; śmiejemy się, że skoczyła, by otworzyć drzwi korepetytorowi brata.

Ale marszczymy czoło, gdy on i ona jakoś za cicho się bawią lub mocując się przewrócili na ziemię zdyszani. Ale wpadamy w gniew, gdy miłość córki lub syna staje w poprzek naszym zamiarom.

Smiejemy się, bo daleko, chmurzymy, bo się zbliża, oburzamy, gdy psuje rachunek. Ranimy dzieci drwiną i podejrzeniem, bezcześcimy uczucie, nie dające dochodu.

Więc kryją się, ale kochają.

Kocha ją, bo ona nie taka gęś, jak wszystkie, bo wesoła, bo nie kłóci się, bo ma rozpuszczone włosy, bo niema ojca, bo taka jakaś miła.

Kocha go, bo on nie taki, jak te wszystkie chłopaki, bo nie łobuz, bo śmieszny, bo mu się oczy świecą, bo ma ładne imię, bo taki jakiś miły.

Kryją się i kochają.

Kocha ją, bo podobna do anioła na obrazie w bocznym ołtarzu, bo ona czysta, a on był umyślnie na jednej ulicy, by zobaczyć jedną „taką“ przed bramą.

Kocha go, bo on zgodziłby się ożenić pod jednym warunkiem: rozbierać się w tym samym pokoju, przenigdy. Całowałby ją dwa razy na rok w rękę, a raz na prawdę.

Doznają wszystkich uczuć miłości prócz jednego, którego brutalne podejrzenie dźwięczy w szorstkiem:

— Zamiast romansować, lepiejbyś... Zamiast sobie miłościami głowę zawracać, byłoby lepiej...

Dlaczego wyśledzili i szczują?

Czy źle, że kocha? Nawet nie kocha, a tylko bardzo lubi. Czy więcej od rodziców? Może to właśnie jest grzechem?

Jeśliby ktoś z nich musiał umrzeć? Boże, przecież ja proszę o zdrowie dla wszystkich.

Miłość w okresie dojrzewania nie jest niczem nowem.

Jedni kochają już dziećmi będąc, drudzy jako dzieci już drwią z miłości.

— Ona jest twoja facetka; czy ona ci pokazała?

I chłopiec chcąc dowieść, że niema facetki, umyślnie jej nogę podstawia albo pociąga boleśnie za warkocz.

Czy wybijając z głowy przedwczesną miłość, nie w bijamy przedwczesnej rozpusty?

108. Okres dojrzewania, jakgdyby wszystkie poprzednie nie były też dojrzewaniem stopniowem, raz wolniejszem, raz żywszem. Przyjrzyjmy się krzywej wagi, a zrozumiemy znurzenie, niezgrabność, lenistwo, zadumania półsenne, zwiewne półtony, bladość, ospałość, brak woli, kapryśność, niezdecydowanie, cechujące ten wiek, powiedzmy dużego „niezrównoważenia“ dla odróżnienia go od uprzednich.

Wzrost jest pracą, ciężką pracą ustroju, a warunki życia nie złożą jej w ofierze ani jednej szkolnej godziny ni jednego dnia fabrycznego. A jak często przebiega, jako stan blizki choroby, bo przedwczesny, bo zbyt nagły, bo z uchyleniem od normy.

Pierwszy perjod jest dla dziewczynki tragedją, bo ją wyuczono przerażenia na widok krwi. Rozwój piersi ją smuci, bo nauczono wstydzić się swej płci, a piersi ją demaskują, wszyscy wokoło widzieć będą, że jest dziewczyną.

Chłopiec, który fizjologicznie przeżywa to samo, psychicznie inaczej reaguje. On czeka z utęsknieniem na pierwszy mech wąsów, bo mu to zapowiada, obiecuje, i jeśli się wstydzi piejącego głosu i wiatrakowatych rąk to, że jeszcze nie gotów, że jeszcze musi czekać.

Czy nie dostrzegliście zazdrości i niechęci upośledzonych dziewcząt do uprzywilejowanych chłopców. Tak, dawniej gdy ją karano, był zawsze bodaj cień winy, a tu, czem winna, że nie jest chopcem?

Dziewczęta wcześniej zaczynają się przeobrażać i radośnie manifestują ten swój jedyny przywilej.

— Ja jestem prawie dorosła, a ty jeszcze smarkacz. Ja za

trzy lata mogę już wyjść za mąż, a ty wciąż będziesz siedział nad książką.

Miły towarzysz zabaw dziecięcych otrzymuje wzgardliwy uśmiech.

— Wyjdziesz za mąż, ale czy ciebie kto weźmie? Ja bez małżeństwa zyskuje prawa.

Ona wcześniej dojrzewa do miłości, on do miłostki, ona do małżeństwa, on do knajpy, ona do macieżyństwa, on do zczepiania się z samicą „na wzór much—mówi Kuprin, co na sekundę zlepiły się na ramie okiennej, a potem w głupowatem ździwieniu poskrobały się łabkami po karku i rozleciały na wieki“.

Nowe zabarwienie otrzymuje teraz dawna niechęć sztuczna dwu płci, by niezadługo znów zmienić oblicze, gdy ona się kryje, a on na nią poluje, by utrwalić się w wrogim stosunku do małżonki, która mu jest ciężarem, odbiera mu przywileje, sama je zyskując.

109. Fatalne zabarwienie otrzymuje dawna tajona niechęć do otoczenia dorosłych.

Zjawisko tak częste: dziecko zawiniło, stłukło szybę. Powinno mieć poczucie winy. Gdy mu czynimy słuszne wymówki, rzadziej spotkamy skruchę, niż bunt, gniew w zmarszczonych brwiach, spojrzeniach zpodełba rzucanych. Dziecko chce, by wychowawca właśnie wtedy okazał mu życzliwość, gdy winne, gdy złe, gdy je spotkało nieszczęście, Zbita szyba, wylany atrament, podarte ubranie, to nieudane przedsięwzięcie, choćby wbrew ostrzeżeniu czynione. A dorośli, straciwszy w źle obliczonej imprezie, jak przyjmą dąsy, gniew i połajania?

Ta niechąć do surowych i bezwzględnych panów istnieje wówczas, gdy dziecko uważa dorosłych za istoty wyższe od siebie. Nagle, chwyta ich na gorącym uczynku.

— Acha, więc to tak, więc to jest ta wasza tajemnica, więc ukrywaliście, a było się czego wstydzić.

Słyszało i dawniej, ale nie wierzyło, miało wątpliwości, nie obchodziło go to. Teraz chce wiedzieć, ma się od kogo do-

wiedzieć, potrzebna mu ta wiadomość do walki z nimi, wreszcie samo czuje się już wplątane w tę sprawę. Dawniej było: „tego to nie wiem, ale to wiem z pewnością“, teraz wszystko jest jasne.

Więc można chcieć, a nie mieć dzieci, więc dlatego może panna mieć dziecko, więc można nie rodzić, jeśli się nie chce, więc za pieniądze, więc choroby, więc wszyscy?

A oni żyją i nic, oni się między sobą nie wstydzą.

Ich uśmiechy, spojrzenia, zakazy, obawy, zakłopotanie półsłówka, wszystko niejasne dawniej, staje się teraz zrozumiałe i wstrząsająco prawdziwe.

— Więc dobrze, porachujemy się teraz.

Nauczycielka polskiego strzela oczami do matematyka.

— Codź: coś ci powiem do ucha.

I śmiech złego tryumfu, i podglądanie przez dziurkę od klucza, i rysunek gorejącego serca na bibule albo na tablicy.

— Stara się wystroiła. Stary się mizdrzy. Stryj bierze pod brodę i wówi; „a to smarkacz dopiero“.

Nie, już nie smarkacz, — „ja wiem“.

Oni jeszcze udają, jeszcze probują kłamać, więc tropić, demaskować oszustów, mścić się za lata niewoli, za kradzioną ufność, za wymuszone pieszczoty, za wyłudzone zwierzenia, za nakazany szacunek.

Szanować? Nie, pogardzać, drwić, pamiętać. Walczyć z nienawistną zależnością.

— Nie jestem dzieckiem. Co myślę, to moja rzecz. Trzeba mnie było nie rodzić. Zazdrości mi mama? Dorośli też nie tacy święci.

Lub udawać, że się nie wie, korzystać, że otwarcie nie odważą się powiedzieć, i tylko drwiącem spojrzeniem i półśmiechem mówić: „wiem“, gdy usta mówią:

— Nie wiem, co w tem złego, nie wiem, czego chcecie.

110. Należy pamiętać, że dziecko jest niekarne i złośliwe nie dlatego, że „wie,“ ale że cierpi. Pogodna omyślność jest pobłażliwa, gdy drażliwe znużenie jest zaczepne i drobiazgowe.

Byłoby błędem sądzić, że rozumieć to znaczy, uniknąć trudności. Ile razy wychowawca współczując: musi tłumić swe dobre uczucia, musi poskramiać wybryki, by zachować karność czynów dziecka, choć nie ma jej w myślach. Tu wystawione bywa na ciężką próbę duże przygotowanie naukowe, duże doświadczenie i równowaga.

— Ja rozumiem i przebaczam, ale ludzie, świat nie przebaczą.

Na ulicy musisz się zachowywać przyzwoicie, powciągać od zbyt burzliwych przejawów wesołości, nie dawać ujścia atakom gniewu, powstrzymywać się od uwag i sądów, starszym okazywać szacunek.

Bywa trudno, ciężko przy dobrej woli i myślowym wysiłku; a czy dziecko znajduje warunki bezstronnego rozważania w domu rodzinnym?

Jego lat 16, to rodziców lat z górą 40, wiek bolesnych refleksji niekiedy ostatni protest własnego życia, chwila gdy bilans przeszłości wykazuje wyraźny decyfit.

— Co ja mam z życia? — wówi dziecko.

— A co ja miałam?

Przeczucie mówi, że na loterji życia i ono nie wygra, ale myśmy już przegrali, gdy ono ma nadzieję i dla tej złudnej nadziei rwie się w przyszłość, nie dostrzegając obojętne, że nas grzebie.

Czy pamiętacie tę chwilę, gdy gaworzeniem zbudziło was ze snu wczesnym rankiem? Wtedy zapłaciliśmy sobie za trud pocałunkiem. Tak, za piernik otrzymywaliśmy klejnot uśmiechu wdzięcznego. Pantofelki, kapturek, śliniaczek, takie to wszystko tanie, miłe, nowe ucieszne. A teraz drogie wszystko, niszczy się szybko, a wzamian nic, nawet, dobrego słowa. Ile to — to zedrze zelówek w pogoni za ideałem, jak szybko wyrasta, nie chcąc nic nosić na wyrost.

— Masz na drobne wydatki...

Musi się zabawić, ma swoje małe potrzeby. Przyjmuje z oschłym przymusem, jak jałmużnę od wroga.

Ból dziecka boleśnie uraża ból rodziców, cierpienie rodzi-

ców niebacznie uderza w ból dziecka. Jeśli starcie jest tak silne, o ile byłoby silniejsze, gdyby dziecko w brew naszej woli, samo w samotnym wysiłku, nie przygotowało się zwolna, że nie jesteśmy wszechmocni, wszechwiedzący i doskonali.

111. Gdy się uważnie wpatrzyć nie w zbiorową duszę dzieci tego wieku, a w jej części składowe, nie w gromadę, a w indywidua, widzimy znów dwie biegunowe różne organizacje.

Odnajdujemy to, które cicho kwiliło w kołysce, powoli unosiło się o własnej sile, oddawało bez protestu biszkopt, zdala przyglądało się bawiącym w koło, a teraz bunt i ból topi w łzach niedostrzeganych nocą.

Odnajdujemy to, które siniało w krzyku, na chwilę nie można go było bez trwogi zostawić samego, wydzierało rówieśnikowi piłkę, przewodziło, „no, kto się bawi, prędzej, bierzcie się za ręce“, a teraz narzuca swój program buntu i czynny niepokój rówieśnym, całemu społeczeństwu.

Mozolnie szukałem wytłomaczenia tej bolesnej zagadki, że w zbiorowem życiu i młodzieży i dorosłych, tak często myśl uczciwa kryć się musi lub cicho perswadować, gdy buta rozbija się krzykliwie; że dobroć jest synonimem głupoty lub niedołęstwa. Jak często rozważny działacz społeczny i sumienny polityk, sam nie wiedząc czemu ustępuje, znalazłby wytłomaczenie w słowach Jelenty:

— Ja nie posiadam czelnej gęby dla odpowiadania na ich koncepty i złośliwości i nie umiem rozmawiać i rozumować z tymi, co mają na wszystko gotową pyskatą odpowiedź alfonsów.

Co robić, aby wkrążących sokach zbiorowego organizmu równe zająć mogli miejsca czynni i bierni, by w nim swobodnie krążyły pierwiastki wszystkich płodnych terenów.

— Ja tego nie daruję. Już wiem co zrobię. Dosyć mam tego dobrego, mówi czynny bunt.

— Daj lepiej spokój. Po co ci to? Może ci się zdaje tylko.

Te proste zdania, wyrazy uczciwego wahania lub szszerej rezygnacji, działają kojąco, mają większą moc, niż kunsztowna

frazeologja tyranji, którą rozwijamy my dorośli, chcąc ujarzmić dzieci. Rówieśnika nie wstyd posłuchać, ale dać się przekonać dorosłemu, a tem bardziej wzruszyć, to dać się podejść, oszukać, przyznać do własnego ubóstwa; niestety mają słuszność, nie ufając nam.

Ale jak, powtarzam osłonić refleksję przed zachłanną ambicją, ciche rozważanie od krzykliwego argumentu, jak nauczyć odróżniać ideję od „pozoru i karjery“, jak osłonić dogmat od drwiny i młodzieńczą ideję od doświadczonej zdradzieckiej demagogji.

Dziecko wstępuje krokiem naprzód w życie, nie w płciowe życie, dojrzewa, nie płciowo dojrzewa.

Jeśli rozumiesz, że żadnego z zagadnień nie zdołasz rozwiązać sam bez ich udziału, jeśli im powiesz to wszystko, co tu powiedziane, a po skończonem zebraniu usłyszysz:

— No bierni, idziemy do domu.

— Nie bądź taki czynny, bo w łeb dostaniesz.

— Te, teren dogmatyczny, zabrałeś moją czapkę...

Nie sądź, że drwią, nie mów: nie warto...

112. Marzenia.

Zabawa w Robinzona zmieniła się w marzenie o podróży, zabawa w zbójców, w marzenie o przygodach.

Znów nie wystarcza życie, więc marzenie jest ucieczką od niego. Brak materjału do myślenia, zjawia się jego forma poetycka. W marzenia spływają uczucia, które nie znajdują ujścia. Marzenie jest programem życia. Gdybyśmy je umieli odczytywać, widzielibyśmy, że marzenia się spełniają.

Jeśli chłopak z ludu marzy, by zostać lekarzem, a zostaje posługaczem szpitalnym, to wypełnił swój program życiowy. Jeśli marzy o bogactwach, a umiera na tapczanie, to tylko pozorne rozbicie marzeń: on nie marzył o pracy zdobywania, a o rozkoszach trwonienia; marzył o spijaniu się szampanem, a spijał szpagatówkę, marzył o salonach, a hulał w szynkowni; chciał rozrzucać złoto, ale rozrzucał miedziaki. Marzył, by zo-

stać księdzem a jest nauczycielem, nie, tylko stróżem domu; ale został księdzem, jako wychowawca, księdzem, jako stróż.

Marzyła, że jest groźną królową; a czy nie tyranizuje męża i dzieci, wyszedłszy za mąż za drobnego urzędnika? Marzyła że jest ukochaną królową; a czy nie króluje w szkółce ludowej? Marzyła, że jest sławną królową; czy nie zdobyła rozgłosu, jako niezwykła, wyjątkowa szwaczka czy buchalterka?

Co pcha młodzież do artystycznej cyganerji? Jednych rozwiązłość, drugich egzotyczność, trzecich impet, ambicja, karjera; a tylko ten jeden kocha sztukę, ten jeden z całego grona jest naprawdę artystą, ten jeden sztuki nie sprzeda; umarł w nędzy i zapomnieniu, ale on marzył o zwycięstwie, a nie o zaszczytach i złocie. Przeczytajcie „Twórczość“ Zoli; życie jest bardziej logiczne, niż sądzimy.

Marzyła o klasztorze, znalazła się w domu rozpusty, ale pozostała siostrą miłosierdzia, która poza urzędowemi godzinami pielęgnuje chore towarzyszki, koi ich smutki i cierpienia. Inna pragnęła się bawić i bawi się doskonale w przytułku dla rakowatych, aż umierający się uśmiecha, słuchając jej paplaniny, śledząc dogasającym wzrokiem za jej pogodną postacią...

— Nędza.

Uczony o niej m y ś l i, badając, projektując, tworząc teorje i hypotezy; młodzieniec marzy, że buduje szpitale, rozdaje jałmużnę...

W marzeniach dzieci jest Eros, do czasu niema w niej Wenery. Szkodliwą jest jednostronna formuła, że miłość, to egoizm gatunku. Dzieci kochają osoby tej samej płci, starców, ludzi nigdy nie widzianych, nawet nieistniejących. Nawet doznając już uczuć pożądania, długo jeszcze kochają ideał, nie ciało.

Potrzeba walki, ciszy, gwaru, pracy, ofiary; chęć posiadania, używania, poszukiwań; ambicja, naśladowictwo bierne, wszystko to znajduje wyraz w marzeniu, niezależnie od jego formy.

Życie urzeczywistnia marzenia, ze stu marzeń młodzieńca lepi jeden posąg rzeczywistości.

113. Pierwsze stadjum okresu dojrzewania: wiem, ale jeszcze nie czuję, odczuwam, ale jeszcze nie wierzę, sądzę surowo, co czyni przyroda z innymi; cierpię, bo mi grozi, nie mam pewności, że uniknę. Ale jestem bez winy, gardząc nimi, o siebie tylko się boję.

Drugie stadjum: w śnie, w półśnie, w marzeniu, w podnieceniu zabawy, wbrew oporowi, wbrew obrzydzeniu, wbrew nakazowi, coraz częściej i wyraziściej wyłania się uczucie, które do bolesnego konfliktu z światem zewnętrznym odrzuca ciężar konfliktu z samym sobą. Myśl odpychana gwałtem się narzuca, jak zapowiedź choroby, jak pierwszy dreszcz gorączki. Istnieje okres inkubacyjny seksualnych uczuć, które dziwią i płoszą, potem budzą trwogę i desperację.

Epidemja szeptanych z chichotem tajemnic dogasa, łechcące pikanterje tracą urok, dziecko wchodzi w okres zwierzeń; przyjaźń się pogłębia, piękna przyjaźń zbłąkanych w gęstwi życia sierot, które przysięgają, że się wspierać będą, nie opuszczą, nie rozłączą w niedoli.

Dziecko, samo nieszczęśliwe, teraz już nie wyuczoną formułką i ponurym niepokojem zdziwienia, ale gorącem współczuciem zwraca się do każdej nędzy, cierpienia, upośledzenia. Zbyt zajęte i stroskane o siebie, nie może się zbyt długo rozczulać nad innymi, ale znajdzie chwilę i łzę dla uwiedzionej dziewczyny, obitego dziecka, zakutego skazańca.

Każde nowe hasło, ideja i mocny frazes, znajdują w niem czujnego słuchacza i gorącego stronnika. Książkę nie czyta a pije, jak nałogowiec, i modli się o cud! Dziecięcy Bóg—bajka, później Bóg — winowajca, pra-źródło wszystkiego nieszczęścia i występku. Ten, który może a nie chce, powraca, jako Bóg, potężna tajemnica, Bóg, przebaczenie, Bóg, rozum ponad s[illegible] myśl ludzką. Bóg, przystań cicha w godzinę huraganu.

Dawniej: „jeśli dorośli zmuszają do modlitwy, to widocznie i modlitwa jest kłamstwem; jeśli ganią przyjaciela, widać on właśnie wskażę mi drogę“, bo jakże można im ufać? Dziś inaczej: wroga niechęć ustępuje miejsca współczuciu. Określenie „świństwo“ nie wystarcza: tu kryje się coś nieskończenie bar-

dziej złożonego. Ale co? Książka tylko pozornie, na chwilę rozprasza wątpliwości, rówieśnik sam słaby i bezradny. Jest chwila gdy można znów dziecko odzyskać, ono czeka, ono chce wysłuchać.

Co mu powiedzieć? Byle nie o tem, jak się zapładniają kwiaty i mnożą hipopotamy, i nie, że szkodliwy jest onanizm. Dziecko czuje, że tu idzie, o coś znacznie ważniejszego, niż czystość palców i prześcieradła, że tu waży się jego teza duchowa, całokształt jego odpowiedzialności życiowej.

Ach, znów być dzieckiem niewinnem, które wierzy, ufa, nie myśli.

Ach, być dorosłym nareszcie, uciec od wieku „przejściowego“, być jak oni, jak wszyscy.

Ach, klasztor, cisza, rozmyślania nabożne.

Nie, sława, czyny bohaterskie.

Podróże, zmiana obrazów i wzruszeń. Tańce, zabawy, morze, góry.

Śmierć najlepsza; bo poco żyć, poco się męczyć?

Wychowawca zależnie od tego, co przygotował na tę chwilę w ciągu długiego szeregu lat, bacznie przyglądając się dziecku, można mu dać program tego, jak poznać siebie, jak siebie zwyciężać, jakiego użyć wysiłku, jak poszukiwać własnej drogi życia.

114. Bujna swawola, pusty śmiech, wesołość młodości.

Tak, radość, że się jest w kupie, tryumf śnionego zwycięstwa, niedoświadczony wybuch wiary, że naprzekór rzeczywistości, poruszamy z posad ziemię.

— Tylu nas, tyle młodych twarzy, zaciśniętych pięści, tyle zdrowych kłów, nie damy się.

Kieliszek czy kufel rozprasza resztę wątpliwości.

Śmierć staremu światu, za nowe życie, vivat!

Nie dostrzegają jednego, który lekko zmrużonemi powiekami drwi: „durnie“, nie widzą drugiego, który smutnemi oczami mówi: „biedni“, nie widzą trzeciego, który pragnie skorzystać z chwili i coś zapoczątkować, złożyć jakąś przysięgę, by szlachetne podniecenie nie utonęło w orgji, nie rozproszyło znów w wykrzyknikach bez treści...

Często zbiorową wesołość uważamy za nadmiar energji, gdy jest tylko przejawem drażliwego znużenia, które przez chwilę nie czując więzów, podnieca się w złudzeniu. Przypomnij wesołość dziecka w wagonie kolejowym, które nie wiedząc jak długo i dokąd jedzie, niby zadowolone z wrażeń, kapryśne ich nadmiarem i oczekiwaniem tego, co będzie, kończy wesoły śmiech gorzkiemi łzami.

Wytłomacz, dlaczego obecność dorosłych „psuje zabawę", krępuje, wnosi przymus...

Uroczystość, pompa, poważny nastrój, dorośli tak umiejętnie wzruszeni, tak z grani z chwilą. A takich dwoje, spojrzą sobie w oczy i duszą się, konają ze śmiechu, wysilają się do łez, by nie wybuchnąć i nie mogą powstrzymać się od przekornej chętki, by trącić łokciem, szepnąć złośliwą uwagę, zwiększając niebezpieczeństwo skandalu.

— Tylko pamiętaj się nie śmiać. Tylko się nie patrz na mnie. Tylko mnie nie śmiesz.

A po uroczystości:

— Jaki ona miała nos czerwony. Krawat mu się przekręcił. Mało się nie rozpłynęli. Pokaż: ty to tak dobrze robisz.

I nieskończone opowiadanie, jakie to było śmieszne...

Jeszcze jedno:

— Oni myślą, że mi wesoło. Niech myślą. Jeszcze jeden dowód, że nas nie rozumieją...

Ochocza praca młodości. Jakieś przygotowania, mocny wysiłek, czyn o wyraźnym celu, gdy potrzebny pośpiech rąk i wynalazczość umysłu. Tu młodzież jest w swoim żywiole, tu ujrzysz zdrową wesołość i pogodne podniecenie.

Planować, postanowić, zmordować się, wykonać, śmiać się z nieudanych prób i pokonanych trudności.

115. Młodość jest szlachetna.

Jeśli nazwiecie odwagą, że dziecko przechyla się z okna czwartego piętra bez trwogi; jeśli nazwiecie dobrocią, że dało kulawemu dziadkowi złoty zegarek, który mama zostawiła na stole; jeśli nazwiecie zbrodnią, że rzuciło w brata nóż i wybiło

mu oko, to zgoda, młodzież jest szlachetna, nie mając doświadczenia w ogromnej jak pół życia dziedzinie, pracy zarobkowej, hierarchji społecznej i praw życia towarzyskiego.

Niedoświadczeni, sądzą, że można okazywać życzliwość lub niechęć, szacunek lub pogardę, zależnie od uczuć żywionych.

Niedoświadczeni sądzą, że można dobrowolnie nawiązywać i zrywać stosunki, ulegać lub lekceważyć przyjęte formy, godzić się lub wyłamywać z pod praw zwyczajowych.

— Gwiżdżę, pluję, nie dbam, niech sobie mówią, nie chcę i już, a mnie co do tego?

Zaledwie zaczerpnęli tchu, wydarłszy się częściowo z pod władzy rodziców, a tu nowe więzy, hola!

Dlatego, że ktoś bogaty czy jaśnie wielmożny, dlatego że się wspiął bez zasługi, dlatego, że ktoś gdzieś coś może pomyśleć czy powiedzieć?

Kto uczy młodzież, jakie kompromisy są koniecznością życiową, a jakich można uniknąć i za jaką cenę, jakie sprawiają ból, ale nie szargają, jakie znieprawiają. Kto wskazuje granice, w których obłuda jest przyzwoitością nie spluwania na podłogę, nie wycierania nosa w obrus, a nie występkiem.

Mówiliśmy dziecku:

— Śmiać się będą.

Trzeba teraz dodać: i zagłodzą.

Powiadacie: idealizm młodzieży. Złudzenie, że zawsze można przekonać i wszystko poprawić.

I cóż robicie z tą szlachetnością? Tępicie ją ze szczętem we własnych dzieciach i czochacie lubieżnie o idealizm, wesołość i wolność bezimiennej „młodzieży“, jak dawniej, o niewinność, wdzięk i miłość własnych dzieci. I stwarza się złudzenie, że ideał, to taka sama choroba jak świnka lub ospa wietrzna, że jest takim sobie niewinnym obowiązkiem, jak odwiedziny galerji obrazów w podróży poślubnej.

I ja byłem farysem. Widziałem Rubensa.

Szlachetność nie może być mgłą poranną, a snopem promieni. Jeśli nas nie stać jeszcze, wychowujmy na razie tylko ludzi uczciwych.

116. Szczęśliwy autor, który kończąc pracę, ma świadomość, że powiedział w niej to, co wie, wyczytał, według stwierdzonych ocenił wzorów. Oddając do druku, ma spokojne uczucie zadowolenia, że dojrzałe, zdolne do samodzielnego życia powołał dziecię. Bywa inaczej: nie widzi czytelnika, który żąda przeciętnej nauki z gotową receptą i jej użycia wskazaniem. Tu proces tworzenia jest zasłuchaniem się we własne nieustalone, niedowiedzione, nagle wyłaniające się myśli. Tu zakończenie pracy, chłodny bilans, bolesne zbudzenie się ze snu. Każdy rozdział spogląda wyrzutem, że porzucony, zanim się stał. Ostatnia myśl książki nie jest zakończeniem całości, i dziwi, że już, że nic więcej?

Dodać więc? Znaczyłoby raz jeszcze rozpocząć, odrzucić, co wiem, spotkać nowe zagadnienia, których się ledwo domyślam, napisać nową książkę, równie niedokończoną.

Dziecko w życie matki wnosi cudną pieśń milczenia. Od ilości godzin, które spędza przy niem, gdy ono nie domaga się a żyje, od myśli, któremi osnuwa je pracowicie, zależna jest jej treść, program, siła, twórczość, matka w cichej kontemplacji dojrzewa dzieckiem do natchnień, których praca wychowawcza żąda.

Nie z książki, a z siebie. Wówczas każda książka stanie się drobną wartością; a moja spełniła zadanie, jeśli o tem przekona.

W mądrej samotności czuwaj...

Jak kochać dzieci

* *

Internat.—Kolonje letnie

Janusz Korczak

Jak kochać dzieci



Internat.—Kolonje letnie

WARSZAWA 1920 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

INTERNAT

I

1. Pragnę napisać książkę o internacie miejskim, gdzie sto dzieci sierot, chłopców i dziewcząt w wieku szkolnym, wychowuje się pod opieką nielicznego personelu, w własnym gmachu, przy nielicznej służbie.

Internat nie może się poszczycić bogatą literaturą. Spotykamy albo prace wyłącznie hygieniczne, albo namiętną krytykę samej zasady wychowywania dzieci w gromadzie.

Poznałem barwne i mroczne tajemnice internatu w roli wychowawcy sypialni, umywalni, sali rekreacyjnej, jadalni, podwórka i klozetu. Nie znam dzieci w ich galowym stroju klasy szkolnej, znam je w negliżu codziennego życia.

Książka może być ciekawa nietylko dla wychowawcy koszarowego więzienia, jakiem jest internat, ale i celkowego więzienia, jakiem dla współczesnego dziecka jest rodzina.

Zarówno w internacie, jak w rodzinie, dzieci są męczone, energiczniejsze probują oszukać dozór, wyłamać się z pod czujnej kontroli,—uparcie i beznadziejnie walczą o swe prawa.

Obawiam się, że czytelnik zechce mi wierzyć, — wówczas książka przyniosłaby mu szkodę. Uprzedzam więc: droga którą wybrałem, dążąc do celu, nie jest ani najkrótsza, ani najdogodniejsza, jest jednak najlepsza dla mnie,—bo moja,—bo własna. Znalazłem ją nie bez mozołu, nie bez bólu,—i wówczas dopiero, gdy zrozumiałem, że wszystkie przeczytane książki, obce doświadczenia i cudze zdania — kłamały.

Wydawcy drukują niekiedy złote myśli wielkich ludzi; o ile byłoby pożyteczniej ułożyć zbiór fałszów, wypowiedzianych

przez klasyków prawdy i wiedzy.—Rousseau rozpoczyna „Emila“ zdaniem, któremu przeczy cała współczesna wiedza o dziedziczności.

2. Książka ma być możliwie krótka, bo przeznaczam ją w pierwszym rzędzie dla młodego towarzysza, który wpadł nagle w wir najtrudniejszych zagadnień wychowawczych, najbardziej splątanych warunków życiowych,—i ogłuszony, rozżalony,—wzywa ratunku.

Biedak nie ma czasu na studja. W nocy dwa razy go budzono: dziecko ząb bolał, zaczęło płakać, — musiał je pocieszać i leczyć. Ledwo zasnął, obudziło go inne; straszny sen miało: umarli, rozbójnicy, — chcieli zabić, wrzucili go do rzeki; więc znów uspokajał, usypiał.

Człowiek śpiący nie może czytać wieczorem grubych dzieł wychowawczych, bo mu się oczy kleją, bo jeśli się nie wyśpi, będzie jutro rozdrażniony, niecierpliwy,—niezdolny do wcielania w czyn zbawiennych zasad uczonego dzieła.—Będę się streszczał, by nie zakłócać mu nocnego spoczynku.

3. W dzień wychowawca nie ma czasu na studja.—Ledwo zasiadł do czytania, przychodzi pierwsze dziecko ze skargą, że gdy pisało, trącił je sąsiad, zrobił się kleks — i nie wie teraz, czy zacząć od początku, czy tak zostawić, czy wydrzeć kartkę.—Drugie dziecko kuleje: gwóźdź ma w trzewiku, chodzić nie może.—Trzecie pyta się, czy wolno wziąć domino.—Czwarte prosi o klucz od szafy.—Piąte oddaje znalezioną chustkę do nosa: „znalazłem, nie wiem czyja“. Szóste daje do przechowania cztery grosze, które dostało od cioci. – Siódme przybiega po chustkę: to moja, położyłem na oknie na chwilkę, a on zaraz zabrał“.

Tam w kącie mały niezdara bawi się nożyczkami: naśmieci, skaleczy się, — kto mu dał nożyczki? — Na środku pokoju żywa sprzeczka, zaraz przejdzie w bójkę, — trzeba zapobiedz. — To, które w nocy ząb bolał, biega teraz jak szalone, — znów któreś z piszących potrąci lub kałamarz zrzuci na podłogę; a w nocy znów może ząb je rozboli.

Wychowawca musi bardzo chcieć, aby mógł się zdobyć na przeczytanie nawet krótkiej książki.

4. Ale nie bardzo chce, bo nie wierzy.

Autor, dzięki licznym cytatom dowiedzie, że jest uczony. Jeszcze raz powtórzy, co już ogólnie wiadome. Te same nabożne życzenia, ciepłe kłamstwa, niewykonalne rady. — Wychowawca powinien... powinien... powinien. — I ostatecznie, we wszystkich drobnych i ważnych sprawach musi sam decydować, jak wie i umie, a co najważniejsze, — jak może.

— To dobre w teorji, — pociesza się boleśnie.

I czuje wychowawca niechęć do autora, że ten siedząc w ciszy przy wygodnem biurku, dyktuje przepisy, bez potrzeby bezpośredniego stykania się z ruchliwą, krzykliwą, dokuczliwą i niesforną gromadą, której niewolnikiem jest każdy, kto nie chce być jej tyranem, z której co dnia inne tak gruntownie życie ci zatruje, że z trudem rozchmurzą wszystkie pozostałe.

Poco go drażnią mirażem wielkiej wiedzy, doniosłych zadań, wzniosłych ideałów, gdy on jest i musi pozostać wyrobnikiem — kopciuszkiem?

5. Czuje, że traci zapał, który niósł w pracę samorodnie, niezależnie od czyjegoś kazania.—Dawniej cieszyła go myśl, że urządzi zabawę, przygotuje niespodziankę dla dzieci. Pragnął w szare i jednostajne życie internatu wnieść nowe, radosne tchnienie. Teraz cieszy się, gdy zanotuje beznadziejne: to samo. Jeśli żadne z dzieci nie wymiotowało, nie wybiły szyby, nie usłyszał ostrej wymówki, — znaczy, że dzień dobrze przeszedł.

Traci energję: na drobne wykroczenia patrzy dziś przez palce, stara się mniej widzieć, mniej wiedzieć, bo tylko—najkonieczniejsze.

Traci inicjatywę: dawniej otrzymywał cukierki, zabawkę,— już miał plan, by najlepiej wyzyskać. Teraz prędko rozda łakocie: niech zjedzą czemprędzej, bo znów będą sprzeczki, skargi, pretensje.—Nowy sprzęt lub przedmiot—więc znów trzeba pilnować, bo złamią, zepsują. — Jakaś doniczka w oknie, obrazek na

ścianie, — tyle jest do zrobienia, ale on nie wie, nie chce, czy nie może. A zresztą już nie dostrzega.

Traci wiarę w siebie. Dawniej nie było dnia, by nie dojrzał czegoś nowego w dzieciach lub w sobie. — Dzieci garnęły się, teraz stronią od niego. Czy je kocha jeszcze? — Jest szorstki, niekiedy brutalny.

Może niezadługo stanie się podobny do tych, dla których chciał być przykładem, do których czuł niechęć za ich oziębłość, bierność i niesumienność?

6. Ma żal do siebie, do otoczenia, do dzieci.

Przed tygodniem otrzymał list o chorobie siostry. Dzieci się dowiedziały, uszanowały smutek: cicho spać się pokładły. Był im wdzięczny.

A onegdaj przybył nowy wychowaniec. Wyłudziły wszystkie dane mu przez rodzinę cukierki, i piórnik, i obrazki,—zagroziły, że jeśli się poskarży, zbiją go, — a udział w brudnej sprawie brały i te, które uważał za uczciwe.

Zarzuci mu dziecko ręce na szyję i powie „kocham“, — i prosi o nowe ubranie.

Toż samo dziecko; raz rozrzewniony dziwi się, skąd w niem tyle subtelnego taktu i głębokiego odczucia, to znów odtrąca go drapieżna przewrotność.

Raz: chcę, muszę, powinienem, to beznadziejne: czy warto?

Teoretyczne założenia tak się splątały z osobistem codziennem doświadczeniem, że stracił nić,—im dłużej myśli, tem mniej rozumie.

7. Nie rozumie, co dzieje się wokoło.

Stara się ograniczyć nakazy i zakazy do najmniejszej ilości koniecznych. Daje dzieciom swobodę, niezadowolone żądają więcej.

Chce wejrzeć w ich troski. Zbliża się do chłopca, który wbrew zwyczajowi usunął się na stronę, cichy i obojętny. — Co ci jest? Czemu jesteś smutny? — „Nic mi nie jest, wcale nie jestem smutny“ — odpowiada niechętnie. — Chce go pogłaskać po głowie, — chłopiec usuwa się szorstko.

Tam grupa dzieci prowadzi ożywioną rozmowę. — Zbliża się, — milkną. — O czem mówiłyście? — „O niczem“.

Zda się, że go lubią. A wie, że wyśmiewają.—Mają zaufanie, — a zawsze coś ukrywają. — Pozornie wierzą jego słowom, a chętnem uchem słuchają złych szeptów.

Nie rozumie, nie wie, — i jest mu obco i wrogo, — i źle.

Wychowawco, ciesz się raczej. Już odrzucasz przesądny, sentymentalny pogląd na dziecko. Już wiesz, że nie wiesz.—Nie jest tak jak sądziłeś, więc jest inaczej.—Nie zdając sobie sprawy, już szukasz drogi.—Gubisz się?—Pamiętaj, że nie jest hańbą błądzić w przeolbrzymim lesie życia. — Błądząc nawet, rozglądaj się ciekawie, a ujrzysz mozajkę pięknych obrazów.—Cierpisz?—W bólu rodzi się prawda.

8. Bądź sobą,—szukaj własnej drogi.—Poznaj siebie, zanim zechcesz dzieci poznać.—Zdaj sobie sprawę z tego, do czego sam jesteś zdolny, zanim dzieciom poczniesz wykreślać zakres ich praw i obowiązków. — Ze wszystkich sam jesteś dzieckiem, które musisz poznać, wychować i wykształcić przedewszystkiem.

To jeden z najzłośliwszych błędów sądzić, że pedagogika jest nauką o dziecku, a nie o — człowieku.

Gwałtowne dziecko w uniesieniu uderzyło, dorosły w uniesieniu zabił. — Dobrodusznemu dziecku wyłudzono zabawkę, dorosłemu wyłudzono podpis na wekslu.—Lekkomyślne dziecko za daną mu na kajet dziesiątkę kupiło cukierki, dorosły przegrał w karty cały majątek. — Niema dzieci — są ludzie; ale o innej skali pojęć, innym zasobie doświadczenia, innych popędach, innej grze uczuć. — Pamiętaj, że my ich nie znamy.

Niedojrzałe!

Zapytaj starca, on cię w czterdziestym roku za niedojrzałego jeszcze uważa. — Ba, całe klasy społeczne są niedojrzałe, bo słabe.—Całe narody wymagają obcej opieki,—też niedojrzałe, bo armat nie mają.

Bądź sobą i czujnie przyglądaj się dzieciom wówczas, gdy sobą być mogą. — Przyglądaj się i nie żądaj. — Bo nie zmusisz żywego, zaczepnego dziecka, by było skupione i ciche; nieufne

i chmurne nie stanie się szczerem i wylanem; ambitne i oporne nie będzie łagodnem i uległem.

A ty sam?

Jeśli nie masz imponującej postawy i mocnych piersi, próżno starać się będziesz donośnym głosem uciszać hałas gromady.— Masz dobry uśmiech i cierpliwe spojrzenie—nic nie mów: może uspokoją się same? Szukaj własnej drogi.

Nie żądaj od siebie, byś był już poważnym, dojrzałym wychowawcą z buchalterją psychologiczną w sercu i kodeksem pedagogicznym w głowie. Masz cudownego sprzymierzeńca, czarodzieja—młodość, a wzywasz zrzędę — niedołęgę — doświadczenie.

9. Nie — co być powinno, a — co być może.

Chcesz być kochanym przez dzieci, ale musisz ugniatać je w ciasne, duszne formy współczesnego życia, współczesnej obłudy, współczesnej przemocy,—w sumiennej, obowiązkowej, nakazanej pracy.—One nie chcą, bronią się, muszą mieć żal do ciebie.

Chcesz aby były szczere i dobrze wychowane, gdy formy światowe są kłamliwe, a szczerość jest zuchwalstwem. — Czy wiesz, co myślał chłopiec, któregoś pytał wczoraj, czemu smutny?—Pomyślał: „odczep sią odemnie".—Już jest nieszczery; nie powiedział, co myśli; tylko usunął się niechętnie, i to nawet cię uraziło.

Nie należy się skarżyć, brzydkie są obmowy,—a jakże się wtajemniczysz w ich sprawy, bóle, grzechy?

Nie karać i nie nagradzać. A musi być i regulamin, i hasło, którego się mają słuchać.—Dzwonek musi zgromadzić wszystkie na obiad; a jeśli się spóźnią, nie przyjdą, nie zechcą?

Masz być wzorem. A jakże się ustrzeżesz swych wad, przywar, śmiesznostek? — Sprobujesz ukryć.—Napewno ci się to uda: im staranniej ukrywać będziesz, tem staranniej dzieci będą udawały, że nie widzą, nie wiedzą. I tylko najcichszym szeptem wyśmiewać cię będą.

Trudno,—nawet bardzo trudno,—zgoda!—Ale trudności m każdy, ale rozwiązywać je można różnie. — Odpowiedź tylko względnie dokładna. — Bo życie nie jest zbiorem arytme-

tycznych zadań, gdzie odpowiedź zawsze jedna, a sposobów rozwiązania co najwyżej — dwa.

10. Zabezpieczyć dzieciom swobodę harmonijnego rozwoju wszystkich władz duchowych, wydobyć pełnię ukrytych sił, wychowywać w czci dla dobra, piękna i wolności... Naiwny,—spróbuj. Społeczeństwo dało małego dzikusa, byś go ociosał, ułożył, uczynił łatwo strawnym, — i czeka. — Czeka państwo, kościół, przyszły chlebodawca.—Żądają, czekają, czuwają.—Państwo żąda państwowego patrjotyzmu, kościół kościelnej wiary, pracodawca uczciwości, a wszyscy przeciętności i pokory.— Zbyt mocne złamie, ciche sponiewiera, przewrotne niekiedy przekupi, biednemu zawsze drogę zagrodzi, — kto? — nikt, — życie.

Sądzisz, że dziecko — to drobna wartość, sierota — pisklę wypadłe z gniazda; umrze, nikt nie dostrzeże, mogiła chwastem porośnie. — Sprobuj, — przekonasz się, — zapłaczesz.—Przeczytaj historję przytułku Prevost'a w wolnej, republikańskiej Francji.

Dziecko ma prawo chcieć, upominać się, żądać,—ma prawo wzrastać i dojrzewać, a dojrzawszy, rodzić owoce. — A celem wychowania: nie hałasowac, nie drzeć trzewików, słuchać i wykonywać rozkazy, nie krytykować a wierzyć, że wszystkie mają wyłącznie jego dobro na celu.

Harmonia, rozlewność, swoboda, — to przykazanie: kochaj bliźniego. Rozejrzyj się po świecie, — uśmiechnij.

11. Nowy wychowaniec.

Ostrzygłeś, obciąłeś paznogcie, wykąpałeś, przebrałeś, — i już jest podobny do wszystkich.

Już nawet umie się kłaniać, nie mówi: „chcę“ tylko „proszę“; gdy wejdzie obcy, wie że należy pozdrowić. — Już na popisie zadeklamuje wierszyk, wytrze zabłocone obuwie; nie plunie na podłogę, używa chustki od nosa.

Nie łudź się, że przekreśliłeś w pamięci mroczne wspomnienia, złe wpływy, bolesne doświadczenia. Te czyste i czysto ubrane długo pozostaną zmięte, obolałe, spłowiałe, — są rany

nieczyste, które miesiącami cierpliwie goić należy, i wówczas jeszcze pozostają blizny, gotowe zawsze znów ropieć.

Internat sierot jest kliniką, gdzie spotykasz wszelkie niedomagania ciała i duszy przy słabej odporności ustroju, gdzie chora dziedziczność opóźnia i przeszkadza zdrowieniu. I jeśli internat nie będzie uzdrowiskiem moralnem, grozi mu, że będzie ogniskiem zarazy.

Zamknąłeś drzwi internatu na wszystkie zasuwy, ale nie zdołasz, by nie przysączył się zły szept uliczny, by nie wcisnęły się niefiltrowane i okrutne głosy, których nie zagłuszy paciorek morału. Wychowawca może opuścić oczy i udawać, że nie wie, ale dzieci tem złośliwiej będą wiedziały.

12. Powiadasz: zgadzam się na kompromisy, akceptuję ten materjał dzieci, jaki przynosi mi życie, uchylam czoła przed koniecznemi warunkami pracy, aczkolwiek są bardzo trudne. — Ale żądam swobody w drobiazgach, pomocy i ułatwienia w samej technice pracy.

Naiwny, nic żądać nie możesz.

Zwierzchnik zrobi ci zarzut, że na podłodze ponarzucane papierki, że mały roztrzepaniec nabił sobie guza, że fartuszki nie są dość czyste, a łóżka dość równo zasłane.

Chcesz usunąć dziecko, uznałeś to za konieczne dla dobra pozostałych. Proszą, aby go nie wydalać: może się poprawi?

Zimno jest w salach, a większość twych anemicznych dzieci ma odmrożone palce. Węgle, ciepło — jest drogie, ale chłód je warzy fizycznie i duchowo. — Nie, dzieci trzeba hartować.

Dziwisz się, że z dwóch jajek wypada niepełna łyżka jajecznicy. Słyszysz opryskliwą odpowiedź, że to rzecz nie twoja.

Kolega napewno wiedział, gdzie jest klucz od szafy, może sam schował, umyślnie pozwolił szukać. — Gdy wychodzi wieczorem, zostawia sypialnię bez opieki, nie pozwala się wtrącać do swojej sali, do swoich dzieci.

Kaprys despotyczny i nieświadomość władzy, nieuczciwość administracji, zła wola i niesumienność towarzysza pracy. —Dodaj: prostactwo służby, awantura z praczką o zarzucone jakoby

przez ciebie prześcieradło, z kucharką o przydymione mleko, ze stróżem o zadeptane schody.

Jeśli wychowawca znajdzie szczęśliwsze warunki pracy, tem lepiej. — Jeśli takie właśnie, niech się nie dziwi, nie oburza, — tylko rozumnie obliczy siły i energję — na dłuższą metę, niż pierwszych kilka miesięcy.

13. Internat z lotu ptaka.

Gwar, ruch, młodość, wesele.

Takie miłe państewko naiwnych małych ludzi.

Tyle dzieci, a tak czysto.

Harmonia uniformu odzieży, rytm śpiewu chóralnego.

Hasło, — milkną wszystkie. Modlitwa, — zasiadają do stołów. — Ani bójek, ani sprzeczek.

Przemknie miła buzia, migną uśmiechnięte oczy. Takie mizerne jedno — biedactwo.

Wychowawca łagodny, spokojny. — Przybiegło któreś z zapytaniem, — odpowiedział. Komuś zdala żartobliwie palcem pogroził, — zrozumiano i posłuchano. — Gromadka najwierniejszych otacza was zwartem kołem.

— Czy wam tu dobrze?

— Dobrze.

— Czy kochacie pana?

Uśmiechają się, kokieteryjnie pochylając głowy.

— Brzydko jest nie odpowiadać, gdy się pytają. Czy kochacie?

— Kochamy.

Miła praca, wdzięczne zadanie. Drobne troski, drobne potrzeby, — światek dziecięcy.

— Weźcie, to dla was pierniczki.

Grzecznie podziękowały. Żadne pierwsze nie wyciągnęło ręki.

14. Gościu przygodny, patrz raczej na te dzieci, które stoją zdala.

Gdzieś w cieniu jedno chmurne, palec ma owinięty szmatką. Dwoje starszych, szepcząc coś z ironicznym uśmiechem,

bacznie śledzą was wzrokiem. Kilkoro zajętych nie wie nawet, że ktoś obcy przyszedł. Inne umyślnie udaje, że czyta, by się do niego nie zwrócono z konwencjonalnem pytaniem — Inne korzysta, że wychowawca zajęty, wymyka się cichaczem, by bezkarnie zbroić.

Jest takie, które czeka niecierpliwie, aż pójdziesz, bo chce wychowawcę o coś zapytać. Inne właśnie się zbliża, bo chce być widziane. — Inne czai się, by dojść ostatnie, by samo tylko być przy was, bo wie, że wychowawca powie: „to nasz śpiewak, to nasza mała gosposia, to ofiara tragicznej historji“.

Pod jednaką odzieżą sto różnych serc bije, a każde z nich — inna trudność, inna praca, inna troska i obawa.

Sto dzieci — stu ludzi, którzy nie kiedyś tam, nie jeszcze, nie jutro, ale już... teraz... dziś są ludźmi. Nie światek, a świat, nie—drobnych, a doniosłych, nie niewinnych, a ludzkich — wartości, zalet, przywar, dążeń, pragnień.

Zamiast się pytać, czy kochają, zapytaj raczej, czem się to dzieje, że słuchają, że jest porządek, program i ład.

— Niema kar...

— Kłamstwo.

15. Jakie są twe obowiązki? — Czuwać. — Jeśli chcesz być dozorcą, możesz nie robić nic. Jeśli jesteś wychowawcą, masz szesnastogodzinny dzień roboczy, bez przerw, bez świąt, dzień złożony z pracy, nie dającej się ani określić, ani dostrzedz, ani skontrolować, ze słów, myśli, uczuć, którym imię — tysiąc. — Zewnętrzny ład, pozorne dobre ułożenie, tresura na pokaz — wymagają tylko twardej ręki i licznych zakazów. I dzieci są zawsze męczennikami obawy o ich rzekomą pomyślność; najcięższe krzywdy mają w tej obawie swe źródło.

Wychowawca wie równie dobrze, jak dozorca, że uderzone w oko dziecko może oślepnąć, że grozi mu zawsze złamanie ręki, lub zwichnięcie nogi, ale pamięta, że liczne są wypadki, gdy dziecko omal nie postradało oka, ledwo nie wypadło z okna, silnie stłukło i mogło złamać nogę, podczas gdy rzeczywiste nie-

szczęścia są stosunkowo rzadkie, a co ważniejsze — zabezpieczyć przed niemi nie można.

Im mizerniejszy poziom duchowy, bezbarwniejsze moralne oblicze, większa troska o własny spokój i wygodę, tem więcej nakazów i zakazów, dyktowanych pozorną troską o dobro dzieci.

Wychowawca, który nie chce mieć przykrych niespodzianek, nie chce ponosić odpowiedzialności za to, co się stać może, — jest tyranem dzieci.

16. Tyranem stanie się wychowawca, dbały o moralność dzieci

Chorobliwa podejrzliwość tak dalece zajść może, że już nie dzieci różnej płci, nie każdych dwoje dzieci, które usuną się na stronę, ale własne ręce dziecka uważać będziemy za wroga.

Jakiś bezimienny ktoś gdzieś kiedyś podyktował zakaz trzymania rąk pod kołdrą.

— Kiedy mi zimno, kiedy się boję, zasnąć nie mogę.

Jeżeli w pokoju jest ciepło, ono nie tylko ręce, — całe się odkryje. Jeżeli jest śpiące, zaśnie po pięciu minutach. — Ileż podobnie bezmyślnych podejrzeń opartych na nieznajomości dziecka...

Zauważyłem raz jak paru starszych chłopców, szepcząc coś tajemniczo, prowadzili do klozetu malców, którzy po pewnym czasie powracali zmięszani do sali. — Wiele wysiłku mnie kosztowało, żem nadal siedział i pisał spokojnie. — A zabawa była niewinna. — Oto jeden z chłopców (pracuje u fotografa) zasłonił fartuchem pudełko od cygar, pragnących się fotografować ustawiał pod kranem, umieszczonym w ścianie klozetu i gdy ci z miłym wyrazem twarzy nieruchomo oczekiwali na zdjęcie, na hasło: „trzy" — puszczano im strumień zimnej wody na głowy.

Doskonała lekcja rozumnej ostrożności dla malców; zlani wodą, na pierwsze tajemnicze szepnięcie, nie pójdą drugi raz do klozetu.

Wychowawco, który zbyt jednostronnie czuwasz nad moralnością dzieci, obawiam się, że sam nie jesteś w porządku.

17. Teoretyk dzieli dzieci na kategorje według temperamentów, typów umysłowych, upodobań, — praktyk zna przedewszystkiem dzieci dogodne i niedogodne, — przeciętne, któremi

nie trzeba się zajmować, i wyjątkowe, które wiele pochłaniają czasu.

Niedogodne: najmłodsze, poniżej przeciętnego wieku, najstarsze — krytyczne i oporne; niedołężne, rozlazłe i słabowite, gwałtowne i natrętne.

Dziecko, które już nuży, które wyrosło z rygorów internatu, które upokarza ogólny regulamin sypialni, jadalni, modlitwy, zabawy, spaceru.

Dziecko, któremu z ucha płynie materja, wrzód się zrobił, paznokieć się obiera, oczy łzawią, głowa boli, gorączkuje, kaszle.

Dziecko, które powoli się ubiera, myje, czesze, je. Jego łóżko ostatnie zasłane, ręcznik ostatni zawieszony, na jego talerz czy kubek czekać trzeba; ono opóźnia sprzątanie sypialni, uprzątnięcie stołu, odesłanie naczyń do kuchni.

Dziecko, które co chwila zwraca się z zapytaniem, skargą, pretensją, płaczem, nie lubi towarzystwa dzieci, natrętnie garnie się do ciebie, zawsze czegoś nie wie, o coś prosi, coś mu potrzebne, ma coś ważnego do powiedzenia.

Dziecko, które szorstko odpowiedziało, obraziło kogoś z personelu, pokłóciło się, pobiło, rzuciło kamieniem, umyślnie złamało lub podarło, powiada, że nie chce.

Wrażliwe i kapryśne, któremu bolesna jest drobna uwaga, chmurne spojrzenie, chłodna obojętność za karę.

Miły psotnik, który ci zapcha kamykami umywalkę, będzie się hustał na drzwiach, odkręci kran, zasunie szyber, odśrubuje dzwonek, ścianę zamaże niebieskim ołówkiem, gwoździem porysuje parapety okien, na stole wytnie litery, Zabójczo wynalazczy a nieobliczalny.

To są rabusie twego czasu, tyrani twej cierpliwości, ferment twego sumienia. — Walczysz z niemi, a wiesz, że to nie ich wina.

18. O siódmej rano dzieci wstają. — Masz im powiedzieć tylko: „dzieci, wstańcie“, — nic więcej.

W samej rzeczy, jeśli stu dzieciom powiesz, żeby wstały, ośmdziesiąt dogodnych wstanie, ubiorą się, umyją, gotowe na

nowe hasło rannego śniadania. Ale ośmiorgu musisz dwa razy powtórzyć, pięciorgu trzy razy, — by wstały. — Na troje musisz krzyknąć. — Dwoje musisz obudzić. — Jedno głowa boli: chore, a może udaje?

Dziewięćdziesiąt dzieci się ubiera, ale dwojgu musisz dopomódz, bo nie zdążą. — Jednemu zarzuciła się podwiązka, jedno ma odmrożony palec i nie może ubrać się w trzewik. Jednemu zrobił się supeł na sznurowadle. Ktoś komuś przeszkadza przy słaniu łóżka. Ktoś nie chce dać mydła, inny pcha się lub pryska przy myciu, zamienił ręcznik, nalewa na podłogę. Włożył prawy trzewik na lewą nogę, nie może zapiąć fartucha, bo guzik się urwał; ktoś zabrał bluzkę, przed chwilą była. — Ktoś płacze: to jego miska, on się w niej zawsze myje; ale tamten pierwszy dziś przyszedł.

Ośmdziesiąt dzieci nakarmiłeś pięciu minutami czasu, dziesięcioro połknęło po minucie, a dwojgiem zajęty byłeś prawie pół godziny.

To samo będzie jutro, tylko inne coś zgubi, inne niedomagać będzie, inne źle łóżko pościele.

To samo będzie za miesiąc, za rok, za pięć lat.

19. Miałeś powiedzieć tylko: „dzieci, wstańcie“, — nic więcej. A jednak nie zdążyłbyś.

Nie zdążyłbyś, gdyby jedno z dogodnych dzieci nie znalazło zarzuconej podwiązki czy bluzki, drugie nie przyniosło zapasowego pantofla dla odmrożonej nogi, trzecie nie rozwiązało supła.

Bo podwiązka była tak ukryta, że trzeba było wleźć po nią pod łóżko, pantofel trzeba przynieść z odległego pokoju, a nad supłem pracował twój zastępca długo, zrazu pazurem, potem zębem, potem gwoździkiem, który wczoraj znalazł, wreszcie pożyczonem dla tego celu szydełkiem.

Nie możesz nie dostrzedz, że jedno z dzieci częściej gubi, drugie częściej znajduje, jedno robi supły, drugie rozwiązuje. Jedno często niedomaga, drugie zawsze zdrowe. Jedno wyma-

ga pomocy od ciebie, drugie ją okazuje. — Przypuśćmy, że nie żywisz żalu do pierwszych, nie czujesz wdzięczności dla drugich.

Ale oto dziś z trudem wstaje to, które wieczorem rozmawiało długo w sypialni. Ale młodsze lepiej posłało łóżko, niż starsze. Ale to, które boli gardło, piło wodę z kranu, choć uprzedzałeś, że woda zimna, a ono spocone. — Sam się domyśl, co wówczas powiesz, choć wiesz, rozumiesz, godzisz się, przebaczasz.

Bo im więcej tych niedogodnych, tem więcej z szesnastu godzin dziennej pracy pochłonie dreptanie, krzątanie się, zrzędzenie, a mniej pozostanie na to, co podniosłe, szczytne, — czytaj: „wychowawca powinien“.

Mniej czasu i mniej sił...

20. Pomoc, okazywana wychowawcy przez dzieci, może być zupełnie bezinteresowna. Pomaga, bo chce, pomaga, bo dziś chce, za jutro nie odpowiada.

Ale taki pomocnik, kapryśny, ambitny i uczciwy, nie każdej czynności się podejmie. Łatwo się zniechęci, gdy napotka nieoczekiwane trudności, obrazi się, gdy wychowawca okaże niezadowolenie, ma wątpliwości, więc pyta się, żąda kontroli i wskazówek. Nie narzuci się z naprzykrzoną pomocą; trzeba go wyszukać, ośmielić, zachęcić; gdy go poprosić, zrobi chętnie, gdy nakazać, nie zechce. Nie można na nim polegać, bo zawieść może, gdy najpotrzebniejszy.

Dozorca znajdzie bez trudu innego pomocnika wśród dzieci. Sprytny, energiczny, bezczelny, fałszywy i interesowny, sam narzuci się z pomocą, odepchnięty powróci, w potrzebie z pod ziemi wyrośnie, odgadnie ze spojrzenia życzenie, każde polecenie spełni, wszystkiego się podejmie.

Jeśli źle wykona, wykręci się, skłamie, zgromiony uda pokorę. Zawsze zaraportuje: „wszystko w porządku“.

Jeśli nie zgłębiając „drobnych“ spraw i trosk dzieci, wychowawca niesumienny, nieudolny lub wyczerpany, takiemu dziecku—dyżurnemu odda swą władzę, dyżurny wyręczy, zastąpi go bez trudu. Z dziecka, które poszuka, zawoła, przyniesie, sprzątnie,

dopilnuje, przypomni,—wie, słyszało, powie,—stanie się wkrótce istotnym zastępcą.

To nie lizuch niewinny szkoły, to groźny feldfebel internatu — koszar.

21. Dyżurnemu łatwiej radzić sobie z gromadą, niż dorosłemu.—Bo dozorca jeśli uderzy, to nie z całej siły, jeśli zagrozi, to z pewnym powściągiem, jeśli ukarze, to za przewinienie. — A dziecko — dozorca uderzy nie w plecy, ale w głowę lub w brzuch, bo tak więcej boli, zagrozi nie karą, a czemś pozornie naiwnem: „poczekaj, jak będziesz spał w nocy, to cię zarznę sprężynowym nożem“, z najzimniejszą krwią oskarży niewinnego i zmusi do przyznania niepopełnionego przestępstwa: „powiedz, że ty zjadłeś, wziąłeś, złamałeś“,—i malec drżąc powiada: „ja złamałem, ja ukradłem“.

Szary ogół dzieci boi się jego więcej, niż wychowawcy, bo dyżurny wie wszystko, bo jest z nimi ciągle. Oporni nienawidzą, rzadko mszczą się, częściej przekupują.

Teraz mały tyran ma już pomocników, zastępców. Już sam nic nie robi, tylko rozkazuje, donosi na opornych i—odpowiada za wszystko przed władzą.

Trzeba dobrze odróżniać: to nie faworyt, nie ulubieniec, to istotny pomocnik, totumfacki, zausznik. — On dba o wygodę pana, pan go toleruje,—choć wie, że kłamie, oszukuje, wyzyskuje, ale bez niego obejść się nie może, a zresztą — czeka na lepszą posadę.

22. Podstępne i tajemnicze pogróżki zastępują zabronione bójki, jawne i hałaśliwe:

— Poczekaj, ja panu powiem. Poczekaj, dam ja ci już w nocy.

To magiczne zaklęcia, któremi sprytny a przewrotny zmusi do milczenia, uległości, pokory—młodsze, słabsze, głupsze, uczciwe.

Klozet i sypialnia — dwa wolne tereny, gdzie wymieniają się tajemnice, gdzie koncentruje się konspiracyjne życie internatu. — I mylą się wychowawcy sądząc, że sypialnia i klozet wymagają tylko jednostronnej czujności.

Znam wypadek, gdy chłopiec w nocy przypełznął do łóżka wroga i szczypał go, targał za uszy, za włosy, ostrzegając:

— Cicho bądź, jak krzykniesz i pana obudzisz, to cię wyrzucą.

Znam wypadek, gdy chłopcu umyślnie w nocy nalewano wodę do łóżka, aby mu dozorca podłożył hańbiącą ceratę.

Znam wypadek, gdy dyżurny mocno, do krwi obcinał paznogcie nielubianym towarzyszom.—Inny dyżurny umyślnie zrobił zimną kąpiel chłopcu, z którym się gniewał.

Teror złych sił może się zakorzenić w internacie, zatruwając atmosferę, szerząc epidemje moralne, kalecząc i pustosząc.—I dopiero w atmosferze kłamstwa, wymuszania, zatajania, ucisku, przemocy, cichych rozpraw, fałszywych denunciacyj, strachu i milczenia, w atmosferze, przesyconej miazmatami moralnego gnicia, powstają epidemje samogwałtu i kryminalnych czynów.

I wychowawca wpadłszy do podobnej kloaki, ucieka, a jeśli uciec nie może, zataja.

23. Rychło dzieci dostrzegą, że dozorca ukrywa przed zwierzchnością, że te zyskują jego względy, które zdobyły pochwałę, narażają na niechęć, gdy z ich winy dozorca usłyszał cierpką uwagę.

Między dozorcą i dziećmi zawiera się cichy układ: będziemy wspólnie udawali, że dzieje się najlepiej, będziemy ukrywali, gdy stanie się „coś takiego“.

I już do uszów naczelnego kierownika w jego zacisznej kancelarji dochodzi niewiele, a poza mury zakładu nie przedostaje się nic.—Dzieci popełniają szereg niedozwolonych i karygodnych czynów, on toleruje je przez nieudolne lub złośliwe niedbalstwo.

Może dlatego dzieci internatu są tak nieśmiałe i milczące, odpowiadają chętnie tylko na banalne pytania: „czy ci dobrze, czy jesteś posłuszny“, i zachowują dyskretne milczenie, gdy „mogą się wydać“. Może dlatego internat nosi cechę jakichś złych tajemnic, a rozmowa z dzieckiem, które raz w raz porozumiewa się wzrokiem z wychowawcą, jest krępująca i niemiła?...

W trzeciej części tej książki opowiem, jak w organizacji

Domu Sierot zabezpieczyliśmy pomoc dzieci bez obawy złych następstw, jak wprowadziliśmy jawność w życie internatu.

24. Dzień szarej troski i zmudnej krzątaniny ma swe dzieci dogodne i niedogodne, ma je i dzień pokazu, uroczystego jarmarku.

Dla wychowawcy, który prowadzi śpiewy, dogodne dziecko o najdźwięczniejszym głosie, dla wychowawcy — gimnastyka najzręczniejsze. Pierwszy myśli o popisowym chórze, drugi o publicznym turnieju.

Dzieci zdolne, układne, śmiałe czynią honory domu podczas galowej wizyty, dobrze reprezentują instytucję, dobrze świadczą o wychowawcy; a ładne—poda bukiet dostojnej osobie.

Czy wychowawca może nie być im wdzięczny?—Cóż z tego, że zaśpiewał, zagrał na skrzypcach, z fantazją odegrał swą rolę w komedyjce?—To nie jego zasługa.—I pełen skrupułów uczciwy wychowawca, gwałt sobie zadając, ukrywa miłe wzruszenie.

Czy słusznie? — Czy udana obojętność zdoła oszukać, a jeśli oszuka czy nie krzywdzi? Dla dziecka jest to dzień ważny, uroczysty, pamiętny,—trochę oszołomione, więcej przestraszone, wśród obcych, licznych dostojnych, — biegnie do tego, kto mu bliski, bo ceni jego pochwałę przedewszystkiem, domaga się jej, ma prawo...

Nie pozwól im się panoszyć, ale musisz wyróżnić...

A co się wówczas stanie z przepisem o bezwględnej równości wszystkich dzieci?—Ależ ten przepis jest kłamstwem.

25. Wychowawca-praktyk ma dzieci, które mu dają miłe wzruszenia, wynagradzają za poniesione trudy, które są dziećmi niedzieli jego własnej duszy,—ukochane zupełnie niezależnie od wartości i pożytku, który przynoszą.

Miłe, bo ładne; miłe, bo pogodne, bo wesołe, bo wdzięczne, bo uśmiechnięte; miłe, bo ciche, poważne, skupione i chmurne; miłe, bo małe, niedołężne i roztargnione; miłe, bo krytyczne, śmiałe i pełne buntu.

Zależnie od duchowego oblicza i ideałów wychowawcy, różnym różne są bliskie, drogie.

Jedno imponuje energją, drugie rozrzewnia dobrodusznością, trzecie budzi wspomnienia własnego dziecięctwa, czwarte rzewną troskę o jego przyszłość, w piątem budzi lęk jego górny lot, w szóstem pokorna lękliwość. A zpośród tych wielu miłych jedno kochasz, jak istotę najbliższą, której najlepiej życzysz, której łzy najbardziej cię bolą, o której życzliwość najbardziej zabiegasz, która—pragniesz, by o tobie nie zapomniała.

Jak to się stało, — kiedy? — Nie wiesz. — Przyszło nagle— bez motywów — nieoczekiwanie, — jak miłość.

Nie ukrywaj: uśmiech, ton głosu, spojrzenie cię zdradzą.

A pozostałe dzieci?—Nie obawiaj się, nie będą miały żalu; i one mają ulubieńców.

26. Młodzi i tkliwi wychowawcy skłonni są pokochać to najcichsze, zalęknione w tłumie, o smutnych oczach i tęsknej duszy. Ku tym zapomnianym, w cieniu, zwracają się gorącem uczuciem, pragną zdobyć ich zaufanie, czekają na zwierzenia.— Co czuje, o czem myśli ten anioł o znużonych skrzydłach?

Ogół dzieci się dziwi. Za co kochać, kiedy on taki głupi. Ulubieńca, którego dawniej omijano, jako zero, co najwyżej popchnięto, gdy stał na drodze, teraz świadomie i celowo prześladują. Zazdroszczą, bo wybór wypadł niefortunnie.

Wychowawca rozpoczyna nierówną walkę o ulubieńca — i przegrywa.—Poznawszy błąd, stara się go zlekka, nieznacznie odsunąć od siebie. — Zrozumiało, odeszło, patrzy smutnie jakby z wyrzutem, swemi wilgotnemi oczami. — Wychowawca cierpi: gniewa się na siebie i na dzieci.

Poeto, gdybyś wiedział, że to poetyczne dziecko ma jedną tylko tajemnicę w wielkich oczach z długiemi rzęsami, — tajemnicę gruźliczego obarczenia,—możebyś zamiast czekać na zwierzenia, — czekał raczej na kaszel, zamiast pocałunków, dawał tran z gwajakolem. I jemu i sobie i dzieciom oszczędziłbyś wielu chwil przykrych.

27. Bywa, że pokochałeś dziecko bez wzajemności. Ono chce bawić się w piłkę, w wyścigi, w wojnę,— ty pragniesz je

pogłaskać, przytulić, popieścić. To gniewa je, niecierpliwi, upokarza, — i albo usuwa się od zbędnych czułości, albo — zarzuca ręce na szyję i prosi o nowe ubranie.—To twoja wina, nie jego.

Bywa, że o względy jednego dziecka ubiega się parę osób personelu; wówczas mały faworyt lawiruje przebiegle, by nie urazić nikogo. Bo ty pozwalasz mu później spać chodzić, gospodyni zamieni podarte pończochy, a kucharka poczęstuje jabłkiem lub rodzynkami.

Bywa, że dziecko zmysłowe, lub zdeprawowane znajduje zadowolenie w pieszczocie. Lubi głaskać rękę, bo taka mięciutka, powie, że twoje włosy pachną, pocałuje w ucho lub w szyję, lub w każdy po kolei kochany paluszek. Miej oczy szeroko otwarte: to są pieszczoty lubieżne.

Uczucia erotyczne żyją w dziecku. Natura przepisała życiu wzrost i rozmnażanie; prawo to obejmuje człowieka, zwierzę, roślinę. Uczucie seksualne nie wyrasta nagle i z niczego; ono drzemie jeszcze, ale cichy jego oddech już słyszysz. Są i ruchy, i uściski i pocałunki i zabawy dzieci skrycie lub jawnie zmysłowe.

Ale wychowawca niema potrzeby wznosić oczów ku niebu, ani rąk składać w zdumieniu, ani odżegnywać się z oburzeniem.

Daj życiu dziecka rozpęd, by się nie nudziło, pozwól mu biegać i hałasować, spać tyle tylko, ile zechce; a uczucie seksualne będzie kiełkowało spokojnie, nie brudząc ani szkodząc.

28. Badawcze oko nauki dostrzegło pierwiastek seksualny w uczuciu rodziców. Matka, która karmi niemowlę, ulega mu w równej mierze, jak ojciec, gdy tuli do ust zimne ręce martwej dzieciny.

Niewinne pogłaskanie dziecka po twarzy lub włosach, okrycie kołderką, nawet modlitwa o jego szczęście, gdy śpi cicho, u wezgłowia jego kołyski,—jest normalnym przejawem zdrowego erotycznego uczucia, a pozostawienie dziecka pod opieką służby, znajdowanie wyższego zadowolenia w czczej kawiarnianej gawędzie, jest jego zwyrodnieniem.

Dla zwyrodniałych, stępionych zmysłów, uczucia te są zbyt łagodne i już nieuchwytne. Tu matka musi obsypać pocałunkami

nóżki, plecki i brzuszek dziecka, by doznać uczucia, które zdrowej matce daje lekkie dotknięcie. Nie wystarcza uczciwe—zmysłowe, pożąda — lubieżnego.

Dziwisz się, — może nie chcesz wierzyć? Może powiedziałem to, co przeczuwałeś, podejrzewałeś, ale odrzucałeś gniewnie?

Bo nie wiesz, że instynkt rozrodczy w jego różnolitych drgnieniach oscyluje między najwznioślejszem twórczem natchnieniem i najhaniebniejszą zbrodnią.

Z uczucia, które żywisz dla dzieci, musisz zdać sobie sprawę i czuwać nad niem, bo ciebie, który nie tylko wychowujesz, ale jesteś i wychowańcem dzieci, też same dzieci mogą zdeprawować.

Cztery ściany domu, szkoły, internatu — kryją mroczne tajemnice. Niekiedy skandal kryminalny oświetli je błyskawicą na chwilę. I znów ciemność.

W uprawnionych gwałtach, jakich się dopuszcza współczesne wychowanie na duszach dzieci,—w niewoli, tajemnicy i bezapelacyjnej władzy,—muszą kryć się i swawola i zbrodnia.

29. Wychowawca-apostoł. Przyszłość narodu. Szczęście przyszłych pokoleń.

Ale gdzie w tem moje własne życie? moja własna przyszłość, moje własne szczęście, moje własne serce?

Rozdaję myśli, rady, ostrzeżenia, uczucia, rozdaję szczodrze. Gdy co moment dochodzi inne dziecko, z coraz innem żądaniem, prośbą lub pytaniem, zabierając czas, myśl, wzruszenie, — czujesz niekiedy boleśnie, że będąc słońcem tej gromady, sam stygniesz, że świecąc, sam tracisz promień po promieniu.

Wszystko dla dzieci, a co dla mnie?

One krzepną w wiadomości, doświadczenie, wskazania moralne, gromadzą zapasy, —ja tracę.—Jak nadal gospodarzyć zasobem własnych sił duchowych, by nie okazać się bankrutem?

Przypuśćmy, że wychowawca nie ma własnej młodości, która wzywa o prawa, rodziny, która go skuwa, trosk materjalnych, które niepokoją, fizycznych niedomagań, które dolegają.—Cały oddany świętej sprawie wychowania, musi mieć uczucie.—Jak je ocalić od rozbicia?

I gdy wraca do domu, który ma być jego domem, nie mogąc serdecznie przywitać wszystkich, czy niema prawa uśmiechnąć się do jednego? Gdy opuszcza wieczorem sypialnię, nie mogąc wszystkich czule pożegnać, czy bodaj niekiedy nie ma prawa to jedno czy dwoje wyróżnić oddzielnem; „śpij synuś, śpij mały urwisie“. Czy gromiąc za drobne przewinienie, niema prawa wyraźniej przebaczać spojrzeniem, gdy czyni gorzkie wyrzuty?

Jeśli się nawet myli, nie najcenniejsze wybrał, cóż z tego?— Miłe wzruszenia, które ono daje, pokryje szeregi przykrych; otrzymanym od kochanego uśmiechem obdzieli wiele.

Może są wychowawcy, którym wszystkie dzieci są jednakowe obojętne lub nienawistne, ale niema takich, którym wszystkie byłyby jednakowo miłe i drogie.

30. Przypuśćmy bezwzględną równość. Niema dogodnych ani niedogodnych, miłych ani niemiłych. Dla wszystkich jednakowe kawałki chleba i porcje zupy, jednakowa ilość godzin snu i czuwania, jednakowa surowość i pobłażanie, — bezwzględny uniform odzieży, porcji, regulaminu, uczucia. Mimo jawną niedorzeczność, przypuśćmy, że tak być powinno. — Żadnych przywilejów, żadnych wyjątków, żadnego wyróżnienia,—bo to psuje.

I wówczas nawet wychowawca ma prawo postępować błędnie, ponosząc konsekwencje popełnianych błędów.

Listy Pestalozego o pobycie w Stanz to najpiękniejsze dzieło wychowawcy praktyka.

.....„jeden z mych najulubieńszych wychowańców nadużył mej miłości i pozwolił sobie na niesprawiedliwą groźbę względem drugiego; to mnie wzburzyło; dałem mu uczuć swe niezadowolenie dość surowo“.

Dziw: wielki Pestalozzi miał ulubieńców, unosił się gniewem...

Albo nadmiarem zaufania, albo zbytkiem pochwał, zbłądził; i sam w pierwszym rzędzie został ukarany: zawiódł się.

Niekiedy zdumienie ogarnia, jak szybko i dotkliwie odpokutować musi wychowawca za popełnione błędy.—Niech czujnie je koryguje.

Niestety, niekiedy w najważniejszych zagadnieniach nie może.

31. Nie hałasować!

Dzieci wyładowują tylko część energji, którą mają w gardle, w płucach, w duszy, tylko część krzyku, który mają w mięśniach. Posłuszne, dławią go do możliwych granic.

— Cicho, — jest hasłem klasy szkolnej.

— Nie wolno hałasować podczas obiadu.

— Nie hałasować w sypialni.

Dzieci hałasują aż do wzruszenia cicho, biegają aż do łez ostrożnie aby nie odsunąć stołu,—wymijają się wzajemnie, ustępują, — byle nie wynikła sprzeczka, byle się coś nie stało; bo znów usłyszą nienawistne: „tylko bez hałasów“.

Nie wolno i na podwórku krzyczeć, bo niepokoją sąsiadów.— A jedyną ich winą, że każdy metr ziemi w mieście drogo kosztuje.

— Nie jesteście w lesie, — cyniczna uwaga, brutalne znęcanie się nad dzieckiem, że nie może być tam, gdzie być powinno.

Pozwólcie im się rozbiegnąć po łące, a nie będzie wrzasku, jeno miły szczebiot ludzkiego ptactwa.

Jeśli nie wszystkie, to znaczna większość dzieci lubi ruch i wrzawę, od swobody ruchu i krzyku zależne jest ich zdrowie fizyczne i moralne.—A ty wiedząc o tem, musisz upominać:

— Siedźcie spokojnie — i cicho.

32. Popełniasz zawsze i konsekwentnie błąd zwalczania— słusznego uporu dziecka.

— Ja nie chcę!

Nie chcę iść spać, bo choć zegar wydzwonił godzinę, wieczór pachnie, uśmiecha się skrawkiem gwiazdami usianego nieba. — Nie chcę iść do szkoły, bo pierwszy śnieg spadł w nocy i tak wesoło na świecie.— Nie chcę wstać, bo zimno, smutno.— Wolę nie jeść obiadu, byle skończyć partję palanta.—Nie przeproszę nauczycielki, bo ukarała niesprawiedliwie.—Nie chcę robić zadania, bo czytam Robinsona.—Nie włożę krótkich spodni, bo się śmiać będą.

Musisz!

Bywają rozkazy, które wydajesz, bo tobie rozkazano, gniewnie, a bez przekonania; a nie spełnić nie wolno.

Słuchaj się już nietylko mnie, który waży każdy nakaz, zanim go oznajmi, ale i tych licznych a bezimiennych, których prawa są okrutne i niesprawiedliwe.

— Ucz się, szanuj, wierz!

— Nie chcę, to krzyk duszy dziecka, a musisz go tępić, bo nie w lesie a w społeczeństwie żyje człowiek współczesny.

Musisz, — inaczej będzie chaos.

Im łagodniej upór zdławisz, tem lepiej, im szybciej i gruntowniej, tym mniej boleśnie zabezpieczysz konieczną karność gromady,—osiągniesz minimum koniecznego porządku.—A biada ci, jeśli łagodny — uczynić tego nie zdołasz.

Bez organizacji, w rozprzężeniu, tylko nieliczne, wyjątkowe dzieci rozwijać się mogą pomyślnie, dziesiątki się zmarnują.

33. Są błędy, które popełniać będziesz zawsze, bo jesteś człowiekiem, nie — maszyną.

Smutny, znużony, cierpiący, rozgoryczony, dostrzegasz w dziecku cechę, która dorosłych czyni złymi i szkodliwymi: fałsz, chłodne wyrachowanie, brzydką wyniosłość, mizerny podstęp, drapieżną zachłanność, —czy nie postąpisz zbyt porywczo.

Nie zgadza mi się rachunek. Co chwila wchodzi inne dziecko, choć wstęp do kancelarji jest dzieciom względnie wzbroniony. Ostatni wchodzi chłopczyna, niosąc mi w podarku bukiecik: bukiet wyrzucam przez otwarte okno, jego za ucho wyprowadzam za drzwi.

Poco mnożyć przykłady nierozumnych i brutalnych postępków...

Ale dziecko wybaczy. Obrazi się, rozgniewa, — pomyśli — i bardzo często sobie ufnie przypisze winę. — Kilkoro wrażliwszych będzie cię unikało, gdy jesteś zły lub zajęty. — Wybaczą, gdy znają życzliwość.

To nie jakaś nadprzyrodzona intuicja dziecka, że wie, kto je kocha, — a czujność istoty zależnej, która musi gruntownie poznać, bo w twoich rękach jej pomyślność spoczywa. Podobnie

urzędnik — niewolnik tak długo przygląda się i rozmyśla o szefie, aż pozna wszystkie jego zwyczaje, upodobania, humory, drgnienie warg, ruch ręki, błysk oczu. — I wie, kiedy poprosić o podwyżkę lub urlop, i czeka niekiedy cierpliwie długie tygodnie na odpowiednią chwilę. — Dajcie im niezależnosć, stracą tę spostrzegawczość.

Dziecko wybaczy nietakt, niesprawiedliwość, ale nie przywiąże się do wychowawcy, — pedanta lub oschłego despoty. A każdy fałsz odtrąci z niechęcią lub wydrwi.

34. Nie uda się uniknąć błędów, które płyną z nałogu utartych słów, ogólnie przyjętych czynów, ze zwykłego stosunku do dzieci, jako istot niższych, niepoczytalnych, uciesznych w swem naiwnem niedoświadczeniu.

Lekceważąco, żartobliwie, protekcyjnie odnosić się będziesz do ich trosk, życzeń, pytań, — zawsze któreś urazisz boleśnie.

Ono ma prawo żądać szacunku dla swego smutku, choćby nim była strata kamyka, życzenia, choćby niem był spacer bez palta, gdy mróz na dworze, pytania pozornie niedorzecznego. — Ty nie bierzesz udziału w stracie, krótkiem: „nie można“ odrzucasz prośbę, jednem: „głuptas jesteś“ przecinasz wątpliwości.

Czy wiesz, dlaczego chłopiec chciał wziąc pelerynę w dzień upalny? — Bo ma brzydką łatę na kolanie pończochy, a w ogrodzie będzie dziewczynka, którą kocha...

Nie masz czasu, nie możesz ciągle czuwać, zastanawiać się, odszukiwać ukrytych motywów jawnie bezsensownego życzenia, wtajemniczać w niezbadane obszary dziecięcej logiki, fantazji, poszukiwań prawdy, — naginać się do jego dążeń i upodobań.

Te błędy będziesz popełniał, bo nie błądzi ten tylko, kto nic nie robi.

35. Jestem porywczy. Ani olimpijski spokój, ani filozo-

ficzna równowaga nie są moim udziałem. — To źle. — Cóż kiedy nie mogę?

Gdy zostanę zwymyślany jak ekonom przez pana — życie, gniewam się, że niewolnik — dziecko nie rozumie, z jakim trudem zdobywam dla niego o jedno ogniwo dłuższe, o gram lżejsze kajdany. — Widzę opór tam, gdzie mi nie wolno ustąpić, i jako urzędnik mówię: musisz, a jako przyrodnik: nie możesz. — To, parobek, złoszczę się, że bydło lezie w szkodę, to człowiek, cieszę się, że dzieci — żyją. — Jestem na przemian klucznikiem więzienia, pilnuję nakazanego przez cyrkularz porządku, to równy między równymi, niewolnik wśród towarzyszy, buntuję się przeciw prawu — despocie.

Gdy uderzę łbem w zagadnienie, wobec którego jestem niemocen, gdy słyszę zapowiedź groźnych zjawisk, którym zapobiedz nie mogę, sam będąc już lękiem i przewidywaniem, widząc ich beztroskliwość i ufność, czuję gniew bólu lub serdeczną życzliwość.

Gdy dostrzegę w dziecku nieśmiertelną iskrę bogom wykradzionego ognia, błysk myśli niekarnej, dostojność gniewu, poryw zapału, smutek jesienny, słodycz ofiarną, — lękliwą dostojność, dzielne, radosne, ufne, zaczepne poszukiwanie przyczyn i celów, mozolne próby, groźny odruch sumienia, — przyklękam kornie, bom gorszy, słaby i tchórz.

Czemże wam jestem, jeśli nie balastem wolnego lotu, pajęczyną waszych barwnych skrzydeł, nożycami, które mają krwawy obowiązek ścinania bujnych pędów?

Stoję wpoprzek waszej drogi, lub drepczę bezradnie, zrzędzę, dokuczam, przemilczam, przekonywam nieszczerze — bezbarwny i śmieszny.

36. Dobrzy od złego różnią się wychowawcy tylko ilością popełnianych błędów, wyrządzanych krzywd.

Są błędy, które dobry wychowawca popełnia tylko raz, a oceniwszy krytycznie, nie ponawia, długo błąd popełniony pamięta. Jeśli postąpi niesłusznie, nietaktownie—w znużeniu, wszystkie wysiłki skieruje ku temu, by zmechanizować drobne, a do-

kuczliwe czynności, bo wie, że źle się dzieje, bo nie ma dość czasu. Zły wychowawca winę własnych pomyłek przypisuje dzieciom.

Dobry wychowawca wie, że warto myśleć nad drobnym epizodem, bo w niem się kryje zagadnienie, — nie lekceważy.

Dobry wie, co robi na żądanie tryumfującej władzy, panującego kościoła, mającej moc tradycji, przyjętego zwyczaju, pod żelaznym nakazem warunków. Wie, że nakaz ma o tyle tylko dobro dzieci na celu, że uczy je naginać się, ulegać, obliczać, przyucza do kompromisów przyszłości, gdy dorosną.

Zły wychowawca sądzi, że dzieci w samej rzeczy powinny nie hałasować, nie plamić ubrań, sumiennie wykuwać gramatyczne formułki.

Rozumny wychowawca nie dąsa się, że nie rozumie dziecka, ale rozmyśla, poszuje, wypytuje dzieci. One go pouczą, by ich nie urażał zbyt dotkliwie, — byle chciał się uczyć.

37. „U mnie niema kar“, — mówi wychowawca, i niekiedy sam nie podejrzewa, że nietylko są, ale i bardzo surowe.

Niema ciemnego karceru, ale jest izolacja i pozbawienie swobody. — Tylko postawi w kącie, posadzi przy oddzielnym stole, nie pozwoli wyjść na podwórko, nie pozwoli odwiedzić rodziny. — — Odbierze piłkę, magnes, obrazek, flaszeczkę od perfum, — więc jest konfiskata własności. — — Zabroni chodzić spać ze starszemi, nie pozwoli w święto włożyć nowego ubrania, — więc pozbawienie szczególnych praw i przywilejów. — — Wreszczie czy nie jest karą, gdy okazuję mu chłód, niechęć, niezadowolenie?

Stosujesz kary, złagodziłeś tylko lub zmieniłeś ich formę. — Dzieci się boją, czy będzie to duża, mała lub tylko symbol kary. — Rozumiesz: dzieci się boją, jest karność.

Można batożyć miłość własną, uczucie dziecka, jak dawniej batożono ciało.

38. Niema kar, ja mu tylko tłomaczę, że źle postąpiło. Jak wytłomaczysz?

Powiesz, że jeśli się nie poprawi, będziesz zmuszony je wydalić. Naiwny, grozisz karą śmierci. Nie wydalisz go: tamto, wydalone przed rokiem, było chore, nienormalne, a ten jest zdrowy, miły urwis, z którego dzielny człowiek wyrośnie; chcesz go tylko nastraszyć. — Ba, i niańka nie odda dziecka dziadowi, nie zaprowadzi do lasu, by je wilki zjadły,—ona też tylko groz

Wzywasz opiekunów, by się z nimi rozmówić: to groźba jeszcze bardziej wyrafinowana.

Grozisz, że spać będzie w korytarzu, jeść na schodach, że mu śliniak założysz, — grozisz zawsze karą o stopień wyższą, niż te, które są w użyciu.

Niekiedy groźby są bezcielesne, nieokreślone:

— Ostatni raz ci mówię. — Zobaczysz, że to się źle skończy. — Ty się doigrasz wreszcie. — Już więcej ci nie powtórzę: możesz robić, co ci się podoba.—Teraz serjo wezmę się do ciebie. Sama mnogość zwrotów dowodzi, jak są rozpowszechnione, dodam, nadużywane.

Dziecko niekiedy wierzy, zawsze nawpół wierzy:

- Co będzie ze mną teraz?

Nie ukarał, a jeśli ukarze, to kiedy — jak? Obawa niewiadomego, nieoczekiwanego.

— Jeśli ukarałeś, nazajutrz ono się już oddaliło od bolesnego przeżycia, zbliżyło do pojednania, zapomnienia. — Budząc się nazajutrz po zapowiedzianej groźbie, może zbliżyło się do chwili ciężkiego obrachunkn.

Można groźbami utrzymywać dzieci w dużej karności, przy słabym krytycyzmie sądzić, że jest łagodny sposób działania, — gdy niedokonana groźba jest dużą karą.

39. Istnieje błędne, oparte na powierzchownej obserwacji przekonanie, że dziecko szybko zapomina swe smutki, urazy, postanowienia. Dopiero płakało, już się śmieje. Ledwo się pokłóciły, już bawią się razem. Przed godziną obiecało poprawę, znów broi.

Tak nie jest: dzieci długo pamiętają urazę, przypomni

ci krzywdę, wyrządzoną przed rokiem. Nie spełnia wymuszonej obietnicy, bo nie może.

Biega i bawi się, bo dało się porwać ogólnej wesołości; ale znów wróci do pełnych troski myśli — w ciszy, przy książce, wieczorem przed zaśnięciem.

Niekiedy dostrzegasz, że dziecko jakieś cię unika. Nie zbliży się z zapytaniem, nie uśmiechnie przechodząc, nie wejdzie do twego pokoju.

— Myślałem, że pan się jeszcze gniewa, — odpowie zagadnięte.

Z trudem przypominasz sobie, że przed tygodniem za drobne przewinienie powiedziałeś mu coś względnie przykrego względnie podniesionym głosem. I dziecko ambitne lub wrażliwe przeżyło wiele przykrych chwil w ciszy, niepostrzeżenie.

Dziecko pamięta.

Wdowa w ciężkiej żałobie zapomni się w żartobliwej rozmowie i głośno roześmieje; wnet westchnie; „ach ja się śmieję, a mój biedny mąż — nieboszczyk". — Bo wie, że tak trzeba. — Rychło tej sztuki nauczysz dzieci; skarć surowo, że wesołe, a powinno być smutne i skruszone, — posłucha. — Nieraz zdarzało mi się widzieć, jak biorące żywy udział w zabawie, przybierało nagle strapioną minę, spotkawszy się z moim chmurnem spojrzeniem. „Ach prawda, nie wypada się bawić, gdy się na ciebie gniewają."

Pamiętaj, że są dzieci, które udają obojętność: niech nie myśli, że ono się boi, martwi, pamięta. Jeśli kara obliczona była na ich upokorzenie, honor nakazuje — właśnie nic sobie nie robić. To dzieci, które bodaj najżywiej odczuwają i długo pamiętają.

40. Niema kar, tylko zgromienie, napomnienie, słowa. — Ale jeśli w tem słowie kryje się chęć shańbienia.

— Patrz, jak twój kajet wygląda? Do czego ty jesteś podobny? Pięknie się spisałeś. Patrzcie, co on zrobił.

A publiczność — towarzysze mają obowiązek uśmiechać się ironicznie, wyrażać zdumienie, pogardę. Czynią to nie wszyst-

kie, im uczciwsze, tem bardziej wstrzemięźliwe w wyrażaniu niepochlebnego sądu.

Istnieje inny rodzaj kary; stałe lekceważenie i poniżająca rezygnacja:

— Jeszcze nie zjadłeś? — Znów ostatni? — Znów zapomniałeś?

Spojrzenie pełne wyrzutu, machnięcie ręką, westchnienie rozpaczy.

Delikwent w poczuciu winy zwiesza głowę, niekiedy pełen buntu i niechęci spogląda z podełba na szczującą go sforę, by w wolnej chwili rozprawić się, z kim należy.

— Daj mi to,—częściej niż inni powtarzał jeden z chłopców.

W dość ostrej formie skarciłem brzydki zwyczaj. — W rok później, gdy notowano dawane dzieciom przezwiska, usłyszałem echo swej nietaktownej przemowy: wsród innych — chłopiec miał najboleśniejsze przezwisko: „dajmito — żebrak".

Wyśmiewanie jest dużą, bolesną karą.

41. Przemawiasz do uczucia.

— To ty tak mnie kochasz? Obiecałeś, tak dotrzymujesz?

Prośba łagodna, wyrzut serdeczny, pocałunek, jako zadatek żądanej poprawy, wreszcie wymuszenie nowej obietnicy.

I pozostawiasz dziecko z ciężkiem w duszy uczuciem: zobowiązane dobrocią, wspaniałomyślnem przebaczeniem, w poczuciu swej bezradności, nie wierząc częstokroć w możność poprawy, ponawia przyrzeczenie, postanawia stoczyć raz jeszcze decydującą walkę ze swą porywczością, lenistwem roztargnieniem, — ze sobą.

— A co będzie, jeśli znów zapomnę, spóźnię się, uderzę, hardo odpowiem, zgubię?

Niekiedy pocałunek cięższe nakłada okowy, niż rózga.

Czy nie zauważyłeś, że jeśli dziecko raz coś zrobi po danej obietnicy poprawy, czuj duch, bo po pierwszem nastąpi drugie, trzecie przewinienie.

To ból poniesionej porażki i niechęć do wychowawcy, że do nierównej zmusił walki podstępnie wydartą obietnicą, — Pono-

wisz jątrzące wezwanie do jego sumienia, uczucia, — odepchnie cię gwałtownie.

Na jego gniew odpowiadasz burzliwym gniewem, — krzykiem. Dziecko nie słucha, jeno czuje, ży wyrzucasz je ze swego serca, odbierasz życzliwość. Obcy, sam — pustka wokoło. A ty w uniesieniu stosujesz wszystkie kary: i groźbę i wyrzut, i drwinę, i istotne represje.

Zobacz, z jakiem współczuciem patrzą nań towarzysze, jak łagodnie starają się pocieszyć:

— Pan tylko tak mówił. Nie bój się, — to nic: nie martw się, — zapomni.

A wszystko ostrożnie, by nie narazić się wychowawcy, nie oberwać od zbuntowanej ofiary.

Ilekroć robiłem „wielką awanturę“, obok niesmaku doznawałem jasnego uczucia; skrzywdziłem jedno, ale nauczyłem wiele wielkiej cnoty: solidarności w nieszczęściu.—Mali niewolnicy wiedzą, jak to boli.

42. Niekiedy gromiąc dziecko, czytasz w jego wzroku sto buntowniczych myśli.

— Sądzisz może, że zapomniałem. Ja dobrze wszystko pamiętam.

Dziecko źle kłamiąc skruchę, mówi ci niechętnem spojrzeniem.

— Nie moja wina, że masz taką dobrą pamięć.

Ja:

— Byłem cierpliwy. Czekałem, może się poprawisz.

Ono:

— Szkoda wielka. Nie trzeba było czekać.

Ja:

— Myślałem, że wreszcie przyjdziesz do rozumu. Myliłem się.

Ono:

— Jeżeliś taki mądry, nie powinieneś się mylić.

Ja:

— Ponieważ ci przebaczam, myślisz, że ci wszystko wolno?

Ono.

— Wcale tak nie myślę. — Kiedy się to skończy wreszcie?

Ja:

— Już dłużej nie można z tobą wytrzymać.

Ono:

— Baj baju, zły dziś jesteś jak chrzan, więc się przyczepiłeś do mnie...

Niekiedy dziecko podczas burzy zachowuje zdumiewający stoicyzm.

— Ile razy ci powtarzałem, żeby na łóżkach nie skakać, — piorunuję, — Łóżka nie są do zabawy. Do zabawy są piłki, łamigłówki...

— A co to są łamigłówki? — zapytuje ciekawie.

W odpowiedzi dałem mu po łapach...

Innym razem, po burzliwej rozmowie, byłem zapytany:

— Proszę pana, dlaczego jak się kto złości, to się robi czerwony?

Podczas gdy ja wysilałem, głos i umysł, by zwrócić na drogę cnoty, on śledził badawczo grę kolorów twarzy pod wpływem afektu. Pocałowałem go, — był uroczy.

43. Słusznie nienawidzą dzieci zbiorowych oskarżeń.

— Z wami nie można dobrocią... Znowuście... Jeśli się nie poprawicie...

Dlaczego za winę jednego lub kilkorga mają odpowiadać wszystkie?

Jeśli dał powód do burzy mały cynik, będzie zadowolony: zamiast otrzymać całą porcję gniewu, otrzymał tylko ułamek. — Uczciwy będzie zbyt surowo dotknięty, widząc tyle niewinnych ofiar swojego przestępstwa.

Niekiedy gromy spadają na pewną grupę dzieci: chłopcy są nic nie warci, — lub odwrotnie: dziewczynki są wyjątkowo występne, najczęściej „starsze, zamiast dawać przykład... patrzcie jak mali są poprawni".

Tu oprócz słusznego gniewu niewinnych, budzimy zażenowanie chwalonych, ktore znają liczne swe grzechy, pamiętają,

jak same były pod pręgierzem. Osiągamy wreszcie zły tryumf małych kpiarzy: „acha, a widzicie, beee“.

Chciałem raz wyjątkowo uroczyście zareagować na niewyjaśnioną kradzież. Wszedłem do sypialni chłopców gdy już zasypiali, i uderzając w takt o poręcz łóżka, donośnym głosem mówiłem:

— Znów kradzież. To się musi skończyć. Szkoda pracy na wychowywanie złodziei...

Tęż samą, dość długą przemowę, powtórzyłem w sypialni dziewczynek.

Nazajutrz taką rozmowę prowadzili chłopcy z dziewczętami:

— I u was też tak krzyczał?

— A jakże.

— Mówił, że wszystkie wyrzuci?

— Mówił.

— I bił pięścią w łóżko?

— Bił z całej siły.

— A w czyje łóżko, bo u nas — w Maniusi.

Ilekroć występowałem ze zbiorowemi oskarżeniami, zasmucałem najpoczciwsze i rozdrażniałem wszystkie, ośmieszałem się w oczach krytycznych: „to nic, niech się trochę pozłości, — to zdrowo“.

44. Czy wychowawca nie rozumie, że znaczna część kar jest niesprawiedliwa?

Bójka.

— On mnie pierwszy uderzył.—Bo on się ze mną drażnił... Wziął i nie chciał oddać. — Ja tylko tak żartowałem... Przeszkodził, zamazał.—To nie ja, on mnie pchnął.

I ukarałeś bądź obu (dlaczego?), bądź starszego, który powinien ustąpić młodszemu (dlaczego?), bądź tego, który przez prosty przypadek uderzył boleśniej, szkodliwiej. — Ukarałeś, bo nie wolno się bić.—A czy wolno się skarżyć?

Wylał, przewrócił, złamał.

— Ja nienaumyślnie.

Powtarza twoje własne zdanie: ty każesz przebaczać, jeśli mu nieumyślną wyrządzą szkodę.

— Ja nie wiedziałem... Ja myślałem, że można.

Spóźnił się, bo... Nie umie, ale...

Słuszne powody odrzucasz, jako wykręty. To podwójna krzywda: i nie wierzysz mu, choć prawdę mówi, i ukarałeś niesprawiedliwie.

Niekiedy zakaz względny z racji przypadku staje się bezwzględnym. Niekiedy przestaje być zakazem.

W sypialni nie wolno hałasować, ale wolno rozmawiać przyciszonym głosem. Jeśli jesteś wesół, sam roześmiejesz się z niewinnego figla, gdy jesteś zmęczony, skarcisz zwykłą sypialnianą gawędę bodaj tylko szorstką uwagą:

— Dosyć będzie tego gadania... Ani słowa więcej... Kto się raz jeszcze odezwie...

Nie wolno wchodzić do kancelarji, ale dzieci wchodzą. Dziś właśnie masz miesięczny rachunek, potrzebny ci spokój. — On nie wiedział, więc wszedł i oberwał. — Gdyby go nawet nie wyprowadzono za ucho, jeśli mu tylko powiedzieć:

— Po co tu wlazłeś? Wynoś mi się w tej chwili.

To i tak — gniew twój jest niezasłużoną karą.

45. Podczas gry w piłkę stłukł szybę, — przebaczyłeś, bo szyby rzadko się tłuką, bo nie wiesz, kto właściwie zawinił, bo nie lubisz karać.

Ale gdy wybito czwartą szybę, gdy wybił ją chroniczny psotnik, który ma jeszcze grzech złej noty w szkole, — karzesz go krzykiem, groźbą, złością.

— Ja nienaumyślnie, — odpowiada śmiało, w twojem przekonaniu hardo.

Czwarta szyba... psotnik... zły uczeń... leniuch... jeszcze hardo odpowiada... Wychowawco, zapewniam cię, że dasz mu po łapach. — A przecież dziecko nie może zrozumieć, niema potrzeby godzić się z faktem, że ukarałeś je dla przykładu, że ono jako mniej wrażliwe, jest dogodnem medjum dla zastosowania efektowniejszej kary, że karę wymierzyłeś nie za ten jeden fakt, a za całokształt jego działalności.

Ono wie, że dzieciom A, B, C — przebaczyłeś, a jego niesprawiedliwie ukarałeś...

Postąpiłeś inaczej: zabrałeś piłkę.

— Nie wolno grać w piłkę.

Niesprawiedliwie: kara dotyka dziesiątki niewinnych dzieci.

Jeszcze łagodniej: zapowiadasz, że jeśli jeszcze raz szybę wybiją, wówczas zabierzesz piłkę: niesprawiedliwie stosujesz karę — groźbę dla wszystkich, gdy winnych będzie czworo.

I z tych czworga nie wszyscy są winni, bo jeden stłukł szybę, która już była trochę pęknięta, drugi nie stłukł całej, tylko sam rożek, trzeci stłukł wprawdzie, ale go popchnięto, a właściwie winien ten czwarty, który zawsze coś zrobi takiego, że pana rozzłości.

46. Przebaczyłeś bezwzględnie. Sądzisz, że postąpiłeś słusznie. — Mylisz się.

— Gdybym ja to zrobił, — myśli jeden.

— Jemu to wszystko wolno,—myśli drugi,—bo pan jego lubi.

Znów niesprawiedliwie.

Są dzieci, dla których dostateczną karą jest mars na czole, szorstka uwaga lub łagodne: „zmartwiłeś“. Jeśli chcesz przebaczyć, muszą dzieci rozumieć, dlaczego to czynisz, i ono niech zrozumie, że nie wolno mu więcej, niż pozostałym. Inaczej rozpanoszysz je, rozpuścisz, oddasz na łup dotkniętej w poczuciu swych praw gromady. Popełnisz błąd i ono, i dzieci — wymierzą ci karę.

Zapomnij na chwilę o czterech stłuczonych szybach (a właściwie dwóch, bo jedna już była pęknięta, a druga ma rożek stłuczony). Zapomnij i rozejrzyj się, ile grup rozważa i komentuje wypadek. W każdej grupie ktoś inny urabia opinję na twoją korzyść lub niekorzyść.

Prawica twierdzi, że szyby są drogie, że pan będzie miał przykrość od zarządu, bo powiedzą, że pan jest za dobry i dzieci go nie słuchają, i niema porządku: należało surowiej ukarać.

Lewica (zwolennicy gry w piłkę):

— W nic się bawić nie wolno, — wszystkiego zabraniają.

Jak tylko ktoś coś zrobi, zaraz krzyki, groźby, awantury. Przecież nie można cały dzień siedzieć, jak malowane lalki.

Tylko centrum wszystko przyjmuje ufnie i z rezygnacją.

Nie uśmiechaj się pobłażliwie: to nie żart, nie drobiazg, — to istotne życie dzieci w koszarach.

Więc raz na zawsze, zasadniczo i we wszystkich przypadkach, zrzec się kar i dać dzieciom zupełną swobodę?

A jeśli samowola dziecka—jednostki ogranicza prawa ogółu? Swawolny sam się nie uczy i pozostałym przeszkadza, własnego łóżka nie zaściele i inne rozrzuci, zarzuci własne palto, włoży cudze, — cóż wtedy?

47. „Brzydko się skarżyć, ja nie pozwalam się skarżyć".

A co ma robić dziecko, jeśli je okradziono, znieważono ojca lub matkę, obmówiono przed kolegami, grożą, namawiają do złego?

Brzydko się skarżyć. Kto uświęcił tę zasadę; czy dzieci od złych wychowawców, czy wychowawcy od złych dzieci ją przejęli? Bo zasada ta wygodna dla złych i najgorszych.

Ciche i bezradne będą krzywdzone, wyzyskiwane, rabowane, a pomocy wezwać, upomnieć się o sprawiedliwość nie wolno. Krzywdziciele tryumfują, krzywdzeni cierpią.

Dla niesumiennego, niedołężnego wychowawcy, wygodnie jest nie wiedzieć, co się wśród dzieci dzieje, bo lekceważy ich spory, bo nie umie rozważyć ich rozumnie.

„Najlepiej niech się same pogodzą". I tu gdzieidzie o własną wygodę, jego zaufanie do dzieci sięga tak daleko, że wierzy w ich rozum, doświadczenie i sprawiedliwość, że w tak ważnej dziedzinie pozostawia im swobodę działania.

Swobodę?—Ależ nie: bić się nie wolno, kłócić się nie wolno, nawet wykluczyć z zabawy nie pozwolisz, odsunąć się nie dasz.— Pogniewał się, i tylko nie chce spać przy nim, nie chce siedzieć przy stole, chodzić z nim w jednej parze. To tak słuszne, naturalne żądanie, — nie wolno.

Dzieci są kłótliwe? — Nieprawda, — one są i zgodne i wyrozumiałe. — Wpatrz się tylko uważnie w warunki ich pracy

i współżycia.—Sprobuj czterdziestu urzędników posadzić w jednym pokoju, trzymać ich pięć godzin na niewygodnych ławkach przy odpowiedzialnej pracy pod bezustanną czujną kontrolą zwierzchnika, — oni oczy sobie wydrapią.

Wsłuchaj się w skargi dzieci i badaj, a znajdziesz sposoby, by niejednemu zaradzić i dać zadośćuczynienie. Sąsiad pchnął wystający róg mego zeszytu, — zrobiła się brzydka linja przez środek stronicy, lub stalka zadrapała papier, rozpryskując atrament. — Najczęstsza skarga klasy.

48. Specjalny charakter mają skargi pauzy szkolnej.

— On nie daje się bawić, — przeszkadza...

Pauza wprowadza niektóre dzieci w stan dzikiej półprzytomności. Biegną, skaczą, roztrącają: bezsensowny wrzask, beztreściwe ruchy, nieodpowiedzialne czyny. Dziecko biegnie bez celu, popycha idących, wymachuje rękami, wydaje okrzyki, wreszcie uderzy kogoś, pierwszego z brzega. Zwróć uwagę, jak często popchnięte lub uderzone gniewnie się odwróci,—nic nie powie, — usunie.

Są dzieci, które bez żadnej racji zaczepionego nie zostawią w spokoju. „Odejdź, zostaw“—to dla nich hasło, by właśnie nie odejść. Dzieci nie lubią ich i pogardzają za brak ambicji i taktu, — i te wywołują skargi.

— My się bawimy, a on... Proszę pana, on zawsze... Jak my się zaczniemy bawić, on zaraz...

Skarżący jest w afekcie gniewu („zaperzony“), ton głosu dowodzi rozpaczy. — Pauza krótka, szkoda każdej cennej chwili, a on zatruwa, kradnie momenty wolności.

Pamiętaj, że tylko dziecko wyprowadzone z cierpliwości, bezradne, nie chcąc się bić, w ostateczności, zwraca się do ciebie. — Ono traci bezużytecznie czas, naraża na niedbałą lub szorstką odpowiedź. — Musisz mieć odruchowe, nawykowe zdanie, — to ci oszczędzi pracę myślenia.

— Przeszkadza? Zawołaj go tu, — mówię.

Często tem sprawa się kończy. Szło o to, aby natręta od-

pędzić: widząc, że kolega idzie na skargę, ukrył się, — więc cel został osiągnięty.

Jeśli skarżący powraca: „on nie chce przyjść“ — wówczas mówię groźnie: „Powiedz, żeby w tej chwili przyszedł“.

Ogół dzieci rzadko i bardzo niechętnie się skarży. Jeśli pewna odsetka dzieci skarży się często, należy zbadać, przemyśleć dlaczego.—Nigdy nie poznasz dzieci, lekceważąc ich skargi.

49. Proszę pana, czy można, czy wolno, czy pan mi pozwoli?

Zdaje mi się, że wychowawca, który nie lubi skarg, w równej mierze nie toleruje — próśb. Pragnąc jednak i tu znaleźć motyw słuszny, opiera się na zasadzie, głoszącej:

— Wszystkie dzieci są na równych prawach. Żadnych wyjątków, żadnych przywilejów.

Czy słusznie? — Może tylko wygodnie?

Konieczność częstego odpowiadania: „nie można — nie pozwalam — nie wolno“, — przykra jest dla wychowawcy.—Kiedy się zdaje, że sprowadziliśmy zakazy i nakazy do ilości najmniejszej, gniewa nas, gdy żądają dalszych koncesyj. I niekiedy, uznając słuszność prośby, zabraniamy, bo jedna uwzględniona wywołuje cały szereg próśb wielu dzieci.—Pragniemy osiągnąć ideał, aby dzieci uznały konieczność zakreślonej granicy i nie żądały więcej.

Jeśli jednak poddasz się ciężkiemu obowiązkowi odrzucania, ale wysłuchiwania życzeń, jeśli je będziesz notował i segregował,—przekonasz się, że są życzenia bardzo częste, codzienne— i zgoła wyjątkowe.

Prośby o zmianę miejsca przy stołach były stałe i dokuczliwe. Pozwoliliśmy dzieciom raz na miesiąc zmieniać miejsca.— O tej drobnej reformie możnaby napisać obszerną monografję, tyle w niej jest stron dodatnich, — a zawdzięczamy ją wyłącznie dokuczliwym prośbom.

Biada dzieciom i wychowawcy, który potrafi stłumić każde, nie objęte regulaminem życzenie. Dzięki nim bowiem, jak dzięki skargom, poznajesz większość tajemnic duszy dziecięcej.

50. Prócz dzieci, które zwracają się do wychowawcy w swojej własnej sprawie, mamy jeszcze prośby—przez posłów.

— On się pyta, czy wolno, czy pan mu pozwoli?

Przez czas długi gniewał mnie ten rodzaj petentów, a to z wielu powodów:

Posłami bywają często dzieci, które własnych spraw mają dosyć, których częste zwracanie się zdążyło dokuczyć; przychodzą zwykle nie w porę, gdy się spieszysz, jesteś zajęty, nie w humorze; prośby bywają często tego rodzaju, że odpowiedź jest wyraźnie odmowna; wytwarza to pozornie system protekcyjny: czy poseł nie przypisze sobie zasługi przychylnej decyzji; wreszcie jest w tem coś, jakby lekceważenie: Przyjdź sam, racz się pofatygować, a nie proś przez adwokata.

Bezowocność walki z tego typu prośbami kazała się dopatrzeć w zjawisku głębszych przyczyn. I znalazłem.

Znalazłem ogólno-ludzką, nie wyłącznie dziecięcą subtelność duszy.

Odpowiedź opryskliwa nie obraża proszącego w cudzej sprawie. Proszący, a zainteresowany nie widzi niechętnego oblicza, przykrego skrzywienia, niecierpliwego ruchu ręki. Otrzymuje tylko odmowę.

Zdarzało mi się widzieć, jak istotny petent przyglądał się zdaleka, jaki efekt wywoła jego prośba, gotów na pierwsze wezwanie stawić się sam dla złożenia bliższych wyjaśnień.

Gdy wprowadziliśmy w Domu Sierot system piśmiennego porozumiewania się z dziećmi, — ilość próśb przez posłów znacznie zmalała. I zyskaliśmy nawykową odpowiedź:

— Niech napisze, co chce i dlaczego.

51. Aż do znudzenia powtarza sie nakaz ex cathedra, by odpowiadać na pytania dzieci. I biedny wychowawca, wierząc bezkrytycznie, wchodzi w konflikt z sumieniem, bo nie może, nie umie, nie ma cierpliwości ciągle być pytanym, zawsze odpowiadać. I nie podejrzewa nawet, że im częściej zmuszony jest krótkiem: „nie nudź“, — zbyć małego natręta, tem lepszym jest wychowawcą.

— Czy dobrze napisałem, wyczyściłem buciki, umyłem uszy?

Jeśli pierwszy zapytuje, bo ma wątpliwości, to następni pragną tylko zwrócić na siebie uwagę, przerwać rozpoczętą robotę, otrzymać zbędną pochwałę.

Są pytania trudne, na które lepiej nie odpowiadać, niż zbyć powierzchownem, niezrozumiałem wyjaśnieniem. Zrozumie, gdy będzie się uczył fizyki, kosmografji, chemii. — Zrozumie gdy będzie się uczył fizjologji. — A tego nikt nie wie, nawet dorośli, nawet nauczyciel, — nikt nie wie.

Należy wziąć pod uwagę samo dziecko, skupione lub powierzchowne, intencję pytania: beztreściwą ciekawość lub chęć rozwiązania męczącego zagadnienia, tajemnicy przyrody, problematu etycznego, — a wreszcie — możność odpowiedzi. I moje: zobacz w książce, nie zroznmiesz, nie wiem, zapytaj mnie za tydzień, lub — nie zawracaj głowy — będzie rezultatem sumy wielu względów.

Podejrzliwem okiem patrzę na wychowawcę, który twierdzi, że odpowiada cierpliwie na pytania dzieci. — Jeśli nie kłamie, to — może jest tak obcy dzieciom, że rzadko i wyjątkowo tylko zwracają się z pytaniami.

52. Jeśli skargi, prośby i pytania są kluczem do poznania duszy dziecka, to szeptem uczynione wyznanie jest szerokim ku niej gościńcem.

Oto dobrowolne, w kilka miesięcy po fakcie, uczynione zwierzenie:

„Byliśmy bardzo źli na pana; — on i ja. Więc umówiliśmy się, że w nocy jeden z nas wejdzie przez okienko do pana pokoju, weźmie binokle i wrzuci do klozetu. — potem myśleliśmy, że szkoda wyrzucić, że tylko schowamy. — Nie spaliśmy, tylko czekaliśmy do dwunastej w nocy. — Jak już wstałem, żeby iść, to jeden chłopiec się obudził i poszedł za potrzebą. — Ale później znów wstałem. — Wszedłem przez okienko — tak mi serce biło — binokle leżały na stole. Pan spał. — Więc prędko wziąłem i schowałem pod poduszkę. — Potem zlękliśmy się. Już nie wiedzieliśmy, co robić. — Potem on powiedział, żeby położyć na

miejsce. — Więc ja powiedziałem, żeby on położył. — Ale on nie chciał. — To ja znów wstałem, ale już przez okno nie wchodziłem, tylko włożyłem i trochę popchnąłem“.

Znając obu, wiem skąd płynęła inicjatywa, jak ułożył się powoli plan wykonania, dlaczego zemsty nie doprowadzono do końca.

Temu jednemu faktowi możnaby cały wykład poświęcić, tak jest bogaty w materjał myślowy.

53. Jeśli uśmiechasz się do dziecka, oczekiwaną odpowiedzią powinien być uśmiech. Opowiadasz coś ciekawego, oczekujesz zainteresowania. Gniewasz się, winno okazać skruchę.

To znaczy, że na bodziec otrzymujesz normalną reakcję. Bywa inaczej: dziecko reaguje paradoksalnie. — Masz prawo się ździwić, winieneś się zastanowić, ale się nie gniewaj, nie dąsaj.

Zbliżasz się do dziecka życzliwie, ono się niechętnie usuwa, niekiedy wyraźnie unika: może zawiniłeś wobec niego, może ono zawiniło, coś złego zrobiło, — i uczciwość nie pozwala mu otrzymać pieszczoty niezasłużonej. — Zanotuj, zapytaj się po tygodniu, po miesiącu: może zapomni, może powie, może uśmiechem lub zażenowaniem okaże, że pamięta ale nie chce powiedzieć. — Uszanuj tajemnicę.

Skarciłem raz dzieci surowo;

— Co to za jakieś szeptania po kątach, chowanie się w klasie, tajemnice; wiecie, że tego nie lubię.

W odpowiedzi: stoicka rezygnacja, złośliwa przekorność, swawolna pogoda. — Wyraźny brak skruchy powinien był zwrócić mą uwagę. — Nie zrozumiałem, podejrzewałem zdrożne knowania naszych opornych. — A one w tajemnicy odbywały próby komedyjki, którą postanowiły nas uraczyć. — Dziś jeszcze rumienię się na myśl, jak bardzo musiałem być śmieszny w swem zacietrzewieniu.

54. Moje dziecko niema przedemną tajemnic, zwierza mi się ze wszystkich myśli, — mówi matka.

Nie wierzę, by tak było, ale wierzę, że tego żąda—i błądzi.

Przykład:

Dziecko widzi na ulicy pogrzeb. Pochód uroczysty, — latarnie, — wieńce, — powaga. Za trumną idzie dziecko w żałobie: w krepą obszytej sukience, — jest uczestnikiem obrządku, pełnego tajemniczej poezji. — I zjawia się myśl przelotna: to musi być przyjemnie; gdyby mama umarła... Z trwogą spogląda na matkę: o, nie chce, żeby mama umarła, skąd się takie myśli biorą?

Czy podobną myśl wolno, można zwierzyć? Czy mamy prawo je napastować w momencie groźnego konfliktu z sumieniem?..

Jeśli dziecko zawierza ci tajemnicę, ciesz się, bo jego zaufanie — to najwyższa nagroda, najlepsze świadectwo. Ale nie wymuszaj, bo ono ma prawo do tajemnicy; nie wymuszaj ani prośbą, ani podstępem, ani groźbą, — wszystkie sposoby bądą jednakowo niegodne, — nie zbliżą; raczej oddalą, cię od wychowańca.

Należy przekonać dzieci, że mamy szacunek dla ich tajemnicy, że zapytanie: „czy możesz mi powiedzieć?“ nie oznacza: „musisz“. — Na moje: „dlaczego“ niech nie odpowiada wykrętem, a szczerem:

— Ja tego powiedzieć nie mogę. Powiem panu kiedyś. Nigdy nie powiem.

55. Zauważyłem raz, jak jedenastoletni chłopiec, zbliżywszy się do dziewczynki, którą kochał, szepnął coś. W odpowiedzi zarumieniła się, wstydliwie opuściła głowę, zaprzeczyła ruchem ramion.

W parę dni później zapytałem się, o co ją zagadnął. — Żadnego zmieszania, szczera chęć przypomnienia.

— Ach, spytałem się, czy wie, ile jest 16 razy 16.

Byłem mu tak wdzięczny, tyle dobrych, serdecznych myśli wzbudził we mnie.

Innym razem doszło do mej wiadomości, że jedna z dziewczynek miała jakąś tajemniczą przygodę, gdy przechodziła wieczorem przez ogród. — Dzieci nasze wychodzą na miasto same i pojedynczo; to leży w programie wychowawczym, zrzec się

tej zasady byłoby bardzo boleśnie. — Wskazana była czujność.— Przygoda w ogrodzie zaniepokoiła mnie. — Więc nalegałem, by powiedziała, zagroziłem, że w przeciwnym razie nie będzie mogła sama wychodzić.

Powiedziała:

Kiedy szła przez ogród, przelatujący ptaszek zanieczyścił jej kapelusz, „narobił mi na głowę".

Z nas dwojga, zda mi się, ja byłem bardziej zawstydzony.

Gdybyśmy nie byli tak mało subtelni w stosunku do dzieci, jak często bylibyśmy zmuszeni wstydem spłonąć za niechlujstwo życia, które one zastały, przed którem obronić je jesteśmy niemocni.

56. Cichy szept zwierzenia bywa niekiedy szeptem denuncjacji.

Nie oburzaj się obłudnie: wysłuchasz donosiciela, bo wysłuchać masz obowiązek.

— On pana przeklina, powiedział na pana brzydkie słowo.

— Skąd wiesz, że on mnie przeklina?

— Dużo chłopców słyszało.

Więc przypadkowo słyszane, a nie podsłuchane celowo.

— No dobrze, ale dlaczego mi to mówisz?

Zakłopotanie: tak sobie powiedział.

I cóż chcesz, abym mu zrobił?

Zakłopotanie: nie wie, co chce, abym zrobił.

— A czy wiesz, dlaczego mnie przeklął?

— Był zły, że pan...

Treść błaha, intencja nieokreślona. — Zapewne liczył na zainteresowanie wychowawcy, może imponowała mu myśl, że posiadłszy ważną tajemnicę, podzieli się nią ze starszym.

— A ty nie przeklinasz, jak jesteś zły?

— Czasami przeklinam.

— Nie rób tego, to brzydki zwyczaj.

Nie praw mu morałów, — może kierowała nim istotna życzliwość; a jeśli nie, parę kłopotliwych pytań i brak zainteresowania dla otrzymanej wiadomości są dostateczną karą.

57. Intencja występna: chęć zemsty.

— Starsi chłopcy mówią świństwa, mają jakieś nieprzyzwoite obrazki i wierszyki.

— Jakie obrazki i wierszyki?

Nie wie.—Schował się, aby go nie widzieli, umyślnie podsłuchał. Mówi dlatego, że nie wolno mieć takich obrazków. Chce, aby ich ukarano.

— A czy nie prosiłeś, aby ci pokazali obrazek?

Prosił, ale oni nie chcieli, mówili, że jeszcze za mały.

— A czy mogę powiedzieć, od kogo wiem o tem?

Nie, nie pozwala: oni by go zbili.

— Jeżeli nie pozwalasz powiedzieć, od kogo wiem, nie mogę im nic zrobić. Bo będą podejrzewali innego, i jego zbiją.

Owszem, on się nie boi: niech pan zrobi, jak chce.

— Dziękuję ci, żeś mi powiedział. Przy sposobności pomówię z nimi, poproszę, aby więcej tego nie robili.

Dziękuję mu: on dojrzał to, co dostrzedz moim było obowiązkiem. — Jeśli chcę wskazać na szpetność zemsty, odkładam morał na później. Na dziś dosyć: zawiódł się, innego oczekiwał efektu, — pocisk chybił celu.

58. Sprawa może być ważna, a intencja czysta:

— Był w domu, gdzie jest szkarlatyna. — Malcy zbierają się w szatni, palą papierosy, mogą dom podpalić. Iks namawia Igreka, aby ukradł. — Zet wynosi stróżowi jedzenie, wzamian otrzymuje jabłka.—Wczoraj jakiś pan na ulicy proponował dziewczynce cukiernię i spacer samochodem.

Ono wie, dlaczego mówi. Dojrzawszy niebezpieczeństwo lub czyn karygodny, wahało się, nie wiedziało co robić. Przychodzi się poradzić, jak ma postąpić, bo ci ufa.—Będą się gniewali, będą unikali, — trudno, — niema rady. — Dziecko spełniło swój obowiązek: ostrzega.

Muszę traktować je jako doradcę w rozwiązaniu trudnego zagadnienia. Wyświadczyło mi dużą przysługę. A teraz razem myślimy, co robić dalej.

Pamiętaj, że ilekroć przychodzi do ciebie dziecko z cudzą tajemnicą, zawsze oskarża:

— Nie spełniłeś swego obowiązku: nie wiesz. A nie wiesz, bo choć cieszysz się zaufaniem, ale względnem tylko,—zaufaniem dzieci, ale nie wszystkich.

59. Od chwili gdy wiesz, nie spiesz się.

Nie dawaj nieuczciwemu donosicielowi tryumfować: ja zwróciłem uwagę, ja spełniłem ważną misję.—Uczciwe dziecko masz obowiązek osłonić przed zemstą niechęci, — odkładając omówienie sprawy na czas dłuższy, masz możność przy wzmożonej czujności, sam dostrzedz.

Dalej: jeśli dostrzegłszy przewinienie, natychmiast podnosisz alarm, dajesz dzieciom pewność, że ilekroć milczysz, nie wiesz.

— Skąd pan wie, kiedy się pan dowiedział, dlaczego pan nie powiedział odrazu?—oto najczęstsze pytania, gdy przypomnisz grzech, dawno popełniony.

Dalej: nie spiesząc się, czekasz z omówieniem sprawy na odpowiedni moment, gdy dziecko jest życzliwie usposobione, gdy sprawa zbagatelizowała się przez czas, zatraciła aktualność. Ach to było dawno: przed miesiącem. Opowie ci szczerze, co go skłoniło do złego czynu, jak wykonał, co czuł przedtem, podczas i potem.

Dalej: nie uniesiesz się, masz czas rozważyć, obmyślić, przygotować się. — Od rozumnego rozwiązania sprawy, zależy niekiedy cały twój dalszy stosunek do dziecka lub grupy dzieci...

Korzystając z twego dobrego humoru, chłopiec prosi o szufladkę z kluczykiem.

— Bardzo chętnie. Będziesz mógł lepiej schować swoje nieprzyzwoite obrazki, żeby ich małe dzieci nie znalazły.

Zawstydzony, oszołomiony, zdumiony.

Teraz on będzie pragnął z tobą się rozmówić.—Nie spiesz się! — Gdy ochłonie, odda ci chętnie obrazek (utracił urok nowości), powie od kogo dostał, komu dawał oglądać. — Im spokojniej mówisz, tem bardziej banalizujesz sprawę, — im rozumniej, tem bardziej zbliżasz.

60. Zasada.

Niech dziecko grzeszy.

Nie zabiegajmy o to, by każdy zły czyn uprzedzić, w każdem zawahaniu się natychmiast drogę wskazać, przy każdem pochyleniu biedz z pomocą. Pamiętajmy, że w momencie silnych zmagań może nas zbraknąć.

Niech grzeszy.

Gdy z namiętnością walczy drobna jeszcze wola, niech pokonane będzie w walce. Pamiętajmy, że w utarczkach z sumieniem ma się ćwiczyć i wzrastać jego moralna odporność.

Niech grzeszy.

Bo jeśli nie błądzi w dziecięctwie, a pilnowane i ochraniane, nie nauczy się brać za bary z pokusą, wyrośnie na biernie moralne, w braku sposobności, nie — czynnie, przez siłę powściągów.

Nie mów:

— Brzydzę się grzechem.

Raczej.

— Nie dziwi mnie, że zgrzeszyłeś.

Pamiętaj:

— Dziecko ma prawo skłamać, wyłudzić, wymusić, ukraść.— Ono nie ma prawa kłamać, wyłudzać, wymuszać, kraść.

Jeśli ani razu nie miało sposobności, jako dziecko, wydłubać z placka rodzynków, zjeść je pokryjomu, — ono nie jest i nie będzie uczciwe, gdy dojrzeje.

— Oburzam się.

Kłamiesz.

— Pogardzam.

Kłamiesz.

— Po tobie się nigdy tego nie spodziewałem... Więc nawet tobie nie można ufać?

To źle, że się nie spodziewałeś. Źle że bez zastrzeżeń ufałeś.—Marnym jesteś wychowawcą: nie wiesz nawet, że dziecko jest — człowiekiem.

Oburzasz się nie dlatego, że dostrzegasz niebezpieczeństwo dla dziecka, ale że ono naraża na szwank opinję twego zakładu,

twego wychowawczego kierunku, twojej osoby: dbasz wyłącznie o siebie.

61. Pozwól dzieciom błądzić i radośnie dążyć do poprawy.

Dzieci chcą się śmiać, biegać, swawolić. Wychowawco, jeśli dla ciebie życie jest cmentarzem, pozwól im widzieć w niem łąkę. Sam w włosienicy, bankrut doczesnego szczęścia czy pokutnik ofiarny, miej mądry uśmiech pobłażania.

Tu musi—musi panować atmosfera szerokiej tolerancji dla żartu, psoty, złośliwości, podstępu, fałszu, — naiwnego grzechu. Tu niema miejsca dla żelaznego obowiązku, kamiennej powagi, twardego musu i bezwzględnego przekonania.

Ilekroć wpadałem w ton klasztornego dzwona, zawsze błądziłem.

Wierz mi, że życie internatu dlatego jest tak mętne, że zakreślamy mu zbyt wysoki poziom idejowy. Po stokroć,—w koszarowem życiu internatu nie wychowasz, ani cudownie jednolitej prawości, ani lękliwej czystości, ani niepokalanej niewinności uczuć, która nie wie, że zło istnieje.

A zresztą, czy nie dlatego tak kochasz te swoje prawe, ofiarne, łagodne, iż wiesz, jak im źle będzie?

A zresztą, czy umiłowanie prawdy może się obejść bez znajomości dróg, któremi chadza fałsz?—Czy chcesz, aby otrzeźwienie przyszło nagle, gdy świat brutalną pięścią wyrżnie w ideały? Czy wówczas dojrzawszy pierwsze twoje kłamstwo, nie przestanie odrazu wierzyć we wszystkie twe prawdy?

Zresztą, gdy życie wymaga pazurów, czy mamy prawo uzbrajać je li tylko w—rumieniec wstydu i ciche westchnienie?

Obowiązkiem twym wychować ludzi, nie owieczki, pracowników, nie kaznodziei. —zdrowie fizyczne i moralne.—A zdrowie nie jest ani tkliwe, ani ofiarne. Pragnę, aby mnie o niemoralność oskarżyła obłuda.

62. Dzieci kłamią.

Kłamią, gdy się boją, a wiedzą, że się prawda nie wyda.

Kłamią, gdy się wstydzą.

Kłamią, gdy je zmuszasz do powiedzenia prawdy, której powiedzieć nie chcą lub nie mogą.

Kłamią, gdy im się zdaje, że tak potrzeba.

— Kto wylał?

— Ja,—przyzna się dziecko i usprawiedliwić się spróbuje, jeśli wie, że mu powiesz tylko: „weź ściereczkę i wytrzyj“ — i dodasz, co najwyżej: „niezdara”.

I do poważnego przewinienia się przyzna, gdy wie, że wychowawca usilnie poszukiwać będzie, postanowił wykryć prawdę bezwzględnie.—Przykład: nielubianemu chłopcu nalano wodę do łóżka. — Nikt się nie przyznaje. — Zapowiedziałem, że nie wypuszczę nikogo z sypialni, dopóki nie przyzna się winny. — Mija godzina, gdy starsi chłopcy idą do roboty, zbliża się czas śniadania dla wszystkich. Śniadanie jeść będą w sypialni.—Do szkoły nie pójdą,—do zajęcia już i tak się spóźnili.—W sypialni szmer poufnych narad. — Jest grupa bezwzględnie niewinnych, inne—mniej, bardziej i najbardziej podejrzane.—Już się zapewne domyślają, może już wiedzą,—może namawiają, by się przyznał.

— Proszę pana...

— Tyś to zrobił?

— Ja.

Kara byłaby zbędna: ten rodzaj przewinienia już się nie powtórzy...

Pozwól dzieciom na zachowanie tajemnicy,—dasz mu prawo powiedzieć: „wiem, ale nie powiem“, — nie będzie kłamało, że nie wie.

Pozwól dzieciom szczerze zwierzać się ze swych uczuć, które nie odpowiadają uświęconym przykazaniom.

63. „Jak pana dzieci kochają”,—mówi sentymentalna osoba.

Podobno są więźniowie, którzy kochają wyrozumiałych dozorców. Ale czy jest dziecko, któreby nie miało żalu do swego wychowawcy: jakiś nakaz przykry, jakieś kiedyś powiedziane ostre słowo, utajone życzenie, którego nie wyjawi, bo „z tego nic nie będzie“.—Jeśli sądzą, że kochają, to dlatego, że tak być powinno, bo im tak mówią starsi; inne — bo nie chcą pozostać

w tyle; pewna ilość sama dobrze nie wie, raz im się zdaje, że tak, że kochają, to znów nienawidzą; a wszystkie, widząc moje wady, pragnęłyby mnie trochę przerobić, ulepszyć. — Biedacy, nie wiedzą, że najcięższą moją winą jest, że przestałem być dzieckiem.

„Jak pana dzieci kochają".

Jak dobiegły, tuliły się, tłoczyły, gdy powróciłem „z wojny".—Ale czy nie ucieszyłyby się więcej, gdyby nagle na sali zjawiły się niespodzianie—białe myszy albo świnki morskie?

Matko, ojcze, wychowawco, jeśli cię dziecko pokochało głęboką, zawsze równą, bezinteresowną miłością,—zaleć mu lekką hydropatję, nawet trochę bromu.

64. Są momenty, gdy dziecko kocha cię bezgranicznie, gdy tak mu potrzebny jesteś, jak Bóg w nieszczęściu: dziecku w chorobie i dziecku, przerażonemu przez straszny sen w nocy.

Pamiętam noc, spędzoną w szpitalu przy łóżku chorej dziewczynki. Od czasu do czasu dawałem jej tlen do wdychania. Drzemiąc, mocno trzymała moją rękę, Każdemu ruchowi ręki towarzyszyły jej słowa pół przytomne, które szeptała, nie otwierając oczu: „mamo, nie odchodź".

Pamiętam, jak drżąc, w afekcie beznadziejnej rozpaczy, przyszedł do mego pokoju przerażony snem o umarłych—chłopiec. — Wziąłem go do łóżka. Opowiedział sen, opowiedział o zmarłych rodzicach, pobycie u wuja po ich śmierci. Mówił serdecznym, pełnym wylania szeptem, może w chęci wynagrodzenia za przerwany spoczynek, może w obawie, bym nie zasnął, zanim go nie odstąpią ostatecznie złe mary.

Mam list chłopca, pełen skarg na mnie i na Dom sierot.— Napisał go na pożegnanie. — Żali się, że go nie rozumiałem, byłem dla niego zły i niesprawiedliwy. Na dowód, że umie ocenić dobroć, przykład: nigdy nie zapomni, że gdy w nocy raz ząb go bolał, nie gniewałem się, że mnie obudził, nie brzydziłem się kłaść mu w ząb watę z lekarstwem. Z dwuletniego pobytu ten jeden fakt uważał za godny serdeczniejszej wzmianki.

A wychowawca musi usuwać chore dzieci z internatu, a w nocy musi spać po całodziennej pracy.

65. Nie żądajmy od dzieci ani pojedyńczych ani zbiorowych poświęceń.

Ojciec, który ciężko pracuje, mama, którą głowa boli, wychowawca zmęczony — to potrafi wzruszyć raz lub parę razy,— na stałe znuży, znudzi, gniewać będzie.—Możemy zahukać dzieci, że na pierwsze nasze skrzywienie bólu lub niezadowolenia—odpowiedzą szeptaną mową i chodzeniem na palcach, —ale czynić to będą niechętnie, z obawy, nie z przywiązania.

Będą grzeczne i uroczyste, bo pan ma zmartwienie. Ale niech to dzieje się rzadko, wyjątkowo.

A my dorośli czy zawsze gotowiśmy ulegać kaprysom starych, ich czcigodnym poglądom i starczym zachciankom?

Sądzę, że wiele dzieci wyrasta w obrzydzeniu dla cnoty, bo je bezustannie wdrażano, przekarmiano dobremi słowami.— Niech samo odkrywa powoli potrzebę, piękno i słodycz altruizmu.

Ilekroć wskazuję dzieciom na ich obowiązek względem rodziny, młodszego rodzeństwa, obawiam się zawsze, że błądzę.— One same zanoszą do domu obrazki, wygrane w loteryjkę, cukierki, bo im sprawia zadowolenie radość małego braciszka, a może tylko ambicja, że one też coś dają,—jak dorośli.

Dziecko odbiera z kasy oszczędzonego rubla, daje na buciki siostrze. Piękny czyn. Ale czy ono ma świadomość wartości pieniędzy, — może to tylko lekkomyślność?

Nie czyn a pobudka charakteryzuje dziecko, jego oblicze moralne, jego potencjalną przyszłość rozwojową.

66. Przygnębiliśmy dzieci obowiązkiem wdzięczności, szacunku, — autorytetem naszym. Ono wszystko to czuje, ale inaczej, — każde po swojemu.

One cię szanują, bo masz zegarek, bo otrzymałeś list z zagraniczną marką, bo masz prawo nosić zapałki i późno spać chodzisz, bo podpisujesz się czerwonym atramentem, bo masz szufladę, zamykaną na kluczyk, bo masz wszystkie przywileje

dorosłych. — Wiele mniej szanują cię za wykształcenie, w którem zawsze dopatrzą się braków. — A czy pan umie mówić po chińsku, liczyć do miljarda?

Wychowawca opowiada ładne bajki, ale ładniejsze zna stróż, kucharka. Wychowawca gra na skrzypcach, ale towarzysz wyżej piłkę podbija w palancie.

Dzieciom dobrodusznym wszyscy imponują, krytyczne nie uchylają głowy ani przed rozumem, ani moralnością naszą. — Dorośli kłamią, oszukują, są fałszywi, używają brzydkich wykrętów. Jeśli nie palą pokryjomu papierosów, to tylko dlatego, że mogą palić jawnie, że robią co chcą.

Im usilniej dbasz o zachowanie autorytetu, tem bardziej cię omija, im ostrożniej się nosisz, tem łatwiej wyślizgnie się z ręki. Jeśli nie jesteś śmieszny do ostateczności, bezwzględnie niedołężny, nie starasz się głupio wkraść w łaski dzieci, kokietując i pobłażając, — będą cię po swojemu szanowały.

Po swojemu, — jak? — nie wiem.

Będą się śmiały, żeś chudy i wysoki, żeś tłusty, żeś łysy, że masz brodawkę na czole, że jak się gniewasz, to ci się nos rusza, że jak się śmiejesz, chowasz głowę w ramionach. I będą cię naśladowały, i pragną być chude albo tłuste i nosem poruszać, gdy się gniewają.

Pozwól im w serdecznej wyjątkowej chwili, rzadkiej koleżeńskiej rozmowie, powiedzieć, co myślą o tobie.

— Pan jest taki dziwny. Czasem to pana lubię, ale czasem tobym pana zabił ze złości.

— Jak pan coś mówi, to się zdaje, że to wszystko prawda. Ale jak się pomyśli, to widzę, że pan tylko tak mówi, bo my jesteśmy dzieci.

— Nigdy nie można wiedzieć, co pan sobie o nas naprawdę myśli.

— I pośmiać się z pana nie można, bo tylko czasami pan jest śmieszny.

67. Nikt nie zaprotestował, że w powiastce dla dzieci pod nagłówkiem. „Sława” pozwoliłem jednemu z bohaterów

ukraść. Długo się wahałem, ale nie mogłem inaczej: ten chłopak o silnem chceniu i żywej wyobraźni musiał raz ukraść.

Bo dziecko kradnie, jeśli tak bardzo mieć pragnie, że oprzeć się nie może.

Dziecko kradnie, gdy czegoś jest bardzo dużo, więc można wziąć jedno. — Kradnie, gdy nie zna właściciela. — Kradnie, gdy jemu skradziono. — Kradnie, bo mu to potrzebne. — Kradnie, bo je namówiono.

Przedmiotem kradzieży może być kamyk, orzech, papierek od karmelka, gwoździk, pudełko od zapałek, ułamek czerwonego szkiełka.

Bywa, że wszystkie dzieci kradną, że istnieje tolerancja dla kradzieży. Te drobne, bezwartościowe przedmioty — stanowią niby osobistą, niby wspólną własność.

— Macie tu szmatki, bawcie się.

A jeśli się pokłócą, co wtedy?

— Przestańcie się kłócić: masz tyle, daj i jemu kilka.

Znalazł złamaną stalkę. — oddaje ci.

— Weź, wyrzuć.

Znalazł podarty obrazek, sznurek, paciorek. — Jeśli wolno wyrzucić, wolno i schować.

I powoli staje się tak, że stalka, igła, kawałek gumy lub ołówek, naparstek, wreszcie każdy leżący na oknie, stole, na podłodze przedmiot — jest niby wspólną własnością. — Jeśli w rodzinie wynika z tego powodu setka sporów, to w internacie będą ich codziennie tysiące.

Są dwa sposoby: jeden — niegodziwy — nie pozwolić dzieciom na przechowywanie „rupieci", drugi — słuszny, że każdy przedmiot ma właściciela, wszystko, co znalezione, winno być zwrócone, bez względu na minimalną, czy żadną wartość. — Każdy przedmiot zarzucony winien być odszukany natychmiast.

W ten sposób dziecko ma jasne dyrektywy, pozostaje tylko jeden, pierwszy rodzaj kradzieży, — a ulegają pokusie niekiedy — dzieci nie najgorsze.

68. Oszustwo jest tylko odmianą kradzieży, — kradzieżą, zamaskowaną.

Wypraszanie podarków, jawnie niedorzeczne zakłady, gry hazardowe i gry „w zielone", „w kosmate", wreszcie zamiana przedmiotów cennych (scyzoryk, piórnik, pudełko od czekoladek) na przedmioty bezwartościowe. — Wreszcie — pożyczanie bezterminowe.

Najczęściej wychowawca, dbając o własną wygodę, — zabrania zamieniać, robić podarunki, grać z intencją korzyści. Ten zakaz raz na zawsze zamyka oskarżonemu drogę do wyklętej i tak skargi.

Setki spraw najbardziej życiowych, ciekawych, swoistych, nie dochodzą do wiadomości wychowawcy, a jedna jaskrawa, zdemaskowana, daje mu pole do retorycznego popisu, pełnego życiowej nieprawdy kazania. — Zakaz jeszcze bardziej stanowczy, — znów cisza do następnej awantury. — Bo zakaz ma siłę na krótki przeciąg czasu, bo go życie odrzuca.

Ileż brzydkich, deprawujących i krzywdzących spraw — z powodu zaciągniętych zobowiązań, wyłudzonych darów, świadomie oszukańczych tranzakcyj.

Dziecko, które zgubiło pożyczony scyzoryk lub piłkę — może stać się niewolnikiem.

69. Wychowawca, który wstępuje ze słodką iluzją, że wchodzi w światek czystych, czułych i szczerych duszyczek, których względy tak łatwo zaskarbić, a zaufanie zyskać, — rychło się rozczaruje. I miast mieć żal do tych, którzy go w błąd wprowadzili i do siebie, że uwierzył, — będzie się dąsał na dzieci, że wiarę jego zawiodły. A czyż one winne, że ci ukazano ponęty pracy, ukrywając ciernie.

Wśród dzieci jest tyluż złych ludzi, ilu wśród dorosłych, tylko nie mają bądź potrzeby, bądź możności tego okazać. W świecie dziecięcym dzieje się to wszystko, co się dzieje w brudnym świecie dorosłych. Znajdziesz przedstawicieli wszystkich typów ludzi i okazy wszystkich ich czynów niegodnych. Bo dzieci naśladują życie, rozmowy, dążenia środowiska, w któ-

rem się wychowały, bo mają w zarodku wszystkie ich namiętności.

I jeśli jutro spotkam grupę dzieci, już dziś winienem wiedzieć, kto one. Będą tam łagodne, bierne, dobroduszne, ufne, — aż do najzłośliwszych, jawnie wrogich i pełnych przewrotnej inicjatywy, lub obłudnie uległych, konspiracyjnie złośliwych, — intryganci i dzieci przestępne.

Przewiduję konieczność walki o regulamin i bezpieczeństwo bezdusznych i uczciwych. Wezwę do współdziałania dodatnie wartości gromady, przeciwstawię je złym siłom. I wówczas dopiero rozpocznę planową pracę wychowawczą, zdając sobie jasno sprawę z granic wpływów wychowawczych na danym terenie.

Mogę stworzyć tradycję prawdy, ładu, pracowitości, uczciwości, szczerości, ale nie przerobię żadnego z dzieci na inne, niż jest. Brzoza pozostanie brzozą, dąb dębem, — łopuch łopuchem. Mogę budzić to, co drzemie w duszy, nie mogę nic stworzyć. Śmieszny będę, dąsając się na siebie lub dziecko.

70. Zauważyłem w uczciwych wychowawcach niechęć ku dzieciom nieszczerym. Pragnąłbym zwrócić ich uwagę, że niewola, w której trzymamy dzieci, wychowuje i fałsz i przebiegłość w wykorzystaniu twych upodobań i obłudną chęć dogodzenia i interesowną komedję przywiązania. Dotknięte są tą niemocą w różnym stopniu wszystkie.

Wejrzyj w duszę twoich nieszczerych. To biedne dzieci. Niekiedy ambitne, a bez realnej wartości, może zapoznane, niekiedy słabe fizycznie i brzydkie, poniewierane, niekiedy z boku tresowane w obłudzie, psute i kaleczone zarówno przez ciebie, który ich nie lubisz, jak przez tych, którzy nie dostrzegli fałszu przywiązania, wdzięczności i wzorowości — i dają im przywileje.

Jeśli to chłodne i złośliwe zbliży się do ciebie, przytuli choć wiesz, że jest to aktem wyrachowania, nie masz prawa go usunąć. Może ono tylko nie umie, może inne oszukują cię zręcz-

niej, wdzięczniej, jeszcze kłamliwsze, bo ulegają suggestji własnej gry?

Między temi, które więcej kręcą się koło ciebie, niżbyś pragnął, może są słabe i nielubiane i chcą, byś je specjalną otoczył opieką, osłonił przed krzywdą?

Może ktoś im szepnął: bądź serdeczny, daj bukiecik, pocałuj i—poproś. Może dziecko spełnia polecenie bez przekonania, wbrew swej szczerej ale oschłej naturze, więc z nakazu, niezręcznie, nieumiejętnie.

Dziwiło mnie, gdy jeden z chłopców, powściągliwy, oschły, starczy, zamknięty w sobie, mizantrop, zaczął mi nagle okazywać serdeczność, pierwszy śmiał się z mego żartu, torował drogę, uprzedzał życzenia. Robił to niezręcznie, z jawną chęcią zwrócenia uwagi na to, co czyni. Tak trwało dość długo, ukrywałem doznawaną przykrość... Gdy poprosił wreszcie, aby przyjęto jego młodszego brata do Domu sierot,—czułem, jak mi łzy nabiegają do oczów: biedak, ile wysiłku go kosztowało, by przez tyle czasu być tem, czem nie jest w istocie.

71. Dzieci nie lubiane przez dzieci i ich faworyci, prowodyrzy. Temat ważny, badania możeby dały nam klucz do rozwiązania niejednej zagadki powodzenia w życiu nie według skali wartości i siły, a czegoś nieuchwytnego, nieznanego.

Dzieci ładne, zdrowe, pogodne, z inicjatywą, śmiałe, z talentem, zawsze mają przyjaciół, sprzymierzeńców, wielbicieli; zbyt ambitne mają i wrogów. Stąd obozy. Są przelotni ulubieńcy zbiorowisk dziecięcych: same wynoszą je na czoło, by cieszyć się potem z ich upadku.

Nie dziw, że dziecko, które umie zorganizować zabawę, zna bajki, lubi i umie się bawić, jest mile widzianym towarzyszem: daje wesołość, fantazję, jak inne podzieli się owocami. I ostatecznie cóż lubią, jeśli nie bogactwo łakoci czy ducha, z którego czerpią.

Dzieci nie lubią rozlazłych i dokuczliwych, a czemże one są jeśli nie biedne ciałem i słabe duchem? Zwracają się do wy-

chowawcy, bo nie mogąc nic dać dzieciom, nic wzamian nie otrzymują.

Tak być musi, że najwięcej cię absorbują, najbliżej otaczają te dzieci, które nie najwyższą stanowią wartość. Nie żądaj dla nich pełni praw, one same niewiele żądają.

Ale ich nie odtrącaj.

72. Dziecko stara się, dodam, ma prawo wykorzystać wszystkie plusy, które posiada, wszystkie dodatnie wartości, któremi rozporządza, by zwrócić na siebie uwagę: więc miłą powierzchowność, zręczność, pamięć, łatwość wysłowienia, dźwięczny głos, pochodzenie. Jeśli nie przekonawszy, będziemy mu przeszkadzali, zbudzimy niechęć: dopatrzy się złośliwej szykany, może zazdrości.

— To nasz śpiewak, nasz gimnastyk.

Może to nie jest słuszne? Może to je psuje? A może tylko ośmiela do szczerego wypowiedzenia, co myśli: tak, ono jest dumne, że najlepiej śpiewa, że najzręczniejsze.

Czy nie jest większym nietaktem powiedzieć dziecku opryskliwie:

— Myślisz, że jak ładnie śpiewasz, jak tatuś twój jest wójtem, to ci już wszystko wolno?

Albo:

— Myślisz, że mnie uśmiechem w błąd wprowadzisz? Całujesz mnie, bo chcesz coś dostać?

Tak jest; ale i ty tak postępujesz.

Czy nie zastępujesz pamięcią brak własnych myśli lub inteligencją—brak pamięci? Czy nie starasz się uśmiechem zyskać ich posłuszeństwa, bo nie umiesz lub nie lubisz grozić? Czy nie chcesz pocałunkiem uzyskać poprawy?

Czy nie ukrywasz swych wad i przywar?

Czemu dziecku odbierasz prawo, z którego sam korzystasz, mając olbrzymi przywilej wieku i władzy.

Znakomita większość dzieci nie ma jeszcze rozumu. Posługują się sprytem. Spryt nazywa Lok małpą rozumu. Im lepsze

dasz warunki twym wychowańcom, by dojrzeli, tem prędzej twoje ucieszne małpki staną się ludźmi.

73. Dzieci ostatnie i spóźnione— one są probierzem cierpliwości wychowawcy.

Dzwonek — niewtajemniczeni nie wiedzą, ile potrzeba wysiłku ze strony wychowawcy, ile wytrwałej dobrej woli ze strony dzieci, aby owych sto stawiło się w komplecie na dane hasło.

Jeszcze tylko jeden wiersz niedokończonego przepisywania, jeden numer wywoływanej loteryjki, jedno słowo niedokończonej rozmowy, już nie do rozdziału ale do kropki przeczytana bajka.

Wychodzą z pokoju, czekasz aby drzwi zamknąć. Z hałasem, popychając się biegną zbyt pośpiesznie wszystkie, prócz jednego czy dwojga, na które musisz czekać, zanim coś w ostatniej chwili włożą czy wyjmą.

Wydajesz obuwie, płaszcze,—znów to samo.

I czekasz przy otwartej szafie, przy lampie, by ją zgasić, przy wannie, by wodę wypuścić, przy stole, by zebrać naczynia,—czekasz z rozpoczęciem lub zakończeniem czynności na to jedno lub dwoje. A im zawsze zarzuci się czapka, gdy już wyjść miały, złamała stalka, gdy rozpoczynasz dyktando.

— Prędzej... Ruszaj że się... Długo tego będzie?... Czy raczysz nareszcie?

Nie dąsaj się: takie być muszą.

74. Zakaz, pozornie nie uciążliwy. Walczysz bezowocnie, a dzieci nie słuchają. Nie dąsaj się.

Zabroniliśmy wieczorem rozmawiać w sypialni.

— Cały dzień mieliście do gadania. Teraz spać.

Widocznie coś nie pozwala dzieciom ulec słusznemu żądaniu, bo dzieci rozmawiają półgłosem, szeptem, cichym szeptem. Jest szmer.

Krzyknąłeś—cisza, ale nie na długo.

Dziś, wczoraj, jutro, toż samo. Więc pozostaje kij, przemoc lub badanie.

— O czem wczoraj rozmawiałeś w sypialni?

— Opowiadałem mu, jak żyliśmy w domu, kiedy tatuś jeszcze żył.—Pytałem go się, dlaczego Polacy nie lubią Żydów.—Mówiłem, żeby się poprawił, to pan się na niego nie będzie zawsze gniewał.— Mówiłem, że jak będę duży, to pojadę do eskimosów i nauczę ich czytać i budować domy.

Brutalnem: „cicho tam“ przerwałbym te cztery rozmowy.

Zamiast przewinienia, dostrzegasz jedną z głębokich, serdecznych trosk duszy twych dzieci. W hałasie i jarmarcznej krzątaninie niema miejsca na ciche zwierzenie, smętne wspomnienie, serdeczną radę, poufne zapytanie. Ciebie nuży całodzienny hałas, pragniesz przed snem znaleźć chwilę zaciszną, tegoż pragną i one...

Zabraniasz rano rozmawiać, zanim wybije oznaczona godzina? A co ma robić ten, który się wcześniej obudził, który codziennie wcześniej się budzi?

Znów beczelowość walki o ranny spokój sali dała dzieciom zwycięstwo, a mnie odkrycie, jeśli nie decydującej, to w każdym razie, nie drugorzędnej wagi.

75. Inny przykład.

Często zdarzało mi się zadawać dzieciom pytanie:

— Co porabiasz, co słychać u ciebie, czemu jesteś smutny, jak się miewają twoi w domu?

Często otrzymywałem odpowiedź:

— Nic nowego, wszystko dobrze, nie jestem smutny.

Wówczas byłem zadowolony. Na to, by okazać dziecku zainteresowanie, życzliwość traciłem małą część minuty. Często pogłaskałem które w przejściu.

Po pewnym czasie zwróciło moją uwagę, że dzieci nie lubią ani tych pytań ani pieszczot. Niektóre niechętnie odpowiadały, jakby z pewnem zażenowaniem, odpowiadały z chłodną rezerwą, niekiedy z ironicznym uśmiechem. Raz zwrócił się do mnie chłopiec w dość ważnej sprawie w chwilę potem, gdy na pytanie dał zdawkową odpowiedź. Od głaskania wyraźnie uchylały się niektóre dzieci, skądinąd czułe, uczuciowe.

Przyznaję, że mnie to drażniło, dąsałem się; zrozumiałem wreszcie. W tych nawykowych, od niechcenia rzuconych pytaniach, dziecko nie widzi ani szczerego zainteresowania się ani możności zwrócenia się z prośbą. Ma słuszność: Podając całe pudełko cukierków, liczysz na to, że gość weźmie jeden i nie największy. Częstujesz dziecko ułamkiem minuty, ono ci daje żądaną odpowiedź: „wszystko dobrze“, ale spłacając dług dobrego wychowania, ma żal do ciebie za fałsz udanego zainteresowania się jego osobą, ono nie chce być traktowane, aby zbyć, w przelocie.

— No cóż, lepiej? — zapytuje lekarz przy obchodzie sali szpitalnej.

Z tonu głosu, ruchów, widzi chory, że lekarz się spieszy, więc odpowiada niechętnie:

— Dziękuję, lepiej.

76. Dzieci nie mają doświadczenia w fałszu form towarzyskich, dodam, w zwykłych kłamstwach potocznej mowy:

— Wprost ręce opadają; powinno być cicho jak w kościele; pali się wszystko na nim; co weźmie do łapy to zepsuje; sto razy mówiłem; już więcej nie powtórzę.

Dla dziecka są to kłamstwa.

Jakże nie wstyd mówić, że ręce opadają, gdy się niemi porusza swobodnie? W kościele wcale nie jest cicho. Spodnie się podarły, gdy przechodził przez parkan i można je zacerować; wcale się nie spaliły. Bardzo wiele rzeczy bierze do rąk i nie psuje, a że się jedna złamała, to się może zdarzyć. Sto razy nie mówiono, a najwyżej może pięć razy, i nieraz jeszcze powtórzą mu.

— Ogłuchłeś czy co?

Nie, nie ogłuchł. To pytanie też jest kłamstwem.

— Na oczy mi się nie pokazuj.

I ten rozkaz jest kłamstwem, bo podczas obiadu każą mu siedzieć przy stole.

Ileż razy dziecko buntowniczo się zachowuje, bo woli otrzymać parę szturchańców, byle się wstrętna przemowa skoń-

czyła. Może dziecko, przekonane o konieczności szacunku dla wychowawcy, cierpi widząc, jak ten szacunek wali się w gruzy? Bo o ileż mu łatwiej ulegać w przekonaniu o ich istotnej moralnej wyższości.

77. Wprowadziliśmy w Domu Sierot reformę: dzieci podczas śniadania, obiadu i kolacji otrzymują nadprogramowo tyle suchego chleba, ile zechcą. Ale nie wolno go rozrzucać i zostawiać. Niech weźmie tyle, ile zjeść może. Nie odrazu dzieci zdobywają odnośne doświadczenie, bo świeży chleb jest przysmakiem dla wielu.

Wieczór, kolacja się skończyła, wezwano małe do sypialni.

W tej samej chwili jedna ze starszych dziewczynek, ugryzłszy niewielki kęs chleba, rzuca manifestacyjnie resztę porcji na stół, przy którym siedzę, i powłóczystym krokiem idzie dalej. Byłem tak zdumiony, że nie powiedziałem nic więcej, tylko: „jesteś obrzydliwa bezczelna dziewucha". W odpowiedzi lekceważący ruch ramion, łzy, obrażona udała się do sypialni.

Zdziwiłem się, gdy niezadługo zastałem ją już w łóżku śpiącą.

W kilka dni później zrozumiałem powód wyraźnie niedorzecznego czynu, gdy ta sama dziewczynka oznajmiła, że chce chodzić spać wcześnie, razem z małemi.

Ambitna, nie odrazu mogła się zdecydować na poniżające chodzenie spać z malcami. I oto, półswiadomie czy podświadomie, sprowokowała wówczas mój gniew, by mieć powód do obrazy, łez, i co zatem idzie — przedterminowego pójścia spać...

Słów parę o jej powłóczystym chodzie.

Chodząc, nie podnosiła nóg, suwała je po podłodze. Niektórym dzieciom się to podobało, zaczęły ją naśladować. Ten starczy chód u dziecka zdawał mi się nienaturalny, śmieszny, brzydki, dodam, lekceważący. Nieco później dostrzegłem, że jest nietylko naturalny, ale swoisty dla dzieci w wieku silniejszego rozwoju. Jest to chód znużenia.

W praktyce prywatnej niejednokrotnie zapytywałem:

— Czy nie zauważyła pani, że chód dziecka się zmienił?

— Ależ tak: chodzi, jak obrażona księżna. To mnie do rozpaczy, do wściekłości niekiedy doprowadza. Suwa nogami, jakby miała sto lat lub była wie Bóg jak spracowana.

78. Czy ten jeden przykład nie dowodzi, jak ściśle zrośnięty jest świat przejawów ducha z jego fizjologicznem podłożem?

Mylą się ci, którzy sądzą, że porzuciwszy szpital dla internatu, sprzeniewierzyłem się medycynie. Po ośmiu latach pracy szpitalnej zrozumiałem dość silnie, że wszystko, co nie jest tak przypadkowe, jak przejechanie przez automobil lub połknięcie gwoździa, może być poznane w dziecku tylko przy wieloletniej jego obserwacji klinicznej nie zrzadka, w chorobie-katastrofie, ale codziennej, w jasnych okresach jego pomyślności.

Berliński szpital i niemiecka literatura lekarska nauczyła mnie myśleć o tem, co wiemy i powoli, systematycznie posuwać się naprzód. Paryż nauczył mnie myśleć o tem, czego nie wiemy, a wiedzieć pragniemy, musimy, będziemy. Berlin, to dzień roboczy, pełen drobnych trosk i zabiegów, Paryż, to święto jutra z jego olśniewającem przeczuciem, potężną nadzieją i nieoczekiwanym tryumfem. Siłę chcenia, ból niewiedzy, rozkosz poszukiwań dał mi Paryż; technikę uproszczeń, wynalazczość drobiazgów, ład szczegółów—wyniosłem z Berlina.

Wielka synteza dziecka — oto co mi się śniło, gdy w bibliotece paryskiej z rumieńcem wzruszenia czytałem dziwne dzieła francuskich klasyków-klinicystów.

79. Medycynie zawdzięczam technikę badania i dyscyplinę naukowego myślenia.

Jako lekarz, stwierdzam objawy: widzę wysypkę na skórze, słyszę kaszel, czuję wzniesienie ciepłoty, powonieniem ustalam zapach acetonu z ust dziecka. Jedne dostrzegam odrazu, ukrytych poszukuję.

Jako wychowawca, mam również objawy: uśmiech, śmiech, rumieniec, płacz, ziewnięcie, okrzyk, westchnienie. Jak bywa

kaszel suchy, wilgotny i duszny, tak bywa płacz łzami, łkaniem i prawie bez łzy.

Objawy ustalam bez gniewu. Dziecko gorączkuje, dziecko kaprysi. Obniżam gorączkę, usuwając w miarę możności jej powód, osłabiam natężenie kaprysu, ile się da bez szkody dla jego ducha.

Nie wiem dlaczego mój zabieg lekarski nie osiąga pożądanego skutku, nie dąsam się a poszukuję. Dostrzegam, że moje zarządzenie chybia celu, rozkaz nie jest wykonywany przez wiele dzieci lub jedno, nie dąsam się, ale badam.

Niekiedy objaw pozornie drobny i bez znaczenia, mówi o wielkiem prawie, pozornie oderwany szczegół wiąże się u dna z ważnem zagadnieniem. Jako lekarz i jako wychowawca nie znam drobiazgów i czujnie śledzę to, co zdaje się przypadkowem i bezwartościowem. Drobny uraz rujnuje niekiedy mocne, karne a kruche funkcje ustroju. Mikroskop odkrywa w kropli wody zarazę, która pustoszy miasta.

Medycyna pokazała mi cuda terapji i cuda wysiłków w podpatrywaniu tajemnic natury. Dzięki niej widziałem po wielekroć, jak człowiek umiera, i z jaką bezlitosną siłą, rwąc łono matki, przedziera się na świat do życia płód, dojrzały owoc, by stać się człowiekiem.

Dzięki niej, nauczyłem się wiązać mozolnie rozproszone szczegóły i sprzeczne objawy w logiczny obraz rozpoznania. I bogaty w doświadczoną świadomość o potędze praw natury i geniuszu badawczej myśli ludzkiej, staję wobec niewiadomej: dziecko.

80. Gniewne spojrzenie wychowawcy, pochwała, napomnienie, żart, rada, pocałunek, bajka jako nagroda, zachęta słowna — to są zabiegi lecznicze, które należy podawać w mniejszych lub większych dozach, częściej lub rzadko, zależnie od przypadku, zależnie od indywidualnych cech ustroju.

Istnieją dewjacje, skrzywienia charakteru, które cierpliwie leczyć trzeba ortofrenją. Istnieje wrodzona lub przejściowa anemja ducha. Istnieje wrodzona słaba odporność przeciwko zara-

zie moralnej. Wszystko to można rozpoznawać i leczyć. Zbyt pośpieszne, błędne rozpoznanie i niewłaściwe lub zbyt energiczne leczenie sprowadza pogorszenie.

Głód i przesyt w zakresie życia duchowego są tak samo materjalne, jak w życiu fizycznem. Dziecko, głodne rady, wskazówki, pochłonie ją, przetrawi i przyswoi, przekarmiane morałem—będzie doznawało mdłości.

Gniew dziecka — jedna z najważniejszych, najciekawszych dziedzin.

Opowiadasz mu bajkę, nieuważnie słucha. Nie rozumiesz, dlaczego, ale zamiast się zdziwić, jak przyrodnik, niecierpliwisz się, dąsasz.

— Nie chcesz słuchać, to dobrze; jak mnie poprosisz, nie opowiem.

— Nie to nie,—odpowiada dziecko,—bez łaski.

Jeśli nie powie, to pomyśli: poznasz po ruchu, po wyrazie twarzy, że nie dba o bajkę...

Całując, tuląc małego urwisa, prosiłem go, aby się poprawił. Rozpłakał się, i ze łzami, z rozpaczą powiedział:

— Proszę pana, czy to moja wina, że pan akurat nie lubi łobuzów, tylko same niedołęgi. No niech pan jemu każe być łobuzem, to on także pana nie będzie słuchał.

Jego łzy nie były wcale oznaką skruchy. On nie protestował przeciw moim pieszczotom i słodkim przemowom, bo uważał je za zasłużoną surową karę za swoje liczne grzechy. On tylko myślał beznadziejnie o swej przyszłości: ten poczciwy ale głupi wychowawca nie może zrozumieć, że ja nie mogę być inny. Dlaczego on tak surowo karze pocałunkiem, którego nienawidzę, niechby mi lepiej dał za ucho i kazał całe lato chodzić w podartych spodniach.

81. Sumując ogrom wyników, jakie dała kliniczna obserwacja dziecka w szpitalu, zapytuję, co dał nam internat: nic.

Zapytuję internatu, ile godzin snu wymaga dziecko? Podręczniki hygieny podają jakąś tablicę, przepisywaną z książki do książki, a ułożoną nie wiadomo przez kogo. Tablica

głosi, że im dziecko starsze, tem mniej potrzebuje snu: to kłamstwo. Ogólnie biorąc, dzieci mniej wymagają snu, niż sądzimy, dodam: niżbyśmy pragnęli. Ilość godzin snu waha się zależnie od etapu rozwojowego, w którym się dziecko znajduje, i często trzynastoletnie chodzą spać z małemi, gdy dziesięciolatki są rzeźkie i nie słuchają książkowych przepisów.

Toż samo dziecko dziś nie może się doczekać hasła, by wyskoczyć z łóżka, niezależnie od pogody i temperatury sypialni, po upływie roku staje się nagle ociężałe, z wysiłkiem się podnosi, przeciąga i ociąga, a chłód sali o rozpacz je przyprawia.

Łaknienie dziecka: nie je, nie chce, oddaje, wykręca się, oszukuje by nie jeść. Mija rok: je, pochłania — kradnie bułkę z kredensu.

A potrawy ulubione i nienawistne?

Na pytanie, jakie ma dwa największe zmartwienia, chłopiec odpowiada: jedno, że mi mama umarła, drugie, że muszę jeść grochówkę. A są dzieci, które zjadają po trzy porcje zupy grochowej.

Ale czy można mówić o indywidualnych właściwościach, gdy się nie zna praw ogólnych.

A owo pochyłe trzymanie się dzieci, które się po pewnym czasie znów prostują i znów pochylają? Blade rumienią się i znów bledną. Zrównoważone psychicznie, stają się nagle kapryśne, oporne, niekarne, — by po pewnym czasie znów się zrównoważyć,—„poprawić.“

Ileż arszenikowej rozpusty i ortopedycznego szwindla zniknęłoby z medycyny, gdybyśmy znali wiosny i jesienie rozwoju dziecka. Gdzież badać je, jeśli nie w internacie? Szpital ma zadanie studjować choroby, brutalne zmiany, jaskrawe objawy; cała jubilerszczyzna hygjeny, mikroobserwacja drgnień wypracowana być winna w internacie.

82. Nie znamy dziecka, gorzej: znamy je z przesądów. Aż wstyd, jak na dwa, trzy dzieła, pisane naprawdę przy kołysce, powołują się aż do obrzydzenia wszyscy. Aż wstyd, jak pierw-

szy lepszy sumienny pracownik staje się autorytetem niemal wszystkich zagadnień. Najdrobniejszy szczegół w medycynie liczy bogatszą literaturę, niż tu całe dziedziny. Lekarz jest tylko honorowym gościem internatu, nie-gospodarzem. Nic dziwnego, że ktoś z przekąsem orzekł, że reforma internatu jest reformą murów, a nie ducha. Nad dzieckiem internatu ciągle jeszcze panuje morał, nie badanie.

Czytając stare prace kliniczne lekarzy, widzimy drobiazgowość studjów, które niekiedy śmiech, zawsze zdumienie budzą: liczono ilość wykwitów na skórze przy wysypkowych chorobach, lekarz dnie i noce nie odstępował chorego. Medycyna ma dziś prawo nieco zaniedbać klinikę, pokładając nowe nadzieje w pracowniach.

A pedagogika, przeskoczywszy klinikę-internat, odrazu chwyciła się prac laboratorjum.

Zaledwie trzy lata spędziłem w internacie, tyle, by się rozejrzeć — i nie dziwię się, że zdobyłem skarby spostrzeżeń, projektów, przypuszczeń, boć w tej złotej krainie nikt nie był jeszcze, nie wiedzą o jej istnieniu.

83. Nie znamy dziecka.

Dziecko w wieku przedszkolnym, wiek szkolny, to podział policyjny tam, gdzie istnieje pobór szkolny. Okres ząbkowania, zębów stałych, dojrzewania. Nic dziwnego, że w warunkach dzisiejszej obserwacji dziecka, dostrzegliśmy tylko jego zęby i włosy pod pachami.

Nie umiemy nawet zdać sobie sprawy z przeciwności, które rzucają nam się w oczy w ustroju dziecięcym: z jednej strony żywotność komórek, z drugiej uraźliwość. Z jednej strony pobudliwość, wytrzymałość, siła, z drugiej—łamliwość, niezrównoważenie, znużenie. I ani lekarz, ani wychowawca nie wiedzą, czy dziecko jest istotą „niezmordowaną“, czy chronicznie zmęczoną.

Serce dziecka? Wiem. Dziecko ma dwa serca: centralne, przepracowane i peryferyczne, w elastycznych naczyniach. Dlatego tętno tak łatwo znika, ale łatwo znów się zrównoważa.

Ale dlaczego jedne dzieci pod wpływem afektu mają tętno zwolnione i niemiarowe, gdy drugie — szybkie, miarowe? Dlaczego jedne bledną, drugie się rumienią? Kto wysłuchiwał serce dzieci, z których każde sto razy przez sznur przeskoczyło? Czy pozorna żywotność nie w tem ma swe źródło, że dziecko jest niedoświadczone w spotrzebowaniu swej energji aż do ostatnich granic? Dlaczego tętno dziewcząt pod wpływem afektu jest częstsze, niż u chłopców, co znaczy, że dany chłopiec ma „dziewczęcą reakcję tętna,“ a dziewczynka—chłopięcą?

To są wszystko pytania nie lekarza internatu, a wychowawcy lekarza w internacie.

84. Wychowawca powiada:

— Mój system postępowania, mój pogląd. Choćby miał ubogie teoretyczne przygotowanie i niewielką liczbę lat pracy poza sobą, ma prawo tak mówić.

Ale niech dowiedzie, że ten system czy pogląd podpowiedziało mu doświadczenie pracy w takich warunkach na takim terenie, z takim materjałem dzieci. Niech usprawiedliwi swe stanowisko, przytoczy przykłady, poprze kazuistyką.

Daję mu nawet prawo do tego, co jest najtrudniejsze, najbardziej ryzykowne: do rokowania, przepowiadania, na co wyrośnie dane dziecko.

Ale niech ma zawsze świadomość, że może się mylić. Niech żaden z poglądów nie będzie ani bezwzględnem przekonaniem, ani przekonaniem na zawsze. Niech dzień dzisiejszy zawsze będzie tylko przejściem od sumy wczorajszych doświadczeń, do większej z dniem jutrzejszym.

Każde zagadnienie winno być rozpatrywane niezależnie od ogólnego poglądu, każdy fakt niezależnie. Bo fakty przeczą sobie, a tylko z ilości ich po tej lub innej stronie można domyślać się praw ogólnych.

Tylko w tych warunkach praca jego nie będzie ani monotonna, ani beznadziejna. Dzień każdy przyniesie mu coś nowego, nieoczekiwanego, niezwykłego, co dzień bogatszy będzie w nowy przyczynek.

Niezwykła lub rzadka skarga, kłamstwo, spór, prośba, przewinienie, objaw nieposłuszeństwa, fałszu, bohaterstwa, będą dlań cenne, jak dla zbieracza rzadka moneta, skamieniałość, roślina, położenie gwiazd na niebie.

85. I tylko wówczas każde dziecko kochać on będzie rozumną miłością, zainteresuje się jego treścią duchową, potrzebami, losem. Im bliższy będzie dziecka, tem więcej dostrzeże w niem cech godnych uwagi. W badaniu znajdzie i nagrodę i zachętę do dalszego badania, dalszych wysiłków.

Przykład:

Dziewczynka zła, brzydka, dokuczliwa. Jeśli bierze udział w zabawie to, by ją zdezorganizować. Zaczepi podstępnie, bo chce być pokrzywdzoną, aby móc się skarżyć. Okażesz jej życzliwość, rozzuchwalasz. Inteligencja słaba, dążeń brak, uczuciowości niema, ambicja żadna, wyobraźnia uboga.

Kocham ją jak przyrodnik, który przygląda się jakiejś mizernej, złośliwej istocie, — ot urodziło się takie biedne brzydactwo, taki kopciuszek natury.

Zapowiedziałem surowo:

Pamiętaj, żebyś się nie ważył wyjść z łóżka.

I powróciłem do przerwanych wieczornych opatrunków.

Gdy po chwili rozległo się z sypialni trwożne: proszę pana—wiedziałem, co ono oznacza.

Nie posłuchał, wyszedł z łóżka, by zakończyć niezałatwiony porachunek z kolegą.

Milcząc wymierzyłem parę klapsów po ręce i zarzuciwszy kołdrę na plecy, wziąłem do swego pokoju.

Dawniej, pół roku temu, byłby się opierał, wyrywał, chwytał za poręcze łóżek, futrynę drzwi. Dziś ma już doświadczenie paru nieudanych prób, więc idzie. Dziwnie wymierzony krok: trochę szybciej, znaczyłoby, że ulega, trochę wolniej, byłby już opór. Popycham go dłonią, bardzo lekko, akurat tyle, że wiem, że idzie z musu.

Idzie, a na twarzy jego osiada ponury cień, powiedziałbyś z duszy wypłynęła czarna chmura, która musi stężeć w burzę.

Stoi, oparł się o ścianę, łeb spuścił, nie drgnął.

Kończę drobne zabiegi: jodynuję skaleczony palec, waseliną smaruję popękane wargi, kropla gliceryny na rękę, łyżka lekarstwa na kaszel.

— Możesz wrócić.

Idę za nim, bo nuż w powrotnej drodze uderzy? Nie, spojrzał tylko, zwolnił kroku, może czekał, niech zaczepi, niech powie: „acha, w kącie stałeś“.

Doszedł do łóżka, położył się, przykrył na głowę kołdrą, może przyczaił się, może chce, abym wrócił do siebie.

Chodzę między rzędami łóżek.

Już był na drodze poprawy, dziś znów miał zły dzień. Trzasnął drzwiami ze złości, drzwi oszklone, szyba pękła. Powiedział, że to wiatr, przeciąg, uwierzyłem.

Przy skakaniu przez sznur nie chciał się trzymać kolei, obraził się, nie skakał, przeszkadzał. Dzieci się poskarżyły. Kolacji nie jadł: bułka mu się nie podobała, dyżurny nie chciał zamienić.

Trudno wytłumaczyć dzieciom, że jemu więcej należy przebaczać.

Cichnie szmer usypiającej sali. Osobliwa chwila, dziwnie się wówczas łatwo i dobrze myśli.

Moja praca naukowa.

Krzywe wagi, profile rozwojowe, indeks wzrostu, prognoza ewolucji somatycznej i psychicznej. Tyle nadziei, jaki będzie wynik? Jeśli żaden?

A czy nie dość, że doznaję uczucia radosnej wdzięczności, że rosną i krzepną? Czy to samo nie jest dostateczną nagrodą za pracę? Czy nie mam prawa być bezinteresownym czcicielem natury: niech zielenią się krzewy.

Oto strumień, który szemrze, niwa zbożna, ogród, który liśćmi szeleści. Mam ziarnom kołyszących się kłosów zadawać pytania, pytać krople o ich przeznaczenie?

Poco kraść naturę, niech zachowa swe tajemnice.

Oto śpią, z których każde ma jeden bodaj grzech, bodaj grzech oderwanego guzika, którego nie przyszyło. Jakie to wszystko drobne w perspektywie groźnego jutra, gdy błąd mści się niekiedy całem zdruzgotanem życiem.

Tacy bezpieczni i cisi.

Dokąd mam was prowadzić? Czy ku wielkim ideom, wzniosłym czynom? Czy tylko wdrożyć w spełnianie koniecznych obowiązków, bez których społeczeństwo wyrzuca poza nawias, ale abyście mogły swą godność zachować? Czy za tę trochę strawy i opieki w ciągu lat paru, mam prawo żądać, nakazywać, chcieć? Może dla każdego z was własna droga choćby pozornie najgorsza będzie jedynie słuszna?...

Wśród ciszy sennych oddechów i mych trwożnych pytań rozlega się łkanie.

Znam ten płacz, to on płacze. Ile dzieci, tyle różnych rodzai, od płaczów cichych i skupionych, poprzez kapryśne i nieszczere, aż do krzykliwych i bezwstydnie nagich.

Przykro, gdy dziecko płacze, ale jego jednego tylko łkanie, zdławione, beznadziejne, złowieszcze, budzi grozę.

Nerwowe dziecko, to mało: Jak często, nie znając istoty, zadowolniamy się nazwą niewiadomej treści. Nerwowe, bo mówi przez sen, nerwowe, bo tkliwe, bo żywe, bo ospałe, bo szybko się nuży, bo ponad wiek rozwinięte, progénéré, mówią Francuzi.

Są rzadkie dzieci, które liczą nie własnych przeżytych lat dziesięć. One niosą tarę w elu pokoleń, w ich zwojach mózgowych krwawi się nagromadzona udręka wielu zbolałych stuleci, i pod wpływem nieznacznego bodźca wyładowuje się ukryta w potencji siła bólu, żalu, gniewu, buntu, i doznaje się wrażenia niestosunku między drobnym bodźcem a burzliwą reakcją.

To nie dziecko płacze, to stulecia płaczą, to ból i tęsknota zawodzą, nie że w kącie stało, a że je gnębiono, gnano, poniewierano, wyklęto. Poetyzuję? Nie, tylko nie znajduję odpowiedzi i zapytuję.

Musi być uczucie silnie napięte, jeśli drobiazg może wytrącić z równowagi. Musi być uczucie ujemne, bo z trudem wywołasz uśmiech, pogodne spojrzenie, nigdy głośną oznakę dziecięcej radości.

Zbliżyłem się do niego i powiedziałem stanowczym, ale łagodnym szeptem:

— Nie płacz, bo dzieci pobudzisz.

Ucichł. Wróciłem do siebie. Nie zasnął.

To jedno wśród ciszy łkanie, tłumione na rozkaz, jest zbyt bolesne, zbyt samotne, sieroce.

Ukląkłem przy łóżku, w żadnym podręczniku nie szukałem wyrazów ani intonacji. Mówiłem monotonnym półgłosem:

— Wiesz, że ciebie kocham. Ale nie mogę ci na wszystko pozwalać. Wiatr nie zbił szyby, tylko ty zbiłeś. Dzieciom przeszkadzałeś się bawić. Kolacji nie jadłeś. Chciałeś się bić w sypialni. Ja się nie gniewam. Ty się już poprawiłeś: sam poszedłeś, nie wyrywałeś się. Ty jesteś już grzeczniejszy.

Znów płacze głośno. Uspokajanie wywiera niekiedy wprost odwrotny skutek: zamiast koić, podnieca. Ale wybuch, zyskując na sile, traci na trwaniu. Łka głośno, by po chwili ucichnąć.

— Może jesteś głodny? Dać ci bułkę?

Ostatnie spazmy gardła. Już tylko płacze, skarży się rzewnie, duszą dziwnie skołataną, obolałę, skrzywdzoną.

— Pocałować cię na dobranoc?

Odmawia ruchem głowy.

— No, śpij już, śpij, synusiu.

Lekko dotknąłem ręką jego głowy.

— Śpij.

Zasnął.

Boże, czem obronisz tę duszę wrażliwą, by jej życie nie stetłało w błocie?...

KOLONJE LETNIE

...Powiedz raczej, jakie nadzieje sam niosłeś, jakim ulegałeś złudzeniom, jakie spotkałeś trudności, jak cierpiałeś, zetknąwszy się z rzeczywistością, jakie popełniałeś błędy, jak korrygując je zmuszony byłeś odstępować od uświęconych poglądów, na jakie godziłeś się kompromisy...

1. Koloniom letnim zawdzięczam wiele. Tu po raz pierwszy spotkałem się z gromadą dzieci, i w samodzielnej pracy poznałem abecadło praktyki wychowawczej.

Bogaty w złudzenia, ubożuchny w doświadczenie, sentymentalny i młody, sądziłem, że będę mógł wiele, bo wiele pragnę.

Wierzyłem, że łatwo zaskarbić sobie miłość i zaufanie dziecięcego światka, że należy dzieciom na wsi zupełną pozostawić swobodę, że obowiązkiem moim w stosunku do wszystkich być jednakowym, że życzliwość rychło wywoła skruchę w każdym nieletnim grzeszniku.

Czterotygodniowy pobyt na kolonii pragnąłem uczynić dzieciom „suteryn i poddaszy“ „wstęgą wesela i radości“ bez jednej łzy.

Biedni wy, mili towarzysze, którzy jak ja wówczas, nie możecie doczekać się chwili, gdy rozpocznie się wreszcie. Żal mi was, jeśli zmrożeni na wstępie, zachwiani w podstawach, sobie przypisując winę,—nie umiecie rychło odzyskać równowagi.

I kusi was głos cudzego doświadczenia:

— Widzisz: nie warto. Rób tak jak ja: dbaj o własną wygodę. W przeciwnym razie djabli cię wezmą ku radości zawistnych, bez pożytku dla dzieci, którym chcesz służyć. Nie warto!

Jesteś zależny od doświadczonych, oni bądź co bądź, radzą sobie, gdy ty, wyznaj szczerze, stoisz zdumiony i bezradny.

Biedacy, jak mi was żal.

2. Takie łatwe i wdzięczne zadanie. Masz trzydzieścioro dzieci z ogólnej liczby stu pięćdziesięciu, i żadnego programu. Możesz robić, co chcesz. Zabawy, kąpiel, wycieczka, bajka, —

zupełna swoboda inicjatywy. Gospodyni dostarczy pożywienia, koledzy wychowawcy okażą pomoc, służba pilnować będzie porządku,—wieś da wam piękny teren, słońce—łaskawe uśmiechy.

Oczekując niecierpliwie dnia wyjazdu, obmyślałem szczegóły trzeciorzędne i dalekie, nie przeczuwając zadań najbliższych i ważnych. Więc postarałem się o gramofon, latarnię magiczną, wydobyłem fajerwerki, kupiłem warcaby i domina, na zapas, bo może między zabawkami ich zbraknie.

Wiedziałem, że dzieci należy przebrać w kolonijne ubrania, rozmieścić w sypialni i przy stole, a przedewszystkiem poznać nazwiska i twarze moich trzydziestu, a może wszystkich stu pięćdziesięciu. O tem nie myślałem wcale, to samo się zrobi. Myśląc o dzieciach, nie troszczyłem się, kto one.

Wierząc naiwnie w łatwość, przylgnąłem do wdzięku oczekującego mnie zadania.

3. Jak poznać trzydzieści nazwisk, niekiedy trudnych i podobnych, i trzydzieści twarzy? O tem nie wspomina żaden z podręczników, a bez tego niema autorytetu wychowawcy, żaden kierunek nie może być zapoczątkowany.

Nasuwają się tu pytania: jakie nazwiska i jakie dzieci pamięta się najwcześniej? Jakie są indywidualne właściwości pamięci wzrokowej wychowawcy? Jak wpływa to na los dzieci i ogólną pracę w zakładach o znacznej ich liczbie?

Doświadczenie poucza, że są dzieci, które poznaje się łatwo, spontanicznie, są których się trzeba uczyć. Nie wolno pozostawiać sprawy tej czasowi, bo popełnisz szereg błędów, skompromitujesz się wielokrotnie, zanim poznasz wreszcie wszystkie.

Najprędzej poznaje się dzieci ułomne, z oznaką szczególną, niezwykłe, więc małego wzrostu lub najwyższe czy najstarsze, garbate, rude, wyjątkowo ładne lub brzydkie. Wcześniej jeszcze, zanim widział dziecko, już przykuwa niekiedy nazwisko uwagę wychowawcy. Jeśli o powodzeniu papierosów lub specyfiku decyduje częstokroć szczęśliwa nazwa i opakowanie, i z ludźmi niestety tak bywa.

Z powodzi wrażeń chwytamy najłatwiejsze do zapamiętania, przy ocenie wartości, to co najmniej trudu wymaga, by dostrzec i sprawiedliwie ocenić.

4. Że dla dziecka, które przedstawia pewną wartość dodatnią lub umie się w nią przystroić, ważnem jest by o niem wiedziano, rozumie się samo przez się. Zwracamy się przeważnie do dzieci które znamy, dajemy im zlecenia, dajemy możność zbliżenia się, porozumienia, odznaczenia. I czują się pewniejsze, bliższe, już uprzywilejowane.

Dziecku milej zwrócić się do wychowawcy, który je zna, czy to będzie prośba, czy pytanie, i wychowawca chętniej je wysłucha, jeśli słyszał, wie, pamięta, poznaje. To o co przeciętne musi zabiegać, otrzymuje łatwo, szybko, bez pracy, dziecko o łatwej do zapamiętania powierzchowności lub nazwisku.

Pozostające w cieniu, w poczuciu dziejącej im się krzywdy lub ufnej wiary w swą nieznaczną wartość, odsuwają się jeszcze bardziej, i teraz chcąc poznać, już musisz je odszukiwać. Inaczej, pozostawiasz je własnym siłom w konfliktach z gromadą i własnym bez pomocy i rady przeżyciom,

W każdem biurze, fabryce, koszarach, są pokrzywdzeni tylko dlatego, że o nich zwierzchnik nie wie, nie zna ich, nie pamięta. Tak marnują się niekiedy wartościowe siły.

I dzieci, szybko zdobywszy doświadczenie, czekają, napięły uwagę przy pierwszem spotkaniu z tobą, i mały Mickiewicz lub Sobieski czeka na żartobliwe pytanie, ładne żąda przychylnego uśmiechu, gdy brzydki rudziak, czy Baran, podejrzliwie przeczuwa, że w nowem środowisku czekają go nowe przykrości. I jeśli na pierwsze ładne, miłe, pewne siebie, tylko dłużej, uważniej spojrzałeś, a ciszej, szybciej przeczytałeś niefortunne nazwisko, już potwierdziłeś nadzieję pierwszego, obawę drugiego.

5. Z racji wewnętrznych wad i zalet, najprędzej poznasz gwałtowne i dokuczliwe, zaniedbane i ponad przeciętną normę dobrze wychowane. Wybryki łobuzów, płaczliwe skomlenia nudziarzy, alarmują o swej obecności; najbiedniejsze nabawiają

kłopotu zdziczeniem; zamożniejsze i fałszywe zwracają uwagę dobremi manierami. Będą wreszcie wyrachowane i ruchliwe, które ci się gwałtem narzucą z pomocą, radą, informacją.

I te wszystkie, ładne, o mile brzmiącem nazwisku, zamożniejsze, natarczywe, żądają, byś je szybko poznał i wysunął na plan pierwszy, kosztem szarego tłumu, który ma pozostawać w cieniu, i dziwią się, jeśli tego odrazu nie uczynisz, i burzą się, jeśli tego nie chcesz uczynić, i zastosują wszystkie metody walki, jakiemi posługują się dorośli.

Młode książątko w szkole dla zamożnych, synek wójta w szkole ludowej, jeśli sam nie żądał, to mu ktoś szepnie, by żądał, jeśli nie otrzyma, by mścił się: „Powiedz, że bije, że nie zmówił pacierza, że szorstko odezwał się o władzy, że źle uczy, że się nami wcale nie zajmuje." Albo ci krzesło wysmarują kredą, zanieczyszczą klozet, podczas wizytacji wywołają nieporządek, zbuntują bezbarwne i obojętne, wplączą w brzydką sprawę najniewinniejsze, te właśnie, które pragniesz przedewszystkiem osłonić przed krzywdą.

Oczekując z radością na dzień wyjazdu, naiwnie nie przeczuwałem, ile potrzeba ostrożnego taktu, aby panować nad groźną gromadą.

6. Nie czułem obawy widząc, że niektóre dzieci musiałem kilkakrotnie upominać, aby nie wychylały się z okien wagonu, nie wybiegały na ganek. Już proponował mi jeden, że stanie przy drzwiach, będzie pilnował, drugi chciał zapisywać nazwiska tych, którzy są nieposłuszni. Odrzuciłem oba projekty ostrą uwagą:

— Pilnuj tylko siebie; jak się nie wstydzisz zapisywać kolegów?

— To nie moi koledzy, — odparł pogardliwie.

Oburzyłem się dziecinnie.

Były i takie, które umierały z pragnienia; tym tłomaczyłem cierpliwie i bezskutecznie, że zaraz po przyjeździe na miejsce napiją się mleka.

Ze zbędną troskliwością uspokajałem malca, który płakał, że rozłączono go z matką; zbyt pieczołowicie czuwałem, by

które z dzieci nie wypadło przez okno, pozatem, pragnąc zadzierzgnąć węzły sympatji ze swą grupą, traciłem drogocenny czas na błahe rozmowy: czy byłeś już na wsi, czy martwisz się, że nie wyjechał z tobą mały braciszek?

Szybko załatwiłem poziomą czynność odebrania pieniędzy i pocztówek, żartobliwie łajałem te, które oddawały pocztówki już zgniecione i zabrudzone, z niechęcią uspokajałem te, które widząc, jak bez ceremonji obchodzę się z ich własnością, uprzedzały, że ich pocztówki są czyste, a oddana do przechowania złotówka, nowa i błyszcząca. Co zrobić ze szczoteczkami do zębów, które mi też chciano oddać, nie wiedziałem: „tymczasem niech zostaną u was“.

7. Z uczuciem ulgi, opuściłem pociąg, dumnie skonstatowałem, że są wszystkie dzieci, że przeszło szczęśliwie. Pozostała część drogi, na wozach.

Przy najmniejszej dozie doświadczenia można było przewidzieć, że dzieci, nie uprzedzone, bezładnie rzucą się na wozy, że zwinne i przedsiębiorcze zajmą najprzedniejsze miejsca, że niezgrabne pogubią worki na odzież i nieszczęsne szczotki do zębów, że trzeba je będzie przesadzać, że będzie hałas i zamieszanie.

Utrzymanie porządku w zupełności zależne jest od przewidywania. Przewidując, wszystkiemu mogę zapobiedz.

Jeśli idę na dłuższą przechadzkę po mieście, winienem uprzedzić dzieci, by poszły za potrzebą, bo mi zwierzą tajemnicę potrzeby w tramwaju lub na ulicy...

Na przechadzce zbliżamy się do zagrody ze studnią. Zatrzymuję je:

— Ustawcie się w pary. Będziecie do studni zbliżali się po czworo.

Nie uprzedzę, daremny będzie wysiłek, by utrzymać porządek. I jeśli wyniknie bójka, stłuką kubek, podepcą ogródek, rozwalą zagrodzenie, — winne są nie dzieci, a brak doświadczenia wychowawcy.

To są drobiazgi, *to* doświadczenie przy dobrej woli szybko

się zdobywa; ale decyduje ono w pierwszym występie zaraz, który niekiedy ma wpływ na cały przyszły stosunek wychowawcy do dzieci.

Droga na kolonię była udręką dla mnie. Gdy pierwsze zeszło z woza, bo mu się znudziło jechać, należało nakazać, by siadło na wóz. Nie zrobiłem tego. I oto, z krzykiem dzikim, bezładnie, częścią na wozach, częścią pieszo, gubiąc po drodze worki i modlitewniki, popychając się, podniecone, ogłuszone, znalazły się dzieci na werandzie.

8. Żaden z podręczników wychowawczych nie mówi o tem, że gdzie się przebiera 30 dzieci w instytutową odzież, musi być kilkoro, dla których wszystkie koszule będą za długie, za wązkie koło szyi lub zaciasne w barkach.

Stosy bielizny i ubrań — ruchliwa, rozkapryszona gromada i zupełny brak doświadczenia dozorcy. Przebranie kilkorga przekonało i mnie i dzieci, że dobre chęci nie zastąpią wprawy.

Z nietajoną wdzięcznością przyjąłem pomoc gospodyni, która bez wysiłku, bez pośpiechu a szybko, poradziła sobie nietylko z dziećmi, ale i z bielizną, którą zdążyłem już pomieszać bezładnie. Kilkoro niezadowolonych ze zbyt długich rękawów, braku guzika lub za szerokich spodni uspokoiła, że jutro się poprawi.

Tajemnica jej tryumfu a mojej porażki polegała na tem, że gdy ja chciałem, aby wszystko pasowało, przylegało i było w dodatku estetyczne, ona wiedziała, że tak być nie może, że gdy ja zająłem się pierwszymi paroma, pozostałe niecierpliwie czekały, ona odrazu wydała połowę koszul, dając malcom najmniejsze, średnim i największym—duże, pozostawiając ich własnej inicjatywie ściślejsze dobieranie drogą zamiany. Toż samo było ze spodniami i bluzami. I w rezultacie, były dzieci, zręczne i zabiegliwe, według miary ubrane, i niepraktyczne, niezgrabne, ubrane jak małe klowny z jarmarcznego cyrku. Ale, co najważniejsze, gdy dzwonek oznajmił kolację, wszystkie były przebrane, własna ich odzież zapakowana w worki, opatrzona numerami, złożona w pakamerze.

9. Jak mają dzieci siedzieć przy stole?

I tego zagadnienia nie przewidziałem. Zdecydowałem pospiesznie w ostatniej chwili, zgodnie z naczelną zasadą o swobodzie: niech siedzą, jak chcą. Nie pomyślałem jednak, że właściwie są tylko cztery miejsca odmienne—narożne, że pozostałe wszystkie są jednakowe; więc będą kłótnie o te cztery miejsca i tem większe, im więcej będzie na nie amatorów.

Nie przewidywałem, że spór o te cztery miejsca będzie się powtarzał podczas każdego posiłku, że ci którzy je pierwsi zajęli, będą się przy nich opierali z zasady pierwszeństwa, inni z zasady równości.

Nie przewidywałem, że w miarę zapoznawania się i zaprzyjaźniania, będą dzieci codziennie zmieniały sąsiadów; więc znów spory w momencie rozdawania mleka i zupy, mających tę właściwość, że przy utraconej przez naczynie równowadze, rozlewają się i niszczą.

Nie przewidywałem, że przy ciągłej zmianie miejsc, trudniej mi będzie poznać dzieci.

Byłem nawet dość niemądry, by pozostawić dzieciom wybór wolny łóżek w sypialni: gdzie kto chce spać. Doprawdy, gdyby mnie samemu pozostawiono wybór, nie wiedziałbym, któremu miejscu oddać pierwszeństwo. Zarządzenie to jednak było tak jawnie niedorzeczne, żem je cofnął szybko, nie tak jednakże, by i tu nie było wiele zamieszania i hałasu. Pokładłem dzieci według listy, doznałem olbrzymiej ulgi, gdy zapanował wreszcie względny spokój.

Niewyraźnie zdawałem sobie sprawę z poniesionych porażek, byłem jednak zbyt oszołomiony, by poszukiwać ich źródeł.

10. Gospodyni po raz trzeci wzywała mnie na wieczerzę, pozostali dozorcy opuścili już swe sale. Sądziłem, że pierwszego wieczora nie należy zostawiać dzieci samych: mogą się bać, płakać; ale doświadczona gospodyni twierdziła, że zmęczone zasną; jakże jej nie wierzyć? Większość w samej rzeczy już spała.

Poszedłem, ale nie na długo; rychło musiałem powrócić, i spiesznie, aby zrobić opatrunek chłopcu, który miał klamrą

rozcięte czoło, drugi zapaśnik miał podbite oko, które w ciągu szeregu dni zmieniało swą barwę z czerwonej na żółtą, czarną i brudno-szarą.

— Dobrze się sezon zaczyna,—powiedziała gospodyni.

Uważałem to za cierpką i obraźliwą uwagę, tem bardziej niesłuszną, że za jej namową opuściłem salę.

Należało przewidzieć, że gdy część dzieci zaśnie, inne podniecone zmianą wrażeń, zasnąć nie będą mogły, podrażnione mogą rozpocząć kłótnię i bójkę. Byłem przygotowany raczej tulić tęskniące i smutne, nie godzić zwaśnione, gdy, o dziwo, ten, który płakał w drodze, teraz spał głęboko.

Nie dostrzegłem najważniejszego: bójka, tak poważne przewinienie, było groźną zapowiedzią: dowodziła, że autorytet mój był zachwiany, już w pierwszym dniu mej niefortunnej działalności.

Dodam nawiasem, że jeden z uczestników bójki miał twarz usianą śladami ospy: zapewne to odegrało pewną rolę w kłótni, która zakończyła się tak tragicznie dla mych błękitnych nadziei: ani jednej łzy—leżało w programie; a były łzy już w drodze na kolonię, a teraz—krew.

11. W nocy źle spałem. Któreś z dzieci, nienawykłe leżeć samo na wązkiem łóżku, zsunęło się z świeżo słomą nabitego siennika, z łoskotem spadło na podłogę. Ktoś przez sen jęknął czy zagadał, to znów imaginowałem, że uderzony w oko może wzrok utracić. Nerwy grały.

Miałem poza sobą dziesięć lat korepetytorskiej pracy, — nie byłem młodzikiem, ani nowicjuszem na niwie pedagogicznej; przeczytałem wiele książek o psychologji dziecka. A mimo to stałem bezradny wobec tajemnicy zbiorowej duszy społeczeństwa dziecięcego. Że ono stawia jakieś nowe żądania, że zaskoczony zostałem przez bolesną niespodziankę, nie ulegało wątpliwości. Ambicja moja cierpiała, znużenie ogarniało, jakto, już?

Może się jeszcze łudziłem, że po pierwszym, wyjątkowym bądź co bądź dniu, nastąpią oczekiwane, tęczowe i uśmiechnię-

te, co jednak uczynić, by jutro bezpieczne zapewnić, nie wiedziałem.

12. Zasadniczym błędem było niechętne odrzucenie pomocy zeszłorocznego dyżurnego: byłby nieocenionym pomocnikiem pierwszych dni pobytu na kolonii. Niech pilnuje przy drzwiach wagonu, niech nawet zapisuje, jeśli tak zawsze bywało. Niech powie, jak temu zapobiedz, by dzieci nie ukrywały posiadanych pieniędzy, jak zwykle siedzą przy stole, jak śpią w sypialni, którędy idzie się do kąpieli.

Analiza wszystkich popełnionych błędów, byłaby niezmiernie pouczająca. Niestety, jeśli nawet robiłem notatki, pomijałem niepowodzenia: rany były zbyt świeże, zbyt bolesne. Dziś po czternastu latach, szczegółów nie pamiętam. Wiem, że dzieci skarżyły się, że są głodne, że je nogi bolą od chodzenia boso, widelce są z piąskiem, zimno bez peleryn, że doświadczony dozorca z oburzeniem patrzał na nieład i rozprzężenie w mojej grupie; że gospodyni dawała wskazówki odnośnie do pomyślności własnej mej osoby, którą na szwank narażałem przez zbytnią gorliwość. Wiem że stróż skarżył się na zanieczyszczanie lasu, rujnowanie werendy przez chłopców, którzy wyciągali cegły z filarów, że moja grupa najwięcej zużywa przy myciu wody, którą trzeba pompować do zbiornika.

Aż przyszło i to najgorsze, piątego czy szóstego wieczora

13. Gdy chłopcy leżeli w łóżkach, w napół ciemne sypialni, rozpoczęła się kocia muzyka.

Ktoś gwizdnął ostro, ktoś zapiał, inny zaszczekał, zaryczał, znów gwizdnął ktoś, z pauzami, w różnych kątach sali.

Zrozumiałem.

Zapewne miałem już stronników wśród dzieci. Przemawiałem, tłomaczyłem, prosiłem, widziałem i zrozumienie i sympatję. Nie umiałem jednak ani wyszukać, ani tem mniej zorganizować dobrych sił mej grupy. Więc ambitni i fałszywi, których nadzieje zawiodłem a chęć pomocy lekceważąco odrzuciłem, szybko

się porozumieli, korzystając z braku doświadczenia a oceniwszy słabość, rzucili wyzwanie.

Chodziłem między łóżkami wolnym krokiem; chłopcy leżeli przykładnie z zamkniętemi oczami, niektórzy przykryci kołdrą na głowę, i znęcali się, wyzywali, hazardowali.

Mieliśmy w gimnazjum nauczyciela, którego jedyną winą było, że pobłażliwy, nie umiał panować nad klasą. Z przerażeniem wspominam orgje złośliwych wybryków, któremi go ścigaliśmy.

Tak mścić się potrafią tylko niewolnicy, gdy poczują siłę w obliczu znienawidzonej władzy. Każda despotyczna szkoła ma wśród personelu podobną ofiarę, która cierpi i ukrywa, boi się zarówno władzy jak dzieci.

Przeżyłem wiele w ciągu tych kilku minut, które wieczność trwały.

14. Więc taka odpowiedź na moją życzliwość, zapał, pracę? Zrazu czułem ból krwawy. Cały kryształowy gmach marzeń runął, rozsypał się w gruzy.

Gniew i podrażniona ambicja: będę pośmiewiskiem tych, których przerastam uczuciem, których przekonać, pociągnąć przykładem, może zaimponować chciałem.

Zatrzymałem się pośrodku sali, zapowiedziałem spokojnym a zdławionym głosem, że jeśli złapię, to zbiję. Serce tłukło, wargi drżały! Przerwało mi gwizdnięcie.

Złapałem, wytargałem za uszy, gdy protestował, zagroziłem, że wyrzucę na werandę, po której chodzi w nocy pies, spuszczony z łańcucha.

Wiecie kogo zbiłem? Takiego, który pierwszy raz, jeden raz gwizdnął. Dlaczego to zrobił, nie umiał wytłomaczyć.

Jakaż to była doskonała lekcja, dana mi przez dzieci.

Szedłem w białych rękawiczkach, z butonierką przy boku, po miłe wrażenia i wdzięczne wspomnienia, do głodnych, poniewieranych, wydziedziczonych. Chciałem się wyłgać obowiązkom kosztem paru uśmiechów i tanich fajerwerków, nie zdobyłem się nawet na trud nauczenia się ich nazwisk, rozdania bie-

lizny, opieki nad czystością klozetu. Czekałem na ich sympatję, nie chciałem akceptować wad, wyhodowanych w niszach wielkomiejskiego życia.

Nie o pracy, a o zabawie myślałem; ten bunt dzieci otworzył mi oczy na ujemne strony radosnych wakacji.

I cóż, zamiast zrobić rachunek popełnionych błędów, uniosłem się, poszczułem psami.

Moi towarzysze, dozorcy, przyszli tu z musu po zarobek, ja, dla idei; może dzieci odczuły fałsz i ukarały?

15. Nazajutrz przed wieczorem uprzedził mnie jeden z chłopców, że nieporządki mają się powtórzyć, a gdybym kogoś uderzył, nie dadzą się, będą się bronili,—uzbroili się w kije.

Należało działać szybko i energicznie. Na oknie sypialni umieściłem jasną lampę, przy wejściu do sypialni poodbierałem kije, które zaniosłem do swego pokoju: jutro im zwrócę.

Czy zrozumiały, że je zdradzono, czy jasne oświetlenie sypialni onieśmieliło, czy brak oręża do obrony pokrzyżował plany, dość, że zwyciężyłem.

Zmowa, bunt, zdrada, represje — tak odpowiedziało życie na moje rojenia.

— Jutro z wami pomówię, — brzmiała groźna zapowiedź, zamiast sentymentalnego: „dobranoc, dzieci", którem je częstowałem w ciągu pierwszych wieczorów, a co było zgoła zbyteczne.

Okazałem się taktownym zwycięzcą.

I znów życie pouczyło, że niekiedy stąd płynie pomyślność, gdzie sądzimy, że dotknęła nas katastrofa, że burzliwe przesilenie często jest początkiem zdrowienia.

Nie tylko nie straciłem życzliwości dzieci, ale przeciwnie, wzrosło wzajemne zaufanie. Dla dzieci sprawa ta była drobnym epizodem, dla mnie—przełomowem zdarzeniem.

Zrozumiałem, że dzieci są siłą, którą można zachęcić do współdziałania, zrazić lekceważeniem, z którą trzeba się liczyć. Tych prawd, dziwną rzeczy koleją, nauczył mnie kij.

Nazajutrz podczas pogadanki w lesie, poraz pierwszy mó-

wiłem nie do dzieci, a z dziećmi, mówiłem nie o tem, czem chcę, aby były, ale czem one chcą i mogą być. Może wówczas po raz pierwszy przekonałem się, że od dzieci można się wiele nauczyć, że i one stawiają i mają prawo stawiać swe żądania, warunki, czynić zastrzeżenia.

16. Uniform odzieży cięży dzieciom nie dlatego, że krój czy kolor jest jednakowy, ale że część dzieci cierpi fizycznie z powodu nieodpowiedniej odzieży. Szewc nie uwzględni właściwości stopy dziecka, jeśli czujność wychowawcy nie stwierdzi, nie zrozumie, nie wskaże. Dajcie nudziarzowi wygodne obuwie, może stanie się ruchliwy i wesoły. Jeśli regulamin kolonii wymaga, by dzieci w lecie chodziły boso, będzie to radością dla tych, które i w mieście boso chodziły, torturą dla pewnej ilości o wyjątkowo delikatnej skórze. Dzieciom anemicznym i mniej ruchliwym potrzebna jest cieplejsza odzież.

Jak odróżnić kaprys od istotnej potrzeby w internacie, gdy niełatwe to jest w rodzinie? Jak ustalić granicę, do czego dziecko łatwo się przyzwyczai, co stanowi przelotną niewygodę, od tego co jest właściwością jego ustroju, indywidualną różnicą jednego w masie.

W internacie obowiązuje uniform snu. I tu doza snu obliczona jest na przeciętną potrzebę dziecka, a wahania są znaczne. Stąd będziesz miał dzieci chronicznie śpiące i takie, z któremi walczyć musisz i bezowocnie, o spokój ranny w sypialni. Boć to męka dla dziecka nie spać i leżeć w łóżku, jak męką jest wstać, gdy jest znużone i senne.

Wreszcie uniform pożywienia, który niezbyt chętnie uwzględnia wiek, a zupełnie pomija różnice łaknienia u poszczególnych dzieci względnie jednego wieku.

Stąd w internatach mamy nieszczęśliwe dzieci, bo niewygodnie lub niedostatecznie ciepło odziane, śpiące lub niekarne odnośnie do snu, półgłodne i głodne.

Są to zagadnienia pierwszorzędnej wagi, decydujące w sprawie wychowania.

17. Niema boleśniejszego widoku, jak owo rwanie się do dokładki lub dolewki głodnej dziatwy, spory o nieco większy kawałek chleba; niema bardziej demoralizującego czynnika, niż handel jedzeniem.

Na tem tle powstają najostrzejsze scysje między sumiennym wychowawcą i sumienną gospodynią. Bo wychowawca rychło zrozumie, że głodnego dziecka wychowywać nie można, bo głód jest złym doradcą.

Rodzice mogą powiedzieć „niema chleba“, nie stracą ani miłości ani szacunku dzieci, wychowawca ma prawo powiedzieć to wyjątkowo, ale tylko wyjątkowo, i tylko wówczas, gdy sam jest głodny. *Różnicę między przeciętną normalną dyjetą dzieci a większem łaknieniem, należy wyrównywać chlebem, ile kto chce i zjeść może.*

Wiem: dzieci będą nosiły chleb po kieszeniach, będą go chowały pod poduszki, kładły po futrynach okien i topiły w klozecie. Tak będzie przez tydzień, przy nierozumnych wychowawcach przez miesiąc, ale nie dłużej. Wolno ukarać dziecko, które tak czyni, ale nie wolno grozić:

— Przestanie się chleb wydawać.

Bo wówczas ostrożniejsze w obawie zapowiedzianych represji, będą robiły zapasy.

Wiem: dzieci będą opychały się chlebem, a normalne porcje iść będą do pomyj. Zapewne, gdzie niechlujnie przygotowane niesmaczne jedzenie spotka się z nie do cna wygłodzoną dziatwą, tam musi ustąpić przed niezbyt nęcącym podniebienie, ale nie wstrętnym chlebem wczorajszym.

Wiem: obje się ten czy ów głuptas, — kłopot, zamieszanie. Ale wierzcie mi, uczyni to raz lub dwa razy; tylko dzieci do zbytku pilnowane nie mają doświadczenia.

18. Będą scysje nawet tam, gdzie panuje zupełna harmonja między gospodynią i dozorem. Jeśli dzieci są syte, zdarzać się niekiedy będzie, że część przygotowanego jedzenia pozostanie. Dzień gorący, pośpiech z powodu wycieczki, lekkie przypalenie mleka, gospodyni występuje z wymówką:

— Połowa kaszy została, a oto chleb, znaleziony pod werandą.

Niech wychowawca wypije dla przykładu, pełny kubek przypalonego mleka, niech zapowie, że nie będzie przechadzki, jeśli zupy nie zjedzą, niech chleb wydaje licznemi ale małemi kawałkami, niech nie lekceważy zmartwienia gospodyni, ale chleb musi pozostać, nie wolno kapitulować, nawet na jeden dzień nie wolno.

Wychowawcy skłonni są lekceważyć troski gospodyni, gospodyni skłonna jest upatrywać lekceważenie tam, gdzie go niema. Gdzie jest dobra wola z obu stron, bywają akurat takie starcia, jakie być muszą między ludźmi, którzy pracują w różnych działach na jednym terenie. Trzeba mieć takt, a wychowawcy, który w uniesieniu potrafi się zapomnieć i powie:

— Niech pani lepiej garnków pilnuje, nie wtrąca się do dzieci.

Przypomnę, że gospodyni ma zupełne prawo odpowiedzieć:

— A pan niech dzieciom tyłki wyciera, bo praczka nie może doprać bielizny.

Bo jeśli w samej rzeczy obowiązkiem gospodyni jest pilnowanie czystości kuchni, to obowiązkiem wychowawcy i czystości bielizny. Dobra wola podyktuje im prawa taktownego współdziałania, da zrozumienie, że służą jednej dobrej sprawie.

Powiadam: gdzie jest dobra wola.

19. Dzieci są już syte, sądzisz, że zwalczyłeś upór,—nie, on się tylko przyczaił. Może dziś umyślnie zupa jest przesolona, ryż rozgotowany na klajster. Może umyślnie porcje mięsa są duże, prócz tego kartofli dowoli, i kwaśne wiśnie na deser, „niech mu się pochorują, przekona się, jak to smakuje". Cały ryż w kuble, po słonej zupie dzieci nachlapią się wody, agrest lub zsiadłe mleko dopełni miary.

Pamiętaj młody wychowawco, że jeśli dziecko umie być wyrafinowanie okrutne, czyni to nieświadomie, z cudzego podszeptu, przewrotność dojrzałego człowieka, któremu zawadzasz, niema granic.

Wydziedziczeni, sponiewierani przez życie, tu mszczą się

za doznane krzywdy. Zawiedzeni w ambitnych dążeniach, tu lubują się w bezodpowiedzialnej władzy, każą się czcić, łaskawie pozwolą usłużyć, despotycznie rozkazują. Bezbarwni i niedołężni, pokorni i obłudni, tu znajdą chleb za cenę najbrudniejszej pracy i—milczenia. Jeśli im zawadzasz, nie łudź się, że ci ustąpią bez walki długiej, uporczywej, namiętnej; zbyt szybkie i łatwe zwycięstwo kryje w sobie zarodek porażki: czekają, aż się znużysz, tymczasem pragną uśpić twą czujność, lub zebrać przeciwko tobie dowody.

Jeśli młoda pokojówka przyszła późnym wieczorem do twego pokoju, by z polecenia gospodyni coś przynieść, o coś poprosić, mogło to być przypadkowe, ale mogło mieć i cel ukryty. Im jesteś młodszy i mniej doświadczony, tem bądź powolniejszy w czynach, ostrożniejszy w słowach i podejrzliwszy, gdy coś ci zbyt łatwo przychodzi.

20. Jeśli nie chcesz iść z prądem, ulegać władzy, dogadzać głos mającym, opierać się na sprytnych i zabiegliwych, poniewierać szarymi, gnębić opornych i niekarnych; jeśli chcesz we wszystko wejrzeć, każdemu słusznemu żądaniu zadość uczynić, oprzeć się nadużyciu, skargę wysłuchać, musisz mieć wrogów, zarówno jako minister, jak skromny wychowawca. Jeśli zbyt butnie, nieoględnie i ufnie rozpoczniesz walkę, poparzysz się raz i drugi, może odejdzie ochota dalszego eksperymentowania kosztem spokoju, niekiedy egzystencji i przyszłości. Im lekkomyślniejszy wzlot, tem groźniejszy upadek...

A zresztą, nie wierz mi, ja kłamię, jestem stary, zrzędzę. Rób jak ci dyktuje uczucie, porywczo, z impetem, bez kompromisów, najprostszą drogą... Wygryzą cię, przyjdą nowi, zajmą twe miejsce, poprowadzą dalej. Z nieuczciwym żadnych układów, niedołęgę z drogi, szubrawca w pysk. Nie masz doświadczenia, tem lepiej: jeśli ono wskazuje drogę, którą będziesz mógł pełzać całe życie, ty nie chcesz: wolisz szybować bodaj przez godzinę... Zwyciężony dla łysych i siwych nie będzie czcigodny, dla młodych zostanie bohaterem.

Ale nie cofaj się w pół drogi...

Nie dąsaj się, boś sam chciał...

Nie mów, że nie uprzedzono, zwiedziono, okłamano...

21. Mowa o hałasie wieczornym była mniej więcej tej treści:

„Zbiłem chłopca, zrobiłem źle. Zagroziłem, że go wyrzucę na werandę, gdzie go pies ugryzie, to było bardzo brzydkie. Ale kto jest winien, że popełniłem dwa brzydkie czyny? Winne są te dzieci, które umyślnie hałasowały, żeby mnie rozgniewać. Może być, że ukarałem niewinnego. Ale kto jest winien? Winne są te dzieci, które skorzystały z ciemności, żeby się ukryć. Dlaczego wczoraj było cicho? Bo się paliła lampa. To wasza wina, że byłem niesprawiedliwy. Ja się bardzo wstydzę, ale i wy się powstydźcie. Ja się przyznałem, a teraz wy się przyznajcie. Są dzieci dobre i złe; każde złe dziecko może się poprawić, jeżeli chce, ja mu chętnie pomogę. Ale i wy mi pomóżcie, abym mógł zostać dobrym, abym się nie zepsuł przy was. Mnie jest bardzo nieprzyjemnie, że jeden z chłopców ma podbite oko, że drugi ma opatrunek na głowie, że pan X na was się skarży, że stróż się na was żali."

Potem każdy mówił, czy jest dobry, porządny, czy tak sobie, czy sam nie wie; potem mówili, czy chcą bardzo się poprawić, czy tylko trochę, czy wcale nie chcą. Wszystko to zostało zapisane. Poznałem prawicę, centrum i lewicę grupy...

Są zbiory mów politycznych, sądowych, kazań kościelnych. Dlaczego niema drukowanych mów wychowawców do dzieci? Bo zdaje się ogółowi, że tak łatwo przemówić do duszyczek dziecięcych. Niektóre mowy do dzieci przygotowywałem po tygodniu i dłużej.

22. Wspólnie radziliśmy co robić, aby dzieci nie zanieczyszczały lasu, by nie było hałasów przy stole, aby nie rozrzucano chleba, aby na dane hasło zbierały się do kąpieli, czy na posiłek.

Robiłem nadal wszystkie błędy, od których pragnę was

uchronić, ale pozyskałem obietnicę pomocy ze strony części mej grupy.

Głupstwa same mściły się na mnie w bezcelowo ponoszonych wysiłkach, w bezpłodnej utracie energji. Dzieci wzruszały ramionami, niekiedy starały się mnie przekonać, często ustępowałem.

Pamiętam rozmowę o stopniach ze sprawowania. Nie chciałem stawiać stopni: wszyscy zasługują na piątki, bo każdy stara się być dobry; a jeśli nie może, nie powinno się go karać.

— Jak nie napiszę ojcu, że mam piątkę, to będzie myślał, że się źle sprawuję.

— A u innych panów jest łobuz, to ma przynajmniej trójkę, a ja jestem grzeczny, i nic nie mam.

— Jak coś złego zrobię i pan postawi stopień, to wiem, że się już skończyło.

— Jak niema stopni, to się jakoś nie chce być posłusznym; sam nie wiem dla czego.

— A ja nie. Jak pan stawia stopnie, a coś złego zrobię, to myślę: niech mi postawi trójkę. A jak niema stopni, to mi nieprzyjemnie.

Rozważcie każdy z dowodów, a zobaczycie, jak poważne poruszają zagadnienia, jak w ich świetle wyraźnie zaznaczają się indywidualne różnice dzieci.

Ustąpiłem: każde samo oznaczało stopień, na który zasłużyło; niektóre z przykrością: „ja nie wiem."

23. Ulegałem dość długo przesądowi, że numer poniża dziecko. Uparcie nie chciałem ustawiać dzieci w pary, sadzać przy stole podług numerów. A dzieci cieszą się swemi numerami: ma dziewięć lat i dziewiąty numer, ma numer dwudziesty i ciotka jego mieszka akurat pod numerem dwudziestym. Czy poniża to widza w teatrze, że ma numer na bilecie?

Wychowawca powinien znać dzieci, w serdecznej rozmowie nazwać zdrobniałem imieniem, którem przemawia matka.

Należy znać rodzinę wychowańca, zapytać o małą siostrę, która była słaba, wuja, który stracił zajęcie. Jeśli łóżka stoją

podług numerów, z 30 będzie pięcioro, które chcą zmienić miejsce: bo chce spać przy braciszku, bo sąsiad mówi przez sen, bo chce być bliżej pokoju wychowawcy, bo w nocy się boi.

Idą do kąpieli parami według numerów; ale jeśli chce się zamienić by iść z przyjacielem, jeśli jego para chodzi zbyt wolno, jeśli nogę skaleczył, numer nie powinien przeszkadzać, niech zmieni parę lub miejsce.

Już w ciągu pierwszych dni — numer może stać się nazwiskiem, z pod którego przeziera osobowość dziecka, aż wykłuje się pełna moralna i intelektualna jego postać. Wówczas nieodzowny numer nie przynosi szkody.

24. Niosłem uczucie dzieciom, które nie chciały, nie znosiły, bały się go. Sądziłem naiwnie, że w ciągu czterech tygodni można wyleczyć każde cierpienie, każdą zagoić ranę. Traciłem czas.

Brałem pod szczególną opiekę dzieci najmniej wartościowe, zamiast zostawić w spokoju.

Z rozrzewnieniem wspominam jak ulegając mym prośbom dopuszczały do zabawy takie, które psuły zabawę, jak ustępowały zaczepnym, które rozzuchwalała nakazana pobłażliwość.

Daję cud piłkę głupcowi, który nie umiejąc grać, nosi ją w kieszeni, bo każdy ma równe prawa do piłki, którą dawałem „sprawiedliwie,“ po kolei.

Wymuszałem obietnice poprawy, wyzyskując dobrą wolę uczciwych, które nie chciały brać zobowiązań niewykonalnych.

Cieszyłem się, że idzie coraz składniej, nie licząc ani bezsennych godzin, ani sił, które szły na marne. Lekceważyłem dzieci, ich zabawy, spory, sprawy, bo były dla mnie wówczas jeszcze „drobne.“

25. Kolonje letnie są trudnym a wdzięcznym do prowadzenia internatem. Otrzymujesz odrazu znaczną ilość dzieci, gdy w każdym innym, do istniejących i już ułożonych, przybywają pojedyńczo lub nielicznemi grupami. Warunki dozoru na dużym terenie są również niełatwe. Pierwszy tydzień organizowania

jest trudny, ostatni wymaga wzmożonej czujności: dzieci już myślami i nałogami zwracają się ku miastu.

Sumienny a niedoświadczony wychowawca tu ma możność najmniej boleśnie wypróbować swe siły; w pracy żywej i szybko pozna zagadnienia wychowawcze internatu, nieodpowiedzialny za dalszą przyszłość, może objektywniej oceniać wady i przywary. Jeśli zda sobie sprawę z omyłek i błędów, ma możność w następnym sezonie z nową partją dzieci, nie mając świadków popełnionych błędów, nie niosąc ich konsekwencji, rozpocząć nową pracę na nowych podstawach.

Nie ma potrzeby oszczędzać sił i obliczać zapału i energji na długą metę. Zmęczy się, lato przejdzie, odpocznie.

Zdobyte w pierwszym miesiącu doświadczenie da mu w drugim zadowolenie stwierdzonych postępów, szybko dostrzeże różnicę, co go zachęci do dalszych wysiłków.

Praca pierwszego sezonu tylko pozornie ginie bezpowrotnie: w drugim sezonie będą znajomi, krewni i koledzy dzieci z pierwszego. Rozpytaj a dowiesz się, że one już cię znają, już znają twe wymagania, zanim cię zobaczyły, już czują sympatję, chęć uznawania twego autorytetu.

26. Drugi sezon rozpoczął się pod szczęśliwszą gwiazdą. Otrzymawszy w wilję wyjazdu listę, uczyłem się nazwisk po kolei. Niektóre nazwiska budziły zaufanie, inne—obawę. To nie żart: pomyślcie, jak wygląda malarz Kurzawa, chłop Ślimak, szewc Niedola.

Uzbrojony w dzienniczek i ołówek, notowałem wszystko, co mnie w dziecku uderzyło przy pierwszem zetknięciu. Plus, minus, znak zapytania, postawione przy nazwisku, było oceną pierwszego wrażenia. Krótkie: „miły, łobuz, gapa, zaniedbany, zuchwały“ — były pierwszą charakterystyką, która się mogła sprawdzić lub nie, ale dawała ogólne wrażenie całości.

Tak bibljotekarz przerzuca nową znaczną przesyłkę książek, ciekawie rzucając okiem na nagłówek, rozmiar, okładkę. To miła praca: ot będzie co do czytania!

Zanotowałem specjalnie polecone, licznie odprowadzane,

bogato na drogę obdarowane, opóźnione. Już są i pytania i prośby i rady dzieci, tem właśnie ciekawe, że pierwsze. Jeśli który zgubi kartę zapisu, a sąsiad szybko ją podniesie i z uśmiechem poda, jeśli jeden szybko i głośno odpowie: „jestem“ gdy go wywołano z listy, a za drugiego odpowiada matka, jeden pchnie tego, co zajął jego miejsce, drugi się poskarży, jeden ukłoni układnie, drugi chmurnie patrzy wokoło, to wszystko ma dla wychowawcy ogromne znaczenie; dostrzeżone i utrwalone w pamięci lub w notesie, — jest dlań cennym materjałem rozpoznawczym.

27. Odbierając pocztówki, kładę je w ponumerowane i złożone napół papierki, bo niektóre są polinjowane, inne zatłuszczone i zgniecione. Zupełnie słuszny miały żal dzieci w pierwszym sezonie, że zwracano nie ich karty, aby pisały do domu.

Pieniądze zawijałem w papierki ponumerowane i składałem w chustce do nosa, również w przeddzień przygotowaną.

To depozyt, własność tem bardziej nietykalna, że depozyt przymusowy. Dziecko, oddając pięć kopiejek, zawierza cały swój majątek: masz obowiązek poważnie go traktować.

Przy drzwiach wagonu stał dyżurny, przy każdem oknie był dyżurny. Miałem czas z każdem dzieckiem zamienić słów parę, znów przybywały do notatnika szczegóły.

Notowałem te, które napierały się wody, które się skarżyły, pokłóciły przy oknie.

Szczoteczki do zębów odbierałem osobno, zawieszałem numerki na nitkach.

Po raz trzeci przedefilowała cała grupa, gdy atramentowym ołówkiem notowałem numery na workach. I tu, gdy wywołałem nazwisko, jedne dochodziły szybko, inne kilkakrotnie trzeba było przywoływać. Była i grupa takich, które zamiast wyglądać przez okna, otaczała mnie, ciekawie przyglądając się pracy. Znów któreś płakało: posłałem chłopca, by je pocieszył, on to lepiej zrobi, a zresztą—niech popłacze.

28. Uprzedziłem, że będą wozy na stacji, żeby teraz, w wagonie, załatwiły potrzeby; że do wozów nie wolno się tłoczyć, w drodze nie wolno zesiadać, że kto będzie miał ubranie nie na miarę, jutro mu się zamieni. Dwaj zeszłoroczni koloniści będą pomagali przy rozdawaniu mleka, trzej inni przy ubraniach.

Nawiązywałem nić przyjaźni na zasadzie rzeczowej rozmowy, nie pustego flirtu.

Zanotowałem, kto ma brudne uszy, długie paznokcie, brudną koszulę; bo jeśli matka nie ogarnie dziecka przed wyjazdem, jest nietylko biedna, ale i niedbała, niekiedy dziecko już jest samodzielne, samopas puszczone, lub nie ma matki. Gdy je przebiorę i umyję, ten szczegół będzie stracony.

Godziłem się na każdy projekt pomocy lub wyręczenia. Bo wiedziałem, że moim zadaniem jest zorganizowanie i czujna kontrola, że sam nie podołam ogółowi, że zdam egzamin na dobrego wychowawcę, jeśli będę miał czas na sprawy najważniejsze i opiekę nad dziećmi wyjątkowemi z racji ich zdrowia, temperamentu, zaniedbania, niedołęstwa lub dużej wartości duchowej.

I kiedy dzieci przebrane zasiadły przy stole w porządku numerów, zacząłem się uczyć ich twarzy.

Już lepiej znałem mą grupę, niż w ubiegłym sezonie po dniach kilku.

29. Jednego poznam po piegach, drugiego po brwiach, trzeciego po znamieniu na skrzydle nosa, czwartego po kształcie czaszki. Zawsze zostanie kilkoro, w których upatruje się nie istniejące podobieństwo, których się nie poznaje czas dłuższy. Trudności tych nie zna nauczyciel klasy, gdy ma je codziennie, nieruchomo umieszczone w ławkach. Ale zna je pedel szkolny, inspektor, dyrektor. I łatwo jest broić niepostrzeżenie nieznanemu, gdy paru kozłów ofiarnych odpowiada za siebie i innych.

— Ach, znam ja ciebie. Ty już nie pierwszy raz, — ty zawsze.

A istotny winowajca śmieje się w kułak.

Dlatego z takim naciskiem podkreślam konieczność szybkiego poznania wszystkich dzieci, że wszelkie szkodliwe uprzedzenia zarówno na korzyść dziecka, jak na niekorzyść, — mają swe źródło w ich nieznajomości.

Nie będę zda mi się, daleki od prawdy, jeśli powiem, że dziecko ładne, o miłej, wdzięcznej buzi, ma wszelkie dane, by uznane było za dobre, a brzydkie lub z defektem, za złe. Stąd płynie równie niesłuszne uprzedzenie niektórych wychowawców względem ładnych dzieci. Powtarzam raz jeszcze, że bezwzględnie i w każdym przypadku będzie złym wychowawca, który nie zna choćby jednego ze swych wychowańców.

30. Wieczorem, gdy pokładli się do łóżek, miałem pogadankę o chłopcach z ubiegłego sezonu.

„Opowiem o chłopcach, którzy spali na łóżku piątem, jedenastem, dwudziestem i trzydziestem drugiem".

„Jeden z nich okazał się bardzo miły, drugi zawsze i ze wszystkiego był niezadowolony, trzeci bardzo się poprawił, czwarty miał przykry wypadek w nocy, zrobił w łóżko, chłopcy z początku brzydko się z niego śmieli, ale potem przekonali się, że on jest biedny, słaby i niedołężny, więc się nim opiekowali. Gdzie oni są teraz, o czem myślą?"

W tych czterech powiastkach z życia, krył się i morał, i plan dnia, i trudniejsze zagadnienia życia kolonijnego.

Uprzedziłem, co mają zrobić, gdy się w nocy bać będą, co gdy się jutro wcześnie obudzą.

I zasnęli wszyscy, prócz dwóch.

Jeden zostawił dziadka chorego i o nim myślał, drugiemu matka mówiła zawsze przed snem dobranoc. Temu ostatniemu, jednemu na trzydziestu ośmiu, potrzebny był tego wieczora pocałunek, aby mógł zasnąć.—Pomyślałem, że ten właśnie, jeden z najwrażliwszych, mógł być w pierwszym sezonie, w nieładzie i podnieceniu, zgromiony, albo przez prostą omyłkę wytargany za uszy.

Już pierwszego wieczora miałem czas, by porobić notatki:

w osobnym kajecie — o pierwszym dniu na kolonii, w osobnym, o każdem dziecku. I już o połowie dzieci miałem coś, jeden drobny szczegół do zanotowania.

31. Nazajutrz, skoro świt, byłem w sypialni, i znów zanim rozbiegną się i zmieszają, uczyłem się poznawać dzieci swojej grupy.

W ciągu całego dnia, co raz do innego zwracałem się z zapytaniem, jak się nazywa.

— A ja, proszę pana? A jak ja się nazywam?

Podobnych, czy tych, którzy mi się zdawali podobni, ustawiałem obok siebie i studjowałem, a chłopcy zwracali uwagę na szczegóły, po których można odróżnić i rozpoznać.

Z godziny na godzinę, przybywały szczegóły, które mnie wtajemniczały w życie osobiste lub tę czy inną dziedzinę duchowego życia dziecka.

Szybko i czarownie, pod wpływem wsi i pogodnych wpływów wychowawczych, zmięte dusze, zrazu ze ździwieniem i lękiem, potem coraz ufniej i radośniej, zwracają się ku temu, co piękne i harmonijne.

Ale istnieje zakres możliwości wychowawczych, których żaden cud nie zmieni. Obudzi się dusza czujna i bogata, tylko warunkami znużona; ale uboga i senna ledwo na bolesne skrzywienie uśmiechu się zdobędzie. Żal ci? Masz tylko cztery krótkie tygodnie.

Prawość wrodzona, samorodna, przylgnie do nowych form jasnego życia, przewrotność z niechęcią się odwróci.

Są krzewy, które jeden deszcz ożywi, są chore i zgoła zwiędłe, są chwasty, które opornie przejmują kulturę.

32. Przyglądałem się bacznie, jak organizuje się społeczeństwo dziecięce i zrozumiałem trudności pierwszego sezonu.

Gdy dzieci o wartości dodatniej dopiero się rozglądają na nowym terenie, lękliwie i wstrzemięźliwie zapoznają i zbliżają ku sobie, już siła ujemna zdążyła się zorganizować, narzucić ton i zyskać posłuch.

To, co rozumie konieczność regulaminu, ograniczeń i przystosowań, pomaga pracy wychowawcy biernie, nie przeszkadzając, ulegając mającym dobro ogólne na względzie programom. To co pragnie wykorzystać dobrą wolę, skrupuły, wahania, życzliwość lub słabość wychowawcy, występuje odrazu czynnie i zaczepnie.

Zdumienie ogarnia, jak może dwunastoletni chłopiec, oderwany od rodziny, w obcych mu warunkach, pod obcym dozorem, wśród nowych rówieśników, nie odczuć skrępowania, ani zażenowania, i już w pierwszym dniu żąda, opiera się, protestuje, spiskuje, dobiera towarzyszy, przeciąga na swą stronę biernych i bez inicjatywy, mianuje się dyktatorem i rzuca demagogiczne hasło.

Nie masz ani chwili do stracenia, musisz go szybko dostrzedz i wejść z nim w układy. Tyś mu z góry wróg, jak każda władza, która żąda i nie pozwala, przekonaj, że jesteś inną władzą, niż spotykał dotychczas.

33. Przykład:

W wagonie zwracam chłopcu uwagę, że wychodzić na peron nie wolno. Wyszedł; na wołanie nie odpowiada. Na ostrą wymówkę, lekceważąca odpowiedź: „co się stało, pić mi się chciało.“ Zapytuję o nazwisko.

— Pan ciebie zapisał.

— Ważna rzecz.

Już mu się ciekawie przyglądają, już ma stronników, już imponuje. Czasem jedno: „dobrze, dobrze“, albo wzruszenie ramion wystarcza, by go poznać. Jeśli tak w pierwszym dniu, pomyśl, co będzie jutro, za tydzień?

Rozmówiłem się z nim tegoż wieczora. Rozmowa była poważna, rzeczowa, jak równego z równym: ułożyliśmy warunki jego pobytu na kolonii.

W mieście sprzedaje kurjery na ulicy, gra w karty, pije wódkę, zna cyrkuł.

— Chcesz tu zostać?—Tak sobie.—Nie podoba ci się?—Nie wiem jeszcze.—Po co tu przyjechałeś?—Jedna pani mnie namówiła.

Podał jej imię, nazwisko i na wszelki wypadek, fałszywy adres.

— Słuchaj chłopcze: chcę abyś mógł tu pozostać przez cały miesiąc, aby ci się tu podobało. O jedno cię proszę: jeśli ci się znudzi, powiedz, dam ci na bilet, wrócisz do Warszawy, sam nie uciekaj i nie rób umyślnie tak, bym cię odesłał wbrew twej woli. Pozwolę ci robić, co zechcesz, tylko nie psuj porządku, nie wtrącaj się do dzieci. Dobranoc.

Podałem mu rękę.

Nie próbuj go traktować, jak dziecko, bo ci śmiechem w twarz pryśnie lub oszuka pozorną skruchą i odwróciwszy się, powie coś zjadliwego, sprytnie podpatrzonego, by cię ośmieszyć. Wszystko, byle nie mdły sentyment, bo cię zlekceważy, wyzyska i ośmieszy.

34. Był drugi:

W nastrojowem sam na sam, gdy nie patrzała nań głupia, pokorna, tchórzliwa dzieciarnia, dla której czuł pogardę, zwierzył się, wzruszył, obiecał poprawę.

Na podobne rozmowy nie wolno się powoływać, nie należy żądać spełnienia przyrzeczeń. Gdy w kilka dni później wyrznął w łeb miską chłopca, który potrącił go przy jedzeniu, przypomniałem nietaktownie, w ostrej formie, o danej mi obietnicy,— odpowiedział nienawistnem spojrzeniem. W parę dni później wykradł ubranie, przebrał się w lesie, poszedł na dworzec.

Pragnąłbym na jedno zwrócić uwagę młodych pracowników, którzy nie znają dzieci sfer ubogich: wśród dzieci tych są wychowane najstaranniej i najbardziej zaniedbane. Te dwie kategorje dzieci nie tylko się unikają wzajemnie, nie lubią, lekceważą. Ale *dzieci rodzin* boją się sąsiadujących z niemi *dzieci ulicy*. Nierozważny społecznik nie widzi olbrzymiej różnicy między moralnym i niemoralnym chłopcem, bo obaj są biedni, mieszkają na przedmieściu w ubogiej dzielnicy, należą do jednej „sfery.“ Właśnie dlatego pierwszy obawia się drugiego, dlatego jest dlań niebezpieczny. Nikt niema prawa zmuszać ich do koleżeństwa.

— Poczekaj, wrócimy do Warszawy, to ja ci odpłacę, — słyszy się często groźbę w ostatnim tygodniu kolonijnego sezonu ze strony narzuconych niefortunnych kolegów.

35. Byłem świadkiem rozpaczliwych wysiłków, czynionych przez grupę osób, by zapoczątkować w Warszawie kluby dziecięce. Czytałem książeczkę ze sprawozdaniem o czynionych w tej mierze próbach w Moskwie. Ten sam błąd wytwarzał te same trudności. Gdy dzieci szkolne zażądały usunięcia łobuzów, kierowniczka powiada z wyrzutem:

— Mój synek bawi się z nimi, a wy nie chcecie: to brzydko.

Jej synek mógł się bawić: bo jego nie obiją, gdy będzie wieczorem wracał z pracy do domu, nie krzyknie mu nikt: „te, co za facetkę prowadzisz“, gdy będzie z kuzynką szedł do kościoła w niedzielę; nie zaczepią go: „te, pożycz mi dyskę na papierosy“.

Jeśli jej synek będzie szedł z mamą i ciocią na spacer i do synka dojdzie mały obdartus, a ciocia z przerażeniem zapyta:

— Skąd znów twój Antoś ma takie znajomości?

Mama tonem wyższości odpowie:

— To jego kolega z setlementu.

I bawić ją będzie bogobojne zacofanie starej cioci.

Ale matka robotnica słusznie obawiać się będzie i ostrzegać przed podobnem koleżeństwem.

Jeśli dojrzały robotnik ma prawo nie chcieć przyjaźnić się z pijakiem i rzezimieszkiem, bo to go kompromituje, jeśli nawet nie grozi niczem, — dziecko robotnika ma prawo, ma obowiązek unikać złego towarzystwa.

A jeśli łobuz tylko udaje dobre sprawowanie, by dzięki przypadkowemu spotkaniu dostać się do sfery rówieśników, do których inaczejby nie trafił? aby tę znajomość wyzyskać, skorzystać?...

Wytwarzanie koleżeństwa między dziećmi zupełnie różnemi odnośnie do moralnej wartości i doświadczenia życiowego, które

tylko ubóstwo łączy w jedną sferę, jest szkodliwem wciąganie m ich do złego towarzystwa, lekkomyślną próbą ich moralnej odporności.

36. Nalegałem: „bawcie się z nimi.“ Wbijałem w ambicję:

— Was jest trzydzieścioro, on jeden. Więc wy wszyscy nie możecie jednego poprawić, a on was wszystkich ma zepsuć?

— Co mamy robić, aby on się poprawił? On się nie chce z nami bawić; jak się zgodzi, to nam psuje zabawę.

Nie ja, a dzieci miały słuszność.

Znacznie później zrozumiałem, że jeśli wychowawca chce wśród dzieci przeciętnych mieć niemoralne, ponosi za to całą odpowiedzialność, cały obowiązek czuwania. To trud ponad siły dzieci.

Najpiękniejsze z pozoru założenie musi być sprawdzone. Najoczywistsza prawda, w praktycznem zastosowaniu do przeprowadzenia trudna, powinna być sumiennie i krytycznie rozpatrzona. Jesteśmy znacznie doświadczeńsi od dzieci, wiemy bardzo wiele, czego dzieci nie wiedzą, ale co myślą i czują dzieci, one lepiej od nas wiedzą.

Jeśli dziecko chce, a nie wie dlaczego, może ukrywa istotne powody, może nie jest ich pewne. Sztuką wychowawcy będzie dowiedzieć się, niekiedy domyśleć, częstokroć doszukać tych nawpół uświadomionych motywów.

— W tem coś się kryje, — im częściej wychowawca tak myśli, tem szybciej doskonalić się będzie, tem pewniej uniknie uporczywych błędów, płynących z fałszywych założeń.

37. Narzucałem dzieciom towarzystwo rozlazłych, niedołężnych, lub niemiłych.

To był nonsens.

— Bawią się w „berka.“ — Niedołężny nie umie ani sam uciekać, ani innych chwytać. Nieuczciwy będzie umyślnie tak uciekał, by go rychło złapano, bo sam chce być berkiem. Jeśli

zmusisz dzieci do zabawy z nimi, będą ich umyślnie omijali, nie będą ich łapali.

Na miły Bóg, kto z dorosłych zasiądzie do kart z szulerem lub takim, który grać nie umie?

Wydajesz piłkę, ale pod warunkiem, że i on bawić się będzie. Czy można się dziwić, że przyjmują niechętnie ciężki warunek? Czy można im mieć za złe, że czują niechęć? Czy nie obiją, jeśli z jego winy stracą metę—i kto temu winien?

Dużego taktu wymaga opieka nad tego typu dziećmi. Należy baczyć, aby ich nie krzywdzono ale czuwać, by i one nie przeszkadzały.

— Na niego zawsze trzeba czekać. Przez niego zawsze psuje się zabawa. Znów z jego winy pan się na nas gniewał, czegoś zabronił, coś odebrał, czemś groził.

W pierwszym sezonie staczałem walki o niedołęgę, w drugim ze wzruszeniem patrzałem, jak jeden z największych zawadjaków wziął najcichszego pod opiekę, — sam, z własnej dobrej woli.

38. Nie lekceważyć!

Bawili się chłopcy w grę, która zwie się „ciupy“ lub „strulki.“ Znana już była biednym dzieciom starożytnego Rzymu. Grający rzuca na stół lub na podłogę pięć kamyków. Potem jeden z kamyków rzuca w górę, i zanim chwyci spadający kamyk, musi szybko pochwycić ze stołu jeden z pozostałych czterech. Jest kilka klas trudności. Do gry tej potrzebna jest zręczność i pięć niewielkich kamieni, czyli ciup.

Niezmiernie częste były skargi na to, że ktoś zabrał jeden lub wszystkie ciupy. Byłem wówczas przeciwnikiem skarg.

— Mało masz tu kamyków. Poszukaj sobie innych.

Trzy błędy.

Po pierwsze, każdy ma prawo do własności, choćby przedmiot był najbardziej błahy i bezwartościowy. Że stratę łatwo pokryć—czegoż to dowodzi? Niech ten który zabrał moje ciupy, poszuka sobie innych.

Ten który zabrał, popełnił czyn wyraźnie zdrożny, conajmniej niesłuszny. Przywłaszczył sobie cudzą własność.

Gdy sam zacząłem grać w ciupy, przekonałem się, że nie wszystkie małe kamienie są jednakowo wygodne. Zbyt okrągłe rzucone na stół zanadto się rozlatują, zbyt kanciaste, układają się za blizko.

Pięć dobranych kształtem i kolorem kamyków dla gracza, to jak pięć koni jednej maści i wzrostu, pięć pereł w naszyjniku, pięć psów, ułożonych do polowania.

Są świadkowie, którzy widzieli, pamiętają, stwierdzą, do kogo ciupy należą. Słuszność była po stronie dzieci.

39. „On obraził moją matkę.“ Po długiem wahaniu: „nazwał mnie skurwysynem.“ Jako wychowawca, obowiązany jestem przewidzieć, że podobnym epitetem niejeden ojciec częstuje majstra, który w fabryce dokuczył, właściciela domu, gdy mu pieca nie chce poprawić.

— Wiecie, jaki on złośnik. Dawniej bił się ze wszystkimi, teraz już tylko wymyśla, już się poprawił. To prawda, skurwysynami nazywają ludzi, jeśli ich bardzo chcą obrazić, nazywają ich także szubrawcami, łajdakami, szelmami. Najczęściej w gniewie, niekiedy wcale tak nie myśląc. Bo czy naprawdę pomyśli kto, że łajdakiem jest chłopiec, dlatego że nie chciał pożyczyć piłki lub potrącił nienaumyślnie przy grze w klipę? Są ludzie gwałtowni i spokojni...

Widziałem zdziwienie chłopców, że głośno i wyraźnie wymawiam zadżumiony wyraz. A powiedziałem głośno, bo co szeptane, fermentuje, ropieje i draźni, bo niema w wychowaniu szkodliwszego czynnika, jak fałsz udanej skromności. Jeśli są wyrazy, o których boisz się mówić, co zrobić z czynem, który mogą popełnić? Wychowawca nie może bać się ani słów, ani myśli, ani czynów dzieci.

Kto chce być wychowawcą biednych, niech pamięta, że medycyna odróżnia praxis pauperum od praxis aurea, niech pamięta, że mamy wytwornych w mowie rozpustników, ordynar-

nych w gębie bohaterów cnoty. Musisz znać sferę, z której pochodzą twoi wychowańcy...

40. Byłoby zbyt ryzykownem twierdzić, że dzieci ubogie są moralniejsze od zamożnych. Istnieją alarmujące obserwacje odnośnie do jednych i drugich. Jedno zdaje mi się być pewnem: obserwacje czynione są w klatkach miejskich mieszkań, gdzie brak przestrzeni, zakaz głośnych okrzyków i biegania, nuda i rozleniwienie, zmuszają dzieci do silnych a nie mącących spokoju otoczenia wrażeń i wzruszeń.

Na zasadzie obserwacji dzieci na kolonii letniej twierdzę stanowczo, że normalne dziecko zawsze woli grę w piłkę, wyścigi, kąpiel, wspinanie się po drzewach, niż tajemnicze usuwanie się w kąt dla niewiadomych marzeń.

Można spokojnie pozwolić chłopcom i dziewczętom na rozbiegnięcie się po lesie przy małym dozorze, gdyż zbieranie poziomek i grzybów tak pochłonie, że raczej bójki o zdobycz w postaci grzyba spodziewać się można, rabunku ze strony silniejszych, niż objawów czułości.

Zaciszny kąt podwórza miejskiego ubogiej dzielnicy i przestrzeń między szafami w dostatniem mieszkaniu mieszczucha — kryją tajemnice, dla których niema miejsca na łące i w polu. Tylko nie trzymajcie dzieci w łóżkach po jedenaście godzin na dobę, ku swojej wygodzie, bo one, w lecie szczególniej, nie sypiają więcej, niż ośm—dziewięć godzin.

41. Ze zdziwieniem przekonałem się na kolonii, że dzieci nie czują urazy do nakazów i zakazów, które mają na celu zachowanie planu, porządku, ładu w wewnętrznem życiu, i ulegają im chętnie. Jeśli się które wyłamuje, szczerze wyzna swą winę i wyrazi skruchę, najwyżej powie:

— Ja wiem, ale co ja poradzę, kiedy nie mogę.

Są dzieci, które prowadzą rozpaczliwą walkę z wrodzonym usposobieniem, na korzyść tego właśnie ogólnego ładu. Nie należy utrudniać tej walki przez nadmierne wymagania, bo się zniechęcą lub zdziczeją.

Wychowawca powinien zdawać sobie sprawę, które nakazy i zakazy są bezwzględne, które znoszą ustępstwa. Bezwzględnie nie wolno samemu kąpać się w rzece, ale względnie nie wolno wspinać się na drzewa. Bezwzględnie nie wolno spóźniać się na obiad, ale względnie nie wolno spóźniać się, gdy ustawiamy się w pary, aby iść na spacer: niech spóźnieni dogonią nas, gdy już przejdziemy wiorstę; bo żywe dziecko nie chce stać na miejscu i czekać, aż wszystkie się zbiorą.

Dla wyjątkowych dzieci, za zgodą ogółu—wyjątkowe prawa, — to najtrudniejsze i najwdzięczniejsze dla wychowawcy zadanie.

Jeśli na 150 jeden chłopiec tak pływa, że nic mu nie grozi, mieszka nad Wisłą, pół dnia w wodzie spędza, przepływając rzekę bez trudu, jeśli dzieci pozwolą, możesz mu nawet pozwolić samemu się kąpać. Musisz mieć odwagę wziąć na siebie względną obawę o jego życie.

42. Instynkt społeczny właściwy jest dzieciom. Mogą pewne zapoczątkowanie przyjąć nieufnie, bo nie dowierzają dorosłym, bo nie zrozumiały, ale rychło zaakceptują, gdy same biorą w niem udział.

Co zrobić, aby dzieci nie rozrzucały chleba po lesie, aby nie spóźniały się na obiad, aby nie było bójek, przekleństw. Jeśli nawet podobne narady nie zaradzą danej bolączce, zawsze podnoszą poziom moralny ogółu dzieci, utrwalają poczucie solidarnej odpowiedzialności i społecznego obowiązku.

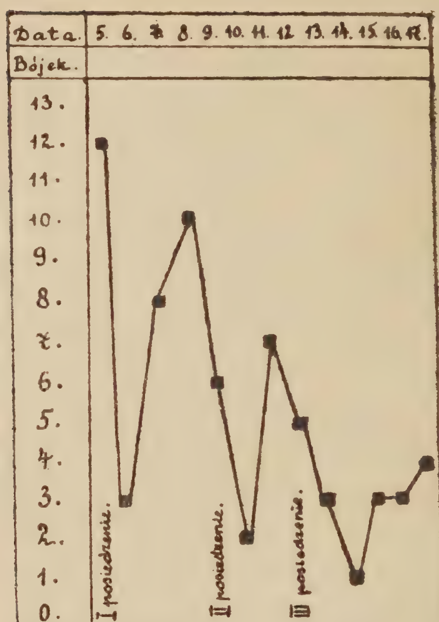
Zapisujcie, ile dzieci spóźniało się przed naradą, ile notowano bójek w ciągu dnia. Notuj po naradzie, wywieś krzywą, przekonasz się, że będą rzadsze. Znów są częstsze, druga narada.

Najpiękniejsza mowa ma za zadanie wywołanie zapału, zapoczątkowanie, ale nigdy—utrwalenie.

Jedni zbyt wielką wagę przypisują słowu, zbyt wiele oczekują, drudzy zbyt lekceważą, bo się zawiedli. Jedni i drudzy błądzą. Słowami nic nie zrobisz, ale bez słowa żadnej pracy nie przeprowadzisz. Słowo jest sprzymierzeńcem, nigdy zastępcą.

Tylko takiego efektu oczekiwać możesz.

KRZYWA BÓJEK DZIECI NA KOLONJI.



Dnia 5 lipca—wśród 30 dzieci—12 bójek; posiedzenie, żeby się nie biły; nazajutrz — tylko 3 bójki; znów 8 i 10 — 6 bójek. Drugie posiedzenie w lesie na temat zgody. Nazajutrz tylko 2 bójki. Znów 7, 5 — 3 bójki. Narada pod hasłem: „jeden dzień bez bijatyk.“ Jako rezultat zbiorowego wysiłku—nazajutrz jedna tylko bójka.

43. Posiedzenie o nieporządku w ustępie.

„Gdy jest pożar, lub powódź, najlepsi biegną na pomoc, narażając własne życie. Gdy trzeba wykonać coś trudnego lub przykrego, zawsze idą najlepsi. Mamy pracę trudną i przykrą do wykonania, i zwracamy się do naszych najlepszych... Więc kto się podejmie dobrowolnych dyżurów, po pół dnia każdy?“

Rozumie się, że zapisuje się wielu. Ale to dopiero początek. Na pierwsze dwa dni wybierasz energicznych, łatwo zapalnych, mniej stałych: bo dozór będzie najtrudniejszy w ciągu pierwszych dni paru, a że sprawa jest nowa, więc ją spełnią z tem większym zapałem. Powiedz, dlaczego oni będą pierwsi.

Nie przyjmujesz oferty kłótliwego, bo obawiasz się sporów, bo go nie lubią, bo mu na złość będą robili.

Odrzucasz zbyt porywczego: „bo pobijesz, lepiej nie bierz się do tej sprawy.“

Poważnych wyznaczasz na dnie następne: ufasz, że nie ostygną w zapale.

Cichego na jeszcze później: „wtedy już będzie łatwiej, jutro byś sobie nie poradził.“

Uprzedzasz, że znajdzie się taki, który go nazwie „gówniarzem, stróżem wychodkowym.“ Nie obrażajcie się, to będzie dureń!

Uprzedzisz, co ma zrobić dyżurny, jeśli mu mały niedołęga zanieczyści klozet nie umyślnie, co jeśli to zrobi umyślnie, na złość; co będzie, jeśli nie uda mu się dostrzedz winnego.

Musisz uzbroić go w miotłę i ścierkę. Musisz sam w ciągu dnia zachodzić, w czasie największej frekwencji, rano lub po obiedzie, samemu kwadrans dyżurować, w wypadku wątpliwym sam wziąć do rąk ścierkę i wytrzeć.

Próżno się gniewasz, wychowawco: „tyle razy się mówi.“ To nie pomaga i nie pomoże. Więc po co mówić? Bo pewna ilość dzieci zrozumie zobowiązanie danego dobrowolnie przyrzeczenia, a niesumiennemu powiem: poco obiecywałeś? Jest to poważny atut.

Bo dziecko niema cynizmu dorosłych, którzy odpowiedzą:
— A czy zobowiązania trzeba wykonywać?

44. Nieodzowną jest dla wychowawcy pomoc dzieci, pod warunkiem bezustannej czujnej kontroli i zmiany. Bo tylko w ten sposób uniknąć może rozpanoszenia się młodych współpracowników. Władza psuje! Należy łagodnie i ostrożnie wyjaśnić, że dyżur nie daje żadnych przywilejów, że jest czynnością honorową.

Dyżurnych przy podawaniu przy stole zmieniałem codziennie z racji przyjętego zwyczaju, że dyżurny otrzymywał większe porcje jedzenia. Było to utrudnienie dla gospodyni, uważałem to za konieczne.

Byli dyżurni słania łóżek, po jednym na każdy rząd, dyżurni podawania misek do mycia rąk, dyżurni zbierania zabawek, dyżurny, który pilnował, aby ręczniki równo zawieszane były na poręczach łóżek.

Dyżurni, których zadaniem było zbierać szkło stłuczone, aby dzieci biegając nie kaleczyły nóg.

Przy wykonywaniu drobnych czynności łatwiej poznaje się dzieci, niż w zajęciu szkolnem: tam wchodzą w grę zdolności, przygotowanie ucznia, przypadek. Tu odrazu dostrzegamy dziecko zapalne a zmienne w upodobaniach, ambitne, zaczepne, sumienne lub nieuczciwe.

45. Jeśli w ciągu pierwszych paru dni czujnie baczyć, jak dzieci się wzajemnie poznają, przekonać się łatwo, że dobrym siłom potrzebna jest pomoc, poparcie, a przedewszystkiem czujna i ostrożna osłona przed tymi paru czy kilkorgiem, dla których system twój jest niedogodny.

Jeśli obowiązkiem władzy jest zabezpieczenie społeczeństwa przed gwałtem i nadużyciem ze strony elementów szkodliwych, to obowiązkiem wychowawcy jest zabezpieczenie dzieci przed pięścią, groźbą i obelgą, ich własność przed przywłaszczeniem (czy to będzie kamyk czy patyk), obrona ich organizacji (czy to będzie zabawa w piłkę czy budowanie domków z piasku).

Gdy się tę dużą pracę raz wykona, wystarcza z lekka utrzymywać od pochyleń i zboczeń.

Cały zaoszczędzony dzięki pomocy dzieci, czas i dużą część pożądanych wychowawczych suggestji poświęcić możemy jednostkom wyjątkowym, któremi pragniemy osobno i indywidualnie się zająć, bo chcemy, lub musimy, bo są wartościowe, niebezpieczne lub wprost tylko, nie układają się w przeciętną normę.

Mamy nietylko wyjątkowe dzieci ale i wyjątkowe sytuacje, które nam wiele czasu zajmują. Dziecko nagle zachorowało, zmrok zapada a czworo dzieci nie powraca z lasu, skarga, że obrzucono kamieniami czy szyszkami żebraka, kradzież.

Im większa liczba, tem więcej tych wyjątkowych dzieci i sytuacyi. Tu nic gniew nie pomoże: tak być musi. Cały rozum organizacji polega na tem, aby pomimo to, wszystko szło swoją koleją, aby drobne rzeczy same się załatwiały, abyś mógł zawsze powiedzieć:

— Same dziś gospodarujcie, bo ja jestem zajęty...

46. Pogodną, wyrozumiałą jest pewność siebie i rozumne przewidywanie; nadąsane, niezrównoważone jest niedoświadczenie.

Na 30—40 dzieci musi być jedno nienormalne lub niemoralne, jedno bardzo zaniedbane, jedno złośliwe i aspołeczne, niezgodne i nielubiane, jedno gwałtowne, o wybujałej niezwykłej indywidualności, jedno niedołężne lub słabowite. Tak być musi!

Organizujesz wycieczkę: musi być jedno słabe, jedno obrażone, jedno, które dlatego niechętnie idzie, że wszystkie ochoczo się wybierają:

— Ważna wycieczka!

Jedno będzie szukało czapki, drugie się pobije w podnieceniu, trzecie w ostatniej chwili pobiegnie do ustępu, czwarte niewiadomo gdzie się podziało.

W drodze jednego głowa lub nogi rozbolą, jeden się skaleczy, jeden się obrazi, jednemu pić się będzie chciało.

Opowiadasz bajkę,—jeden obowiązkowo ci przerwie:

— Proszę pana, co to za robaczek.

Drugi:

— On się kłuje w ucho słomą.

Trzeci:

— O, barany pędzą!

Nadąsanie młodociane grozi:

— Jeżeli jeszcze raz ktoś przerwie...

Doświadczona pobłażliwość z uśmiechem przeczeka.

Czy gniewając się na wyjątkowe sytuacje, wychowawca nie zdaje sobie sprawy, że bez nich praca byłaby martwa, jednostajna, nudna; że wyjątkowe dzieci dają nam najobfitszy materjał do rozmyślań i dociekań, uczą nas ulepszać i poszukiwać. Gdyby nie one, jak łatwo uledz złudzeniu, że osiągnęliśmy ideał. A któż jest tyle nierozumny, by nie wiedział, że zawsze ponad względnie dobrem istnieje możliwe do osiągnięcia lepsze?

47. Drobna ale nie bez wartości uwaga. Jeśli jesteś pracowity, sumienny i bardziej uzdolniony, jako wychowawca,—sądź towarzyszów łagodnie. Nie dawaj im uczuć ich niższości. Jeśli dobrze życzysz dzieciom, dla ich dobra, wystrzegać się musisz wszelkich starć z kolegami.

Byłem najgorliwszy z wychowawców kolonji, nie mogło być inaczej. Ja byłem stęskniony do pracy wśród dzieci, gdy oni byli przesyceni. Z zadowoleniem tuliłem się do prostych warunków życia wiejskiego, gdy oni nie znajdowali uroku ani w słomą napchanych siennikach, ani w zsiadłem mleku.

Gdy chłopiec raz miał przykry wypadek i wyniknął z tej racji spór z praczką, przeprałem pod studnią zawalaną koszulę i prześcieradło. Ale widziałem zmieszanie praczki, zakłopotanie gospodyni, zdumienie kolegów, na co z góry liczyłem. Gdyby to zrobił inny, możeby usłyszał pogardliwe:

— Bardzo dobrze. Niech wie, jak to smakuje. Zresztą to jego dzieciak.

Należy wystrzegać się obliczonych na efekt pięknych ge-

stów. Jeśli w czynach, pozornie bardzo dodatnich, kryje się fałsz, drażnią silniej, niż słowa.

A już nigdy nie należy poczytywać za zasługę ani gorliwości, ani drobnych ulepszeń wprowadzonych w ciągu pierwszych dni czy nawet tygodni pracy na nowym terenie. Przeciwnie, gdyby było inaczej, jaknajgorzej świadczyłoby to o nowym pracowniku: on powinien być najgorliwszy i widzieć braki, które dla znużonego i nawykłego oka są już niedostrzegalne.

48. Mówiłem we wstępie, powtarzam i jeszcze raz z naciskiem powtórzę: wychowawca bywa i pielęgniarzem, nie wolno mu ani lekceważyć, ani wymawiać się z tego obowiązku: dziecko z moczeniem nocnem, dziecko wymiotujące, z ropiejącem uchem, dziecko które się zawalało, z wysypką na ciele czy na głowie, on musi wysadzić, umyć, opatrzyć. Musi to robić bez śladu obrzydzenia.

Niech robi co chce, niech się w tem ćwiczy w szpitalu, w przytułku dla rakowatych, w żłobku dla niemowląt, ale musi się uodpornić.

Wychowawca dzieci ubogich musi prócz tego przyzwyczaić się do fizycznego brudu. Pediculosa jest endemiczną chorobą dziatwy ubogiej całego świata, wychowawca musi od czasu do czasu znaleźć wesz na swej odzieży. O chorobie tej nie wolno mówić mu ani z oburzeniem, ani z obrzydzeniem, bo rodzice i rodzeństwo dzieci odnoszą się do tego zjawiska spokojnie i objektywnie, to też spokojnie i objektywnie należy dbać o czystość dzieci.

Wychowawca, którego o mdłości przyprawiają brudne nogi dzieci, który nie może znieść niemiłej woni, który na cały dzień traci spokój ducha, gdy, o zgrozo, wesz znalazł na palcie, niech czemprędzej idzie do sklepu, biura, gdzie chce, ale niech porzuci szkołę ludową, internat, bo niema bardziej poniżającej roli, jak ze wstrętem pracować na chleb.

— Nienawidzę brudu, a jestem dobrym wychowawcą, powiadasz wzruszając ramionami.

Kłamiesz: masz w ustach, w płucach, we krwi powietrze, w które nasmrodziły dzieci.

Od grzechu śmiertelnego, który może popełnić wychowawca, na szczęście raz na zawsze uwolniła mnie moja działalność lekarska. Dla mnie nie istnieje: „fe.“ Może dlatego właśnie, moi wychowańcy lubią czystość.

49. Genialny entomolog francuski Favre, szczyci się, że poczynił epokowe obserwacje nad owadami, nie uśmierciwszy żadnego. Badał ich lot, ich zwyczaje, troski i radości. Przyglądał im się bacznie, gdy weseliły się w promieniach słońca, walczyły i ginęły w walce, poszukiwały pożywienia, budowały schroniska, robiły zapasy. Nie oburzał się; mądrym wzrokiem śledził potężne prawa natury w ich ledwo dostrzegalnych drgnieniach. Był nauczycielem ludowym, nie miał nawet lupy. Badał gołem okiem.

Wychowawco, bądź Favre'em świata dziecięcego.

Jak kochać dzieci

* * *

Dom Sierot

Janusz Korczak

Jak kochać dzieci



Dom sierot

WARSZAWA 1920 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

DOM SIEROT.

1. Technika prowadzenia internatu w jego drobnych a decydujących szczegółach zależna jest od budynku, w którym się mieści, i terenu, na którym go zbudowano.

Ile cierpkich zarzutów spada na głowy dzieci i personelu za błędy budowniczego, ile zbędnych utrudnień, pracy i udręki sprowadza niedopatrzenie w planie budowli. Jeśli możliwa jest przeróbka, ile trudu potrzeba, aby dostrzedz i o jej konieczności przekonać. Są błędy, których poprawić nie można.

Dom sierot zbudowany został pod znakiem nieufności do dzieci i personelu. Wszystko widzieć, wiedzieć, wszystkiemu zapobiedz. Ogromna sala rekreacyjna—to plac otwarty, rynek.—Jedna czujna osoba wszystko ogarnia. Toż samo — wielkie koszarowe sypialnie. Taki budynek ma duże zalety, pozwala szybko rozpoznać dziecko; właściwy dla kolonii letnich i dla centrali, skąd dzieci przechodziłyby do innych i inaczej budowanych internatów, nuży tem, że niema w nim „spokojnego kąta". Hałas, rwetes, potrącanie się wzajemne, dzieci skarżą się i słusznie się skarżą.

Gdyby w przyszłości można było dobudować piętro, przemawiałbym za systemem hotelowym: korytarz i małe po obu stronach pokoje...

Prócz pokoju izolacyjnego, pomieszczenia dla dziecka chorego, koniecznem jest udzielenie miejsca dla dzieci niedomagających. Nogę stłukło, głowa boli, w nocy nie spało, w gniewie podniecone, niech ma kąt zaciszny, samo lub z towarzyszem może spędzić czas pewien. Takie jedno plączące się, potrącane między rozbawionemi, rozżalone, osamotnione, budzi współczucie, niekiedy gniewa otoczenie...

Klozet nocny i pisuar stanowić muszą całość z dużą sypialnią, jeśli nie, mieścić się nawet w sypialni. Oddzielanie ich sionkami i korytarzami jest bezsensowne. Im bardziej ukryjemy klozet, tem będzie brudniejszy...

Zaciszne mieszkanie dyrektora zakładu zdala od dzieci usuwa go od istotnych wpływów wychowawczych. Może kontrolować kancelarję, rachunkowość, reprezentować instytucję, korespondować z władzami, ale obcy będzie, gość a nie gospodarz internatu. Bo internat, to „drobne szczegóły", o tem zapominać nie wolno. Budowniczy obowiązany jest tak umieścić kierownika zakładu, by musiał być wychowawcą, widział i słyszał dziecko nie tylko wówczas, gdy na wezwanie wchodzi do gabinetu.

2. Spotkałem gdzieś zdanie, że filantropia, nie lecząc żadnej z ran społecznych, nie zaspokajając żadnej z potrzeb, spełnia dwa ważne zadania.

Wyszukuje niedomagania, których państwo jeszcze nie dostrzegło, nie doceniło. Bada, rozpoczyna, a widząc bezsilność, żąda zasiłków; wreszcie narzuca obowiązek gminie czy państwu, które mogą nieść pomoc w całej rozciągłości.

Drugiem zadaniem jest nowatorstwo, wyszukiwanie nowych dróg w tem, co państwo robi schematycznie, rutynicznie i tanio.

Obok państwowej wszędzie istnieje i prywatna opieka nad sierotami, bywa ona lepsza: gmachy okazalsze, dyeta obfitsza, budżet swobodniejszy, kierunek elastyczniejszy. Jednakże tu tyranję biurokratycznego regulaminu może zastąpić nieobliczalny i groźny kaprys możnego dobroczyńcy.

Jeśli zważymy, że niekiedy cała inicjatywa, wszystkie wysiłki kierowników sprowadzają się do dogodzenia smakom opiekunów niedoświadczonych, nie znających ani trudności ani tajemnic zbiorowego wychowania dzieci, zrozumiemy, dlaczego do pracy w dobroczynnych instytucjach wychowawczych z trudem naginają się osobniki bardziej wartościowe, a lgną męty i nieużytki.

Gdyby możni protektorowie wiedzieli, jaką trucizną dla

instytucji jest nieodpowiedni pracownik, możeby raz na zawsze zrzekli się narzucania a bodaj tylko polecania, osób wprawdzie nieodpowiednich, ale „zasługujących na poparcie." System protekcyjny jest występkiem, przestępstwem.

Protegowane dzieci też wymagają omówienia:

— Dziecko musi być przyjęte. Położenie wyjątkowe.

Niewłaściwie zakwalifikowane dziecko, przynosząc wszystkim szkodę, samo nie odnosi pożytku. Wszelki już nie gwałt nawet a nacisk, by wychowawca miał w zakładzie dziecko wbrew swemu przekonaniu, jest niedopuszczalny.

Wychowawca musi mieć prawo powiedzieć: „to dziecko jest szkodliwe." Musimy mu ufać. Wychowawca musi mieć wiele praw, bo praca internatu jest ciężka. W sprawach, dotyczących wychowania, jego głos jest decydujący.

Wychowawca powinien mieć pewną sumę miesięczną do swego wyłącznego rozporządzenia; bo są przedmioty, które się wydać mogą zbędnemi, są wydatki kosztowne, które możnaby odroczyć, dla wychowawcy są konieczne i natychmiast.

Ważny punkt:

Jeśli internat ma kilku opiekunów, winna być *książka, do której opiekunowie wpisują swe uwagi, żądania i pytania.* Będzie ich mniej, będą oględniejsze, nie będzie sprzecznych zarządzeń.

Słów parę o honorowych pracownikach. Przynoszą znaczny pożytek, dają instytucji luksus opieki, na którą pogrążony w szarej codziennej pracy personel nie ma ani czasu ani fantazji. Ktoś przychodzi bajkę opowiedzieć, inny zabierze grupę dzieci na wycieczkę, kilkorgu udziela dodatkowych lekcji. Ale niech osobą swą nie obarcza personelu, niech najściślej stosuje się do regulaminu, niech sam radzi sobie, o nic nie pyta się i niczego nie żąda.

3. Rok budowy Domu Sierot był rokiem znamiennym. Nigdy lepiej nie rozumiałem modlitwy pracy i piękna realnego działania. Dzisiejszy kwadracik na planie, papierze, jutro przeobrażał się w salę, pokój, korytarz. Przywykły do sporów o po-

glądy, zasady, przekonania, tu byłem świadkiem budowania. Każda lotna decyzja była dyrektywą dla rzemieślnika, który ją ucieleśniał, na zawsze. Każda ideja musi być oszacowana, obliczona na koszt, na możność i celowość. I zdaje mi się, że niedokształconym jest wychowawca, który nie wie, że z drzewa, blachy, tektury, słomy, drutu można wykonać dziesiątki przedmiotów, ułatwiających, uproszczających pracę, oszczędzających czas drogocenny i — myśl. — Półeczka, tabliczka, gwóźdź, wbite w miejscu odpowiedniem, rozwiązują dotkliwe zagadnienie...

Dom miał być gotów w lipcu, niewykończony był w październiku. I oto w mroczne, dżdżyste popołudnie do pełnego rzemieślników gmachu, z hałasem, zziębnięte, podniecone, zuchwałe, uzbrojone w kije i pałki, przyjechały ze wsi dzieci. Rozdano im kolację i ułożono spać. Dawny przytułek mieścił się w wynajętym, nieodpowiednim lokalu, z przypadkowem umeblowaniem, zniszczoną odzieżą i niedołężną opieką głupiej gospodyni i sprytnej kucharki.

Liczyłem, że wraz z nowem pomieszczeniem, nowemi warunkami i rozumną opieką, dzieci odrazu zaakceptują i nowy regulamin współżycia. A one wypowiedziały walkę, zanim zdołałem zdać sobie sprawę z sytuacji. Sądziłem, że kolonijne doświadczenie zabezpieczy mnie przed niespodziankami. Myliłem się. Po raz drugi spotkałem się z dziećmi, jako groźną gromadą, wobec której stałem bezsilny, po raz drugi w bolesnych doświadczeniach wykuwać się poczęły mocne i jasne prawdy.

Wobec żądań, dzieci zajęły stanowisko bezwzględnego oporu, którego słowo nie było w stanie złamać, a przymus budził niechęć. Nowy dom, o którym marzyły rok cały, stawał się nienawistny. Znacznie później dopiero zrozumiałem sentyment dzieci dla dawnego ich życia. W jego nieładzie, w cygańskiej nędzy warunków i nicości środków, było pole dla wolnej inicjatywy, polot pojedynczych, mocnych i krótkich wysiłków, fantazja bujnej swawoli, brawura mocnego czynu, potrzeba zaparcia się siebie, beztroska o jutro. Dzięki autoretytowi kilkorga, nagle zjawiał się porządek na krótko. Tu miał być stały ład z mocy bezosobowej konieczności. Oto dlaczego zbladły i zawiodły te

dzieci, na pomoc których najbardziej liczyłem. I zdaje mi się, że wychowawca, zmuszony do pracy w bezładzie i ubóstwie środków, nie powinien zbytnio wzdychać do ładu i komfortu — są w nim duże trudności i znaczne niebezpieczeństwa.

4. W czem przejawiał się opór dzieci? W drobiazgach, które zrozumieć może tylko wychowawca. Drobne to, nieuchwytne, a tem dokuczliwe, że liczne. Powiadasz, że nie wolno z chlebem odchodzić od stołu; jedno pyta się, dlaczego tak ma być, kilkoro chleb ukrywa, jedno wstaje manifestacyjnie: „nie zdążyłem zjeść“.—Nie wolno chować nic pod poduszkami i siennikami: „z kasetki mi zabiorą“. — Znajdujesz pod poduszką książkę, — „myślał, że książkę wolno“. — Zamyka się umywalnię: „Prędzej“. Odpowiedź: „zaraz wyjdę“. Dlaczego nie wiesza ręcznika? „Przecież muszę się spieszyć“. — Jedno się obraziło, troje naśladuje. — Podczas obiadu pogłoska, że w zupie był robak — znowa: nie chcą jeść zupy. — Widzisz paru jawnych przewodników uporu i oporu, przeczuwasz kilkoro ukrytych. Widzisz podstępne psucie tego, co uważałeś za ustalone, spotykasz nieprzewidziane trudności w każdem zapoczątkowaniu. Wreszcie zatracasz świadomość, co jest przejawem przypadku, niezrozumienia, a co świadomie złej woli. — Ginie klucz, po chwili się znajduje; i słyszysz ironiczną uwagę:

— Pan myślał pewnie, że to ja schowałem?

Tak jest: myślałeś...

Na pytanie: „kto to zrobił?“. — otrzymujesz stałą odpowiedź: „nie wiemy“. — Kto wylał, stłukł, złamał?“ Tłomaczysz, że się nic złego nie stało, prosisz, by się przyznały. Milczenie— nie obawy, a spisku.

Bywało, że podczas przemowy głos mi się załamywał, i łzy bezradne napływały do oczu.

Te ciężkie godziny musi przeżyć każdy *młody* wychowawca, każdy *nowy* wychowawca. Niech się nie zraża, niech przedwcześnie nie mówi: „nie umiem, nie można“. — Słowa pozornie tylko nie działają, zwolna budzi się zbiorowe sumienie, z dnia

na dzień, zwiększać się będzie liczba zwolenników dobrej woli wychowawcy i rozumniejszego kierunku, wzmacnia się obóz stronników „nowego kursu".

Wspomnienie:

Jeden z naszych największych urwisów stłukł podczas sprzątania dość drogi fajansowy pisuar. Nie gniewałem się. W parę dni później ten że chłopiec rozbił butlę z pięciu litrami tranu. I tym razem zrobiłem mu tylko łagodną wymówkę.

Pomogło: sojusznik...

Jak łatwy jest kierunek, gdy wychowawca panuje nad gromadą, jakiem piekłem jest praca, gdy wychowawca miota się bezsilny, a gromada wie, czuje i mściwie szczuje. Jak bardzo mu grozi, że zgodzi się na system najbrutalniejszego gwałtu gwoli własnemu bezpieczeństwu.

5. Pół setki dzieci, które przeniesiono do Domu Sierot z dawnego przytułku, były bądź co bądź tem wiadomem, które wiązały z nami wspólne przeżycia i nadzieje, które łączył duży sentyment z panną Stefanją, wychowawczynią Domu sierot, które opierały się organizacji, ale były do niej zdolne. W krótkim czasie przyjęto nowych 50, więc nowe trudności. — W domu naszym urządzono szkołę dla dzieci przychodnich, co pozwoliło mi stwierdzić, jaka przepaść dzieli arystokratę — nauczyciela od kopciuszka — wychowawcy dzieci.

Organizacyjny rok zakończył się naszym tryumfem. — Jedna gospodyni, jedna wychowawczyni, stróż i kucharka, — na sto dzieci. Uniezależniliśmy się od byle jakiego personelu i tyranji przytułkowej służby. Gospodarzem, pracownikiem i kierownikiem domu stało się — dziecko. — Wszystko, co poniżej, jest dziełem dzieci, nie naszem.

Tablica.

Na widocznem miejscu, niezbyt wysoko, wisi na ścianie tablica, na której pluskiewkami przytwierdzasz wszelkie zarządzenia, zawiadomienia i ogłoszenia.

Bez tablicy życie jest męką; powiadasz głośno i wyraźnie:

— Dzieci: a. b. c. d. — pójdą, wezmą, zrobią — to i to.

Dochodzą wnet: e. f. g..

— Czy ja też? — A ja? — A on?

Powtarzasz, nie pomaga:

— A ja, proszę pana?

Powiadasz:

— Pójdziecie, dostaniecie...

Znów pytania, hałas, zamieszanie.

— Kiedy, — dokąd, — poco?

Pytania, domagania się, popychania — męczą i niecierpliwią. Ale inaczej być nie mogło. Bo nie wszystkie dzieci słyszały, nie wszystkie zrozumiały, nie wszystkie są dostatecznie pewne, że wiedzą dokładnie, wreszcie i wychowawca mógł w tumulcie coś przeoczyć.

W chaosie spraw bieżących wychowawca musi wydawać nagłe, nieprzemyślane, nieopracowane a więc wadliwe zarządzenia, decydować szybko, więc zależnie od swego usposobienia i przytomności umysłu, zawsze coś nieprzewidzianego wypłynie w ostatniej chwili. — Tablica zrazu zmusza go, a potem przyzwyczaja, by zawczasu obmyślił plan każdego przedsięwzięcia. Wychowawcy nie umieją porozumiewać się z dziećmi słowem pisanem, — to wielki błąd.

Tam nawet, gdzie większość dzieci nie umie czytać, zawiesiłbym tablicę ogłoszeń: nie znając liter, nauczą się poznawać swe imię, poczują potrzebę, odczują zależność swą od tych dzieci, które czytają.

Ogłoszenie:

„Jutro o godzinie 10-ej wyda się nowe ubrania. Ponieważ nie wszystkie ubrania są gotowe, nie dostaną ubrań: a, b, c, d... Stare ubrania odbiorą: f. i g...

Ogłoszenie:

„Kto znalazł lub widział kluczyk na czarnej tasiemce?"

„Kto stłukł szybę w umywalni, niech się przyzna."

Zawiadomienie:

„Wczoraj w sypialni chłopców znów było brudno."

„Dzieci niszczą książki, rozrzucają pióra.“

„Nie mówi się: jordyna, mówi się: jodyna.“

„Za miesiąc będzie Wielkanoc. Prosimy dzieci, aby podawały pomysły i projekty, jak mile spędzić święta.“

„Kto chce zmienić miejsce w sypialni (przy stole), niech zgłosi się jutro do klasy o godzinie 11-ej.“

Zawiadomienia, ostrzeżenia i prośby wywieszają teraz nie tylko wychowawcy, ale i dzieci. Czegoż tam niema. Tablica żyje. Dziwisz się, jak mogłeś bez niej istnieć.

— Proszę pana, czy ja też?...

— Zobacz na tablicy.

— Nie umiem czytać.

— Poproś tego, który umie...

Tablica daje pole do inicjatywy wychowawcy i dzieciom. Kalendarz, termometr, ważna wiadomość z gazety, obrazek, szarada, krzywa bójek, lista szkód, oszczędności dzieci, waga, wzrost. Jak przed wystawą sklepową, stanie przy niej dziecko, gdy ma czas i chęć — pogapi się. — Można wywieszać i — jakie są główne miasta, ile ludności ma miasto, jaka jest cena produktów spożywczych. — Nie przewidzisz wszystkiego...

Skrzynka do listów.

Wychowawca, który uznał pożytek piśmiennego porozumiewania się z dziećmi, rychło przekona się o potrzebie skrzynki do listów.

Tablica daje wychowawcy nawykową, więc nie wymagającą wysiłku — odpowiedź: „przeczytaj“. — Skrzynka do listów daje możność odroczenia każdej decyzji w odpowiedzi: „napisz“.

Często łatwiej napisać, niż powiedzieć. Niema wychowawcy, któryby nie otrzymywał listów z pytaniem, prośbą, skargą, przeproszeniem, zwierzeniem. — Tak było zawsze, skrzynka rozumny zwyczaj utrwala.

Wyjmujesz wieczorem garść kartek, zapisanych niewprawnie, i właśnie, że w ciszy i spokoju, przeczytasz uważniej, pomyślisz nad tem, cobyś zlekceważył z braku czasu i myśli za dnia.

„Czy będę mógł jutro wyjść, bo przyjechał brat mamy?“

„Dzieci mi dokuczają.“

„Pan jest niesprawiedliwy: wszystkim pan temperuje ołówki, a mnie pan nie chciał.“

„Nie chcę spać przy drzwiach, bo mi się zdaje w nocy, że ktoś wchodzi“.

„Ja się na pana gniewam“.

„Nauczycielka ze szkoły mówiła, że już się lepiej sprawuję“.

„Chciałbym pomówić o pewnej bardzo ważnej sprawie“. Czasem znajdziesz wierszyk bez podpisu: przypomniało się, napisał, nie miał z tem co robić, wrzucił do skrzynki.

Znajdziesz anonim z niecenzuralnem wymyślaniem, czy pogróżką.

Są listy codzienne, pospolite, są rzadkie i wyjątkowe. — Coś się stale powtarza — nie dziś, to jutro pomyślisz, jak uporządkować, zaradzić. — Nad treścią wyjątkowego listu dłużej podumasz.

Skrzynka do listów uczy dzieci:

1. czekać na odpowiedź: nie zaraz, nie na zawołanie.

2. odróżniać drobne i przelotne żale, troski, życzenia, wątpliwości od ważnych. Napisanie wymaga decyzji (a i tak często dzieci pragną list wrzucony do skrzynki wycofać).

3. uczy je myśleć, motywować.

4. uczy chcieć, umieć.

— Napisz i wrzuć do skrzynki.

— Nie umiem pisać.

— To poproś kogo, kto umie.

Zrazu popełniłem błąd, od którego pragnąłbym ustrzedz: chronicznych nudziarzy odsyłałem nie bez ironji do skrzynki. Zrozumiawszy szykanę, zupełnie słusznie obrażały się na mnie i na skrzynkę.

— Wcale z panem nie można teraz mówić.

Podobny zarzut słyszałem i od wychowawców: czy pismienne porozumiewanie się z dziećmi nie jest zbyt oficjalne?.

Twierdzę, że skrzynka nie utrudnia, a ułatwia ustne poro-

zumienie się z dziećmi. Wybieram dzieci, z któremi dłuższa rozmowa, poufna, serdeczna, czy poważna — potrzebną jest, wybieram chwilę dogodną dla siebie i dla dziecka. Skrzynka oszczędza mi czas, dzięki niej dzień staje się dłuższy.

Bezspornie są dzieci, które nie lubią pisać, ale bodaj wyłącznie te, które liczą na swój wpływ osobisty, uśmiech, pocałunek, kokieterję, specjalne względy i szczęśliwie uchwycony moment. Nie chcą prosić, chcą wymusić. — Kto jest pewien siebie, liczy tylko na słuszność, składa podanie i spokojnie oczekuje decyzji.

Półka.

Półka może być dopełnieniem tablicy. Niema jej w Domu sierot jeszcze, ale czujemy potrzebę. — Na półce: słownik, zbiór przysłów, encyklopedja, opis i plan miasta, antologje, kalendarz, zbiór gier i zabaw (podręcznik tennisa, piłki nożnej i t. d.). — Parę warcab do ogólnego użytku. — Bibljoteka jest konieczna, wydawanie gier w pewnych godzinach i dniach, kontrolowane przez dyżurnego, chronią je od zniszczenia; powinna być jednak uczelnia i stacja doświadczalna niekontrolowanego instynktu społecznego dzieci. Będą niszczyły i gubiły — to trudno.

Na półce jest miejsce dla kajetów, pisanych przez dzieci. Jeden zapisuje ładniejsze piosenki, drugi żarty, trzeci zagadki, czwarty sny; kajet bójek czy kłótni, spóźnień, szkód, zgubionych przedmiotów. Redagowane przez dzieci jednodniówki i miesięczniki przyrodnicze, podróżnicze, literackie i społeczne.

Tu składane być mogą raporty dyżurnych i pamiętniki. Tu może leżeć pamiętnik wychowawcy. — Nie każdy pamiętnik musi być obowiązkowo ukrywany pod kluczem. Zdaje mi się, że dużą rolę odegrać może pamiętnik, w którym wychowawca zwierza się z doznanych zawodów, spotykanych trudności, błędów, przeżyć miłych, radosnych, jak i bolesnych.

Tu miejsce na książkę kontroli, kto, kiedy i poco wychodzi na miasto i powraca, i — na księgę notarjalną. — Dzieci chętnie wymieniają, odstępują i sprzedają przedmioty swej drobnej własności. Nie powinniśmy niechętnie patrzeć na to, tem

mniej zabraniać. Jeśli ten scyzoryk czy trzemyk jest własnością dziecka, czemu nie może zamienić na piórnik, magnes czy szkło powiększające? Jeśli obawiamy się oszukańczych tranzakcyj, sporów i waśni, wprowadźmy książkę notarjalną, która zapobiegnie nadużyciom. Jeśli dzieci są lekkomyślne i niedoświadczone, dajmy im możność nabycia koniecznego doświadczenia.

(Ponieważ pamiętnikowi wychowawcy przypisuję znaczną wartość, przytaczam parę urywków z własnego pamiętnika:

„Niesprawiedliwie rozgniewałem się dziś na jednego z chłopców. Niesprawiedliwie, bo nie mógł postąpić inaczej. Cóż mam czynić jednakże, jeśli obowiązkiem moim jest stać na straży równych praw dla wszystkich. Co powiedzianoby, jeślibym jednym pozwalał na to, za co drugich karcę?...“

„Starsze dzieci zebrały się wieczorem w moim pokoju. Rozmawialiśmy o przyszłości. Czemu one się tak spieszą, tak bardzo chcą być dorosłe? Naiwne sądzą, że być starszym — to robić, co się chce. Nie widzą łańcuchów, które ciężą na naszej dojrzałej woli.“

„Znów kradzież. Wiem, że gdzie jest sto dzieci, musi się znaleźć jedno nieuczciwe (czy tylko jedno?) A jednak nie mogę się z tem pogodzić. Czuję żal tak jakby do wszystkich.“

„A oto się poprawił. Bałem się wierzyć przedwcześnie, — ale już od paru tygodni się przyglądam uważnie, — może znalazł sobie dobrego przyjaciela. — Oby już tak zostało.“

„Znów dowiedziałem się o pewnej przykrej sprawie. Udaję, że nie wiem. Tak nieprzyjemnie ciągle tylko zrzędzić, ujadać, złościć się, śledztwa prowadzić.“

„Dziwny chłopiec. Szanujemy go wszyscy. Mógłby mieć duży wpływ, a trzyma się zdala od wszystkich naszych przedsięwzięć. Dziwnie obcy i zamknięty w sobie. To nie egoizm, nie zła wola z jego strony; on nie może inaczej, a szkoda.“

„Taki miły dzień. Wszyscy zdrowi, czynni, weseli. Tak jakoś wszystko szło dobrze, składnie, szybko. Oby dni takich wiele.“

Szafa znalezionych rzeczy.

Wychowawca niechętnym okiem spogląda na zawartość kieszeni i szufladek dzieci. Czego tam niema: obrazki, pocztówki, sznurki, gwoździki, kamyki, gałganki, paciorki, pudełka, flaszeczki, szkiełka kolorowe, marki, ptasie piórka, szyszki, kasztany, wstążeczki, zasuszone liście i kwiaty, papierowe figurki, bilety tramwajowe, ułamki czegoś, co było, zawiązki tego, co ma być czemś dopiero. — Każdy drobiazg ma swoją często bardzo zawiłą historję i odmienne pochodzenie i różną wartość, uczuciowo bardzo cenne niekiedy. Są tu wspomnienia przeszłości i tęsknota przyszłości. — Mała muszelka jest marzeniem o podróży do morza, śrubka i kilka drucików — aeroplan, dumne rojenia o lotnictwie; oko dawno stłuczonej lalki — jedyna pamiątka po ukochaniu, którego już niema i nie będzie. Znajdziesz i fotografję matki i zawinięte w różową bibułkę dwa grosze od zmarłego dziadka.

Przybywają nowe przedmioty, część starych traci swoją wartość. Więc zamieni, daruje, potem pożałuje i odbierze.

Obawiam się, że wychowawca-brutal, nie rozumiejąc, więc lekceważąc, w gniewie, że drą się kieszenie i zacinają szuflady, zły na spory i niepokój, bo to ginie, to znajduje się — rozrzucane, bezładne, niekarne, — w przystępie złego humoru — zbiera te skarby do kupy i wrzuca śmiecie do pieca. Popełnia niesłychane nadużycie, barbarzyńskie przestępstwo. Jak śmiesz, chamie, rozporządzać się cudzą własnością? jak śmiesz potem żądać, by dzieci cośkolwiek szanowały i kogokolwiek kochały. Palisz nie papierki, a ukochanie tradycji i rojenie o pięknem życiu.

Zadaniem wychowawcy domagać się, by każde dziecko miało coś, co stanowi nie bezimienną własność instytucji, a jego, by miało dla tej własności bezpieczne ukrycie. — Jeśli dziecko położy do swej szufladki, musi być pewne, że mu nikt nie ruszy: bo dwa koraliki — to jego kosztowne kolczyki, papierek od czekoladki — to list zastawny rentjera, pamiętnik — to złożony w archiwum tajny dokument. — Mało tego: obowiązek każe, by ułatwić dziecku znalezienie tego, co zagubiło.

Więc szafka oszklona dla znalezionych rzeczy. Każdy naj-

drobniejszy przedmiot ma właściciela. Czy coś leży pod stołem, czy zapomuiane na oknie, czy nawpół przysypane piaskiem na podwórku — musi dostać się do szafki.

Im w danym internacie jest mniej przedmiotów niczyich, a więcej drobnych własności, tem dotkliwiej uczujesz plagę ciągłego oddawania i odbierania znalezionych drobiazgów i skarg, że zginęło. — Jak przechowujesz to, co ci dają, jako znalezione? Kładziesz do kieszeni: przykład nieuczciwości.

W Domu Sierot jest skrzynka dla znalezionych rzeczy. Dyżurny ze skrzynki przenosi je do oszklonej szafki, zwraca w oznaczonej godzinie.

W okresie ostrej walki o porządek oddawałem do znalezionych rzeczy każdą wałęsającą się czapkę, fartuch, nie zawieszony na miejscu, książkę, pozostawioną na stole.

Sklepik.

Plaga prawnych, słusznych żądań dzieci: kajet, ołówek, stalówka, sznurowadło, igła, naparstek, guzik, mydło — od rana do wieczora. — Wiecznie im się coś kończy, łamie, urywa, zawsze czegoś potrzeba, — ani chwili spokoju.

Więc sklepik — pokoik lub szafka bodaj, nawet szufladka tylko. — Ale wydajesz raz dziennie, w oznaczonej godzinie. Kto się spóźnił, zapomniał, musi czekać do dnia następnego. — Zresztą czy trzeba przekonywać?

Wydając zapisuje się, co kto kiedy otrzymał. — Jeśli zrobisz dziecku zarzut, że łamie stalki, masz możność potwierdzić faktami, cyfrą, porównać z innemi. — Pewne przedmioty wydaje sklepik bezpłatnie, inne po nizkiej cenie.

Wieszadło na szczotki.

Należało dać nagłówek: dyżury. Wolałem napisać: wieszadło na szczotki, aby podkreślić, że dyżury nie mają wartości, o ile jednocześnie nie wywalczymy u społeczeństwa szacunku dla szczotki do zamiatania, ścierki, kubełka, śmietniczki.

Narzędzia pracy ręcznej zdobyły sobie już pewien szacunek. I jakkolwiek książka nadal zajmuje stanowisko uprzywilejowane, już młotek, hebel, obcęgi wyszły z ukrycia, w ciemnym

kącie, ze skrzynki pod łóżkiem, a maszynę do szycia wpuszczono na pańskie pokoje.

W Domu Sierot wywlekliśmy szczotkę i ścierkę ze schowanka pod schodami, umieściliśmy nie tylko na widoku, ale na honorowem miejscu, przy frontowem wejściu do sypialni. I rzecz dziwna, w świetle dnia wyszlachetniało, uduchowiło się to pospólstwo, mile wzrok pieści swym estetycznym wyglądem.

Dwie sypialnie mają sześć szczotek do zamiatania. Gdyby było ich mniej, iluż sporów, kłótni i bójek bylibyśmy świadkami. Jeżeli stoimy na stanowisku, że dobrze wytarty stół jest równoznaczny ze starannie przepisaną stronicą, jeżeli dbamy nie o to, by praca dzieci zastąpiła najemną pracę służby, ale by wychowywała i kształciła je, — musimy nie byle jak, ale gruntownie ją zbadać, wypróbować, podzielić między wszystkie i czuwać, i zmieniać, wiele myśli poświęcić.

Sto dzieci — stu pracowników porządku i gospodarstwa, sto poziomów, sto stopni siły, umiejętności, temperamentów, właściwości charakteru, woli dobrej czy obojętnej.

Uregulować dyżury — to nie początek, a zakończenie pracy organizacyjnej, nie — „pomówienie“ jednokrotne z dziećmi, a kilkumiesięczna praca rąk i czujnej twórczej myśli.

Przedewszystkiem trzeba znać pracę i znać dzieci. Widziałem w internatach takie nieprawdopodobne niechlujstwo w podziale pracy, że dyżury demoralizowały, nękały, uczyły dzieci nienawiści do wszelkiej pomocy.

Są dyżury łatwe, nie wymagające ani siły fizycznej, ani umiejętności, ani przymiotów moralnych, łatwo kontrolowane, biernie wykonawcze, bez narzędzi. Naprzykład: ustawianie krzeseł, zbieranie papierków.

Kto wyciera kurze, ma już ściereczkę, za którą odpowiada.

Klasy, mając po czterech dyżurnych, wymagają zgodnej koordynacji czynności.

Są dyżury ranne i wieczorne, codzienne lub tygodniowe (rozdawanie bielizny, kąpiel, strzyżenie włosów), jednorazowe (trzepanie materaców), letnie (klozety ogrodowe) zimowe (zgarnianie śniegu i t. d.).

Co miesiąc układa się i wywiesza nową listę dyżurnych. Czynność tę poprzedzają składane przez dzieci piśmienne podania.

Więc:

„Chcę zostać dyżurnym sypialni.” — Chcę sprzątać klasę i uważać na kąpielowe prześcieradła“ — „Chcę być dyżurną umywalni, a jak nie, to w szatni“. „Chcę być w klozecie i podawać przy ósmym stole.“

Każdy dyżur ma kandydatów, którzy wcześniej zamawiają wakujące miejsca, umawiają się, zyskują zgodę; prowadzą się liczne układy. Zły dyżurny musi wiele się nabiegać, namartwić, naobiecywać, zanim zapewni sobie miejsce.

— Nie chcę być z tobą, bo się kłócisz, bo się spóźniasz, boś leniwy.

Dziesiąta część tej wielkiej pracy wychowawczej nie dochodzi do naszej wiadomości. Każdy urząd ma swoje dobre i złe strony, każda praca wymaga zgodnego współżycia. Na nowym dyżurze otrzymuje dziecko szereg nowych i miłych wzruszeń, spotyka niespodziane trudności. To, że robi coś nowego, pobudza do wysiłków; ledwo zdąży się znużyć, zjawia się konieczność napięcia energji, aby zyskać prawo na upatrzone miejsce lub utrzymać się przy zajętem.

Osiąga się tu zupełne równouprawnienie wieku i płci: młodszy a staranny szybko awansuje, chłopiec słucha się dziewczynki.

Gdzie jest na wspólnym terenie kilku dyżurnych, jeden jest starszy. Każde piętro ma swego odpowiedzialnego dyżurnego. Niema w tym podziale nic sztucznego. Zarządzanie pracą innych jest uciążliwym obowiązkiem, odpowiedzialność jest przykra. Niewtajemniczeni w naszą organizację wyrażali zarzuty z powodu tej gradacji. Każdy powinien sam się kontrolować; jednakże nie zawsze i nie wszystko dzieje się tak w życiu, jak być powinno. Niedbali, niesumienni i lekkomyślni pracownicy w pewnej odsetce spotykają się i wśród dzieci; zresztą nietylko kontrolować, ale nauczyć i pomóc ktoś musi. I tu wychowawca, chcąc mieć czas na dłuższe rozmowy z pojedynczemi dziećmi w poszczególnych przypadkach, powinien porozumiewać się

z ogółem dzieci piśmiennie. Piętrowi i starsi dyżurni ważniejszych działów gospodarstwa zdają co wieczór sprawę ze swego dyżuru w składanych dzienniczkach.

Jakkolwiek w Domu Sierot część tylko dyżurów jest płatna, jestem zdania, że wszystkie powinny być płatne. Chcąc wychowywać dobrych obywateli, nie mamy potrzeby tworzyć idealistów. Dom Sierot nie robi łaski, opiekując się dziećmi, które nie mają rodziców, a zastępując w materjalnej opiece zmarłych rodziców, nie ma prawa nic żądać od dzieci. Dlaczego nie mamy możliwie wcześnie nauczyć dziecka, czem jest pieniądz, wynagrodzenie za pracę; aby czuło wartość niezależności, którą daje zarobek; aby poznało złe i dobre strony posiadania. Nie wychowa żaden wychowawca stu idejowców ze stu dzieci, samorodnie wyłoni się ich kilkoro, a biada im, jeśli nie będą umieli liczyć. Bo pieniądz daje wszystko, prócz szczęścia; daje nawet szczęście, i rozum, i zdrowie, i moralność. Naucz dziecko, że daje i nieszczęście, i chorobę, że rozum odbiera. Niech za zarobione pieniądze naje się lodów i niech je brzuch rozboli; niech przez dziesiątkę pokłóci się z przyjacielem; niech przegra, zgubi, niech mu ukradną; niech i pożałuje, że kupił, niech połakomi się na dochodowy dyżur i przekona, że nie było warto; niech zapłaci za wyrządzoną szkodę.

Komisja opiekuńcza.

Zamiast wyjaśnień, podaję pamiętnik jednego z naszych utrapieńców, pisany do dziewczynki — opiekunki, wraz z jej uwagami:

Dnia 16 kwietnia.

Jabym chciał być stolarzem. Bo jak się będę szykował do podróży, będę mógł zrobić skrzynię i do skrzyni położyć różne rzeczy i ubranie i jedzenie, i kupię szablę i strzelbę. Jeżeli dzikie zwierzęta napadną, to się będę bronił. Gorąco kocham Helę, ale nie ożenię się z dziewczynką z domu sierot.

Uwagi opiekunki: Hela też cię lubi, ale nie bardzo gorąco, bo jesteś łobuz. Dlaczego nie chcesz się ożenić z dziewczynką z naszego zakładu?

Ja nie chcę wziąć z naszego zakładu, bo się będę wstydził. — Jak już się będę szykował do podróży, żeby odkryć część świata, to się nauczę dobrze pływać nawet na oceanie. Pojadę do Ameryki, będę ciężko pracował, zarobię pieniądze, kupię samochód i przejadę moim samochodem całą Amerykę. A wpierw pojadę do dzikich ludzi i będę trzy tygodnie. Dobranoc.

Uwaga opiek: Dobranoc. — A będziesz do mnie listy pisywał?

Ja i R. rozmawialiśmy, jak nam było w domu. Ja powiedziałem, że mój ojciec był krawcem, a ojciec R. był szewcem. A teraz my tu jak w więzieniu jesteśmy, bo nie jesteśmy w domu. A jeżeli kto ojca i matki niema, to życie nic nie warte. Ja opowiedziałem, że ojciec posyłał mnie po guziki, a R. ojciec posyłał po gwoździki. I tak dalej. Bo zapomniałem.

Uw. op: Pisz wyraźniej.

Otóż tak ma być. Jak wrócę z podróży, to się ożenię. Proszę mi poradzić, czy ja się mam ożenić z Dorą, Helą, czy Manią. Bo nie wiem, kogo wziąć za żonę. Dobranoc.

Uw· op: Dora powiedziala, że jesteś smarkacz, Mania się nie zgadza, a Hala się śmiała.

Przecież ja nie prosiłem, żeby się pytać, tylko napisałem, kogo kocham. Teraz się martwię i się wstydzę; przecież ja tylko napisałem, kogo kocham Co teraz będzie? Przecież się wstydzę do nich dojść. — Proszę mi powiedzieć, przy jakim stole mam siedzieć, żebym się dobrze sprawował, i napisz mi jaką długą bajkę. I proszę nikomu nie pokazywać, bo ja się boję dużo pisać. I ja bardzo chcę wiedzieć, jak wygląda australijczyk, jak oni wyglądają.

Uw. op: Jak one się nie wstydzą, to i ty się nie wstydź. Bajek nie można pisać w małym kajeciku. Jeżeli cię wezmą, siedź przy trzecim stole. Australijczyka postaram ci się pokazać. Pamiętnika twojego nie będę pokazywała.

Myślę, aby już mieć 12 lat — to będzie wielkie szczęście dla mnie. Jak będę wyjeżdżał, to się ze wszystkiemi pożegnam. Nie wiem, co mam pisać.

Uw: op: Powiedziałeś, że masz tyle do pisania, że nie wiesz, czy ci wystarczy, a teraz nie wiesz, co pisać.

Proszę mi poradzić, bo mam straszne zmartwienie i nie mam czystego sumienia. Otóż takie zmartwienie, że na lekcji to ja nie wiem dlaczego, zawsze mam w myśli jedną wadę, ale się tę wadę boję zrobić. Oto żebym kradł. Ale ja nie chcę robić wszystkim zmartwienia i się staram, jak mogę, poprawić. Żeby o tej wadzie nie myśleć, ja myślę żeby podróżować. Dobranoc.

Uw: op: Bardzo dobrze zrobiłeś, że mi napisałeś. Pomówię z tobą i poradzę ci Ale się nie obrażaj, jak ja ci coś mówię.

Ja już się poprawiłem. Ja się przyjaźnię z G., on mnie już poprawił. I bardzo się staram. A dlaczego ja mogę wychodzić tylko co dwa tygodnie? Przecież ja jestem taki sam, jak inni, d aczego oni mają być lepsi odemnie? I oni wychodzą co tydzień, a ja tylko co drugi. Ja chcę być taki sam, jak wszystkie dzieci. Babcia prosiła, żebym ja przychodził co tydzień, a ja się wstydzę powiedzieć, że ja nie mogę.

Uw. op: Wiesz dlaczego nie wolno ci wychodzić tak, jak wszystkim. Ja poproszę, ale wątpię czy to się uda.

Ja już i tak miałem zmartwienie, bo jak byłem wyrzucony ze szkoły, to miałem być wyrzucony z Domu Sierot, jak mnie nie przyjmą do szkoły. A teraz już chodzę znów do szkoły. Znam już 35 narodów. Mam książkę o podróżach. Prawdziwa książka. Ja bardzo chcę mieć jakieś pudełko. Proszę o odpowiedź.

Uw. op: Wyszukam lub postaram się o pudełko, to ci dam. A czy możesz mi napisać, do czego będzie ci służyło to pudełko?

Mnie to pudełko bardzo potrzebne, bo mam dużo rzeczy, i listy i książeczki, i bardzo dużo różnycb rzeczy potrzebnych. Teraz ja się już z nikim nie przyjaźnię, bo ja się nie mam z kim przyjaźnić. Czy jak ten kajecik się skończy, czy ja dostanę nowy kajecik? Ja nieładnie pisałem, bo proszę na dwóch linjach. Będę pisał wszystko, zapisywał zmartwienia, co złego zrobiłem, o czem myślę i różne, bardzo dużo ciekawych rzeczy mam do pisania...

Chłopiec miał lat dziewięć, opiekunka — dwanaście.

Posiedzenie.

Dziecko nie mniej, nie ubożej, nie gorzej myśli, niż dorośli, ono inaczej myśli. W naszem myśleniu obrazy są spłowiałe i postrzępione, uczucia matowe, zapylone. Dziecko myśli uczuciem, nie intellektem. Dlatego tak trudno porozumieć się z niemi, dlatego niema trudniejszej sztuki, jak przemawianie do dzieci. Przez długi czas zdawało mi się, że do dzieci trzeba przemawiać łatwo, zrozumiale, zajmująco, obrazowo, przekonywająco.—Dziś sądzę inaczej, że winniśmy mówić krótko i z uczuciem, nie dobierając ani wyrazów, ani zwrotów, — szczerze. — Wolałbym powiedzieć: „żądanie moje jest niesłuszne, krzywdzące, niewykonalne, ale muszę tego od was wymagać", niż uzasadniać i żądać by przyznały słuszność.

Zebrać dzieci, użalić się przed niemi lub skarcić — i wymódz na nich uchwałę, — to nie posiedzenie.

Zebrać dzieci, przemówić, wzruszyć i wybrać kilkoro, by wzięły na siebie obowiązek i odpowiedzialność—to nie posiedzenie.

Zebrać dzieci, powiedzieć, że sobie rady dać nie mogę, więc niech one coś wymyślą, aby było lepiej, — to nie posiedzenie.

Hałas, zamęt — głosowanie byle zbyć — parodja posiedzenia.

Częste przemowy i częste posiedzenia — banalizują ten rodzaj wywoływania zbiorowej sugestji w celu zapoczątkowania lub wyjaśnienia sprawy, — bolączki dnia.

Posiedzenie winno być rzeczowe, uwagi dzieci wysłuchane uważnie i uczciwie, — żadnego fałszu lub nacisku, — decyzja odroczona do chwili, gdy wychowawca wypracuje plan działania. Jeżeli wychowawca nie wie, nie umie czy nie może, mają prawo nie wiedzieć, nie umieć czy nie móc i dzieci.

I żadnych niewykonalnych obietnic!—Obiecują głupie i bezmyślne, gniewają się i drwią rozumne i uczciwe.

Na możność porozumienia się z dziećmi trzeba zapracować. — To samo nie przychodzi! — Dziecko musi wiedzieć, że wolno i że warto szczerze głos zabierać, że nie wywoła gniewu i niechęci, że zostanie zrozumiane. Mało tego: musi być pewne, że nie będzie wyśmiane lub posądzone o chęć przypodo-

bania się — przez kolegów. — Posiedzenie wymaga czystej i dostojnej atmosfery moralnej. — Niema bardziej bezcelowej komedji, jak urządzanie wyborów i głosowań, które mają wypaść w duchu dla wychowawcy pomyślnym.

Prócz tego, dzieci muszą nauczyć się techniki prowadzenia posiedzeń. Nie jest łatwo radzić gromadą.

Jeszcze jeden warunek. Przymus uczestniczenia w obradach i głosowaniach jest niesłuszny. Są dzieci, które nie chcą brać udziału w obradach — czy zmuszać?

— Gada się i gada, a porządku nie ma.

— Poco się zbierać, kiedy i tak pan zrobi, jak sam zechce.

— Co to za posiedzenia, kiedy nikt nie może nic powiedzieć, bo się śmieją albo gniewają.

Tej krytyki nie należy lekceważyć ani za podyktowaną przez złą wolę tłomaczyć. Słusznie dzieci krytyczniejsze się żalą...

Jeśli dziś surowo sądzę posiedzenia, to że w początkach swej pracy w Domu Sierot przeceniałem ich wartość, błądziłem nadużywaniem słowa.

Bądź co bądź, posiedzenia poruszają zbiorowe sumienie gromady, wzmacniają poczucie wspólnej odpowiedzialności, pozostawiają ślad. — Ostróżnie z tem jednakże. — Niema i być nie może koleżeństwa i solidarności bezwzględnej w gromadzie. — Z jednym łączy mnie tylko wspólny dach nad głową i ranny dzwonek na wstawanie, z drugim — wspólna szkoła, z trzecim — upodobania, z czwartym — przyjaźń, z piątym — miłość. — Dzieci mają prawo żyć grupami i pojedynczo, własnym wysiłkiem i własną myślą.

Gazeta.

Instytucja wychowawcza bez gazety wydaje mi się bezładnem i beznadziejnem dreptaniem i zrzędzeniem personelu, kręceniem się w kółko bez kierunku i kontroli dla dzieci, czemś doryweczem i przypadkowem, bez tradycji, bez wspomnień, bez linji rozwojowej na przyszłość.

Gazeta jest mocnem ogniwem, spaja tydzień z tygodniem i wiąże dzieci, personel i służbę w jedną nierozdzielną całość.

Gazetę odczytuje się wobec wszystkich dzieci.

Każda zmiana, ulepszenie, reforma, każde niedomaganie i skarga znajdują w gazecie swój wyraz.

Można to omawiać w paru wierszach krótkiej kronikarskiej wzmianki, w artykuliku, lub w artykule wstępnym.

Można zanotować tylko:

„A pobił się z B.“ Albo: „Coraz częściej zdarzają się bójki. Oto znów mamy do zanotowania bójkę A z B. Nie wiemy o co się pobili, ale czy koniecznie każdy spór musi kończyć się bójką?“ — Albo: „Precz z pięścią“ „Trzeba z tem raz skończyć“ — pod sensacyjnym nagłówkiem omawia się sprawę.

Gazeta dla wychowawcy, który ma zrozumieć dziecko i siebie, jest doskonałym regulatorem słów i czynów. Gazeta jest żywą kroniką jego pracy, wysiłków, błędów, trudności, które zwalczał. — Gazeta jest legitymacją jego zdolności, świadectwem działania, obroną wobec możliwych zarzutów. Gazeta jest naukowym dokumentem nieocenionej wartości.

Może niezadługo seminarja wprowadzą wykłady dziennikarstwa wychowawczego.

Sąd koleżeński.

Jeśli nieproporcjonalnie wiele miejsca poświęcam sądowi, to w przeświadczeniu, że sąd może się stać zawiązkiem równouprawnienia dziecka, prowadzi do konstytucji, zmusza do ogłoszenia — deklaracji praw dziecka. Dziecko ma prawo do poważnego traktowania jego spraw, do sprawiedliwego ich rozważania. Do tej pory wszystko zależne było od dobrej woli i dobrego czy złego humoru wychowawcy. Dziecko nie miało prawa do protestu. Despotyzmowi trzeba kres położyć.

Kodeks sądu koleżeńskiego.

Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć. Jeżeli zrobił coś złego, bo nie wiedział, to już wie teraz. Jeżeli zrobił coś złego nienaumyślnie, będzie w przyszłości ostrożniejszy. Jeżeli robi coś złego, bo mu się trudno przyzwyczaić, będzie się starał. Jeżeli zrobił coś złego, bo go namówili, już się nie będzie słuchał.

Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć, czekać, aż się poprawi.

Ale sąd musi bronić cichych, by ich nie krzywdzili zaczepni i natrętni, sąd musi bronić słabych, by im nie dokuczali silni, sąd musi bronić sumiennych i pracowitych, by im nie przeszkadzali niedbalcy i leniuchy, sąd musi dbać, by był porządek; bo nieład najbardziej krzywdzi dobrych, cichych i sumiennych ludzi.

Sąd nie jest sprawiedliwością, ale do sprawiedliwości dążyć powinien, sąd nie jest prawdą, ale pragnie prawdy.

Sędziowie mogą się mylić. Sędziowie mogą karać za czyny, które popełniają sami, powiedzieć, że złe jest to, co sami też robią.

Ale hańbą jest, gdy sędzia świadomie wydaje wyrok kłamliwy.

Jak podawać do sądu?

W miejscu widocznem wisi tablica. Na tablicy każdy ma prawo zapisać swą sprawę: nazwisko własne i tego, kogo do sądu podaje. Można podać do sądu siebie, każde dziecko i każdego wychowawcę, każdego dorosłego.

Wieczorem codziennie sekretarz zapisuje sprawy do książki, a nazajutrz zbiera zeznania. Zeznania mogą być składane ustnie bądź piśmiennie.

Sędziowie.

Sąd zbiera się raz na tydzień. Sędziów wybiera się przez losowanie zpośród tych, którzy w ciągu tygodnia ani jednej nie mieli sprawy. Dla sądzenia każdych pięćdziesięciu spraw losuje się pięciu sędziów.

Zdarzyć się może, że jest sto dwadzieścia spraw. Potrzeba piętnastu sędziów. A niema tylu, którzyby ani jednej sprawy w ciągu tygodnia nie mieli. Losuje się wówczas zpośród wszystkich, a grupy układa w ten sposób, aby nikt własnej sprawy nie sądził.

Wyroki zapadają zgodnie z kodeksem, przyczem sekretarz ma prawo za zgodą sędziów oddawać niektóre sprawy na rozpatrzenie Radzie Sądowej lub na posiedzenie sądowe, aby roz-

patrzone były przy wszystkich, żeby wszyscy słyszeli i dokładnie wiedzieli. Sekretarzem sądu jest wychowawca. Wyroki zapisuje się do książki i odczytuje przy wszystkich. Niezadowoleni z wyroku mogą sprawy swe składać do ponownego rozpatrzenia, nie wcześniej jednak jak po upływie miesiąca.

Rada Sądowa.

Rada Sądowa składa się z wychowawcy i dwóch sędziów, wybieranych przez głosowanie tajne na przeciąg trzech miesięcy.

Rada Sądowa prócz wyroków, wypracowuje prawa, obowiązujące wszystkich.

Ponieważ sędziowie Rady mogą też mieć sprawy, wybiera się pięciu sędziów do Rady sądowej, z nich sądzi tylko trzech sędziów.

Sekretarz.

Sekretarz nie sądzi, tylko zbiera zeznania, odczytuje je podczas posiedzeń. Sekretarz prowadzi tablicę sądową, księgę zeznań i wyroków, tablicę szkód, zawiaduje funduszem strat, prowadzi krzywą wyroków, redaguje gazetę.

Opieka sądu nad porządkiem.

Jeżeli ktoś się spóźnia, hałasuje, przeszkadza, nie kładzie rzeczy na miejsce, nie przestrzega kolei, śmieci, zanieczyszcza dom, wchodzi tam, dokąd wstęp jest wzbroniony, dokucza, kłóci się i bije, ten psuje porządek. Trzeba pomyśleć co robić.

Sąd może przebaczyć, powiedzieć, że źle postępuje, lub prosi Radę, żeby pozwoliła parę razy lub kilka razy na miesiąc uchylić się od regulaminu.

Rada może mu dać czas, by pomyślał nad sobą.

Rada może jednemu pozwolić na coś, czego nie wolno nikomu: niech będzie wyjątkiem.

Opieka nad spełnieniem obowiązku.

Kto nie chce się uczyć albo pracować, kto robi wszystko niedbale, ten sobie szkodzi i nikomu nie przynosi pożytku.

Jeżeli sąd nie pomaga, trzeba zwrócić się do Rady. — Może on chory, może dać czas, by się przyzwyczaił, może go zupełnie uwolnić od pracy?

Opieka nad ludźmi.

Różni ludzie są razem. Ten mały, tamten duży; jeden silny, drugi słaby; ten mądry, ów mniej mądry; jeden wesoły, drugi smutny; jeden zdrów, drugiego coś boli. Sąd czuwa, żeby duży nie krzywdził małego, a mały żeby nie przeszkadzał starszemu. Żeby mądry nie wyzyskiwał, nie wyśmiewał głupszego. Żeby kłótliwy nie dokuczał, ale i jego żeby nie drażnili. Żeby wesoły nie robił głupich żartów ze smutnych.

Sąd musi czuwać, żeby każdy miał co mu potrzebne, żeby niebyło nieszczęśliwych i zagniewanych.

Sąd może przebaczyć, ale też może powiedzieć, że ktoś postąpił niesłusznie, źle, bardzo źle.

Opieka nad własnością.

Ogród, podwórze, dom, ściany, drzwi, okna, schody, piece, szyby, stoły, ławki, szafy, krzesła, łóżka, — jeżeli nie dbać, będą zepsute, zniszczone, brudne i brzydkie. Tak samo palta, ubrania, czapki, chustki do nosa; talerze, kubki, łyżki, noże — jeżeli się gubi, drze, łamie, tłucze — to przecież szkoda. Tak samo książki, kajety, pióra, zabawki — należy szanować i nie niszczyć.

Czasem strata jest mała, czasem duża, czasem zmartwienie drobne, czasem wielkie.

Kto wyrządził szkodę, zapisuje się do sądu, który rozważa, czy stratę ma sam ponieść czy szkodę pokryć z funduszu sądowego.

To samo dytyczy prywatnej własności dzieci.

Opieka nad zdrowiem.

Choroba, kalectwo i śmierć — są to wielkie nieszczęścia. Nową szybę można wstawić, zgubioną piłkę można kupić; ale co zrobić, jeżeli komu wybiją oko?

Jeżeli nawet nieszczęście się nie stało, trzeba żeby wszyscy pamiętali, że należy być ostrożnym.

Rada Sądowa postanawia, jak długo na tablicy sądowej ma wisieć ogłoszenie o nieszczęśliwym wypadku lub chorobie z powodu nieostrożności.

Nie wiadomo, kto...

Nie wiadomo, kto to zrobił. Nikt nie chce się przyznać. Jeżeli się bardzo starać, zawsze można się dowiedzieć. Ale jak nieprzyjemnie szukać, śledzić, podejrzewać. Jeżeli się coś stanie, a nie wiadomo kto zrobił, podaje się do sądu niewiadomego, jest sprawa, sędziowie sądzą, a wyrok wywiesza się na tablicy sądowej. Jeśli to jest czyn, który hańbi zakład cały, Rada postanawia przyszyć czarną żałobną plamę na zakładowym sztandarze.

Wszyscy tak robią.

Jeżeli coś powtarza się często, i nie można wszystkich sądzić, trzeba pomyśleć co robić.

— Wszyscy się spóźniają. Nikt nie wiesza czapek.

Nieprawda, nie wszyscy, ale wielu. Jeden robi to parę razy na tydzień, inny raz na miesiąc. Ale prawdą jest, że jest nieporządek.

Rada postanawia wywiesić krzywą lub coś innego przedsiębierze, aby nie było nieładu.

Wyjątki.

Ktoś jeden nie może się przyzwyczaić, ktoś jeden wyłamuje się z pod prawa. Probowano — nic nie pomaga. Co robić? — Czy jeżeli jednemu pozwolimy na to, co wszystkim zabronione albo uwolnimy od tego, co wszystkim nakazane, czy stanie się coś złego?

Rada Sądowa może zrobić kogoś wyjątkiem do czasu, kiedy sam poprosi, że już nie chce. Rada postanawia, czy tych wyjątkowych umieszczać na tablicy sądowej.

§§ 1 — 99.

Jest 99 paragrafów uniewinniających, lub takich, które mówią: sąd sprawy nie rozważał. I po sprawie jest tak jakby sprawy nie było, lub też ślad winy zobowiązuje, by oskarżony starał się więcej tego nie robić.

§ 100.

Sąd nie mówi, że on zawinił, nie daje nagany, nie gniewa się, ale uważając § 100 za najmniejszą karę, wlicza ją do krzywej wyroków sądowych.

§ 200.

Paragraf dwieście głosi:

„Postąpił niesłusznie.“

Trudno, stało się. Każdemu może się zdarzyć. Prosimy, żeby tego nie robił więcej.

§ 300.

Trzysta mówi: on źle zrobił.

Sąd potępia.

Jeżeli przy stu i dwustu sąd prosi, żeby tego więcej nie było, tu żąda, żeby się to nie powtarzało.

§ 400.

Czterysta — duża wina.

Czterysta mówi: zrobiłeś bardzo źle lub: postępujesz bardzo źle.

Paragraf czterysta—to ostatnia próba, ostatnia chęć oszczędzenia winnemu wstydu, ostatnie ostrzeżenie.

§ 500.

Paragraf 500 mówi:

— Kto popełnił taki czyn, kogo tak bardzo nie obchodzą nasze prośby i żądania, ten nie szanuje siebie albo nie dba o nas. Więc i my nie mamy możności go oszczędzać.

Wyrok z imieniem i nazwiskiem ogłasza się w gazecie na pierwszej stronicy.

§ 600.

Sąd wywiesza wyrok na tablicy sądowej na tydzień i ogłasza w gazecie.

Jeżeli przysądzono § 600, bo ktoś stale robi to samo, można wywiesić jego krzywą na dłużej, ale zamiast całego imienia i nazwiska, podaje się tylko pierwsze litery.

§ 700.

Prócz tego, co przynosi w skutkach § 600 — treść wyroku przesyła się rodzinie.

Bo być może, że trzeba go będzie wydalić. Więc należy rodzinę uprzedzić. Jeżeli odrazu powiedzieć: „zabierzcie go sobie,“ rodzina mieć może żal, że nie uprzedzono, ukrywano.

§ 800.

Paragraf 800 głosi: sąd nie pomaga. Może pomogłyby kary, których używano dawniej w zakładach wychowawczych, ale u nas ich niema.

Dajemy tydzień czasu do namysłu. Przez ten tydzień an on podawać do sądu nie może ani jego do sądu podawać nie będziemy. Zobaczymy, czy i na jak długo się poprawi.

Wyrok ogłasza się w gazecie wywiesza na tablicy i zawiadamia rodzinę.

§ 900.

Paragraf 900 głosi:

„Straciliśmy nadzieję, by on mógł się sam poprawić."

Wyrok ten mówi:

„Nie wierzymy mu."

Albo:

„Obawiamy go się."

Wreszcie:

„Nie chcemy mieć z nim nic do czynienia."

Innemi słowy, § 900 wydala z zakładu. — Może on jednak pozostać, jeżeli go ktoś weźmie na swoją odpowiedzialność. Wydalony może powrócić, jeżeli znajdzie opiekuna.

Opiekun odpowiada przed sądem za wszystkie jego winy.

Opiekunem może być wychowawca albo jedno z dzieci.

§ 1000.

Paragraf tysiączny głosi:

— Wydalamy.

Każdemu wydalonemu przysługuje prawo po upływie trzech miesięcy ponownego zwrócenia się z prośbą o przyjęcie.

Krzywa wyroków.

Jak w szpitalu każdy chory ma krzywą gorączki, tablicę choroby i zdrowia, tak na tablicy sądowej wisi krzywa zdrowia moralnego zakładu, — i można wiedzieć, czy dzieje się dobrze czy źle.

Jeżeli sąd wydał na posiedzeniu cztery wyroki po 100 ($100 \times 4 = 400$) sześć wyroków po 200 ($200 \times 6 = 1200$) i jeden

§ 400, to razem będzie: 400+1200+400=2000, i na krzywej odnotujemy, że w tym tygodniu wyroki skazujące dały 2000.

Kodeks.

Sąd nie sądzi sprawy.

§ 1.—Sąd oznajmia, że A. cofnął swą skargę.

§ 2.—Sąd uważa oskarżenie za bezsensowne.

§ 3.—Sąd nie wie, jak było naprawdę, więc zrzeka się sądzenia sprawy.

§ 4.—Sąd wyraża przekonanie, że nic podobnego już się nie powtórzy, więc nie sądzi sprawy.

Uwaga: na paragraf ten musi oskarżony wyrazić zgodę.

§ 5.—Sąd zrzeka się sądzenia sprawy w przewidywaniu, że przewinienia te znikną niezadługo same.

§ 6.—Sąd odkłada sprawę na tydzień.

§ 7.—Sąd przyjął do wiadomości zawiadomienie o winie.

§ 8.—...

§ 9.—...

Sąd pochwala — dziękuje — wyraża żal.

§ 10.—Sąd w czynie A. widzi nie winę, a przykład obywatelskiej odwagi (dzielności, prawości, uczciwości, szlachetnego porywu, szczerości, dobroci serca).

§ 11.—Sąd dziękuje, że A. zawiadomił go o swej winie.

§ 12.—Sąd przeprasza, że trudził wezwaniem do sądu.

§ 13.—Sąd wyrażając żal, że tak się stało, nie wini jednak A.

§ 14.—...

§ 15.—...

§ 16.—...

§ 17.—...

§ 18.—...

§ 19.—...

Sąd nie widzi winy.

§ 20.—Sąd uznaje, że A. spełnił swój obowiązek (postąpił tak jak należało).

§ 21.—Sąd uważa, że A. miał prawo tak postąpić (powiedzieć).

§ 22.—Sąd uważa, że A. miał słuszność.
§ 23.—Sąd uważa, że A. nie ubliżył B.
§ 24.—Sąd uważa, że A. powiedział prawdę.
§ 25.—Sąd uważa, że A. nie zrobił nic złego.
§ 26.—...
§ 27.—...
§ 28.—...
§ 29.—...

Sąd składa winę na warunki — przypadek — na wielu — na innego.

§ 30.—Sąd uznaje, że A. nie mógł inaczej postąpić.

§ 31.—Sąd składa winę na warunki — przypadek, nie winiąc A za to, co się stało.

§ 32.—Ponieważ wielu czyniło to samo, byłoby niesłusznie potępiać jednego.

§ 33.—Sąd za to, co uczynił A., składa odpowiedzialność na B.

§ 34.—...
§ 35.—...
§ 36.—...
§ 37.—...
§ 38.—...
§ 39.—...

Sąd uprasza o przebaczenie.

§ 40.—Sąd uważa, że B. nie powinien gniewać się na A.
§ 41.—Sąd prosi, by przebaczono.
§ 42.—...
§ 43.—...
§ 44.—...
§ 45.—...
§ 46.—...
§ 47.—...
§ 48.—...
§ 49.—...

Sąd przebacza, bo nie widzi złego zamiaru.

§ 50.—Sąd przebacza A., który mógł nie wiedzieć lub nie rozumiał, a wyraża nadzieję, że to się nie powtórzy.

§ 51.—Sąd przebacza A., który niezupełnie rozumiał, a wyraża nadzieję, że to się nie powtórzy.

§ 52.—Sąd przebacza A., który nie wiedział, że tak się stanie (zrobił to nienaumyślnie, przez nieostrożność, przez omyłkę, przez zapomnienie).

§ 53.—Sąd przebacza A., bo on nie miał zamiaru ubliżyć B., (zrobił przykrość).

§ 54.—Sąd przebacza A., bo to był żart (głupi żart).

§ 55.—...

§ 56.—...

§ 57.—...

§ 58.—...

§ 59.—...

Sąd przebacza, zważywszy okoliczności, łagodzące winę.

§ 60.—Sąd przebacza A., bo zrobił to (powiedział) w gniewie, a jest porywczy, ale się poprawi.

§ 61.—Sąd przebacza A., bo zrobił to przez upór, ale się poprawi.

§ 62.—Sąd przebacza A., bo zrobił to przez fałszywą ambicję, ale się poprawi.

§ 63.—Sąd przebacza A., bo jest kłótliwy, ale się poprawi.

§ 64.—Sąd przebacza A., bo postąpił tak z obawy, ale chce być mężniejszy.

§ 65.—Sąd przebacza A., bo jest słaby.

§ 66.—Sąd przebacza A., bo postąpił tak dlatego, że mu dokuczano.

§ 67.—Sąd przebacza A., bo postąpił tak przez brak zastanowienia.

§ 68.—...

§ 69.—...

Sąd przebacza, bo była już kara, bo widzi żal.

§ 70.—Sąd przebacza, bo A., poniósł już karę za swój czyn.

71.—Sąd przebacza, bo A. żałuje, że tak postąpił.

71.—...

72.—...

73.—...

74.—...

75.—...

76.—...

77.—...

78.—...

79.—...

ąd probuje przebaczyć.

80.—Sąd przebacza A., bo jest zdania, że poprawić go może tylko dobroć.

§ 81.—Sąd probuje wydać wyrok uniewinniający.

§ 82.—Sąd przebacza, nie tracąc nadziei, że A się poprawi.

§ 83.—...

§ 84.—...

§ 85.—...

§ 86.—...

§ 87.—...

§ 88.—...

§ 89.—...

Uniewinnienia wyjątkowe.

§ 90.—Sąd przebacza, zważywszy, że A. tak bardzo chciał, że mu mocy nie starczyło, by się powstrzymać.

§ 91.—Sąd przebacza, bo A. jest u nas niedawno i nie może zrozumieć porządku bez kar.

§ 92.—Sąd przebacza, bo A. niezadługo nas opuści, więc sąd nie chce, by odszedł od nas z żalem.

§ 93.—Sąd przebacza A., bo uważa, że zepsuła go zbytnia życzliwość i pobłażliwość ze strony wszystkich; Sąd ostrzega A. że wszyscy są równi wobec prawa.

§ 94.—Sąd uwzględnia gorącą prośbę przyjaciela (brata, siostry) i przebacza A.

§ 95.—Sąd przebacza A., bo był wśród sędziów głos, który się tego uparcie domagał.

§ 96.—Sąd przebacza A., bo A. nie chce powiedzieć tego, co mogłoby mu służyć za usprawiedliwienie.

§ 97.—...

§ 98.—...

§ 99.—...

§ 100.—Sąd nie przebaczając, stwierdza, że A. uczynił to, o co jest oskarżony.

§ 200.—Sąd uznaje, że A. postąpił niesłusznie.

§ 300.—Sąd uznaje, że A. źle postąpił.

§ 400.—Sąd uznaje, że A. bardzo źle postąpił.

§ 500.—Sąd uznaje, że A. bardzo źle postąpił. — Wyrok ma być ogłoszony w gazecie.

§ 600.—Sąd uznaje, że A. bardzo źle postąpił. Wyrok ma być ogłoszony w gazecie i wywieszony na tablicy.

§ 700.—Sąd uznaje, że A. bardzo źle postąpił. Wyrok ma być ogłoszony w gazecie, wywieszony na tablicy i zakomunikowany rodzinie A.

§ 800.—Sąd pozbawia A. praw na przeciąg tygodnia, wzywa rodzinę, by się z nią porozumieć. Wyrok ogłasza się w gazecie.

§ 900.—Sąd szuka dla A. opiekuna. O ile opiekun nie znajdzie się w ciągu dwóch dni, A. będzie wydalony. Wyrok ogłasza się w gazecie.

§ 1000.—Sąd wydala A. z zakładu. Wyrok ogłasza się w gazecie.

Dodatki do wyroku.

a) Sąd dziękuje za prawdziwe zeznanie.

b) Sąd dziwi się, że A. sam nie doniósł o tem.

c) Sąd prosi, by się to więcej nie powtarzało.

d) Sąd występuje do Rady i prosi, aby zapobiegła temu w przyszłości.

e) Sąd prosi Radę, aby pozwoliła wyroku nie wykonywać.

f) Sąd wyraża obawę, że A. może wyrosnąć na szkodliwego człowieka.

g) Sąd wyraża nadzieję, że A. wyrośnie na dzielnego człowieka.

GAZETA SĄDOWA № 1.

O sądzie koleżeńskim.

Dorośli mają sądy. Te sądy dorosłych nie są dobre. Więc co kilka lat trochę je zmieniają. Sądy dla dorosłych wyznaczają różne kary: kary pieniężne, areszt, więzienie, ciężkie roboty, nawet karę śmierci. Te sądy nie zawsze są sprawiedliwe, czasem za łagodne, czasem za surowe, czasem się mylą: mówi ktoś, że nie winien, a jemu nie wierzą; czasem jest winien, ale się wykręci. I ciągle jeszcze myślą ludzie, co zrobić, żeby sąd był sprawiedliwy. A są też ludzie, którzy myślą, co zrobić, żeby sądy były niepotrzebne, żeby ludzie nic złego nie robili.

W szkołach sądzi nauczyciel, — w szkołach nauczyciel wyznacza kary: stawia do kąta, wyrzuca za drzwi, sadza do kozy, często krzyczy, czasem uderzy. Bywają kary, że nie daje się obiadu, nie pozwala odwiedzić rodziny.

I tu nie zawsze jest sprawiedliwy gniew, sprawiedliwa kara.

Więc i tu myślą ludzie, co robić, co zmienić. Były różne próby, będą różne próby. Taką jedną próbą jest nasz — sąd koleżeński.

Sąd koleżeński mówi, że ktoś nie jest winien, albo jest winien, ale mu sąd przebacza; albo sąd nie przebacza — *gniewa się*, wyznacza paragraf 100, to znaczy, że sąd trochę się gniewa, albo paragraf 200, 300, 400.

Sąd nie złości się, nie krzyczy, nie wymyśla, nie ubliża; spokojnie mówi:

— Postąpiłeś niesłusznie, źle, bardzo źle.

Czasem sąd próbuje zawstydzić: może zawstydzony bardziej się będzie pilnował.

Sąd nasz sądził już pięć razy. Zbiera się co tydzień, — 261 spraw rozważył. I choć trudno powiedzieć, czy próba się udała, można już coś o tem powiedzieć.

Pierwszy tydzień dał nam 34 sprawy. Wszyscy oskarżeni sami podali się do sądu.

Trzy razy powiesiliśmy kartkę.

Na pierwszej kartce było napisane:

„Kto wczoraj spóźnił się, proszę zapisać się do sądu."

Zapisało się 13.

Na drugiej kartce — w parę dni później — było napisane:

„Kto wyszedł bez zawiadomienia, proszę podać się do sądu."

Zapisało się 6.

Na trzeciej kartce — w parę dni później — było napisane:

„Kto wczoraj hałasował w sypialni, proszę podać się do sądu."

Zapisało się 15.

W ten sposób nazbierało się 34 spraw, które sąd rozpatrzył na pierwszem posiedzeniu.

Sąd wszystkim przebaczył.

We wstępie do sądu koleżeńskiego napisano:

„Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć."

I sąd przebaczał.

Tylko 19 razy sąd powiedział:

— Winien.

Tylko dziesięć razy sąd powiedział:

— Paragraf 100.

Tylko sześć razy:

— § 200.

Tylko dwa razy:

— § 300.

Tylko raz:

— § 400.

Wiemy: są tacy, którym się nie podoba, że sąd za wiele przebacza.

W naszym kodeksie jest § 1.

Paragraf pierwszy głosi:

„Skarga została cofniętą".

To znaczy, że ten, kto podał do sądu, sam przebacza.

Ze wszystkich paragrafów ten pierwszy paragraf powtarza się najczęściej.

Było 120 spraw, gdzie jeden podawał drugiego. — I tu 62 razy ten, kto podał do sądu, sam potem przebaczył.

Są tacy, którzy mówią:

— Co to za kara — sto, albo dwieście?

Dla jednych to jest kara, a dla drugich — nie.

Jeżeli się na kogoś gniewać, to też nie kara;

— No to co? Wykrzyczeli mnie, gniewają się na mnie — ale to mnie nic nie obchodzi.

Są tacy, którzy tak mówią.

Bywa i tak, że jeżeli kto zostaje wyrzucony za drzwi, zamknięty w klasie, a nawet obity, — też powie:

— No to co? — stałem sobie za drzwiami, — siedziałem sobie w kozie godzinę, — wcale mnie nie bolało.

— Kto mówi, że § 100 nie jest karą, niech odpowie, ale szczerze: czy chce mieć sprawę i dostać § 100, albo 200, — czy nie chce?

Jeżeli § 100 nie sprawia wielkiej przykrości, my właśnie chcemy, żeby się wszyscy dobrze sprawowali, nie chcąc mieć małej kary, małej przykrości.

My nawet chcemy, żeby się wszyscy dobrze sprawowali bez obawy, bez gniewu, bez sądu. I tak może będzie w przyszłości.

§ 100 — jest karą, — każdy to rozumie. A kto mówi inaczej, ten albo się nie zastanowił, albo nie chce powiedzieć prawdy.

Im dłużej będzie sąd istniał, im bardziej się odzwyczaimy od gniewów, bur i kar, tem większe znaczenie będzie miał nie tylko paragraf 100, ale i te paragrafy, które przebaczają.

Są tacy, którzy mówią:

— O każde głupstwo zaraz do sądu podawać.

I to niezupełnie jest słuszne.

Nie zawsze wiemy, czy kto nie podał siebie albo kogoś do sądu na żarty.

Jest paragraf drugi, który mówi:

„Sąd uważa, że nie warto się trudzić rozważaniem podobnych spraw."

Na 261 spraw sąd tylko cztery razy uznał, że nie warto sądzić sprawy. Tylko 4 razy! I tu jednak nie możemy powiedzieć, czy to był żart, niemądry żart.

Czasem drobna sprawa bardzo boli. Różni są ludzie. Jeden płacze nad tem, z czego drugi się śmieje.

Sprawa o przezywanie — czy to głupstwo, czy nie? — Niby głupstwo, a ile się przez nie łez wylało.

Mieliśmy 43 sprawy o przezywanie. I byli tacy, którzy bardzo cierpieli, — bo trudno powiedzieć, co jest niewinnem przezwiskiem, a co—dokuczaniem albo gorzej—prześladowaniem.

Czy to drobna sprawa, jeżeli kogoś żartem wodą obleją albo zabiorą coś i drażnią się i nie chcą oddać? — Jeżeli jestem w dobrym humorze, sam się będę śmiał; ale jeżeli mam zmartwienie, — żart mnie gniewa, boli, — mam przecież prawo dziś nie chcieć żartów, albo — nie z każdym żartować.

Dopiero miesiąc istnieje sąd. Nie wszyscy jeszcze rozumieją. Jesteśmy pewni, że będzie coraz mniej spraw — takich sobie, że sąd zdobędzie szacunek.

Są tacy, którzy mówią:

— Jakiś tam malec będzie mnie sądził.

Po pierwsze, sędziów jest pięciu, i między nimi zawsze się znajdzie jeden starszy. Po drugie, nie każdy mały jest głupi. Po trzecie, do sądzenia potrzebna uczciwość, a uczciwym może być i mały także.

Może nieprzyjemnie starszemu, że go mały sądzi. Ale sąd nie jest dla przyjemności.

— Nieprzyjemnie być sędzią — rozlegały się głosy.

Wierzymy, że tak jest. I dlatego właśnie wybiera się sędziów przez losowanie. I taki sposób jest lepszy od głosowania.

Jeżeli ktoś często sądzi, długo sądzi,—może się zepsuć łatwo, uczy się tak patrzeć na cudze winy, jakby sam był bez grzechu. — Ale jak kto raz jest sędzią, może się i nauczyć wiele: zobaczy, jak trudno być sprawiedliwym, jak ważna jest sprawiedliwość.

Dopiero 5 tygodni mamy sąd. Niewiele można powiedzieć, ale zdaje nam się, że sąd wielu już przyniósł pożytek.

Jeżeli się komu powie: „przestań, bo cię podam do sądu"— i on przestaje, — chociaż sąd nic o tem nie wie, jednak przyniósł pożytek: obronił.

Wiemy, że często mówią ze śmiechem: „podam cię do sądu". Kto jest tak głupi, że nie odróżni żartu od prawdy? — Bywa i tak, że ktoś ze śmiechem mówi: „podaj mnie do sądu."

Bywa to czasem niewinny żart, a czasem złość na sąd, który poważnie, spokojnie i uczciwie wejrzy w każdą sprawę, nigdy i nikomu nie odmówi pomocy, gdy się do niego zwrócą,— zawsze ma czas zapytać się, wysłuchać skargi czy obrony, nie spieszy się i nie zbywa żartem nawet najdrobniejszej sprawy w której zawsze kryje się czyjś smutek, czy gniew.

Tak, sąd jest nieprzyjemny dla tych, których nazywają „lizusami," dla tych, o których się mówi: „cicha woda" (brzegi rwie) — i dla sprytnych, którzy robią wiele złego, ale ostrożnie. — Lizus wie, że go lubią, więc byle czegoś okropnego nie zrobił, na wiele może sobie pozwolić. Cichy czasem bardziej dokuczy, niż ten, który krzyczy i bije. A sprytny i z niedobrej sprawy potrafi się wykręcić. I dlatego wygodniej im bez sądu, więc chcą go ośmieszyć i zniszczyć. Ale sąd się nie obrazi, tylko dalej będzie ostrożnie poszukiwał ulepszeń i zmian, pełniąc tymczasem służbę tak, jak wie i umie.

Jest tak już i będzie tak zawsze, że jeden będzie miał dziesięć spraw na miesiąc, gdy drugi — jedną na rok. Na to niema rady, a i radzić niema potrzeby. Niech każdy sam sobie ułoży, co ma robić z sądem.

Była wielka obawa: czy sąd poradzi sobie, jeśli spraw będzie zbyt wiele? — Teraz obawy tej niema. Sąd może w ciągu

godziny albo najwyżej dwóch godzin — załatwić sprawy z całego tygodnia, choćby ich było 100 i więcej. A przecież wiadomo, że początek zawsze jest trudny.

Gdyby sąd mógł taki wprowadzić porządek, żeby już wcale nie trzeba było ani gniewać się, ani pilnować, tylko raz na tydzień w godzinę załatwić, zamieść całe zło tygodnia, jak się zamiata wieczorem albo rano pokój, — to byłoby przecie bardzo wygodnie i dobrze.

Rozpatrzmy teraz kilka spraw z ubiegłych tygodni: przekonają nas może, że sąd przynosi pożytek tem właśnie, że jest spokojny, że nie bywa ani w złym, ani w dobrym humorze, że ani lubi, ani nie lubi nikogo, że spokojnie wysłucha tłomaczenia.

Sprawa 21. — Nie wolno hałasować w sypialni. Ale mu łóżko rozrzucili, więc gniewnie, więc głośno ofuknął. § 5.

Sprawa 42. — Oblali go na żarty wodą. Co ma robić? Też oblać wodą, uderzyć, kłócić się? — Można przebaczyć. Zapewne sam przebaczy, ale nie teraz, nie zaraz. Przebaczy, ale niech mu tego więcej nie robią.

Sprawa 52. — Chodzi sobie dziewczynka na szczudłach. Dochodzi chłopiec: „daj szczudła.“ Ona nie chce dać szczudeł. Chłopiec zaczyna ją bić, wyrywa szczudło, pcha, — uderza w twarz. Dziewczynka płacze, — zamiast wesołej zabawy ma smutek. Za co — dlaczego? — Podaje chłopca do sądu, a potem mu przebacza. Paragraf pierwszy.

Sprawa 63. — Przezywają go wszyscy. Z początku bardzo się martwił, potem mniej, potem się przyzwyczaił. Trudno, — nie można się bić i kłócić z całym światem. Nagle zjawia się sąd, — zapowiedź nowego, lepszego porządku. Wybiera więc jednego, który najczęściej, najdokuczliwiej przezywa — i podaje do sądu. — Wzywamy go po miesiącu: „czy mniej cię teraz przezywają?“ — Mniej. — I uśmiech wdzięczności dla sądu, który go obronił.

Sprawa 67. — Spóźniła się, wracając od rodziny. Dlacze-

go? — Ma jedną tylko ciotkę i nikogo więcej. Nie chodziła do ciotki, bo nie lubiła jej. Dlaczego, nie nasza rzecz. Wreszcie poszła, pogodziła się z rodziną, wyszła z kuzynką na przechadzkę, — usiadły na trawie, — rozmawiały. Zapomniała, że trzeba wrócić do domu. Sąd przebaczył.

Sprawa 82. — Dyżurna chce mu obciąć paznogcie; on twierdzi, że mu są potrzebne do kopania dołków w ziemi (pracuje u ogrodnika). Za cztery dni skończy się robota — wtedy pozwoli obciąć. — Czy ma słuszność? § 61.

Sprawa 96. — Skończyła się stara lista wietrzenia pościeli, nowa jeszcze nie napisana. Dyżurna pyta się: „Kto chce wietrzyć?“ Nikt nie chce. Więc zwraca się do dwóch chłopców: „to wy wietrzcie.“ Oni nie chcą — niedawno wietrzyli. § 1.

Sprawa 107. — Wzięła książkę z czytelni, zabrała ją na podwórko, gdzie obierała kartofle. Zapomniała, zostawiła książkę na ławce. Przyszło dwuletnie dziecko, podarło książkę. § 70.

Sprawa 120. — Kółko od sersa poleciało na sąsiednie podwórko. Poszli szukać. Kółko znalazł mały chłopiec i nie chciał oddać. Wywiązała się kłótnia. Otrzymaliśmy skargę, że chłopcy niegrzecznie się zachowali. § 3.

Sprawa 127. — Ubrał się przez omyłkę w cudzą marynarkę. Z powodu podobnych omyłek świerzba być może. § 31.

Sprawa 144. — Zabrał pasek i nie chciał oddać. Zabrał na żarty, nie chce oddać na żarty. Ucieka, śmieje się. „Oddaj w tej chwili!“ — „Masz“ — i ucieka, — drażni się. — Zapewne, nie taka ważna znów sprawa. — Ale te i podobne sprawy uczą, że nie każdy lubi żarty, a ci co lubią, nie zawsze i nie z każdym chcą żartować. § 54.

Sprawa 153. — Trzasnął drzwiami, — sam się zapisał. Cóż z tego, że nie każdy, który drzwiami trzaśnie, zapisuje się na tablicy? Co z tego, że ktoś inny zrobi coś naprawdę złego i ukryje. Właśnie ciekawe są te drobne sprawy, bo one są wyrazem czujności sumienia. — Takich spraw jest dość dużo, — przypuszczamy, że będzie ich więcej. — Są ludzie, którym przykro zrobić coś złego i nie ponieść kary. § 31.

Sprawa 160. — Na frontowe podwórko wolno wychodzić

tylko w pewnych godzinach. Jedna ze starszych dziewczynek wychodzi na frontowe podwórko, dyżurny młodszy chłopiec zabrania. Jej się to nie podoba, nie chce słuchać młodszego. Co on ma zrobić? Podaje do sądu. Sąd głowy nie urwie. — Przebaczy, ale wyrazi nadzieję, że się to więcej nie powtórzy. A taka nadzieja sądu obowiązuje.

Sprawa 165. — Sprawa o niesłuszne podejrzenie. Mieliśmy kilka takich spraw. Niesłuszne podejrzenie często więcej boli, niż u rzenie. — Dziewczynka liczy grosiki. Dochodzi chłopiec: „Pokaż.“ Ona mówi: „nie chcę.“ — „Nie chcesz pokazać, bo ukradłaś.” — On zgubił wczoraj i szukał swego grosika. — Ona nie wie o tem, a gdyby nawet wiedziała, jak on pozna swój grosik, jakim prawem jej ubliża? § 1.

Sprawa 167. — Rozsypali dziewczynce korale, — zbiera je i nawleka — ma zmartwienie. Nachyliła się, a tu jej kładą naszyję pestki od wisien. — „Przestań“ — mówi ze złością. „A co mi zrobisz, jak nie przestanę?“ — „Podam cię do sądu.“ — „To podaj.“ Przychodzi dzień sądu: skarga cofnięta. Paragraf pierw szy. — Wspomnieliśmy, że takich spraw było z górą pół setki.— Może się mylimy, ale zdaje nam się, że one uczą jednych szacunku dla bliźnich, a drugich — pobłażliwości.

Sprawa 172. — Wdrapał się na drzewo, żeby pokazać koledze, że umie, a zapisał się, bo wie, że nie wolno. § 90.

Sprawa 206. — Mył miseczkę w szatni, nie wiedział, że nie wolno. Dowiedział się i zapisał do sądu. § 51.

Sprawa 218. — Namówiono go, żeby podał do sądu. Podał, a teraz widzi, że głupstwo zrobił: niechby podał ten, kto się gniewa. § 1.

Sprawa 223.

Czterej chłopcy mieli lekcję przy stole. Po lekcji stół był zawalany atramentem. Sąd wysłuchał, okazało się, że tylko jeden napisał na stole 36 : 3, a jednemu kapnął atrament. Gdyby nie sąd, gniewanoby się na wszystkich. § 4.

Sprawa 237.

Żartowali, gonili się, aż jeden drugiego mocno uderzył ki-

jem. Mocno ręka go bolała — zapisał do sądu, przestała boleć — dał paragraf pierwszy.

Sprawa 238.

Może się komu i śmieszną wyda ta sprawa. Obaj załatwiali się w klozecie, jeden przez omyłkę, nieumyślnie oblał drugiego, a tamten naumyślnie na niego narobił. § 200.

Sprawa 252.

Wiele kłopotu ma z nim piętrowa. To zapomina, to go szukać trzeba, to niedbale sprząta Groziła wiele razy, że do sądu poda. Nie pomogło. Wreszcie straciła cierpliwość, podała do sądu. Ale przebaczyła: może się poprawi.

Sprawa 254.

Dyżurni zamiatają wieczorem podwórko. Jeden z nich ma jeszcze klozet sprzątnąć, obaj mają nogi myć przed spaniem. A tu ich na żart zamykają na podwórzu i otworzyć nie chcą. § 100.

Sprawa 258.

Zawsze się spóźnia. Mówi jej dyżurna, żeby już wyszła z umywalni, a ta złości się, nie słucha, przezywa: „chce mi się" — powiada, — „masz złość do mnie."

I tu po paru dniach przebacza się, ale na razie podanie do sądu zastępuje kłótnię. § 1.

Sprawa 260.

Hałasował rano przed budzikiem, — podał się do sądu. Sąd przebacza, prosi żeby tego więcej nie było. § 32.

Gazeta sądowa № 9.

Nie boją się. —

Sąd nie pomaga. Sądu się nie boją, — takie głosy często się słyszy.

Więc jedni nie chcą podawać do sądu, więc ukrywają przed sądem. Drudzy dają paragraf pierwszy, bo sąd i tak nic nie zrobi. Trzeci wreszcie powiadają „podaj mnie, dużo się boję."

I co raz więcej spraw nie dochodziło do wiadomości sądu. Aż wreszcie H. wyrzucony z dyżuru, ani sam nie uważał za potrzebne się podać, ani nikt z tych, którzy o tem wiedzieli, że

go wyrzucono, — nie podał. — Nie tylko H., ale i starsze dziewczynki, a potem i chłopcy — przestali się podawać.

Tem ciekawsze, że jednak byli tacy, którzy do ostatniej chwili się podawali. To dowodzi, że wszędzie znajdą się ludzie uczciwi, którzy nie to robią, co „wszyscy", a kierują się sumieniem i własnym rozumem.

Sąd nie pomaga.

Zawsze łatwiej powiedzieć, że coś nic nie warte, niż pomyśleć. Do gadania zawsze się znajdą języki, tylko do myślenia trudno znaleźć głowę. — Ktoś jeden powiedział: „nie pomaga," a reszta, jak barany, powtarza chórem: „nie pomaga."

A najbardziej krzyczeli ci, dla których sąd był niewygodny, krępujący, niebezpieczny. Bo sąd dawał prawo do skargi i rozważania jej słuszności.

— Dostanie § 4 albo § 54.

Dla jednego wystarczy i § 1 i § 4 i § 54, dla drugiego będzie bez skutku i § 800.

Sąd ma za zadanie wprowadzanie porządku między ludźmi, ale ani może ani chce — cuda robić.

Byłoby cudem, gdyby leniuch po otrzymaniu § 100 — zrobił się nagle pracowitym, albo zaczepny, hałaśliwy i kłótliwy — spokojnym i miłym. — Tak samo w szkole nikt, otrzymawszy pałkę albo dwójkę, nie zmieni się w minutę z nieuka na wzorowego ucznia.

Ale sąd daje każdemu prawo powiedzieć:

— Od jutra będę się pilnował. Postanawiam tego więcej nie robić. Chcę się wystrzegać.

A jeżeli mu w tem ktoś zechce przeszkodzić, może podać go do sądu.

Przykład:

— Ktoś kłótliwy postanawia się nie kłócić. Napewno będą go umyślnie złościli, bo są tacy, którzy nie lubią gdy ktoś chce się poprawić, podaje tych, którzy go zaczepiają. — Co z tego że i jego podadzą za niesłuszne podanie? Sąd będzie wiedział, co o tem myśleć.

Sąd cudów nie robi, ale tych cudów nie robi ani prośba,

ani groźba, ani gniew, ani kij. — I tam, gdzie są kary, są tacy, co mówią:

— No to co? Wcale mnie nie bolało?

I nie poprawiają się, ale się psują, ordynarnieją.

— Nie pomaga. Więc co robić, — mam ciągle podawać do sądu?

Więc cóż? Czy taka wielka praca?

Ch. zaczepiany był z początku ciągle i przez wszystkich, podawał, śmieli się z niego, drażnili, a on podawał. Wreszcie przestali się czepiać, więc przestał podawać.

Jestem pewien, że gdyby złego dyżurnego w ciągu dwóch tygodni codziennie po trzy razy podawać do sądu, — musiałby się wreszcie poprawić. Tylko piętrowe były za leniwe, żeby zapisać, wygodniej się złościć, kłócić, załamywać ręce, że rady sobie dać nie mogą. Bo podając do sądu, narażone są na to, że *sąd może nie przyznać im słuszności*, bo uważają się za nieomylne, bo często, zamiast łagodnie powiedzieć, zaczynają się kłócić, — bo nie mają cierpliwości parę dni poczekać.

Za wiele jest złości, dlatego sąd służył za narzędzie zemsty. Ta złość żądała, by podanego już co najmniej powiesić zaraz, — i dlatego § 4 albo 100 nie wystarczał nikomu.

Kiedy w lecie mówiliśmy o złości, jeden z chłopców napisał:

— Jak jestem zły, tobym zabił.

Sąd nie zabijał nikogo, więc mieli do niego pretensje.

Były i inne żale:

— Sąd wysłuchuje jedną stronę, a drugiego nie słucha.

Jeżeli mały podał starszego, starszy nie przychodził, chociaż go wzywano. Na to nie było sposobu.

Wogóle starsi nie przychodzili do klasy, chociaż prosiło się, aby weszli.

Lekceważenie sądu było dowodem, że go nie zrozumiano zupełnie. Było gorzej: nie rozumiejąc, lekceważono i wyśmiewano.

Sądzenie było dla jednych zabawą, dla drugich — nieprzyjemnym obowiązkiem, z którego chciano się wykręcić.

— Naumyślnie podaję coś do sądu, żeby nie być sędzią.

To było albo nieprawdą, albo brzydkiem oszustwem.

Sąd zamiast uczyć prawdy, uczył kłamstwa, zamiast uczyć szczerości, uczył krętactwa, zamiast wyrabiać odwagę, rozwijał tchórzostwo, zamiast budzić myśl, rozleniwiał.

Niewiadomych było coraz więcej, nikt się nie przyznawał. Dlaczego? — Jeżeli nie bali się sądu, dlaczego się ukrywali? — Łazi po cudzych kasetkach, ale niema odwagi powiedzieć: „to ja.“ Zabrał pióro, nie boi się sądu, ale nie powie: „ja wziąłem.“

Gorzej było: złościli się na tych, którzy mówili, że im coś zginęło. Doszło do tego, że jeśli komu coś zabrano, bał się przyznać, bo i tak wiedział, że nie znajdzie, tylko będzie miał niepotrzebne przykrości.

Więc jedni zamiast poszukać, podają niewiadomego, a drudzy — porządni — nie podają, bo się boją.

A paragraf pierwszy?

Podał do sądu, zapomniał o co podał. Człowiek który umie myśleć, powiada sobie:

— Jeżeli nie pamiętam nawet o co podałem, powinienem dać paragraf pierwszy. Poco czas zabierać, poco trudzić niepotrzebnie?

Nie przychodzą. Nie dają paragrafu pierwszego? — Dlaczego? — Bo nie rozumieją, że ktoś nie kazał i pilnuje i grozi, tylko — że tak być powinno.

A zeznania sądowe?

Często wstyd było słuchać, wstyd było zapisywać. A przecież tak łatwo było powiedzieć:

— Postąpiłem niesłusznie.

Trzy razy, tylko trzy razy na 1950 spraw.

Zdawało się, że dzięki sądowi dorośli mogą nabrać szacunku dla dzieci; nie, przeciwnie, nawet ci, którzy mieli ten szacunek, — tracili go.

Było gorzej jeszcze: sędziowie zmawiali się, żeby albo nie skazywać, albo sądzić łagodnie. — Bo tak wygodniej. — Wresz-

cie doszło do tego, że sędzia uderzył sędziego, że sądził tak, jak mu nakazywało sumienie.

Dłużej trudno było czekać: sąd nie przynosi pożytku, przeciwnie, sąd przynosi szkodę, sąd nie wprowadza porządku, przeciwnie, sąd wnosi nieład; sąd nie poprawia nikogo, przeciwnie, psuje tych, którzy byli więcej warci. Taki sąd ani dnia więcej istnieć nie mógł.

Zmarnowane pół roku pracy. Jeżeli kto będzie w przyszłości poważnie pracował, zobaczy, że to przykro, że to boli, że to smuci.

Niestety, sądu się nie boją i dlatego właśnie, że się nie boją, nie szanują, a dlatego, że nie szannją, kłamią już nie przed sądem tylko, ale przed sobą. Bo nie chcą pomyśleć i ocenić siebie ani zdobyć się na wysiłek, aby poprawić siebie.

Wiem, że sąd jest potrzebny, że za lat 50 nie będzie ani jednej szkoły, ani jednego bez sądu zakładu. Ale dla Domu Sierot sąd jest szkodliwy, bo nie chcą być wolnymi ludźmi, bo chcą być niewolnikami.

H. Wybieram tylko niektóre jego sprawy.

20 spraw o przezywanie. 9 razy dostał § 1, — 9 razy mu przebaczyli, nie pomogło. 2 razy § 60. 2 razy § 4, dalej § 63 i 82. — Trzy razy § 100, raz § 200, raz § 300.

11 spraw o zaczepianie, drażnienie i wyśmiewanie. 2 razy § 1; 4 razy § 54; 2 razy § 82, raz § 41; — § 100 i § 200.

1 sprawa o przeszkadzanie w pracy — § 300.

12 spraw o bójki. — 3 razy § 1, 2 razy § 54, — §§ 32, 60, 80, 81, — dwa razy § 100, raz § 200.

10 spraw o dyżury, 2 razy § 1, 1 raz § 4, — § 32, 82,— 2 razy po 100, — 400, 500, 700. —

3 razy o złe sprawowanie na lekcjach. §§ 80, 82, i 200.—

3 razy o brudzenie głowy. §§ 1 — 54 — 200.

Rąk nie mył § 100.

Stłukł kałamarz § 81.

„ garnuszek § 31.

Oddał jedzenie § 4.

Nieuczciwie grał § 100.
Obmawiał §§ 60 i 200.
Spóźniał się § 70, 82.
Wtrącał się § 100.

Niepoprawny; a jednak nie było odważnego, którryby się ośmielił dać mu § 800 i tem samem odebrać mu prawo korzystania z sądu.

Gazeta sądowa № 19.

Rada sądowa.

Pół roku mieliśmy sąd bez Rady. Trzeba było naprzód wypróbować sąd, — potem rozszerzyć i ulepszyć.

Sąd sam nie wystarczał. Mając 100 spraw tygodniowo, musiał ważniejsze sprawy załatwiać z braku czasu niedbale.

Rada Sądowa pracuje już 10 tygodni, rozpatrzyła 70 spraw, czyli 7 spraw tygodniowo.

Do R. S. oddaje się sprawy takie:

1. Wszystkie sprawy o spóźnianie się od rodzin.

2. Sprawy, gdzie oprócz paragrafu, potrzebne jest wydanie jakiegoś prawa obowiązującego dla wszystkich.

3. Sprawy o odszkodowanie pieniężne, (stłuczona szyba, zniszczenie czegoś).

4. Sprawy, w których grozi wyrok wyższy, niż 500.

5. Jeżeli ktoś w jednym tygodniu ma tyle spraw, że trzeba je wszystkie rozważyć razem.

6. Sprawy trudniejsze, gdzie trzeba dokładnie i długo wypytywać obie strony, żeby się dowiedzieć, kto ma słuszność.

Sekretarz sądu mówi:

— Oddajmy tę sprawę Radzie.

Najczęściej sędziowie się zgadzają. W paru przypadkach sędziowie orzekli, że mogą sami osądzić.

Bywa, że ci, którzy mają sprawę, sami proszą, aby sprawę ich sądziła Rada. Sekretarz zgadza się na to, ale niezawsze.

Na razie jeszcze to jest niedość uregulowane, ale się o tem myśli.

Pierwsza sprawa.

H., mały chłopiec, miał już bardzo wiele spraw. Nie pomagają żadne wyroki. — Jawnie śmiał się z sądu, rozpuścił się niemożliwie, — dowiódł wyraźnie, że sam sąd, tylko sąd — nie pomagają wcale. Były dwie drogi: albo orzec, że sąd jest nic niewart i zamknąć sąd, albo jego jednego wykluczyć z sądu.

Podany znów do sądu, ordynarnie obraził sąd — i za obrazę sądu podany został do Rady.

H. zeznał, że sąd go złości, że go drażnią ciągłem podawaniem do sądu, że mu ciągle grożą, — gdzie się ruszy, co powie, zaraz słyszy:

— Podam cię do sądu!

Wreszcie wyprowadzony z cierpliwości, powiedział na A. i na sąd tak ordynarnie:

„Nie chcę sądu, wolę dostawać za uszy i po łapach.“

Zupełnie zrozumiałe: woli bezkarnie wojować i jeden raz na sto dostać po łapach, niż poprawić się i stosować się do przepisów, które wszystkich obowiązują.

Sędziowie Rady podzielili się na dwa obozy. Jedni chcieli jeszcze ten raz przebaczyć. Inni żądali § 900. — Wreszcie otrzymał H. — § 800 — H. na tydzień wykluczony został z sądu — i w ciągu tygodnia miał to, czego sobie życzył:

1. w sobotę nie dostał pończoch, bo się spóźnił na rozdawanie pończoch.

2. w niedzielę dostał po łapach, bo nie chciał sprzątać.

3. we wtorek dostał za uszy, za awanturę przy obieraniu kartofli.

Za to, jako wykluczony z sądu, nie miał ani jednej sprawy.

Prócz tej sprawy miał H. jeszcze drugą: że na starszą dziewczynkę głośno i długo, przy gościach, wołał — ordynarnem przezwiskiem. — Ponieważ otrzymał już § 800, sąd przebaczył mu, dając § 60.

Druga sprawa.

Niekarny, kłótliwy, leniuch. Zawsze ma słuszność w swem przekonaniu, za każdą, zwróconą mu uwagę — obraża się. Zły dyżurny, niesumienny pracownik.

Przez niego zupa była rzadka, brakowało 20 f. kartofli.— § 90.

Jest już na posadzie.
Już była skarga, że leniwy

Trzecia sprawa.

Starsza dziewczynka.

Nie pytając się o pozwolenie, wzięła nożyczki, które stanowią prywatną własność wychowawczyni, zarzuciła je, w ciągu 4 tygodni ani razu nie dochodzi się usprawiedliwić, nawet nie szuka ich. § 400.

Jeszcze 3 sprawy rozpatrzyła Rada na pierwszem posiedzeniu.

1. Dyżurny I. nie chciał zebrać śmieci § 55.
2. Piekli kartofle w kotłowni § 41.
3. Spóźnia się na dyżur. § 30.

Drugi tydzień.

Jedną tylko sprawę miała Rada w drugim tygodniu.

Chłopiec czyta książki podczas obiadu i kolacji, na zwrócone mu uwagi nie odpowiada.

Zapytany przez R. S. czy chce być wyjątkiem, by Rada pozwoliła czytać podczas posiłków, odpowiada, że stanowczo nie chce. § 4.

Trzeci tydzień.

Z powodu spraw o nieporządek przy kasetkach, sekretarz daje projekt.

I. zupełnie skasować kluczyki, niepotrzebne wobec tego, że nie zabezpieczają tajemnicy zawartych w kasetkach przedmiotów, albo

II. wyznaczyć dyżurnych odpowiedzialnych, którzy przy oddzielnym stoliku siedzieliby koło szafy od rana do wieczora, albo

III. zamknąć szafę na klucz i otwierać parę razy dziennie na godzinę, albo

IV. wyśledzić bezczelnego szkodnika.

Rada projekt odrzuciła, Niewiadomemu dała § 3 (niewiadomo, jak to było), gdyż:

1. wiele dzieci pozwala dochodzić innym do kasetek podczas swej nieobecności

2. dzieci trzymają wspólnie książki i wyjmują je często bez wiedzy właściciela

3. niekiedy przez pomyłkę dochodzą do cudzych kasetek.

Gdyby nie Rada Sądowa, możeby naprawdę szafę zamknięto i byłaby niewygoda.

Jeden B. ma 8 spraw.

Osiem spraw w ciągu tygodnia.

1. Dziewczynka stoi sobie spokojnie, on zaczyna pchać i bić. — Podam do sądu. — To podaj. — I dalej popycha i bije. § 63.

2. Dziewczynka trzyma list. — B. wyrywa jej list, biega z listem po sali, grozi, że podrze. § 63.

3. Siedzi sobie chłopiec. B. zaczyna go ciągnąć, pchać, szarpać. § 63.

4. Stoi dziewczynka przy koszu. B. kładzie jej kosz na głowę. § 63.

5. Rano bawi się z nim jeden z chłopców, wieczorem nie chce. B. łazi za nim, zaczepia, spokoju nie daje. „Rady sobie z nim dać nie mogłem.“ § 63.

6. Dochodzi do dziewczynki:

— Chcesz, żebym cię zbił?

— Odejdź.

Nie chce się odczepić, bije, zrzuca z krzesła. § 63.

7. Dochodzi do dziewczynki:

— Miałaś świerzbę?

Łazi za nią i mówi, że miała świerzbę. § 63.

Ponadto podany, że źle się sprawuje w zajęciu. „Targuje się o robotę, na każdą uwagę ma sto odpowiedzi, do wszystkiego się wtrąca, nieposłuszny. § 93.

B. wyszedł ze swych spraw cało, bo skarżący ujęli się za nim.

„B. nie jest zły chłopak, ale dokuczliwy, natrętny, bez ambicji. Kiedy mu się mówi: „odejdź — odczep się“, to ani nawet myśli odejść, — śmieje się i dalej zaczepia. — Tak to jest

niegłupi, czasem przyjemnie z nim porozmawiać. — B. mówi, że mu smutno, bo nie ma nikogo prawdziwie życzliwego, ktoby chciał mu pomóc być innym. W sklepie zawiele mu przebaczają, więc się rozpuścił, ale się już poprawi.

Inne sprawy.

Sprawa dwóch małych o złe zachowanie się przy stole § 81.

Sprawa dwóch średnich o samowolne opuszczenie szkoły § 41 — 50.

Sprawa o niesprawiedliwe świadectwo, wydane dyżurnemu przez piętrową. — Rada orzekła, że należy się mu rehabilitacja.

Czwarty tydzień.

Czwarty tydzień dał tylko trzy sprawy, z nich, jedną o zarzucenie w pralni lub szwalni — chustki do nosa.

Spalone buty.

W kotłowni dwaj chłopcy spalili dwie pary drewniaków i jedną parę butów. Kazała im spalić gospodyni.

— Niesłusznie. Można je było zreperować.

— Były do niczego.

— Nawet najgorsze buty można zreperować.

§ 33: chłopcy spełnili dane im polecenie — nie ich wina.

Szwalnia.

W niedziele chłopcy wchodzą do szwalni, żeby przyszyć guziki i t. p. — Jeden wziął bawełnę, której brać nie wolno, drugi chciał szyć kieszeń, chociaż miał jedną całą kieszeń, co zupełnie wystarcza.

— Mówią mu: wyjdź. A on: patrzcie no ją, zabroni mi, rozkazywać mi będzie, właśnie, że przyszyję — co mi zrobisz?

— Chciała mnie wypchnąć, jak psa. Niektórzy mają po dwie kieszenie — była malutka dziureczka.

W wyniku sprawy, pierwszy dostał § 40, drugi — § 200, postanowiono, by reperacje odbywały się w sali rekr. nie w szwalni, starsza szwalni powinna pisać książeczkę tak jak

piętrowe, należy sprawdzić czy istotnie nie lepiej szyć bawełną, niż złemi nićmi.

Piąty tydzień.

Pięć spraw.

Znalazł się drugi, który nienawidzi sądu.

G. ma 5 spraw.

Hałasuje w sypialni. Nie chce się rozebrać, dochodzi do różnych łóżek, rozmawia głośno; jeśli mu zwrócić uwagę, nic sobie z tego nie robi. W umywalni śpiewa i gwiżdże; jeśli mu powiedzą: „przestań,“ mówi:

— Podaj mnie do sądu.

Jako dyżurny, robi co chce, obraża się i nie sprząta albo niedbale sprząta. Jak mu się podoba, tak się zachowuje. — Kłamie: mówi, że wymiótł kurz z pod pieców, a to nieprawda.

Podany do sądu, nie przychodzi złożyć zeznań: „jak mi się spodoba, to pójdę.“

Leży chłopiec chory:

— Dlaczego leżysz, co ci jest?

Nie otrzymał odpowiedzi, więc go zbił.

A oto jak się G. tłomaczy:

— Nie cierpię, nienawidzę sądu, nie chcę mieć nic z sądem do czynienia. Tłomaczyć się nie chcę ani ustnie ani piśmiennie, bo wiem, że często nie mam słuszności. Wszyscy mnie straszą sądem, to mnie najbardziej złości. Niech podają, ale niech nie straszą. § 700.

Sąd nie jest miły — to prawda. Ale też nie dla zabawy został wprowadzony. Zadaniem jego stać na straży prawa i porządku, — sąd ma za cel, by wychowawca nie był zmuszony, jak pastuch czy fornal, ordynarnie kijem i krzykiem zmuszać do posłuszeństwa, a spokojnie i rozumnie — rozważać, radzić i oceniać wspólnie z dziećmi, które lepiej często wiedzą, kto ma słuszność, lub też w jakim stopniu nie ma słuszności. Zadaniem sądu awantury zastąpić — pracą myśli, wybuchy zmienić na wychowawcze oddziaływanie.

Sprawa B.

Znów w Radzie Sądowej.

Leniwy, nieposłuszny i niedbały jako dyżurny kuchni, teraz tak samo odnosi się do nowego dyżuru. Tam nie obiera kartofli, tu nie zamiata schodów. To nic, że wszystkie dzieci będą miały rzadką zupę; to nic, że czekają na niego z myciem schodów, bo nie można myć niesprzątniętych schodów.

— Właśnie, że nie pójdę. Nie chce mi się.

Trzy razy do niego dochodzą, — nic.

„Gdybym go miała podawać, musiałabym codziennie go podawać. Nie przynosi łopatki, śmiecie wyrzuca przez okno albo zamiata pod piec. Jak raz już przyniesie łopatkę, to jej nie odnosi na miejsce. Szczotki nie odstawia, ścierki nie odkłada. A jeśli mu zwrócić uwagę, zawsze ma słuszność.“

„Dobry, ale porywczy. Obraża się i w złości odpowiada. Później się namyśla, tylko wszystko trzeba mu dać pod nos. Niepunktualny!“

§ 82 i.

To są ci pracownicy, którzy psują opinję Domu Sierot.

Coraz trudniej znaleźć dobre miejsce dla chłopców naszych.

Jak wiadomo, w zajęciu skarżą się na B.: niedawno pracuje.

Awantura.

Kuchnia. Wchodzi M. i mówi:

— Słuchaj, spotkałem twoją siostrę, kazała ci się kłaniać.

— Mam kłopot!

— Dobra siostra jesteś, nawet nie chcesz wiedzieć, że ci się siostra kłania.

— Już słyszałam.

Obecni zaczynają się śmiać.

M. zwraca się do drugiej dziewczynki:

— Tybyś też tak powiedziała, gdybym spotkał twoją siostrę?

Śmiech.

D. bierze gwicht i rzuca w jedną z dziewczynek. D. kiedy jest zła, często robi awantury. § 200.

Przy grze w Domino.

Dawniej, kiedy na kogoś mówiono: „szachraj“, nie wiedzieliśmy dlaczego. Teraz kiedy wolno grać na cukierki i na pieniądze, coraz częściej napływają sprawy o nieuczciwą grę. Bo to co robiono potajemnie, teraz odbywa się jawnie i pod kontrolą sądu. — Dlaczego zabraniać wszystkim, jeśli szachrajów jest trzech albo czterech. I co pomoże zakaz, jeśli skontrolować nie można, czy grają w domino czy warcaby tak tylko, czy na cukierki. A czy kto przegra irysy, które musi kupić, czy pieniądze — też wszystko jedno. Jedni pożytecznie wydają pieniądze, bo są rozsądni, ci grają rzadko, ci uczą się ostrożności; a lekkomyślni i głupcy głupio wydają i głupio przegrywają. Może ktoś, jeśli przegra w grze z szachrajem markę, będzie ostrożny i kiedy dorośnie, nie przegra całego majątku, albo cudzych pieniędzy, bo i tak bywa czasem.

Pierwsza sprawa o nieuczciwą grę tak się skończyła, że jednemu małemu zabroniono grać w ciągu miesiąca, ale że to było za długo, skrócono na jego prośbę zakaz gry do dwóch tygodni.

§ 3. — niewiadomo, jak to było. Te sprawy zawsze są bardzo trudne do sądzenia.

Tydzień szósty.

Uregulowano dwie ważne sprawy: odnoszenie bielizny na strych, i wydawanie zabawek. Uczyniono pierwszy krok w celu uporządkowania modlitwy.

Nieuczynność.

— Zawsze mam wiele przykrości, kiedy trzeba zanieść bieliznę. Chłopcy nie chcą nosić, albo niechętnie noszą. Jeden zmęczony, drugi nie ma czasu, trzeci później pójdzie. Niestety tak się złożyło, że podałam tego, który częściej nosi, niż inni. Stało się zaś tak dlatego, że do tych, którzy zawsze odmawiają, już wcale nie dochodzę. Rozgniewało mnie, że powiedział, że zmęczony, a wiedziałam, że nie jest zmęczony, bo już pół godziny, jak wrócił ze szkoły.

— Poco się mam tłomaczyć? I tak powiedzą, że jestem winien, bo zawsze się tylko wierzy dziewczynkom. Nie lubię

chodzić na strych, bo przerywają czytanie albo zabawę, a przytem ona robi taką minę, która mnie złości. — Ja się zresztą podejmuję zawsze zebrać chłopców do noszenia, my to już sami będziemy robili. Tylko niech ona nie pomyśli, że to robię, bo mnie podała do sądu. § 5.

— Grali w domino. Mówię: „chodźcie trzepać serdaki." Odpowiedzieli, że już trzepali, a on nie trzepał, ale jest zmęczony. — Po dziesięciu minutach przyszedł. Ale już było za późno.

— Byłem z listem na Marszałkowskiej № 99. Grałem w domino — chciałem skończyć partję. Będę już trzepał, żeby nie nazywano mnie leniuchem § 4..

Zabawki.

— Podałem do sądu, bo już rady sobie dać nie mogę. Biorą zabawki i nie oddają, zostawiają na stole, gubią numery loter. i kamienie warcab. Mam wiele przykrości z tego powodu.

— Jak coś wziąć, to zaraz ktoś zamawia. Szedłem sprzątać klasę, więc pożyczyłem na ten czas. Nie wiedziałem, że zgubi.

— Ja wziąłem loter. obrazkową, nagle wołają mnie na kąpiel. Więc musiałem schować do kasetki, bo nie miałem komu oddać. § 40 i 50.

Kółko pożyt. Rozr. ułożyło na prośbę Rady Sądowej następujący Regulamin:

I- W loteryjkę i domino wolno grać na cukierki, pocztówki i pieniądze tylko w soboty i piątki od $4^1/_2$.

II. Wolno odejść, gdy się ma przegranych 30 f.

III. Przegrać wolno najwyżej 50 f

IV. Dłużnicy winni zwrócić pieniądze w ciągu tygodnia.

V. Znaczone domina muszą być skasowane.

VI. Kto bierze domino, winien dbać o porządek:

a) żeby papierków nie było pod stołem

b) żeby loter. była na czas zwrócona

c) umawiać się, czy grają na 4 czy 5

d) odpowiedź. za zagubione numery

Uwaga: po 6 wydaje się warcaby.

Nie wolno brać zabawek na 15 minut przed zwrotem.

Zwracać należy na 5 minut przed posiłkiem.

Modlitwa.

— On zawsze błaznuje przy stole, a podczas modlitwy robi takie miny, że wszyscy muszą się śmiać. Jest miły i wesoły, ale podczas modlitwy powinien się przyzwoicie zachowywać.

Sekretarz proponował Radzie wydanie prawa o usuwaniu z sali podczas modlitwy tych, którzy niewłaściwie się zachowują — na przeciąg tygodnia.

Rada uchwaliła odłożyć tę sprawę do czasu, gdy nowy chłopiec zacznie odmawiać modlitwę.

Oskarżony dostał § 4. —

Sędzia przed sądem.

Wylosowano go: miał sądzić. Nie przyszedł — nie chciało mu się.

Dlaczego?

1. bo potem mają pretensję, że za surowe kary dali, albo niesprawiedliwe

2. bo nie lubi sądu, nie chce mieć z sądem do czynienia.

Sekretarz proponuje § 50 i wykluczenie z losowania na 1 do 3 miesięcy...

Nie rozumie!

Nie rozumie, że sądzenie nie jest przyjemnością, a społecznym — może przykrym — obowiązkiem.

Nie rozumie, że sąd może istnieć tylko w tym razie, jeśli będą sędziowie.

Nie rozumie, że: „nie lubię — nie chcę“ — to nie znaczy: „nie będę.“ Bo każdy człowiek musi często robić to, czego robić nie chce, nie lubi.

Jeżeliby Sąd był bez wartości, nikt by się nie zwracał, jeżeli się zwracają, to znaczy, że przynosi pożytek — więc obowiązkiem każdego ułatwiać a nie — utrudniać pracę.

„Mówią, że za surowo, że niesprawiedliwie, — mogą poraz drugi zwrócić się do sądu, mogą apelować. — Na 3000 spraw, sądzonych od początku — były dopiero 4 apelacje. — Kto nie plecie tylko, co mu ślina do ust przyniesie, a dba o sprawiedliwość wyroku, ten może po czterech tygodniach ponownie sprawę

swą oddać sądowi. Niedbali i niemądrzy tego nie robią, — wolą się złościć.

Pierwszy rok próby.

Wartość sądu i pożytek kodeksu oceniłem podczas rocznej próby. Spraw było 3500. — Najmniejsza ilość spraw w ciągu tygodnia 50, największa — 130.

W ciągu roku wyszło 25 zeszytów „Gazety Sądowej“. Zeszyt pierwszy, podany w całości, wydany został po pierwszym próbnym miesiącu.

Zeszyt dziewiąty, wydany w pół roku później, gdy sąd został zawieszony na przeciąg czterech tygodni. — Po przerwie wprowadzona została Rada Sądowa, o jej działalności mówi numer dziewiętnasty Gazety sądowej.

Zdaje mi się, że najsłuszniej będzie opowiedzieć, jak było:

W pierwszych zaraz tygodniach przekonałem się, że wiele drobnych spraw, dokuczliwych dla dzieci, jątrzących i psujących ład, — nie dochodzi, nie może dojść do wiadomości wychowawcy. Wychowawca, który twierdzi, że wie wszystko, świadomie kłamie. Przekonałem się, że wychowawca nie jest rzeczoznawcą w sprawach, które dotyczą dzieci, przekonałem się, że władza wychowawcy przewyższa jego kompetencję, że istnieje cała hierarchja, gdzie każdy starszy ma prawo poniewierać bądź tylko nie liczyć się z młodszym od siebie o dwa lata, że samowola ściśle jest dozowana zależnie od wieku wychowańców. A strażnikiem tego gmachu bezprawia jest wychowawca. Sic volo, sic jubeo.

Cóż z tego, że wychowawca nie bije lub szturgnie w najrzadszym przypadku, gdy *rozzuchwalony bezkarnością uderza w twarz młodszą czy słabszą dziewczynkę i odbiera jej szczudła.*

Było zwyczajem, tradycją, że trzynastoletni pożyczali od malców pióra czy bibuły, a gdy mały żądał zwrotu, słyszał uprzejmą odpowiedź:

— Odczep się. Nie zawracaj głowy.

Tych „drobnych“ spraw było wiele dziesiątków. Trzeba się było uczyć, mozolnie uczyć — rozumieć je.

Wiele spraw rozstrzygało się nadal poza sądem. Przeko-

nanie, „że lepiej pomówić,“ niż o byle co wytaczać procesy; było tak zakorzenione, że walczyć z niem nie było sposobu. Obniżało to autorytet sądu. Jeżeli dzieci starsze nie uznają sądu, jeżeli szereg ważniejszych spraw nie dochodzi do sądu — sąd jest czemś pośredniem między zabawą a — odczepnem załatwieniem tych spraw, z któremi niewiadomo co robić. — Zamiast: „daj mi spokój“ — nowa formuła brzmiała: — „podaj do sądu.“

Zarzut, że sąd nie pomaga, bo się sądu nie boją, bo sobie z sądu nic nie robią“ — rozbrzmiewał dokuczliwie i unicestwiająco. Podkreślić należy, że działo się tak w internacie, gdy oficjalnie kar żadnych nie było.

Mówiąc o karach, mamy zawsze na myśli rózgi, kozę, pozbawienie jedzenia i t. p., zapoznając fakt, że kara — krzyk, gniew, „bura,“ groźba, zmiana stosunku wobec dziecka z przyjaznego na wrogi — jest dotkliwą karą.

Fatalnem dla sądu było „pieniactwo“ malców. Za „byle co“ podawali. Połowa spraw — to drobne zatargi nielicznej grupki najmłodszych. Śmiejąc się, że mały X czy mała Y jest stałym klijentem sądu, utrwalano nastrój drwiny. „Podaj mnie do sądu“ — było stałą formułą odpowiedzi na słuszną pretensję. — Ograniczyć w jakiś sposób ilość spraw, — nasuwała się pozorna konieczność.

Ale jak?

Powiedzieć, że „głupstw“ nie wolno podawać do sądu? Z całą stanowczością twierdzę, że tego robić nie wolno. I rzecz dziwna: jeśli z początku sędziowie skłonni byli wszystkie sprawy małych lekceważyć, nawet wszystkie sprawy o uderzenie, przezywanie, przeszkadzanie, szybko jednak uznali słuszność poglądu, że sprawdzianem ważności sprawy jest doznana przykrość, jest poczucie krzywdy, którą ma skazujący. —

— Dlaczego stłuczona szyba jest ważną sprawą, a zniszczenie prywatnej własności dziecka ma być „głupstwem.”—Czy oszustwo w grze w kasztany nie jest karygodną nieuczciwością dlatego tylko, że grają na kasztany, a nie na pieniądze?

Gra w kasztany dawała dużą ilość spraw, była źródłem niezliczonej ilości sporów. — Co robi w takich wypadkach wy-

chowawca? — Zabrania grać! — Zabraniając popełnia gwałt, zabraniając, pozbawia dzieci niewinnej rozrywki, zabraniając, utrudnia sobie poznanie dzieci w hazardzie, gdzie najłatwiej ujawniają się te cechy charakteru, które mają olbrzymie znaczenie w życiu, jak: lekkomyślność, chciwość, porywczość, nieuczciwość i t. p. Zakaz gry byłby, zdaniem mem, równą krzywdą dla wychowawcy i dzieci. Gra w kasztany była pierwszą szkołą praworządności dla małych. Działy się zrazu rzeczy niesłychane: Przegrał 100 kasztanów i oznąjmia cynicznie, że nie odda. — Dlaczego? — Bo nie chce. — Przystępują do współki: razem trzymać będą kasztany — pokłócili się i: „ja ci nie dam kasztanów." — Niektóre zeznania wprawiały mnie w osłupienie. — W biały dzień wśród licznych świadków chłopiec rabuje dziewczynce kasztany i naigrawa się bezczelnie: „tak mi się chce, — no i co mi zrobisz?" — Jedyna ucieczka, to zwrócić się do starszego towarzysza, który udzieli pomocy, ale w jakiej formie? — Huknie w kark, wytarmosi, pchnie, rzuci na ziemię. — Obyczaje syngalezów w poprawnie prowadzonym internacie stolicy cywilizowanego państwa. — A przecież niedawno i ja nietylko godziłem się z podobnym stanem rzeczy, ale miał on nawet pewien wdzięk, skłonny byłem zbagatelizować sprawę, bo mały, wesoły łobuziak bliższy mi był, niż trochę niedołężna „dziewucha." Że jednak ten miły łobuziak tyranizuje pewną grupę dzieci, kokietując mnie jednocześnie, że wychowuje się mały drapieżnik w poczuciu prawa do bezprawia, było czemś niedostrzeganem, poniżej proga mej wychowawczej świadomości.

Często jedna sprawa lepiej charakteryzowała mi dziecko, niż paromiesięczne z niem obcowanie. — Niekiedy jedna sprawa lepiej charakteryzowała mi środowisko, niż luźna obserwacja w ciągu szeregu miesięcy.

Jako sekretarz sądu, poznawałem abecadło, doskonaliłem się, wreszcie stawałem się ekspertem w ich sprawach.

Kupa dokuczliwych śmieci — pomarszczonych, odrapanych kasztanów — ożywia się. Tam były kasztany obojętne, wyjątkowo do gry dogodne, kasztany pamiątkowe i specjalnie przy-

noszące szczęście. „Ja tym kasztanem zawsze wygrywam, — wymówiłem, że na ten kasztan nie gram.“

Zapytuję, który wychowawca ma czas rozważać podobne sprawy, ma ochotę rozważać je pod kątem słuszności, prawa, a nie — pobłażliwego uśmiechu?

Dzięki tym „drobnym“ sprawom zmuszony byłem przemyśleć wszystkie zawiłe zagadnienia współżycia gromady. Typ asocjalny, antysocjalny, jednostka, nie chcąca podporządkować swych przyzwyczajeń i upodobań, wyłaniała się i z niesłychaną mocą żądała odpowiedzi na stanowcze pytanie: co robić?

— Ja nienawidzę sądu; wolę dostawać po łapach i za uszy, wszystko wolę, byle nie sąd. — Nienawidzę, znieść nie mogę sądu. Nie chcę sam podawać i niech mnie nie podają.

Takich było kilkoro. Sąd zaskoczył je, jako nieoczekiwany i najgroźniejszy wróg — registrator, wróg — jawność, wróg — światło.

Nie chce się tłomaczyć, nie obchodzi go słuszność, nie myśli zadawać sobie przymusu. Jemu się może udać lub nie udać — i w tym hazardzie znajduje upodobanie, przypadkowość daje mu wzruszenie, żyje od przygody do przygody, sterem jest nastrój chwilowy, wybuchy dogadzają.

Jeśli znajdzie się ten szczęśliwy, który będzie miał możność naukowych studjów nad wychowawczem znaczeniem sądów, — gorąco polecam mu do obserwacji te właśnie dzieci.

I rzecz znamienna, ta nieliczna garstka obaliła sąd. Zawieszając sąd, nie wątpiłem, że jest to tylko parotygodniowa przerwa dla wprowadzenia pewnych zmian i dopełnień. Pomimo to przerwę odczułem, jako bolesną porażkę. Zrozumiałem bowiem, z jakim trudem sąd torować sobie będzie drogę w innych zakładach wychowawczych, przez innych prowadzonych ludzi.

Wiem, że wszyscy lepsi wychowawcy pragną zrzucić z bark obrzydłą konieczność zrzędzenia, urągania, pyskowania i trzepotania się, o ile nie chcą, wzorem szkół niemieckich, bez uniesienia i z godnością łupić upatrzonem narzędziem w regulaminem ustalone miejsca. Wiem jednak, że sąd musi zawieść ich nadzieje łatwego, zasadniczego i, co najważniejsza, szybkiego za-

łatwienia tych setek drobnych przewinień, win, uchybień, uchyleń się, tarć, które zachodzą w życiu gromady, mającej być przerobioną na praworządne społeczeństwo. Sąd nie zastąpi, nie wyręczy nawet wychowawcy, a rozszerzy zakres jego wstawiennictwa, utrudni, skomplikuje jego pracę, pogłębi i ujmie w system.

Można wydawać dzieciom kajety, ołówki i stalówki w różnym czasie, zapisując je tylko w pamięci — wówczas będzie nieład; można wydawać je w pewne dnie o pewnej godzinie, notując datę wydania — będzie ład i nawet pewna sprawiedliwość. Ba, zachowały się może i takie internaty, gdzie niema ustalonych godzin posiłków, a dzieci jedzą, kiedy chcą, sprytniejsze więcej i częściej, niż ciche i pokorne. Można wydzielać i dozować kary, strofowania, upomnienia i nagany bez sądu. Jest nieład, ale nie odbiegający od tego, co jest ogólnie przyjęte. Wychowawca jakoś sobie radzi i dzieci jakoś sobie radzą.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak każde niezałatwione zagadnienie, każdy po tandecku sklecony nakaz lub zakaz, każde niedopatrzenie — ujawniają się i mszczą w sądzie. — Wieczorny niepokój w sypialni, hałasy w sypialni — długi szereg dokuczliwych spraw w różnych postaciach — wołał w ciągu całego roku bezustannie, alarmował z matematyczną czujnością i ścisłością, że sprawa godzin snu dzieci nie jest rozwiązaną, czeka na uregulowanie. — Sąd był tu istotnie bezsilny, bo tu potrzebny jest albo zupełnie wyraźny gwałt — kij, albo zgodne z fizjopsychologiczną potrzebą dzieci, rozwiązanie trudnego zagadnienia.

Każde niewykonalne, a więc wychowawczo-partackie żądanie — niezmordowanie „puka, by mu otworzono,“ doprasza o wyłomy i koncesje. Każde nie dające się podciągnąć pod ogólne prawo dziecko musi stać się prawnie wyjątkiem.

I tu potrzebna jest świadoma, twórcza i ofiarna myśl wychowawcy.

Niedołęga nauczyciel nie umie radzić sobie z klasą. — Zjawia się sąd — i oto uczniowie pilnie pracują, układnie się sprawują — ależ byłby to cud, w dodatku bardzo uprzejmy dla wychowawcy, ale zabójczy dla dzieci.

Zanim postanowiłem sąd zawiesić, wiele chwil ciężkich przeżyłem. Dzieci, pewna ich nieliczna wprawdzie ale dokuczliwa grupa, wyzyskiwała sąd na swoją korzyść. Szanowały sąd, gdy im to było wygodne, drwiły, gdy krępował. Wkradał się nieład, w drobnych zrazu szczegółach; co będzie jednak, jeśli poczucie bezkarności utrwali się? Nie ze wszystkim czekać można przez tydzień. — „Nie będę obierał kartofli, nie będę sprzątał." — Podano do sądu, nie obiera kartofli. — Co robić? Bywało gorzej: „jeżeli już jestem podany do sądu, nie mam potrzeby sprzątać, dlatego nie będę sprzątał, że już jestem podany do sądu."

A wyroki były łagodne. Żadna grupa sędziów nie odważała się sięgnąć wyżej ponad § 400. — Opozycja czujnie podtrzymywała ten opór przeciw stosowaniu wyższych paragrafów. Pomiędzy sądem przysięgłych a sądem koleżeńskim istnieje ta zasadnicza różnica, że tu sędziowie i oskarżeni znają się wzajemnie, związani są tysiącznymi nićmi wzajemnych stosunków, że dać duży paragraf — to narazić się na przykrość. Toć wiemy, jak przykre i kłopotliwe są niekiedy sądy honorowe. A co najgłówniejsze, poco zadawać sobie gwałt i narażać na niemiłe przycinki, gdy duży paragraf — i tak nie pomoże?

Zdania o sądzie były podzielone. Obok niewielu wrogów i stronników sądu, znakomita większość stała na stanowisku, że sąd przynosi pożytek, ale wymaga zmian.

— Sąd jest potrzebny, ale nie przynosi pożytku.

— Dla jednych dzieci sąd jest dobry, dla innych nie pomaga.

— Z czasem nasz sąd będzie bardzo pożyteczny.

— Gdyby to był inny sąd, byłby bardzo potrzebny.

Tych kilka zdań z ankiety dobrze ilustruje stosunek dzieci go nowej instytucji.

Traktując sąd, jako próbę, która może zawieść, starałem się w pierwszym rzędzie o możliwie dokładne wykorzystanie olbrzymiego materjału faktycznego, który dawał. Nie rozporządzając czasem, szkicowałem bodaj kontury każdej sprawy. Ciekawą była i statystyka, kazuistyka, sprawy pospolite i wyjąt-

kowe, stosunek wzajemny skarżących i oskarżonych, sędziów — utrwalała się we mnie świadomość, że w przyszłości kierownik—wychowawca, (a nie wychowawca i administrator w jednej osobie) musi być sekretarzem sądu.

Sąd jest potrzebny, konieczny, niczem zastąpić się nie da.

Sąd musi mieć olbrzymie wychowawcze znaczenie. Niestety nie doroślismy jeszcze do sądu. Jeszcze nie lub: jeszcze nie u nas.

Sąd nie wszedł do nas uroczyście, jako doniosły akt prawodawczy, wślizgnął się potulnie i lękliwie. A jednak zawieszając sąd, czułem wyraźnie, że popełniam zamach stanu, i łudzę się może, ale tak odczuły to dzieci. — Co teraz będzie?

Niektóre dzieci „odetchnęły," pozbyły się czujnego kontrolera. Niektóre, chcąc dowieść, że sąd był niepotrzebny, sprawowały się lepiej. Pewna grupa dopytywała się, czy i kiedy sąd będzie wznowiony. Pozatem spora garstka dzieci mało się interesowała zarówno sądem, jak w ogóle wszystkiemi sprawami współżycia.

W zarzutach, czynionych sądowi zzewnątrz, teoretycznie, jeden powtarza się najczęściej:

— Sąd przyzwyczaja dzieci do pieniactwa.

Dla mnie, a zapewne dla każdego wychowawcy, niema „dzieci," są osobniki, tak odmienne, tak krańcowo różne, tak każde inaczej i w sposób swoisty reaguje na to, co je otacza, że zarzut ogólny musi wywołać pobłażliwy uśmiech. W ciągu całego roku nie było ani jednego dowodu, któryby uprawniał do zarzutu, że sąd rozwija pieniactwo, wiele natomiast faktów zdaje mi się przemawiać za tem, że sąd uczy dzieci, jak niewygodne, szkodliwe i bezmyślne jest pieniactwo. Pod wpływem i na tle sądu odbywała się, zdaniem mojem, olbrzymia praca — uświadamiania sobie warunków i praw współżycia. Kto nie lekceważy społeczeństwa dziecięcego, kto rozumie, że to jest świat, a nie „światek," tego cyfra: 3500 spraw przekona, że nie mogę wdawać się w szczegóły, gdyż praca ta musiałaby objąć kilka grubych tomów. — Jedno tylko pragnę zaznaczyć: z pośród stu

dzieci nie wyleczył się z pieniactwa jeden tylko chłopiec, wyleczyło się zaś, i zapewne na długo, bardzo wiele dzieci.

Po przerwie, wprowadzono do sądu trzy ważne uzupełnienia.

1. Niezadowoleni z wyroku mają prawo po miesiącu apelować.

2. Z sądu wyklucza się niektóre sprawy i przekazuje Radzie Sądowej.

3. Dzieci mają prawo podawać do sądu dorosłych, personel.

Nie mogę wdawać się w szczegóły.

W ciągu półrocza podałem się do sądu pięć razy. Raz, że chłopcu dałem za uszy, raz, że chłopca wyrzuciłem z sypialni, raz, że postawiłem w kącie, raz, że obraziłem sędziego, raz, że dziewczynkę posądziłem o kradzież. W pierwszych trzech sprawach otrzymałem § 21, w czwartej sprawie § 71, w ostatniej sprawie § 7. Za każdym razem składałem obszerne zeznanie piśmienne.

Twierdzę z całą stanowczością, że tych kilka spraw było kamieniem węgielnym mego wychowania, jako nowego, „konstytucyjnego“ wychowawcy, który niedlatego nie krzywdzi dzieci, że je lubi czy kocha, ale dlatego, że istnieje instytucja, która je przed bezprawiem, samowolą, despotyzmem wychowawcy broni.

Sejm Domu Sierot.

Dyżury mają już w Domu Sierot siedmioletnią historję, przeszły próbę ogniową w wielu internatach. Kuchnia, pralnia, inwentarz, opieka nad budynkiem, dozór młodszych dzieci — oddane są wychowańcom, którzy z dziesięcioletnich dyżurnych przeobrażali się w czternasto. i piętnastoletni personel. Gazeta zakładowa trwa, sąd od lat dwóch pracuje nieprzerwanie. Dojrzeliśmy do prób samorządu. — Taką drogą powstał sejm, o którym nic jeszcze pewnego powiedzieć nie można. — Sejm liczy 20 posłów. — Okręg wyborczy stanowi pięcioro dzieci; kto ma cztery głosy, zostaje posłem. — Głosują wszyscy, posłem może

być ten tylko, kto nie miał ani jednej sprawy sądowej o nieuczciwość; nieuczciwym (kradzież, oszustwo) przyznane jest prawo rehabilitacji. — Sejm zatwierdza prawa, wydane przez Radę Sądową, lub je odrzuca. Sejm uchwala dnie kalendarza i przyznaje prawo do pocztówek pamiątkowych. — Jeśli sąd mocen jest decydować o przymusowem wydaleniu wychowańca, Sejm winien dążyć do tego, by sprawa przyjmowania nowych dzieci i usuwania starszych, nawet personelu — była od jego decyzji uzależniona. — Wskazana jest ostrożność, należy granice kompetencji Sejmu rozszerzać zwolna, ograniczenia i zastrzeżenia niech będą liczne, ale wyraźne i szczere. Inaczej nie urządzajmy wyborów, nie inscęnizujmy zabawy w samorząd, nie wprowadzajmy w błąd ani siebie ani dzieci. Bo zabawa byłaby niesmaczna i szkodliwa.

Kalendarz.

Podaję niektóre paragrafy projektu:

§ 6. Sejm ustala dnie uroczyste, poza świętami religijnemi, — bądź na skutek propozycji posła, bądź w związku z uchwaleniem pocztówki pamiątkowej.

§ 9. Dzień 22 grudnia. — Hasło: „nie warto wstawać“ (bo dzień krótki). — Kto chce, może spać, nie wstawać z łóżka. — Kto chce, może nie słać łóżka. — Szczegóły opracowane będą w komisji ustawodawczej Sejmu.

§ 10. Dzień 22 czerwca. — Hasło: „nie warto się kłaść.”— Kto chce, może całą noc czuwać. — W razie pogody, marsz w nocy przez miasto.

§ 12. Dzień pierwszego śniegu. — Hasło: „dzień sanny.” Za dzień pierwszego śniegu uważany będzie dzień, gdy śnieg wypadnie przy temperaturze poniżej 1^0 zimna. — Zabawa w śnieżki, wycieczka, sanna dla wybranych przez głosowanie.

§ 18. Dzień zmarłych. — Podczas porannej modlitwy wspomina się imiona zmarłych wychowańców.

§ 19. 365 obiadu. Gospodyni za poniesione trudy otrzymuje cukierki. Toż samo dyżurni kuchni. — Hasło: „imieniny kuchni.“

Uwaga: pożądane są projekty uczczenia pralni.

§ 22. Dzień brudasa. — Hasło: „nie wolno się myć.“ — Kto chce się w dniu tym umyć, musi wnieść opłatę, której wysokość Sejm ustali.

§ 27. Dzień zegarka. — Niepunktualny szewc po danej obietnicy, poprawił się i przez cały rok przynosił obuwie w dniu i o godzinie oznaczonej. Sejm przyznał mu pocztówkę punktualności. — Dla upamiętnienia tego, dzieciom wolno w dniu uchwały Sejmu o godzinę dłużej przebywać na mieście.

§ 27. Dzień niedbalca. — Kto przez głosowanie uznany zostanie za najmniej dbałego o odzież, otrzymuje coś z odzieży, by w dnie uroczyste nie wyglądał, jak brudas.

§ 28. Dzień kotła. — Ponieważ jeden ze starszych chłopców nieuczynnie odmówił pomocy przy przenoszeniu kotła, gdy winda z kuchni do jadalni była zepsuta, w dniu tym dwaj wylosowani najstarsi chłopcy przynosić będą śniadanie, choćby winda była czynna.

§ 32. Dzień zachęty. — Kto w ciągu roku miał największą ilość paragrafów skazujących, otrzymuje wyroki uniewinniające za przewinienia całego tygodnia. O ile zechce, może być sędzią. — Dzień zachęty wprowadza się dla upamiętnienia wypadku, że jeden z największych łobuzów nie miał przez tydzień ani jednej sprawy.

§ 40. Sejm uchwala, w ciągu ilu lat dany dzień ma figurować w kalendarzu.

Pocztówki pamiątkowe.

Nie uchwalony jeszcze przez Sejm — Statut tymczasowy o pocztówkach pamiątkowych obejmuje między innemi następujące paragrafy:

§ 3. Napis na odwrotnej stronie obrazka głosi:

„Uchwałą Sejmu z dnia... przyznano..... (imię) pocztówkę pamiątkową za...“ Data przyznania pocztówki może być uznana za dzień uroczysty, włączony do kalendarza.

§ 4. Ubiegający się o pocztówkę winien złożyć podanie na niezgniecionym arkuszu papieru, gdzie własnoręcznie, pismem starannem i czytelnem wylicza czyny i fakty, które pragnie pamiętać. — Czyny mogą być dobre i złe, zarówno pożyteczne,

jak szkodliwe, zarówno godne pochwały, jak i nagany, pocztówka może być miłem lub niemiłem wspomnieniem, zachętą lub ostrzeżeniem.

§ 5. Jeżeli Sejm zechce silniej podkreślić fakt pamiątkowy, włącza go do kalendarza zwycięstw i porażek, chwalebnego wysiłku lub niedbalstwa, dowodu silnej lub słabej woli.

§ 7. Treść obrazka na pocztówce winna być zastosowana do tego, za co była wydana; a więc:

1.—Za wstawanie natychmiast po budziku rannym, wydaje się za sezon zimowy — krajobraz zimowy, za wstawanie w ciągu wiosennych miesięcy — widoczek wiosenny i t. d.

2.—za obranie 2500 funtów kartofli — „pocztówkę kwiatów."

3.—za bójki, kłótnie, niestosowanie się do praw i uchwał „pocztówkę tygrysa."

4.—za opiekę nad małemi i nowemi dziećmi — „pocztówkę opieki" i t. p.

§ 10. Kto dłużej niż rok pełnił sumiennie ten sam dyżur, otrzymać ma prawo pocztówkę z widokiem Warszawy.

Sejm uznaje Dom Sierot za cząstkę Warszawy i pragnie dać pamiątkę, tem droższą dla tych, którzy w przyszłości może opuszczą miasto rodzinne.

§ 12. Prócz pamiątkowych, Sejm obmyśli sposób wydawania pocztówek jubileuszowych. Naprzykład, kto stale wcześnie wstaje, a więc posiada pocztówki pamiątkowe czterech sezonów, otrzymać może pocztówkę „silnej woli" i t. d.

§ 14. Powinny być wprowadzane powoli i „pocztówki zdrowia" (kto nie chorował ani razu, szybko rośnie, uprawia sporty), pocztówki pamiątkowe za udział w komedyjkach, zabawach, pracy w gazecie i sądzie.

§ 17. Pocztówka pożegnalna „niezapominajek" jest ostatnią pocztówką — z podpisami dzieci i wychowawców.

Pocztówka nie jest nagrodą, a pamiątką, wspomnieniem. Jedne dzieci zgubią ją na drodze życia, inne — zachowają na długo. —

